



G.K. Chesterton

WIEKUISTY
CZŁO
WIEK



F
APOSTOLICUM

NOTA WPROWADZAJĄCA

Niniejsza książka wymaga wstępu, który pomoże uniknąć nieporozumień co do jej zawartości. Zaproponowana w niej perspektywa jest raczej historyczna niż teologiczna i nie dotyczy bezpośrednio religijnej przemiany, która była głównym wydarzeniem mojego życia, a o której zacząłem właśnie pisać bardziej kontrowersyjne dzieło. Żaden katolik, taką mam przynajmniej nadzieję, nie mógłby napisać książki na żaden, a zwłaszcza na ten temat, nie ujawniając, że jest katolikiem; w niniejszym opracowaniu różnice między katolikami a protestantami nie są jednak sprawą najważniejszą. Duża część tej książki traktuje raczej o rozmaitych poganach niż o rozmaitych wyznawcach chrześcijaństwa, a jej teza głosi, że ci, którzy traktują Chrystusa na równi z podobnymi do Niego mitami, a Jego religię na równi z podobnymi do niej religiami, powtarzają jedynie bardzo przestarzałą formułkę, której przeczy bardzo zaskakujący fakt. Stwierdzenie tego faktu nie wymagało ode mnie wychodzenia poza sprawy znane nam wszystkim; nie pretenduję do miana uczonego i w niektórych dziedzinach jestem

zmuszony, jak to obecnie jest w modzie, polegać na tych, którzy są bardziej uczeni ode mnie. Ponieważ nieraz nie zgadzałem się z poglądami pana H.G. Wellsa na temat historii, tym bardziej powinienem w tym miejscu pogratulować mu odwagi i konstruktywnej wyobraźni, dzięki której ukończył swoje rozległe, różnorodne i niezwykle zajmujące dzieło", a nade wszystko powinszować tego, że dowiódł słusznego prawa amatora do swobodnego korzystania z faktów udostępnianych mu przez specjalistów.

*** Chodzi o dwutomową historię powszechną H.G. Wellsa *Outline of History* napisaną z ewolucjonistycznego punktu widzenia.**

Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza.

WSTĘP
PLAN KSIĄŻKI

Istnieją dwa sposoby, by dostać się do domu: pierwszy to wcale z niego nie wychodzić; drugi to obejść dookoła cały świat, aż wróci się do punktu wyjścia - taką podróż próbowałem opisać kiedyś w pewnej opowieści. Z ulgą jednak zmienię temat i zajmę się inną opowieścią, której nigdy nie udało mi się napisać. Jak każda nie napisana przeze mnie książka, jest bezapelacyjnie najlepsza z tych, jakie napisałem. A ponieważ jest więcej niż pewne, że nigdy jej nie napiszę, posłużę się nią jako symbolem; stanowi ona bowiem symbol tej samej prawdy. Opowieść tę wyobrażam sobie jako romantyczną historię z rozległych falujących dolin, takich jak te, gdzie na zboczach wzgórz nakreślono w starożytności białe konie Wessexu¹. Jej bohaterem miałby być chłopiec, którego gospodarstwo czy domostwo stało na takim właśnie zboczach i który wyruszył w świat na poszukiwanie czegoś w rodzaju podobizny albo

¹ Duże, widoczne z daleka sylwetki koni wycinane w zboczach wzgórz - najstarsze pochodzą z epoki brązu; biały kolor nadają im wapienne skały podłoża.

grobowca jakiegoś olbrzyma. A gdy był już wystarczająco daleko od domu, obejrzał się i zobaczył, że jego gospodarstwo i ogródek warzywny, błyszczące płasko na zboczu wzgórza jak barwy i pola na tarczy herbowej, są częścią takiej właśnie sylwetki olbrzyma, na której mieszkał od zawsze, ale która była za duża i znajdowała się zbyt blisko, by mógł ją zobaczyć. Taki, jak sądzę, jest dziś prawdziwy obraz postępu każdej rzeczywiście niezależnej inteligencji, i to właśnie jest sednem tej książki.

Sednem tej książki, innymi słowy, jest to, że jeśli nie jest się naprawdę wewnątrz chrześcijaństwa, najlepszą rzeczą jest być naprawdę poza nim. A mówiąc ściślej, że popularni krytycy chrześcijaństwa nie są naprawdę poza nim, ale stoją na gruncie pod każdym względem spornym. Ich wątpliwości są mocno wątpliwe, a krytyczne uwagi przyjęły dziwny ton, jakim posługują się przeszkadzający prelegentowi ignoranci. Najnowsze antyklerykalne frazesy są dla nich tematem towarzyskich pogaduszek. Narzekają, że księża ubierają się jak księża, zupełnie jakbyśmy mieli zyskać większą swobodę, gdyby wszyscy policjanci śledzący nas lub zakuwający w kajdanki byli detektywami w cywilu. Skarżą się, że kazania nie można przerywać i nazywają ambonę twierdzą tchórza, chociaż nie nazywają twierdzą tchórza redakcji dziennika. Oskarżenie to jest niesprawiedliwe zarówno wobec dziennikarzy, jak i wobec księży, ale wobec dziennikarzy jest przynajmniej o wiele bliższe prawdy. Duchowny przemawia osobiście i łatwo mu dokopać, gdy będzie wychodził z kościoła; dziennikarz, aby uniknąć kopniaków, ukrywa nawet swoje

PLAN KSIĄŻKI

nazwisko. Owi krytycy piszą do prasy szalone, bezsensowne artykuły i listy o tym, dlaczego kościoły świecą pustkami, chociaż ich nie odwiedzają, aby się przekonać, czy rzeczywiście tak jest albo których kościołów to dotyczy. Ich propozycje są jeszcze nudniejsze i bardziej nijakie niż beznadziejny wikary z farsowej trzyaktówki i sprawiają, że mamy ochotę pocieszyć go tak, jak pocieszano wikarego z *Bab Ballads*²: „Rozumu więcej masz, niż ma go Hopley Porter”. Możemy z pełnym przekonaniem zapewnić najmarniejszego z duchownych: „Rozumu więcej masz, niż ma go Oburzony albo Zwykły Obywatel, albo Szary Człowiek czy którykolwiek z twoich gazetowych krytyków; żaden z nich bowiem nie ma bladego pojęcia o tym, czego sam chce, nie mówiąc już o tym, czego oczekuje od ciebie”. Nagle zmieniają front i potępiają Kościół za to, że nie zapobiegł wojnie³, chociaż wcale nie chcieli, żeby ktoś to uczynił, i chociaż nikt nigdy nie twierdził, że byłby jej w stanie zapobiec, z wyjątkiem kilku postępowych, kosmopolitycznych sceptyków z tej samej szkoły naczelnych wrogów Kościoła. To antyklerykalny i agnostyczny świat przepowiadał zawsze nadejście powszechnego pokoju i to ten właśnie świat powinien być zawstydzony i zdruzgotany wybuchem powszechnej wojny. A co do ogólnego twierdzenia, że wojna skompromitowała Kościół - można

² Wiersze Williama S. Gilberta, publikowane w piśmie "Fun" w drugiej poł XIX w., a potem w formie książkowej; satyryczne ballady z elementami absurdałnego humoru i purnonsensu.

³ Chodzi o I wojnę światową.

by równie dobrze powiedzieć, że potop skompromitował arkę Noego. Jeśli świat błądzi, jest to raczej dowód, że Kościół się nic myli. Jest on usprawiedliwiony - nie dlatego, że jego dzieci niesą grzesznikami, ale właśnie dlatego, że nimi są. W ten sam sposób krytycy Kościoła odnoszą się do całej tradycji religijnej; są oni owładnięci potrzebą reagowania przeciwko niej. Dopóki chłopiec mieszka w gospodarstwie ojca, wszystko jest w porządku; i znów będzie wszystko w porządku, gdy oddali się na tyle, by obejrzeć się i zobaczyć je w całości. Oni jednak wprawili się w jakiś pośredni stan, zabłądzili w dolinie, z której nie widzą ani wzgórz przed sobą, ani za sobą. Nie mogą wyjść z cienia chrześcijańskiej kontrowersji. Nie mogą być chrześcijanami i nie potrafią przestać być przeciwnikami chrześcijaństwa. Przepełnia ich nastrój właściwy dla reakcjonistów: dąsy, przekora i zrzędlive krytykanctwo. Ciągłe jeszcze mieszkają w cieniu wiary, choć utracili jej światło.

Otóż najlepsza relacja łączy nas z naszym duchowym domem wówczas, gdy jesteśmy dość blisko, by darzyć go miłością. Ale drugą dobrą relacją jest być na tyle daleko, by nie darzyć go nienawiścią. Książka ta opiera się na twierdzeniu, że choć najlepszym sędzią chrześcijaństwa jest chrześcijanin, drugim dobrym sędzią może być ktoś w rodzaju konfucjanisty. Natomiast najgorszym sędzią jest człowiek, który dziś najchętniej zabiera się do sądzenia - niedouczonego chrześcijanin zmieniający się stopniowo w gniewnego agnostyka; wpłątany w koniec sporu, którego początku nigdy nie rozumiał; porażony czymś

w rodzaju dziedzicznego znudzenia, choć sam nie wie, czym się znudził; zawczasu zmęczony słuchaniem czegoś, czego nigdy nie słyszał. Człowiek ten nie sądzi chrześcijaństwa ze spokojem, jak zrobiłby to konfucjanista; nie sądzi go również tak, jak sam osądziłby konfucjanizm. Nie umie wysiłkiem wyobraźni przenieść Kościoła katolickiego o tysiące mil, pod obce niebiosa poranka, i ocenić go równie bezstronnie, jak oceniłby chińską pagodę. Podobno wielki św. Franciszek Ksawery, któremu niemal udało się wznieść Kościół jako wieżę górującą nad wszystkimi pagodami, odniósł porażkę po części dlatego, że jego następcy byli oskarżani przez braci misjonarzy o przedstawianie Dwunastu Apostołów w szatach i z atrybutami Chińczyków. Lepiej byłoby jednak widzieć w Apostołach Chińczyków i sądzić ich sprawiedliwie jako Chińczyków, niż widzieć w nich jedynie nieme idole zasługujące na rozbicie przez ikonoklastów, czy raczej odpustowe tarcze, do których cwaniacy celują z nie-nabitych wiatrówek. Lepiej byłoby zapatrywać się na całą rzecz jak na jakiś odległy azjatycki kult; widzieć w mitrach biskupów wysokie nakrycia głowy tajemniczych bonzów, w pastorałach -wężowe laski noszone w jakiejś azjatyckiej procesji, modlitewnik uznać za równie niezwykły jak młynek modlitewny, a Krzyż - za skrzywiony na równi ze swastyką⁴. Wtedy przynajmniej nie tracilibyśmy panowania nad sobą jak niektórzy sceptyczni

⁴ W 1925 r., kiedy Chesterton pisał te słowa, swastyka nie miała jeszcze tak jednoznacznej konotacji.

krytycy, którzy nierzadko tracą także rozum. Antyklerykalizm stał się dla nich atmosferą - atmosferą negacji i wrogości, z której nie mogą się wyzwolić. W porównaniu z ich postawą lepsze byłoby potraktowanie całej rzeczy jako pochodzącej z innego kontynentu albo z innej planety. Bardziej godne filozofa byłoby obojętne przyglądanie się bonzom niż nieustanne i bezcelowe czepianie się biskupów. Lepsiej byłoby przejść obok kościoła tak, jakby to była pagoda, niż nieporuszenie tkwić w kruchcie, nie mając siły ani na to, by wejść do środka i pomóc, ani na to, by wyjść i zapomnieć. Tym, dla których reakcja stała się obsesją, polecałbym na serio wysilenie wyobraźni i przedstawienie sobie Dwunastu Apostołów jako Chińczyków. Innymi słowy, radzę im, by spróbowali oddać taką sprawiedliwość chrześcijańskim świętym, jakby byli to pogańscy mędracy.

Tu jednak dochodzimy do ostatniego bardzo istotnego punktu, który będę się starał udowodnić na stronach tej książki a mianowicie, że gdy faktycznie wysilimy wyobraźnię, by zobaczyć całą rzecz od zewnątrz, odkrywamy, że wygląda ona naprawdę tak, jak tradycja zawsze opisywała ją od wewnątrz. Tylko z oddali chłopiec może dostrzec olbrzyma i przekonać się, że to naprawdę olbrzym. Tylko wtedy, gdy ujrzymy Kościół chrześcijański pod czystym płaskim niebem Wschodu, możemy się przekonać, że jest to rzeczywiście Kościół Chrystusowy. Krótko mówiąc, tylko gdy jesteśmy bezstronni, możemy pojąć, dlaczego ludzie są stronnikami Kościoła. To drugie twierdzenie wymaga jednak poważniejszego omówienia, i teraz właśnie zamierzam je omówić.

Kiedy tylko ujrzałem w jasnym świetle tę dziwną stałość cechującą jedyną i wyjątkową historię Boga, uderzyło mnie, że dokładnie taki sam dziwny, a przy tym stały charakter miała poprzedzająca ją historia człowieka; bo i ona także wywodziła się od Boga. Chodzi mi o to, że tak jak Kościół wygląda osobliwiej w porównaniu ze zwykłym życiem religijnym ludzkości, ludzkość wygląda osobliwiej w porównaniu ze zwykłym żydem natury. Zauważyłem, że większość współcześnie pisanej historii przeradza się w swoistą sofistykę, dążąc najpierw do zatarcia ostrej granicy między zwierzęciem a człowiekiem, a potem do zatarcia ostrej granicy między pogaństwem a chrześcijaństwem. Im więcej jednak czyta się o tych dwóch granicach w duchu prawdziwego realizmu, tym ostrzej się je dostrzega. Krytycy nie są wystarczająco zdystansowani, by zauważyć ów dystans; nie widzą rzeczy w pełnym świetle i przez to trudno im odróżnić czarne od białego. Owa szczególna atmosfera reakcji i buntu, w jakiej żyją, każe im utrzymywać, że biel jest w rzeczywistości brudnoszara, a czerń nie jest tak czarna, jak się ją maluje. Nie twierdzę, że za ich buntem nie przemawiają żadne ludzkie racje; nie twierdzę, że nie wzbudza on pod pewnymi względami sympatii; twierdzę jedynie, że nie ma on nic wspólnego z nauką. Ikonoklasta może być oburzony; ikonoklasta może być oburzony słusznie; ale ikonoklasta nie może być bezstronny. A udawanie, że przytłaczająca większość poważnych krytyków, uczonych ewolucjonistów i profesorów religioznawstwa jest choć trochę bezstronna, to czysta hipokryzja. Dlaczego bowiem mieliby być

bezstronni, i co właściwie znaczy bezstronność, jeśli cały świat toczy wojnę o to, czy ta jedna rzecz jest chorobliwym przesądem, czy źródłem nadprzyrodzonej nadziei? Ja sam nie uważam się za bezstronnego o tyle, że ostateczny akt wiary ogranicza umysł człowieka, dając mu zaspokojenie. Śmiem jednak uważać się za bardziej bezstronnego od nich, bo potrafię opowiedzieć tę historię uczciwie, wysilając wyobraźnię i oddając sprawiedliwość każdej ze stron. Oni tego nie potrafią. Uważam się za bezstronnego o tyle, że wstydzilibym się wygłaszać o tybetańskim lamie takie brednie, jakie oni wygłaszają o rzymskim papieżu, albo traktować Juliana Apostatę tak niewyrozumiale, jak oni traktują Towarzystwo Jezusowe. Brak im bezstronności - dla nich szale historii zawsze przechylają się na jedną stronę, a widać to szczególnie wyraźnie we wspomnianej już kwestii ewolucji i przemiany. Wszystko widzą w szarych barwach, jakby o zmierzchu, bo im się wydaje, że nadszedł zmierzch bogów. Ja natomiast śmiem twierdzić, że ten domniemany zmierzch bogów na pewno nie jest dziennym światłem ludzkości.

Twierdzę, że w dziennym świetle przynajmniej dwa zjawiska przedstawiają się zupełnie niezwykle i wyjątkowo; i że tylko fałszywy zmierzch wyimaginowanego okresu przejściowego może zatrzeć istniejące między nimi różnice. Pierwszym z nich jest stworzenie zwane człowiekiem, a drugim - człowiek zwany Chrystusem. Dlatego też podzieliłem tę książkę na dwie części: pierwsza jest szkicem na temat największej przygody ludzkości w stanie pogaństwa, a druga - podsumowaniem prawdziwej

odmiany, jaką dało ludzkości chrześcijaństwo. Oba wątki wymagają pewnej metody - metody niełatwej do zastosowania, a jeszcze trudniejszej do zdefiniowania i obrony.

Chcąc w jedyny zdrowy, dopuszczalny sposób uderzyć w ton bezstronność, trzeba poruszyć strunę zaskoczenia. Chodzi o to, że w pewnym sensie widzimy coś jasno wtedy, gdy widzimy to po raz pierwszy. Nawiasem mówiąc, dlatego właśnie dzieci tak łatwo przyjmują dogmaty Kościoła. Kościół jednak, jako bardzo praktyczny ośrodek działania i walki, jest z konieczności przeznaczony także dla dorosłych, a nie tylko dla dzieci. Musi być w nim, ze względów praktycznych, duża dawka tradycji, swojskości, a nawet rutyny. I dopóki podstawowe sprawy Kościoła są przeżywane głęboko, taka sytuacja jest, być może, najzdrowsza. Gdy jednak sprawy zasadnicze poddawane są, tak jak dzisiaj, w wątpliwość, trzeba starać się odzyskać szczerłość i zadziwienie dzieci; ich nieskażony realizm i obiektywizm niewinności. A w razie niepowodzenia trzeba przynajmniej spróbować rozprościć obłok swojskości i zobaczyć całe zjawisko w nowym świetle, choćby miało przez to wyglądać jak dziwoląg. Rzeczy znane mogą takimi pozostać, dopóki wzbudzają przywiązanie, ale lepiej, żeby stały się obce, gdy zaczynają budzić pogardę. Bo bez względu na wyznawane poglądy, pogarda wobec tak wielkich spraw musi być błędem. Owszem, musi być wręcz złudzeniem. Należy się zatem odwołać do najbardziej szalonej i śmiałej wyobraźni - tej wyobraźni, która umożliwia widzenie świata takim, jakim on jest.

Przybliżyć sens tej metody można jedynie na przykładzie czegoś - wszystko jedno czego - uważanego za piękne czy wręcz cudowne. George Wyndham powiedział mi kiedyś, że widział jeden z pierwszych samolotów wzbijających się do pierwszego lotu i że było to coś cudownego, ale nie tak cudownego jak pierwszy koń, który pozwolił się dosiąść człowiekowi. Ktoś inny powiedział, że piękny człowiek na pięknym koniu to najszlachetniejszy obiekt na świecie. Otóż wszystko jest w porządku, dopóki ludzie odbierają tę prawdę we właściwy sposób. Pierwszym i najlepszym sposobem na to, by ją docenić, jest urodzić się wśród ludzi o tradycyjnie dobrym stosunku do zwierząt - ludzi, których łączą z końmi właściwe relacje. Chłopiec pamiętający ojca, który jeździł na koniu — jeździł na nim dobrze i dobrze go traktował - będzie wiedział, że taka relacja może przynosić zadowolenie, i tym się zadowoli. Będzie oburzony złym traktowaniem koni, ponieważ wie, jak powinno się je traktować; jeździć na koniu nie będzie jednak dla niego niczym niezwykłym. Chłopiec ten nie posłucha wielkiego współczesnego filozofa wyjaśniającego mu, że to koń powinien dosiadać człowieka. Nie podda się też pesymistycznej wizji Swifta i nie uzna, że ludzie zasługują na pogardę jak małpy, a konie - na cześć jak bogowie. A skoro koń i człowiek razem będą w jego myślach tworzyć obraz bardzo ludzki i cywilizowany, nie sprawi mu trudności podniesienie konia razem z człowiekiem do rangi eposu albo symbolu - na przykład w postaci św. Jerzego wśród obłoków. Nie uzna baśni o skrzydlatym ko-

niu za całkiem sprzeczną z naturą i rozumie, dlaczego Ariosto sadzał w wysokim siodle tak wielu chrześcijańskich bohaterów i kazał im cwałować po niebie. W rzeczywistości bowiem koń został szaleńczo wywyższony razem z człowiekiem przez język, który nadał rycerzom miano „kawalerów”. To końskie imię pochodzi z tak wzniosłej epoki w historii człowieka, że można by stwierdzić, iż najlepszym komplementem dla rycerskiego człowieka jest nazywanie go koniem.

Jeśli jednak człowiek osiągnął stan, w którym nie umie już odczuwać tego rodzaju zadziwienia, jego leczenie trzeba zacząć z zupełnie innej strony. Przypuśćmy, że popadł on w stan otępienia, w którym jeździć na koniu nie znaczy dla niego więcej niż ktoś siedzący na krześle. Cud, o którym mówił Wyndham, piękno, które nadawało jeźdźcowi pozór konnego posagu, nawet znaczenie słowa kawaler - wszystko to pachnie mu konwencją i nudą. Być może konie były tylko przemijającą modą; może właśnie wyszły z mody; może mówiono o nich za dużo albo w niewłaściwy sposób; może trudno mu było potem zajmować się końmi bez okropnego uczucia, że został zrobiony w konia. W każdym razie w tym stanie koń nie znaczy dla niego więcej niż konik na biegunach. Szarża jego dziadka pod Balakławą⁵ zdaje mu się równie zakurzona i nudna, co rodzinny album. Nie znaczy to jednak, że widzi on rodzinny album

⁵ Miejsce tragicznej bitwy w czasie wojny krymskiej; szarża lekkiej kawalerii angielskiej na przeważające siły Rosjan skończyła się masakrą całej brygady.

we właściwym świetle, tylko że nic nic widzi przez kurz. Skoro jednak osiągnął ten stopień ślepoty, nie dostrzeże konia ani jeźdźca, dopóki nie zobaczy w nich czegoś zupełnie nieznanego i prawie nie z tej ziemi.

Z jakiegoś ciemnego lasu pod niebem pradawnego poranka musi wychynąć ku nam, tanecznym, choć chwiejnym krokiem, jedno z najdziwniejszych prehistorycznych stworzeń. Musi pojawić się przed nami po raz pierwszy ta dziwnie mała głowa osadzona na szyi nie tylko dłuższej, ale i grubszej niż ona sama, jak pysk maskarona na zakończeniu rynny; jedno nieproporcjonalne pasmo włosów zdobiące grzbiet tejże szyi jak rosnąca w złym miejscu broda; nogi jak solidne rogowe pałki, tak różne od nóg pozostałego bydła; aż wreszcie końskie, a nie diabelskie kopyto wzbudzi w nas prawdziwy lęk. I nie będzie dziwactwem językowym nazwanie tego stworzenia unikatowym monstrem, bo w pewnym sensie monstrem oznacza coś unikatowego, a ono naprawdę jest unikatowe. Przede wszystkim jednak, gdy zobaczymy je tak, jak widział je pierwszy człowiek, odzyskamy pewne wyobrażenie o tym, czym była pierwsza jazda na koniu. Nawet jeśli w tej wizji koń wyda się nam brzydki, pozostawi po sobie niemałe wrażenie, podobnie jak ów dwunogi karzeł, który zdołał wspiąć się na jego grzbiet. W ten sposób, dłuższą i bardziej okrężną drogą, powrócimy do cudu człowieka na koniu, a cud ten, o ile to możliwe, wyda nam się jeszcze bardziej cudowny. Odzyskamy na chwilę wizję św. Jerzego - tym bardziej chwalebną, że zobaczymy go nie na koniu, ale niejako na smoku.

Przykład ten, niebędący niczym więcej jak tylko przykładem, wymaga dopowiedzenia, że nic uważam koszmaru widzianego przez pierwszego człowieka z lasu za prawdziwszy ani bardziej cudowny od zwykłej klaczy ze stajni, oglądanej przez cywilizowaną osobę, umiejącą docenić to, co zwykłe. Ogólnie rzecz biorąc, za lepszą z tych dwóch skrajności uważam tradycyjne podejście do prawdy. Twierdzę jednak, że prawdę dostrzega się w skrajnościach, gubi natomiast w tym, co pośrednie: w towarzyszącym tradycji stanie znużenia i zapomnienia. Innymi słowy, sądzę, że lepiej widzieć w koniu monstrum niż powolniejszy substytut samochodu. Jeśli żywi się przekonanie, że koń jest czymś przestarzałym, dobrze byłoby się go przestraszyć jako nieznanej nowości.

Tak samo jak z monstrum zwanym koniem mają się rzeczy z monstrum zwanym człowiekiem. Oczywiście, moim zdaniem najlepiej byłoby, gdyby od zawsze postrzegano człowieka tak, jak postrzega go moja filozofia. Każdy, kto wyznaje chrześcijański, katolicki obraz natury ludzkiej, przekonuje się, że jest to uniwersalna, a zatem zdrowa perspektywa, i tym się zadowala. Kto jednak utracił zdrową perspektywę, może ją odzyskać tylko dzięki perspektywie szaleńca, która traktuje człowieka jak dziwne zwierzę i pozwala się przekonać, że jest on naprawdę bardzo dziwnym zwierzęciem. Ale tak samo jak wizja prehistorycznego dziwoląga zamiast osłabić podziw dla panowania człowieka nad koniem, jeszcze go wzmocniła, tak prawdziwie bezstronny namysł nad przedziwną karierą człowieka

wzmocni, zamiast osłabić, starożytną wiarę w mroczne zamysły Boga. Innymi słowy, tylko wtedy, gdy dostrzegamy niezwykłość czworonoga, możemy wychwalać dosiadającego go człowieka; i tylko wtedy, gdy dostrzegamy niezwykłość dwunoga, możemy wychwalać Opatrzność, która go stworzyła. Krótko mówiąc, wprowadzenie to ma za zadanie dowieść, że gdy próbujemy postrzegać człowieka jako zwierzę, przekonujemy się, że nie jest .on zwierzęciem. Gdy staramy się przedstawić go jako coś w rodzaju konia chodzącego na dwóch nogach, dociera do nas nagle, że jest on czymś równie cudownym co skrzydlaty koń wzbijający się pod obłoki. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu; wszystkie drogi, nie wyłączając tej przez Krainę Czarów i Swiat-do-góry-nogami, prowadzą z powrotem do głównej cywilizowanej filozofii. Choć może lepiej byłoby nigdy nie odchodzić z kraju rozsądną tradycji, gdzie ludzie z lekkością dosiadają koni i są wielkimi myśliwymi w oczach Pana. W szczególnym przypadku, jakim jest chrześcijaństwo, trzeba przeciwstawić się ciężarowi znużenia w taki sam sposób. Tu ożywienie faktów wydaje się prawie niemożliwe, bo są one dobrze znane, a w upadłych ludziach bardzo często znajomość rzeczy budzi uczucie znużenia. Jestem przekonany, że gdybyśmy zdołali słowo w słowo opowiedzieć nadprzyrodzoną historię Chrystusa jako historię chińskiego bohatera, nazywając go Synem Niebios zamiast Synem Bożym i kreśląc Jego aureolę złotą nitką na chińskim jedwabiu albo złotą farbą na chińskiej porcelanie zamiast płatkarni złota na naszych własnych,

katolickich obrazach, wszyscy jednogłośnie potwierdziliby duchową czystość tej historii. Nie słyszelibyśmy wówczas nic o niesprawiedliwości zbawczej męki ani o nielogiczności zadośćuczynienia, o zabobonnym wyolbrzymianiu ciężaru grzechu ani o niemożliwie zuchwałej ingerencji w prawa natury. Podziwialibyśmy natomiast szlachetność chińskiej koncepcji bóstwa, które spadło z nieba, aby walczyć ze smokami i wybawić niegodziwców od zguby, którą zgutowały im własna wina i głupota. Podziwialibyśmy subtelną chińską wizję świata, w której każda ludzka niedoskonałość naprawdę woła o pomstę do nieba. Podziwialibyśmy ezoteryczną i wzniosłą mądrość Chińczyków, uznających istnienie wyższych praw kosmicznych niż te, które znamy. Przecież każdy hinduski magik, który przemówi do nas w tym tonie, zyskuje naszą wiarę. Gdyby chrześcijaństwo było jedynie nową modą ze Wschodu, nie zarzucano by mu, że jest przestarzałą religią ze Wschodu. Nie zamierzam w tej książce iść za domniemanym przykładem św. Franciszka Ksawerego i przedstawiać Dwunastu Apostołów jako Dwunastu Mandarynów, choć z zupełnie inną intencją - nie żeby wyglądali jak tubylcy, ale jak cudzoziemcy. Nie podejmuję się czegoś, co według mnie byłoby zupełnie usprawiedliwionym żartem, a mianowicie opowiedzenia całej Ewangelii i całej historii Kościoła w scenerii pagód i chińskich warkoczyków. Nie będę ze złośliwym zadowoleniem patrzył, jak owa pogańska opowieść zyskuje sobie poklask w tych samych kręgach, w których jest potępiana jako opowieść chrześcijańska. Zamierzam jednak,

gdzie się tylko da, wywoływać takie właśnie wrażenie nowości i zadziwienia; dlatego styl tej rozprawy, mimo że traktuje ona o tak poważnym temacie, może być niekiedy świadomie groteskowy i dziwaczny. Pragnę z całego serca pomóc czytelnikowi zobaczyć chrześcijaństwo od zewnątrz, czyli zobaczyć je w całości, na tle innych historycznych zjawisk; podobnie jak pragnę, by zobaczył ludzkość w całości, na tle wszystkich innych zjawisk natury. Twierdzę bowiem, że oba te zjawiska oglądane w ten sposób odcinają się od tła w sposób nadprzyrodzony. Nie zlewają się zresztą jak kolory impresjonizmu, ale raczej odcinają od niej jak barwy na tarczy herbowej - tak wyraźniej jak biały krzyż na czerwonym polu albo czarny lew na polu ze złota. Tak właśnie odcina się Czerwona Glina na tle zielonej natury i Biały Chrystus na tle czerwonej gliny swojego plemienia.

Chcąc jednak jasno zobaczyć te zjawiska, trzeba zobaczyć je w całości. Trzeba się przyjrzeć nie tylko ich powstaniu, ale i rozwojowi, bo najbardziej niewiarygodny w całej historii jest właśnie dalszy bieg spraw, które miały taki początek. Każdy, kto puści wodze fantazji, może sobie wyobrazić inny rozwój wypadków albo inny rezultat zachodzących zmian. Każdy, kto rozważa, co mogłoby się stać, może sobie wymyślić jakąś ewolucyjną równowagę, ale każdy, kto widzi, co się naprawdę stało, ma przed sobą wyjątek i cud natury. Jeśli człowiek rzeczywiście w pewnym momencie rozwoju był tylko zwierzęciem, można sobie wyobrazić dowolne zwierzę robiące podobną karierę. Można stworzyć zabawną bajkę o słoniach wznoszących sło-

PLAN KSIĄŻKI

niowe budowle, gdzie baszty i wieże przypominają trąby i kły, a miasta to prawdziwe kolosy. Można ułożyć miłą opowiastkę o krowie, która wynalazła ubranie i chodziła w czterech butach i dwóch parach spodni. Można sobie wyobrazić Supermałpę wspanialszą od Supermana - rękami krojącą pieczeń i malującą obrazy, a nogami mieszającą w garnku i heblującą deski. Jeśli jednak zastanowić się nad tym, co rzeczywiście się stało, nieuchronnie dojdzie się do wniosku, że człowiek zdystansował wszystkie inne stworzenia o całe lata świetlne i to z prędkością błyskawicy. Podobnie można, jeśli się chce, wyobrazić sobie Kościół wśród zbiorowiska manichejskich i mitraistycznych przesądów, kłębiących się i uśmiercających nawzajem u kresu Cesarstwa; można, jeśli się chce, wyobrazić sobie Kościół pokonany i zastąpiony przez inne przypadkowe wyznanie. Tym większym zaskoczeniem (a może i zagadką) będzie zobaczyć go po upływie dwóch tysiącleci, jak pędzi przez wieki niczym uskrzydłona błyskawica myśli i niegasnącego entuzjazmu - zjawisko niemające równych ani podobnych sobie, a mimo podszłego wieku wciąż tak samo nowe.

I

O STWORZENIU
ZW^ANYM
C^ZŁOWIEKIEM

Gdzieś daleko, w nieznanej konstelacji, w nieskończenie odległej części nieba znajduje się gwiazdka czekająca na odkrycie przez astronomów. W każdym razie w oczach ani gestach większości astronomów i naukowców nie dostrzegłem jak dotąd żadnego dowodu na to, że ją odkryli, chociaż prawdę mówiąc, przez cały czas mieli ją pod stopami. Jest to gwiazdka rodząca przedziwne rośliny i zwierzęta, z których najdziwniejsi są naukowcy. W taki mniej więcej sposób zacząłbym opis dziejów świata, gdybym chciał trzymać się naukowego zwyczaju zaczynania od astronomii. Starałbym się spojrzeć nawet na naszą Ziemię z zewnątrz, nie głosząc wyświechtanych frazesów o jej położeniu względem Słońca, ale wysilając wyobraźnię, aby pojąć, jak odległa musiałaby być dla niehumanoidalnego obserwatora. Nie wierzę jednak, że trzeba być niehumanoidalnym, żeby badać ludzkość. Nie sądzę, że warto skupiać się na odległościach, które mają pomniejszyć świat; zdaje mi się, że jest coś odrobinę pospolitego w pomyśle, by przyganiać duchowi z powodu jego niewielkich rozmiarów. Skoro nie mogę wprowadzić w czyn

mego pierwszego pomysłu i przedstawić Ziemi jako dziwnej, a przez to bardziej znaczącej planety, nie zniżę się do odwrotnej sztuczki i nie pomniejszę Ziemi, by stała się mniej znacząca. Będę raczej uparcie twierdził, że to, iż jest planetą, nie jest tak samo pewne jak to, że jest ona pewnym miejscem, i to miejscem zupełnie wyjątkowym. W taki ton pragnę uderzyć od początku, jeśli nie z astronomicznego, to może z bardziej swojskiego punktu widzenia.

Jedna z moich pierwszych dziennikarskich przygód, a raczej porażek, dotyczyła notatki na temat Granta Allena, który wydał książkę o „ewolucji pojęcia Boga”. Stwierdziłem w niej, że byłoby o wiele ciekawiej, gdyby Bóg napisał książkę o „ewolucji pojęcia Granta Allena”. Pamiętam, że wydawca zaprotestował przeciwko temu stwierdzeniu z powodu jego bluźnierczej wymowy, co, rzecz jasna, nieźle mnie ubawiło. Cały dowcip polegał na tym, że wydawca w ogóle nie zadał sobie trudu, żeby przeczytać - bez wątpienia bluźnierczy - tytuł recenzowanej książki, który przetłumaczony na zrozumiały język brzmiałby mniej więcej tak: „Pokażę wam, w jaki sposób wyrosło wśród ludzi to niedorzeczne przekonanie, że Bóg istnieje”. W mojej uwadze, stwierdzającej istnienie Bożego planu nawet w zjawiskach na pozór mrocznych i bezsensownych, nie było nic bezbożnego ani niestosownego. Wiele się wówczas nauczyłem, między innymi tego, jak wielką rolę w takim rodzaju agnostycznej pobożności odgrywa sama akustyka. Wydawca nie zrozumiał, o co mi chodziło, bo w tytule książki długie słowo stało na

początku, a krótkie na końcu, natomiast moja uwaga zaczynała się od krótkiego słowa, i to go poraziło. Zauważyłem, że jeśli umieści się w jednym zdaniu słowa takie jak „Bóg” i „bóbr”, to te krótkie, kanciaste wyrazy działają na ludzi jak strzały z pistoletu. Nieważne, czy napisze się „Bóg stworzył bobra” czy „bóbr stworzył Boga” - nad takimi kwestiami toczą jałowe dyskusje jedynie zbyt dociekliwi teologowie. Ale jeśli zacznie się od długiego słowa, takiego jak „ewolucja”, resztę zdania czytelnik przełknie gładko. Mój wydawca zapewne nie przeczytał tytułu do końca, bo był to dość długi tytuł, a wydawca był dość zajęty tym człowiekiem.

Owo drobne wydarzenie pozostało jednak w mej pamięci na zawsze jako rodzaj przypowieści. Większość historii ludzkości zaczyna się od słowa „ewolucja” i od przydługich wyjaśnień na jej temat, z tych samych przyczyn, które wyjaśniła mi moja przygoda. W samym słowie „ewolucja”, a także w jego znaczeniu, jest coś powolnego, łagodnego i kojącego. W rzeczywistości, w odniesieniu do rzeczy pierwszych, nic jest to bardzo praktyczne słowo ani bardzo przydatne pojęcie. Nie można sobie wyobrazić, w jaki sposób nic zaczęło być czymś. Wyobrażenia tego ani na jotę nie przybliży wyjaśnianie, w jaki sposób coś stało się czymś innym. Naprawdę o wiele logiczniej jest zacząć od słów: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”, nawet jeśli chce się powiedzieć jedynie: „Na początku jakaś niewyobrażalna siła zapoczątkowała jakiś niewyobrażalny proces”. Bóg bowiem to nic innego jak imię tajemnicy, a nikt przecież

nie sądzi, że człowiek może wyjaśnić stworzenie świata, a tym bardziej go dokonać. Ewolucję jednak mylnie bierze się za takie wyjaśnienie. Ma ona jedną fatalną cechę: wielu napawa przekonaniem, że zrozumieli nie tylko ją samą, ale i wszystko inne; podobnie jak wielu łądzi się, że przeczytało *O pochodzeniu gatunków*.

Złudzenie to wynika w dużej mierze właśnie z wyobrażenia sobie stopniowego i powolnego procesu, przypominającego wchodzenie pod górę. Jest to wyobrażenie nie tylko złudne, ale i nielogiczne, bo tempo nie ma tu tak naprawdę żadnego znaczenia. Wydarzenie nie staje się bardziej czy mniej zrozumiałe przez to, że dzieje się wolniej albo szybciej. Dla człowieka, który nie wierzy w cuda, cud, który dokonał się powoli, będzie tak samo niewiarygodny, jak cud, który dokonał się w mgnieniu oka. Podobno pewna grecka czarownica zmieniła kiedyś ceglarzy w świnie jednym machnięciem różdżki. Ale nie byłoby wcale bardziej pocieszające, gdyby jakiś znany nam oficer marynarki przez wiele dni upodabniał się do prosiaka, aż w końcu wyrosłyby mu racice i świński ogon. Podobno pewien średniowieczny czarodziej sfrunął jak ptak ze szczytu wysokiej wieży. Gdybyśmy jednak zobaczyli starszego pana przechadzającego się w powietrzu wolnym, statecznym krokiem, nie byłoby to zjawisko prostsze do wyjaśnienia. A jednak w całym racjonalistycznym podejściu do historii panuje owo dziwne i nedorzeczne przekonanie, że można uniknąć trudności, a nawet usunąć tajemnicę, jeśli dostatecznie podkreśli się zwykłe

spowolnienie czy też rozmycie biegu zjawisk. Konkretnymi przykładami zajmiemy się kiedy indziej, teraz chodzi jedynie o tę atmosferę fałszywej łatwości i wygody, jaką stwarza obietnica nierozwijania zbyt dużej prędkości; obietnica ta mogłaby może pocieszyć nerwową staruszkę wsiadającą pierwszy raz do samochodu.

Pan H.G. Wells przyznał, że jest prorokiem, i pod pewnym względem rzeczywiście okazał się prorokiem dla samego siebie. Interesujące, że jego pierwsza baśń stanowi wyczerpującą odpowiedź na jego ostatnią historię świata. *Wehikuł czasu* z wyprzedzeniem zdyskredytował wszystkie wygodne konkluzje oparte wyłącznie na względności czasu. Bohater tego podniosłego koszmaru widział drzewa strzelające z ziemi jak zielone rakiety, roślinność rozprzestrzeniającą się niczym zielony pożar i słońce przelatujące ze wschodu na zachód z szybkością meteoru. Jednak w jego odczuciu zjawiska te nie były mniej naturalne przez to, że działały się szybko, tak jak w naszym odczuciu nie są one mniej nadnaturalne przez to, że dzieją się powoli. Najważniejszym pytaniem jest to, dlaczego takie rzeczy w ogóle się dzieją. Każdy, kto naprawdę rozumie jego sens, wie, że było to i będzie zawsze pytanie religijne, a w każdym razie filozoficzne czy też metafizyczne. Dla kogoś takiego nie będzie odpowiedzią zastąpienie zmian szybkich - wolnymi, czyli sprowadzenie problemu do zwiększenia albo zmniejszenia tempa opowieści, jak może to zrobić w kinie każdy operator, wolniej albo szybciej pokręcając korbką.

Problemy dotyczące prymitywnych form istnienia trzeba rozważać niejako w duchu prymitywizmu. Przywołując wizję zjawisk pierwotnych, chciałbym zaprosić czytelnika do podjęcia eksperymentu, eksperymentu w dziedzinie prostoty. Mówiąc o prostocie, nie mam na myśli głupota ale raczej pewien rodzaj jasności, która umożliwi dostrzeganie konkretów takich jak życie, a nie słów takich jak „ewolucja”. Może tym razem rzeczywiście przydałoby się szybciej pokręcić korbą wehikułu czasu - zobaczyć rosnącą trawę i drzewa strzelające ku niebu - jeśli w ten sposób łatwiej byłoby zebrać, podsumować i wypuklić rezultat całego przedsięwzięcia. Wiemy — a w pewnym sensie nie wiemy nic poza tym - że trawa i drzewa rzeczywiście wyrosły i że naprawdę dzieje się wiele innych niezwykłych rzeczy; że pewne dziwne stworzenia utrzymują się w powietrzu, machając wachlarzami o fantastycznych kształtach; że inne dziwne stworzenia przemykają żywe pod olbrzymim ciężarem wód; że jeszcze inne dziwne stworzenia chodzą na czterech nogach, a najdziwniejsze ze wszystkich chodzi tylko na dwóch. Nie są to teorie, tylko konkrety, w porównaniu z którymi ewolucja i atom, a nawet system słoneczny są tylko teoriami. Przedmiotem naszych rozważań jest historia, a nie filozofia, dlatego wystarczy wspomnieć, że żaden filozof nie przeczy, iż dwie wielkie przemiany - powstanie wszechświata i powstanie zasady życia - nadal owiane są tajemnicą. Większość filozofów jest na tyle oświecona, by przyznać, że tajemnicą jest również trzeci problem - pochodzenie człowieka. Innymi słowy, trzeci most

został przerzucony nad trzecią otchłanią niemożliwości, gdy na świecie pojawiło się to, co nazywamy rozumem, i to, co nazywamy wolą. Człowiek nie powstał w wyniku ewolucji, lecz raczej rewolucji. To, że kręgosłup czy inne elementy budowy upodabniają go do ptaków i ryb, jest faktem oczywistym, cokolwiek miałyby on znaczyć. Jeśli jednak próbujemy uznać człowieka za czworonoga, który stanął na tylnych łapach, przekonujemy się, że daje to efekt o wiele bardziej fantastyczny i wywrotowy, niż gdybyśmy kazali mu stanąć na głowie.

Dam tu pewien przykład, który posłuży za wstęp do historii człowieka. Stanowi on dobrą ilustrację mojego stwierdzenia, że potrzeba dziecięcej szczerości, aby móc dostrzec prawdę o dzieciństwie świata. Stanowi on również dobrą ilustrację innego mojego stwierdzenia, że mieszanina popularnonaukowej wiedzy i dziennikarskiego żargonu tak bardzo zaciemniła fakty dotyczące rzeczy pierwszych, iż nie widzimy już, która z nich naprawdę była pierwsza. Jest to również przydatna, choć jednostronna ilustracja tego wszystkiego, co powiedziałem o konieczności widzenia ostrych granic, nadających kształt historii, zamiast pławienia się w morzu uogólnień o powolności i podobieństwach. Potrzeba nam bowiem rzeczywiście, jak to ujął pan Wells, zarysu historii. Ośmielamy się jednak twierdzić, parafrazując słowa pana Mantaliniego⁶, że ewolucyjne podejście do

⁶ Bohater powieści Karola Dickensa *Życie i przygody Nicholasa Nickleby*.

historii nie ma zarysów, albo że jest tylko diabelnym zarysem. Mój przykład stanowi jednak przede wszystkim ilustrację twierdzenia, że im usilniej postrzegamy człowieka naprawdę jako zwierzę, tym mniej je on przypomina.

W powieściach i gazetach roi się dziś od niezliczonych aluzji na temat popularnej postaci - tak zwanego jaskiniowca. Wygląda na to, że znamy dość dobrze nie tylko jego karierę publiczną, ale także życie prywatne. Jego psychikę na poważnie opisują powieści psychologiczne i sama psychologia. O ile rozumiem, jego głównym zajęciem było poniewieranie własnej żony, albo raczej odnoszenie się do kobiet w ogóle w sposób, który w języku filmu określa się jako „ostrą jazdę”. Nigdy nie natknąłem się na żadne dowody tych przypuszczeń i nie wiem, na jakich prymitywnych pamiętnikach albo sprawach rozwodowych się one opierają. Nie potrafię także, jak wyjaśniłem gdzie indziej, uznać ich za prawdopodobne, nawet jeśli rozważa się je *a priori*. Otóż wmawia się nam, bez przytaczania żadnych wyjaśnień ani autorytetów, że prymitywny człowiek, wymachując maczugą, najpierw ogłuszał, a potem porywał swoją wybrankę. W świetle wszelkich możliwych analogii do świata zwierzęcego zakrawałoby to jednak na niezdrową wręcz skromność i opieszałość ze strony wybranki, gdyby za każdym razem upierała się, że zanim pozwoli się porwać, musi wpierw dostać po głowie. Powtarzam: nigdy nie rozumiem dlaczego, skoro mężczyzna był takim brutalem, kobieta miałaby być tak subtelna. Jaskiniowiec może i był bydlakiem, ale nie ma powodu, by uważać go za gorszego od bydła. A przecież

miłostki żyraf i rzeczne romanse hipopotamów odbywają się bez żadnych tego typu wstępnych potyczek czy awantur. Jaskiniowiec może i nie był lepszy od niedźwiedzia jaskiniowego, ale przecież żadna młodociana niedźwiedzica nie przejawia tego rodzaju skłonności do staropanieństwa. W każdym razie szczegóły życia rodzinnego w jaskini są dla mnie zagadką zarówno z punktu widzenia statycznej, jak i rewolucyjnej teorii dziejów, i chętnie przyjrzałbym się dowodom na ich prawdziwość, ale, niestety, nigdy nie udało mi się ich znaleźć. Najdziwniejsze jednak jest to, że choć dziesięć tysięcy języków powtarzało te mniej albo bardziej naukowe lub literackie plotki o nieszczęsnym osobniku zwanym jaskiniowcem, zanedbywano przy tym jedyny kontekst, w którym mówienie o nim jako o jaskiniowcu byłoby rzeczywiście rozsądne i uzasadnione. Posługiwano się tym mglistym terminem na dziesiątki mglistych sposobów, ale nie przyjrzano mu się ani razu, żeby stwierdzić, co się za nim kryje.

Faktycznie bowiem interesowano się wszystkim, co robił jaskiniowiec, oprócz tego, co robił w jaskini. Ślady tej działalności, jak wszystkie prehistoryczne ślady, nie są liczne, ale dotyczą prawdziwego jaskiniowca i jego jaskini, a nie fikcyjnego jaskiniowca i jego maczugi. Nasze poczucie rzeczywistości skorzysta na tym, jeśli po prostu przyjrzymy się tym śladom i na nich poprzestaniemy. W jaskini nie znaleziono przecież maczugi - tej straszliwej zakrwawionej maczugi z rzędem nacięć oznaczających liczbę kobiet, które dostały nią po głowie. Jaskinia nie okazała się jaskinią Sinobrodego, pełną szkieletów

zamordowanych żon; nie znaleziono w niej ustawionych rzędami kobiecych czaszek, strzaskanych jak skorupki jajek. Znaleziono w niej coś absolutnie i pod żadnym względem niezwiązanego z dzisiejszymi anegdotami, filozoficznymi wnioskami czy literackimi plotkami, tak bardzo zaciemniającymi całą kwestię. I jeśli chcemy ujrzeć ów przebłysk poranka historii takim, jakim naprawdę był, lepiej będzie nawet historię jego odkrycia przedstawić sobie jako legendę z krainy poranka. Lepiej będzie opowiedzieć o odkryciu tego, co zostało odkryte, równie prosto, jak o bohaterskich odkrywcach Złotego Runa albo Ogrodu Hesperyd, jeśli dzięki temu zdołamy wyjść z mgieł sprzecznych teorii i ujrzeć, jak światło świtu wydobywa jasne kolory i wyraźne kontury przedmiotów. Dawni poeci epiccy umieli przynajmniej opowiadać historie. Może nieco je ubarwiali, ale nigdy ich nie wypaczali i nie naciągali na siłę do rozmaitych teorii i filozofii wynalezionych po wiekach. Byłoby dobrze, gdyby współcześni badacze potrafili opisać swoje odkrycia śmiałym narracyjnym stylem pierwszych podróżników, zamiast używać długich, sugestywnych słów, w których roi się od aluzji bez związku. Może wówczas moglibyśmy sobie uświadomić, co tak naprawdę wiemy o jaskiniowcu, a przynajmniej o jego jaskini.

Dość dawno temu pewien ksiądz i pewien chłopiec weszli do jamy w zboczu wzgórza i trafili jakby na podziemny tunel, prowadzący do labiryntu podobnych tajemniczych, ukrytych w skałach korytarzy. Przeciskali się przez szczeliny niemal nie do przebycia, czołgali się w tunelach jakby przeznaczonych dla

kretów, wpadali w dziury głębokie jak studnie i wydawało się, że po siedemkroć grzebią sami siebie żywcem bez nadziei zmartwychwstania. Realia wszystkich tego rodzaju śmiałych ekspedycji wyglądają dość banalnie, trzeba jednak, by ktoś przedstawił je w ich pierwotnym kształcie, bo wówczas tracą swoją banalność. Jest na przykład coś znaczącego w dziwnym zbiegu okoliczności, który sprawił, że pierwszymi intruzami w świecie podziemi byli właśnie ksiądz i chłopiec - symboliczne uosobienie starożytności i młodości świata. Znaczenie chłopca interesuje mnie tu nawet bardziej niż znaczenie księdza. Nikomu, kto pamięta chłopięce lata, nie trzeba tłumaczyć, czym jest, dla chłopca możliwość zejścia, na wzór Piotrusia Pana, pod strop korzeni, a potem zstępowania coraz to niżej i niżej, aż — jak określił to William Morris - do samych korzeni gór. Przypuśćmy, że ktoś, działając z prostotą i zdrowym realizmem, które są częścią niewinności, doprowadził taką podróż do końca, i to nie ze względu na to, co mógłby wywnioskować albo udowodnić w rozwlekłym gazetowym sporze, ale po prostu ze względu na to, co mógłby zobaczyć. A zobaczył na koniec jaskinię, tak oddaloną od światła dnia, że mogłaby być legendarną podmorską jaskinią Domdaniela⁷. Ta sekretna skalna komnata, oświetlona po raz pierwszy po długiej nocy niezliczonych wieków, ujawniła na swych ścianach duże, zamaszyste kontury plam

⁷ W legendach arabskich siedziba złych duchów i czarowników znajdująca się pod dnem oceanu blisko Babilonu.

różnobarwnej gliny, a gdy odkrywcy przyjrzeni się ich liniom, rozpoznali w nich, mimo dzielącej ich pustki i otchłani dziejów, ruch i gest ręki człowieka. Były to rysunki czy też malowidła przedstawiające zwierzęta, narysowane czy też namalowane nie tylko przez człowieka, ale i przez artystę. Mimo wszelkich ograniczeń epoki widać w nich było to samo umiłowanie linii długich i zamaszystych albo długich i rozedrganych, rozpoznawalne dla każdego, kto kiedykolwiek rysował albo próbował rysować; umiłowanie, na temat którego żaden artysta nie pozwoli się pouczać naukowcom. Przebijał przez nie skłonny do eksperymentów i przygód duch artysty, który nigdy nie ucieka od problemów, lecz stara się je pokonać; widać to na przykład w wizerunku jelenia, który przekręca głowę w tył, sięgając do ogona, jak to często widzimy u koni. Wielu współczesnych malarzy zwierząt uznałoby trafne oddanie tego gestu za nie lada zadanie. W tym i dziesiątkach innych szczegółów widać wyraźnie, że prehistoryczny artysta przyglądał się zwierzętom z pewnym zainteresowaniem, a nawet z pewną przyjemnością. W tym sensie można by go nazwać nie tylko artystą, lecz także przyrodnikiem, ze względu na jego przyrodzone skłonności.

Nie trzeba tu dodawać, chyba tylko mimochodem, że w atmosferze tej jaskini nie ma nic, co przypominałoby ponurą i pesymistyczną dziennikarską grotę wiatrów, które dmą wokół nas, dudniąc niesłabnącym echem wieści o jaskiniowcu. O ile relikty przeszłości mówią cokolwiek o charakterze człowieka, to wygląda na to, że miał on charakter dość ludzki. Z pewnością

nie był on tym zbiorem nieludzkich instynktów, o jakim traktuje współczesna nauka. Gdy najróżniejsi powieściopisarze, pedagodzy i psychologowie mówią o jaskiniowcu, nigdy nie przedstawiają go w związku z tym, co odkryto w jaskim. Gdy autor realistycznej powieści miłosnej stwierdza: „Czerwone płatki tańczyły przed oczami Donalda Doubledicka; czuł, że budzi się w nim jaskiniowiec”, czytelnik byłby zawiedziony, gdyby Donald udał się następnie do salonu i zaczął malować na ścianach duże sylwetki krów. Gdy psychoanalitik pisze do pacjenta: „Stłumione instynkty jaskiniowca niewątpliwie popychają pana do zaspokojenia tej gwałtownej skłonności”, nie chodzi mu o skłonność do malowania akwarelą ani do wnikliwych studiów nad tym, w jaki sposób pasące się zwierzęta poruszają głowami. A jednak mamy niewzruszoną pewność, że jaskiniowiec oddawał się takim właśnie niewinnym, spokojnym zajęciom, natomiast nie mamy ani śladu dowodów na to, iż postępował brutalnie i gwałtownie. Innymi słowy, powszechnie znana postać jaskiniowca to po prostu mit, a raczej zwykłe pomieszanie pojęć, mit bowiem kryje w sobie przynajmniej metaforyczne zarysy prawdy. Cała dzisiejsza retoryka na ten temat to zwykła pomyłka i nieporozumienie; nie popierają jej żadne naukowe dowody, a jej, jedyna wartość to uzasadnienie bardzo współczesnych nastrojów anarchii. Jeśli jakiś dżentelmen ma ochotę sponiewierać swoją panią, może to zrobić na własny rachunek, bez szargania opinii jaskiniowca, o którym wiemy niewiele ponad to, co można wywnioskować z kilku niewinnych, ładnych malowideł.

Nie taki jednak sens mają owe malowidła i nie taki morał należy z nich wyciągnąć. Właściwy morał jest o wiele większy i prostszy; tak wielki i prosty, że gdy wyrazi się go po raz pierwszy, brzmi dziecinnie. I rzeczywiście, jest on w najwznioślejszym znaczeniu tego słowa dziecinny. Dlatego też w mojej przypowieści oglądałem go w pewnym sensie oczami dziecka. Jest to największy z faktów, z jakimi musi zmierzyć się chłopiec w jaskini; być może zbyt wielki, by mógł go objąć wzrokiem. Jeśli chłopiec należał do trzódki księdza, można zakładać, że zaszczepiono mu pewien przymiot zwany zdrowym rozsądkiem. Chodzi o ten rodzaj zdrowego rozsądku, który często dociera do nas w formie tradycji. W takim wypadku chłopiec rozpoznałby w dziele pierwotnego człowieka po prostu dzieło człowieka, dzieło ciekawe, ale wcale nie mniej wiarygodne z powodu swej prymitywności. Zobaczyłby to, co jest do zobaczenia, i żadna fascynacja ewolucją ani modne teorie nie skusiłyby go, aby widzieć coś, czego tam nie było. Jeśli w ogóle słyszałby o takich teoriach, przyznałby oczywiście, że mogą one być prawdziwe i wcale nie muszą być sprzeczne z faktami. Artysta mógł przecież mieć jeszcze inne cechy charakteru oprócz tych, które zostały uwiecznione w jego arcydziełach. Prymitywny człowiek być może znajdował przyjemność nie tylko w malowaniu zwierząt, lecz również w biciu kobiet; możemy tylko stwierdzić, że jego obrazy utrwaliły jedynie to pierwsze, a nie drugie zainteresowanie. Może to i prawda, że jaskiniowiec dopiero po przetrzepaniu skóry matce lub, zależnie od okolicz-

ności, żonie, wsłuchiwał się z przyjemnością w szmer leśnego strumyka i podpatrywał schodzące do wodopoju jelenie. Jest to niewykluczone, ale zupełnie bez znaczenia. Zdrowy rozsądek dziecka potrafi zadowolić się wiedzą wypływającą z faktów, a niemal jedyne dostępne nam fakty to malowidła w jaskiniach. Na podstawie istniejących dowodów dziecko miałoby wszelkie podstawy przypuszczać, że jakiś człowiek narysował zwierzęta czarną ziemią i czerwoną ochrą z takiego samego powodu, z jakiego ono samo często próbowało rysować zwierzęta czarnym węglem i czerwoną kredą. Człowiek namalował jelenia, tak jak dziecko rysuje konia: bo jest to zabawne. Człowiek namalował jelenia z odwróconą głową, tak jak dziecko rysuje świnię z zamkniętymi oczami: bo to niełatwe. Między człowiekiem i dzieckiem, należącymi do tego samego rodzaju ludzkiego, wyrósłby pomost ludzkiego braterstwa, tym szlachetniejszy, że spinający dziejowe otchłanie zamiast zwykłej przepaści klas. W każdym razie chłopiec nie dostrzegłby w jaskini żadnych dowodów na istnienie jaskiniowca w takiej postaci w jakiej przedstawia go prymitywny ewolucjonizm; bo wcale by ich tam nie było. Gdyby ktoś mu powiedział, że obrazy te co do jednego namalował św. Franciszek z Asyżu jako wyraz czystej i świątobliwej miłości do zwierząt, w jaskini nie byłoby nic, co przeczyłoby takiemu twierdzeniu.

Ja sam znałem kiedyś pewną panią, która półżartem stwierdziła, że jaskinia była najwyraźniej żłobkiem dla dzieci, trzymany tam ze względów bezpieczeństwa, i że kolorowe

zwierzęta namalowano na ścianach ku uciechu maluchów, tak jak dziś wieszają się podobizny żyraf i słoni na ścianach przedszkoli. I chociaż jest to jedynie żart, rzuca on nieco światła na rozmaite wnioski, które wyciągamy bez zastanowienia. Malowidła nie dowodzą nawet tego, że jaskinie były mieszkaniami jaskiniowców, podobnie jak odkrycie piwnicy na wino w Balam⁸ (na długo po tym, jak przedmieście to padłoby ofiarą Boskiego albo ludzkiego gniewu) nie dowodziłoby wcale, że wiktoriańska klasa średnia spędzała swój żywot pod ziemią. Jaskinia mogła mieć jakieś specjalne przeznaczenie, podobnie jak piwnica na wino; mogła służyć jako świątynia, jako schron na wypadek wojny, jako miejsce spotkań tajnego stowarzyszenia albo jako wiele innych rzeczy. Faktem jest jednak, że jej wystrój ma o wiele więcej wspólnego z atmosferą dziecięcego pokoju niż z jakimkolwiek kosmosem anarchistycznym, furii i strachu. Wyobraziłem sobie dziecko, które znalazło się w tej jaskini; z łatwością można też wyobrazić sobie inne dziecko, współczesne czy nieskończenie odległe w czasie, które wyciąga rączkę, by pogłaskać namalowanego na ścianie zwierza. Jak przekonamy się potem, w geście tym zawiera się zapowiedź jeszcze innej jaskini i innego dziecka.

Przypuśćmy jednak, że chłopiec nie kształcił się u księdza, ale u profesora, u jednego z tych profesorów, którzy upraszczają

⁸ Przedmieście Londynu, rozwijające się od końca XVIII w., kiedy to szlachta zaczęła budować tam „wiejskie” rezydencje. Charakter miejski zyskało w XIX w.

relację człowieka i zwierzęcia, sprowadzając ją do zróżnicowania w wyniku ewolucji. Przypuśćmy, że chłopiec z tą samą prostotą i szczerością widział siebie jedynie jako Mowglięgo, który biega w gromadzie zwierząt takich samych jak on, jeśli nie liczyć względnej i stosunkowo niedawnej modyfikacji. Czego nauczyłaby go wówczas dziwna kamienna książka z obrazkami? W ostatecznym rozrachunku tego, że oto kopał bardzo głęboko i dokopał się do miejsca, gdzie człowiek namalował podobiznę renifera. Musiałby jednak kopać o wiele głębiej, zanim dokopałby się do miejsca, gdzie renifer namalował podobiznę człowieka. Brzmi to może jak truizm, ale w tym kontekście jest prawdą rzeczywiście porażającą. Chłopiec ów mógłby zstąpić w niewyobrażalne głębiny, dotrzeć do zaginionych kontynentów równie odległych jak gwiazdy, mógłby znaleźć się we wnętrzu ziemi tak daleko od ludzi, jakby dotarł na drugą stronę księżyca. Mógłby dostrzec w tych zimnych przepaściach albo rozległych tarasach z kamienia zatarte hieroglify skamielin niczym ruiny biologicznych dynastii, przypominające raczej ruiny kolejnych dzieł stworzenia i osobnych wszechświatów niż kolejne etapy rozwoju tylko jednego z nich. Odkryłby ślady potworów rozwijających się ślepo w kierunkach niemających nic wspólnego z ogólnie przyjętym kształtem ptaków albo ryb; monstra po omacku chwytające się życia przedziwnie wydłużonym rogiem, językiem czy też kończyną; stwory pokryte lasem wymyślnie karykaturalnych pazurów, płetw, a nawet palców. Nigdzie jednak nie znalazłby ara jednego palca

kreślącego linię na piasku, ani jednego pazura próbującego wy-
skrobać nieudolne zarysy formy. O ile można stwierdzić, było-
by to równie niemożliwe dla owych niezliczonych kosmicznych
form życia dawno minionych epok, co dla zwierząt i ptaków,
jakie widzimy dziś. Dziecko niespodziewałoby się odkryć cze-
goś takiego bardziej, niż zobaczyć kota skrobiącego na ścianie
złośliwą karykaturę psa. Zdrowy dziecięcy rozsądek nie pozwo-
liłby żadnemu dziecku, nawet nafaszerowanemu ewolucyjnymi
teoriami, spodziewać się czegoś takiego. A jednak właśnie coś
takiego odkryłoby ono w śladach prymitywnych dopiero co
powstałych przodków ludzkości. Z pewnością wydałoby mu
się dziwne, że tak dalecy ludzie wydają się tak bliscy, a zwie-
rzęta żyjące tak blisko niego wydają się tak dalekie. W swej
prostoduszności musiałoby uznać za co najmniej niezwykle, że
nie odkryło żadnych śladów pierwotnej twórczości zwierząt.
Taką najprostsza naukę można wyciągnąć z jaskini z barwnymi
zwierzętami, tylko że jest, ona zbyt prosta, by została przyjęta.
Najprostszą prawdą jest to, że człowieka od zwierzęcia różni
natura, a nie stopień rozwoju. A oto prosty dowód: twierdze-
nie, że prymitywny człowiek namalował małpę, traktujemy jak
truizm, natomiast twierdzenie, że zmyślna małpa namalowała
człowieka, traktujemy jak żart. Istnieje zatem rozdźwięk i dys-
proporcja, coś zupełnie wyjątkowego. Sztuka jest niewątpliwie
znakiem rozpoznawczym człowieka.

Opowieść o początkach powinno się naprawdę rozpocząć
od tej najprostszej prawdy. Ewolucjonista gap się na malowidła

w jaskini i nie dostrzega tego, co jest zbyt wielkie, by dało się objąć wzrokiem, i zbyt proste, by dało się zrozumieć. Próbuje wyciągać różne pośrednie niewiarygodne wnioski ze szczegółów oglądanych obrazów, bo nie potrafi zrozumieć zasadniczego znaczenia całości; jego mgliste teorie dotyczą pierwotnej areligijności lub zabobonności, ustroju plemiennego, polowań, ofiar z ludzi i Bóg wie czego jeszcze. W następnym rozdziale bardziej szczegółowo spróbuję prześledzić dyskutowaną tak zaciekle kwestię prehistorycznego pochodzenia różnych ludzkich pojęć, zwłaszcza pojęć religijnych. Na razie konkretny przykład jaskini służy mi jedynie za symbol prostej prawdy, od której powinno się zacząć tę opowieść. W ostatecznym rozrachunku spuścizna pradawnego hodowcy reniferów dowodzi podobnie jak inne spuścizny przede wszystkim tego, że hodowca potrafił rysować, a renifer nie. Jeśli hodowca reniferów był zwierzęciem takim samym jak renifer, tym bardziej niezwykle jest to, że potrafił coś, czego nie potrafiło żadne inne zwierzę. Jeśli był jak każde zwierzę czy ptak produktem rozwoju biologicznego, tym bardziej zdumiewające jest to, że wcale nie przypominał żadnego ptaka ani zwierzęcia. Jeśli uznać go za zjawisko naturalne, wygląda on jeszcze bardziej nienaturalnie, niż jeśli uzna się jego nadnaturalność.

Rozpocząłem jednak swoją opowieść w jaskini przypominającej jaskinię Platona, gdyż stanowi ona jakby modelowy przykład błędu popełnianego zawsze w czysto ewolucyjnych wstępach i wprowadzeniach. Nie ma sensu zaczynać od stwierdzenia,

że wszystko szło gładko i powoli i zależało jedynie od stopnia rozwoju. Najoczywistsze dowody, takie jak malowidła w jaskini, nie świadczą bowiem o żadnych stopniach rozwoju. Malowidła te nie zostały rozpoczęte przez małpy, a skończone przez ludzi; pitekanthrop nie malował reniferów źle, a homo sapiens dobrze. Zwierzęta wyższe wcale nie malowały coraz to lepszych portretów; pies nie malował lepiej w okresie swej największej świetności niż we wczesnym manierystycznym okresie, gdy był szakalem; dziki koń nie był impresjonistą, a koń wyścigowy - postimpresjonistą. Pomysł, by przedstawiać przedmioty w postaci cieni lub wizerunków, przyszedł do głowy człowiekowi jako jednemu z całej przyrody; o zjawisku tym nie da się nawet dyskutować, nie traktując człowieka jako czegoś wyjątkowego w całej przyrodzie. Innymi słowy, każdy zdrowy opis dziejów musi zaczynać się od człowieka jako takiego — zjawiska całkowicie wyjątkowego i oderwanego od innych. Zastanawianie się nad jego pochodzeniem, a w gruncie rzeczy nad pochodzeniem czegokolwiek, jest zadaniem dla teologów, filozofów i naukowców, a nie dla historyków. Doskonałym sprawdzianem tej odrębności i tajemnicy człowieka jest pojęcie twórczego impulsu. Człowiek rzeczywiście różnił się od wszystkich pozostałych stworzeń, ponieważ był nie tylko stworzeniem, ale i twórcą. W tym sensie nic nie mogło być stworzone na inny obraz, niż na obraz człowieka. Jest to prawda tak bardzo prawdziwa, że nawet przy braku jakiegokolwiek wiary religijnej należy ją przyjąć w formie zasady etycznej lub metafizycznej. W następnym rozdziale przekonamy się, jak ta zasada

odnosi się do wszystkich tak modnych dzisiaj ewolucyjnych form etyki i historycznych hipotez na temat pochodzenia władzy plemiennej lub mitów. Ale na początek najprostszym i najporęczniejszym przykładem jest właśnie opowieść o tym, co jaskiniowiec naprawdę robił w jaskini. Wynika z niej, że w przepastną, mroczną jaskini natury pojawiło się w ten czy inny sposób coś nowego: umysł, który przypomina lustro. Przypomina je, bo jego funkcją jest refleksja - a refleksja to nic więcej, jak odbicie. Przypomina je, bo tylko w nim, tak jak w lustrze, można zobaczyć wszystkie inne kształty w postaci świetlistej wizji. A zwłaszcza przypomina je tym, że jest jedyny w swoim rodzaju. Inne zjawiska mogą w najróżniejszy sposób być podobne do niego lub do siebie nawzajem; mogą przewyższać go lub przewyższać siebie nawzajem. Tak jak wśród mebli w pokoju może być stół okrągły jak lustro albo szafa większa niż lustro. Lustro jednak jako jedyne może pomieścić wszystkie inne sprzęty. Człowiek jest mikrokosmosem, człowiek jest miarą wszechrzeczy, człowiek jest obrazem Boga - oto jedyne prawdziwe wnioski, jakie można wyciągnąć z jaskini. A teraz czas ją opuścić i ruszyć w dalszą drogę.

Należałoby jednak w tym miejscu wyjaśnić krótko i raz na zawsze znaczenie twierdzenia, że człowiek jest wyjątkiem od wszystkiego, a jednocześnie lustrem i miarą wszystkich rzeczy. Aby zobaczyć go takim, jakim jest, trzeba raz jeszcze uciec się do tej prostoty, dzięki której można się przedrzeć przez nawarstwione chmury sofistyki. Najprostszą prawdą o człowieku jest to, że jest on bardzo dziwną istotą; tak dziwną, że na ziemi

można go niemal uznać za obcego. Jeśli ocenić go trzeźwo, robi raczej wrażenie przybysza hołdującego cudzoziemskim obyczajom niż wyrosłego na miejscu tubylca. Jest on niesprawiedliwie obdarowany i niesprawiedliwie pokrzywdzony przez los. Nie może spać we własnej skórze i nie może ufać własnym instynktom. Jest zarazem twórcą o zdumiewających dłoniach i w pewnym sensie kaleką. Owinięty w bandażę zwane ubraniem musi się opierać na kulach zwanych meblami. Jego myśl napotyka te same wątpliwe swobody i dzikie ograniczenia. Jako jedyny wśród zwierząt jest wstrząsany tym pięknym szaleństwem, którym jest śmiech; zupełnie jakby dostrzegał w kształcie wszechświata jakiś sekret ukryty przed samym wszechświatem. Jako jedyny wśród zwierząt odczuwa potrzebę unikania myśli o podstawowych faktach swej cielesnej egzystencji; potrzebę ukrywania ich, jakby w obecności jakiejś wyższej siły, wywołującej tajemniczy wstyd. Niezależnie od tego, czy chwalimy te rzeczy jako coś naturalnego dla człowieka, czy też ganimy je jako coś nienaturalnego dla przyrody, pozostają one tak samo wyjątkowe. Znajdują one wyraz w powszechnym instynkcie zwanym religią, o ile nie złączą w nim mieszać skrupulanci, zwłaszcza męczący skrupulanci spod znaku „prostego życia”. Najnudniejszymi nudziarzami na świecie są nudyści.

Postrzeganie człowieka jako wytworu natury wcale nie jest naturalne. Nazywanie go zdrowym elementem wiejskiego lub nadmorskiego pejzażu jest sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Widzenie w nim zwierzęcia nie dowodzi jasności widzenia. Nie

dowodzi nawet przytomności umysłu. Jest to grzech przeciwko światłu; przeciwko jasnemu światłu, jakim jest podstawowa zasada realizmu - zachowanie właściwych proporcji. Popełnia się ten grzech przez naciąganie faktów, fałszowanie argumentów, przedstawianie rzeczy w sztucznej grze światła i cieni, wyciąganie na wierzch pomniejszych lub mniej znaczących zjawisk, które przypadkiem pasują do teorii. Czymś zupełnie innym jest solidny, skąpany w słońcu fakt, który można obejść dookoła i obejrzeć ze wszystkich stron. Okazuje się wówczas, że jest to fakt całkiem niezwykły, a oglądany z coraz to innych stron, zyskuje jeszcze na niezwykłości. Zdecydowanie nie wynika on ani nie wypływa w sposób naturalny z czegokolwiek innego. Gdybyśmy wyobrazili sobie nieludzką lub nieosobową inteligencję, która potrafiłaby pojąć od początku ogólny charakter pozaludzkiego świata i przewidzieć formy, do jakich rzeczywiście doprowadziła ewolucja, w całym świecie natury nie znalazłoby się nic, co mogłoby ją przygotować na tę niespodziankę, jaką jest człowiek. Inteligencja ta nie mogłaby go uznać po prostu za jedno z setki bydła, które znalazło lepszą paszę, albo za jedną z setki jaskółek, która spędziła lato pod nowym niebem. Byłby on zjawiskiem w zupełnie innej skali i zupełnie innym wymiarze. Można by uznać, że narodził się w zupełnie innym wszechświecie. Byłby czymś w rodzaju jednej z setki krów, która nagle przeskoczyła przez księżyc, albo jednej z setki świń, która niespodziewanie rozwinęła skrzydła i zaczęła fruwać. Nie chodziłoby już o bydło, które znalazło sobie pastwisko, ale

o takie, które zbudowało sobie oborę; nie o jaskółkę, która czyni wiosna ale o taką, która buduje sobie domek letniskowy. Fakt, że ptaki budują gniazda, należy bowiem do podobieństw, które jeszcze bardziej wyostrażają ową zdumiewającą różnicę. Sam fakt, że ptak potrafi zbudować gniazdo i nie posuwa się dalej, dowodzi, że nie ma on rozumu, jakim obdarzony jest człowiek; jest to dowód bardziej przekonujący, niż gdyby ptak nie potrafił zbudować niczego. Gdyby nie budował niczego, mógłby być wyznawcą kwietyzmu albo buddyzmu, któremu obojętne jest wszystko oprócz umysłu. Ale skoro buduje tak, jak buduje, i jest z tego zadowolony, a nawet śpiewa z radości na całe gardło, to możemy mieć pewność, że dzieli go od nas niewidzialna zasłona; tafla szkła, o którą ptak tłucze się na próżno. Przypuśćmy jednak, że nasz abstrakcyjny obserwator zobaczyłby ptaka budującego tak jak ludzie. Przypuśćmy, że w niewiarygodnie krótkim czasie powstałoby siedem stylów architektury dla jednego rodzaju gniazda. Przypuśćmy, że ptak wybierałby uważnie rozwidlone gałązki i wąskie ostro zakończone liście, by wyrazić przeszywającą pobożność gotyku, natomiast z szerokich liści i czarnej gliny odtwarzałby w bardziej ponurym nastroju potężne stele Baala i Asztarte, tak że jego gniazdo stałoby się rzeczywiście jednym z wiszących ogrodów Babilonu. Wyobraźmy sobie, że stawiałby przed swoim gniazdem gliniane figurki ptaków odznaczonych w literaturze lub polityce. Przypuśćmy, że jeden z tysiąca ptaków zacząłby robić jedną z tysiąca rzeczy, które człowiek robił nawet o poranku świata. Dałoby nam to

całkowitą pewność, że nasz bezstronny obserwator nie uznałby go za ewolucyjną formę zwykłego ptaka, ale naprawdę za dzikiego przedstawiciela dzikiego ptactwa - może za złowroźnego ptaka, ale z pewnością za ptaka wróźebnego. Ptak ten pozwoliłby wróżbitom poznać nie coś, co ma się wydarzyć, ale coś, co właśnie się wydarzyło. Tym czymś byłoby pojawienie się umysłu o nowej, niespotykanej głębi, umysłu na miarę człowieka. Gdyby nie było Boga, żaden inny umysł nie byłby w stanie tego przewidzieć.

Otóż prawdę mówiąc, nie ma najmniejszego dowodu na to, że cała rzecz dokonała się na drodze ewolucji. Nie ma żadnych danych świadczących o tym, że przemiana ta dokonała się powoli ani nawet że wydarzyła się w sposób naturalny. Ze ściśle naukowego punktu widzenia po prostu nie wiemy nic o tym, jak cała rzecz się rozwijała, czy w ogóle się rozwijała ani czym jest tak naprawdę. Być może o rozwoju ludzkiego ciała świadczy przerywany ślad kamieni i kości. Nie ma jednak nic, co w najmniejszym stopniu sugerowałoby taki sam rozwój ludzkiego umysłu. Nie było go, i jestjnic wiemy,xzy dokonało się to w jednej chwili, czy na przestrzeni nieskończenie długich lat. Coś jednak się dokonało, i to coś do złudzenia przypominającego działanie poza czasem, a zatem niemającego nic wspólnego z historią w zwykłym znaczeniu tego słowa. Historyk musi przyjmować rzeczy tego rodzaju na wiarę; jako historyk nie jest powołany do wyjaśniania, czym one są. Ale skoro nie wyjaśni ich jako historyk, nie wyjaśni ich także jako biolog.

W żadnej z tych ról nic dozna uszczerbku dlatego, że przyjął pewne zjawiska bez żądaniem wyjaśnień. Taka jest bowiem rzeczywistość, a historia i biologia to opis rzeczywistości. Wolno mu z całym spokojem przyjąć, że uskrzydłona świnia i krowa skacząca przez księżyc to po prostu zjawiska, które zaistniały. Skoro uznaje człowieka za fakt, może z powodzeniem uznać go za wybryk natury. Może spokojnie urządzić się w tym szalonym i chaotycznym świecie, a raczej w świecie, w którym mają miejsce tak szalone i chaotyczne wydarzenia. Tym bowiem, w czym wszyscy możemy znaleźć wytchnienie, jest rzeczywistość, nawet jeśli się nam wydaje, że jest ona zupełnie oderwana od wszystkiego. Większości z nas wystarczy świadomość, że jakaś rzecz się wydarzyła. Jeśli jednak naprawdę chcemy się przekonać, w jaki sposób mogła się wydarzyć, jeśli naprawdę chcemy zobaczyć jej rzeczywiste powiązania z innymi rzeczami, jeśli naprawdę upieramy się, by zobaczyć na własne oczy, w jaki sposób wyewoluowała ze środowiska bliskiego własnej naturze, to z pewnością musimy zwrócić się zupełnie gdzie indziej. Jeśli domagamy się wyjaśnienia, które uczyniłoby z człowieka coś innego niż monstrum, musimy obudzić bardzo dziwne wspomnienia i wrócić do bardzo prostych marzeń. Musimy odkryć zupełnie inne uzasadnienia, zanim człowiek stanie się tworem uzasadnionym, i odwołać się do całkiem innego autorytetu, zanim uda się nam przedstawić go jako zjawisko racjonalne czy choćby prawdopodobne. Idąc w tę stronę, dojdziemy do krainy rzeczy zdumiewających, znajomych i zapomnianych, do

wizji o stu groźnych twarzach i ognistych ramionach. Możemy przyjąć, że człowiek jest faktem, jeśli zadowolimy się niewyjaśnionym faktem. Możemy przyjąć, że jest zwierzęciem, jeśli potrafimy wytrzymać z tak fantastycznym zwierzęciem. Ale jeśli naprawdę zależy nam na kolejności i przyczynowości zdarzeń, to musimy przedstawić całe preludium i *crescendo* coraz wznioślejszych cudów, aby człowiek, witany niewyobrażalnym gromem w siedmiu niebiosach innego porządku, mógł się okazać czymś zwykłym.

II

PROFESOROWIE I PREHISTORIA

Nauka wykazuje wobec zjawisk prehistorycznych pewną słabość, która jak dotąd pozostaje niemal niezauważona. Nauka, której współczesne cuda wszyscy podziwiamy, odnosi sukcesy dzięki nieustannemu powiększaniu zasobów danych. W dziedzinie praktycznych wynalazków i w dziedzinie większości odkryć naturalnych wzrost liczby dowodów odbywa się dzięki doświadczeniom. Nie można jednak doświadczalnie stworzyć człowieka; nie można nawet doświadczalnie stwierdzić, czym zajmował się pierwszy człowiek. Wynalazca może krok po kroku zbudować samolot, nawet jeśli eksperymentuje na własnym podwórku, mając do dyspozycji kije i kawałki metalu. Nie może jednak na własnym podwórku obserwować ewolucji brakującego ogniwa. Gdyby jego obliczenia okazały się błędne, samolot i tak je skoryguje, spadając na ziemię. Gdyby jednak hipoteza o nadrzewnym trybie życia przodków człowieka okazała się błędna, badacz nie zobaczy spadającego na ziemię nadrzewnego przodka. Nie będzie mógł zamiast kota trzymać jaskiniowca i obserwować, czy rzeczywiście praktykuje on

kanibalizm albo uprowadza partnerki, wyznając zasadę małżeństwa przez porwanie. Nie będzie mógł zamiast sfory psów hodować plemienia praludzi, by stwierdzić, na ile powoduje nimi instynkt stadny. Widząc ptaka zachowującego się w taki czy inny sposób, może zawsze dotrzeć do innych ptaków i stwierdzić, czy zachowują się one tak samo. Ale znalazłszy czaszkę albo fragment czaszki we wnętrzu pagórka, nie będzie mógł jej pomnożyć, by uzyskać wizję doliny suchych kości. Badacz zajmujący się przeszłością, która znikła niemal bez śladu, nie może opierać się na doświadczeniach, tylko na dowodach. Dowodów zaś jest na tyle mało, że trudno powiedzieć, by dowodziły czegokolwiek. A zatem, choć zasadniczo nauka rozwija się niejako po łuku, bo jej kurs stale korygują nowe dane, ten rodzaj nauki, nie poddawany żadnej korekcji, strzela prosto w próżnię. Nawyk formułowania wniosków, które naprawdę mogą być formułowane w bardziej owocnych dziedzinach, jest jednak tak zakorzeniony w umyśle naukowca, że ten nie może j powstrzymać się przed takim postawieniem sprawy. Tworzy teorię z jednego skrawka kości jak samolot z całej sterty metalowych skrawków. Problem z profesorem od prehistorii polega jednak na tym, że nie może swojego skrawka wyrzucić na złom. Cudowny triumf samolotu rodzi się z setki błędów. Badacz początków może popełnić tylko jeden błąd i przy nim pozostać.

Całkiem słusznie mówi się o cierpliwości nauki, ale w tej dziedzinie można raczej mówić o jej niecierpliwości. Opisane wyżej trudności sprawiają, że teoretyk działa w wielkim pośpie-

chu. Dlatego mamy serię hipotez tworzonych naprędce, tak że zasługują raczej na miano fantazji, których i tak nie zmieniają żadne nowe fakty. Antropolog, który polega jedynie na doświadczeniu, jest pod tym względem równie ograniczony co antykwariusz. Może jedynie zbierać małe fragmenty przeszłości, bez nadziei, że w przyszłości zdoła swoje zbiory powiększyć. Może ścisnąć swój odłamek faktu kurczowo jak pracłowiek odłamek krzemienia. I rzeczywiście, posługuje się nim w dość podobny sposób i w tym samym celu. Jest to jego narzędzie, jego jedyne narzędzie. Jest to jego broń, jego jedyna broń. Często wywija nią z fanatyzmem przewyższającym zapał zwykłych naukowców, którzy mają możliwość gromadzenia faktów dzięki obserwacji i dodawania nowych dzięki doświadczeniom. Niekiedy profesor, który znalazł kość, jest prawie tak niebezpieczny jak pies, który znalazł kość. Chociaż pies przynajmniej nie stara się wysnuć ze swojej kości żadnej teorii - na przykład o tym, że ludzkość schodzi na psy albo z nich się wywodzi.

Weźmy choćby wspomniane już trudności w zaobserwowaniu przemiany małpy w człowieka. Mimo że uzyskanie doświadczalnych dowodów takiej przemiany jest niemożliwe, profesor nie zadowala się (jak każdy z nas) stwierdzeniem, że taka przemiana i tak przecież jest dość prawdopodobna. Profesor wyciąga swoją kość, albo całą kolekcję kości, i zabiera się do wyciągania z nich najdziwniejszych wniosków. Na Jawie znalazł kawałek czaszki, której kształt sugerował, że była ona mniejsza od czaszki człowieka. Gdzieś niedaleko znalazł kość udową

świadczącą o postawie wyprostowanej, a także porozrzucane nienależące do człowieka zęby. Gdyby nawet były to fragmenty jednego stworzenia, co zdaje się wątpliwe, to nasze wyobrażenie na jego temat byłoby co najmniej tak samo pełne wątpliwości. W opracowaniach popularnonaukowych przedstawiono jednak pod wpływem tego odkrycia kompletny, a nawet drobiazgowy wizerunek nieznanego stworzenia, obejmujący takie szczegóły jak jego owłosienie i zwyczaje. Nadano mu nawet imię, zupełnie jakby było zwykłą postacią historyczną. Ludzie zaczęli mówić o pitekantropie, jakby chodziło o kogoś w rodzaju Pitta, Foxa czy Napoleona. W popularnych opracowaniach historycznych publikowano jego portrety obok portretów Karola I czy Jerzego IV. Reprodukowano dokładne, starannie cieniowane rysunki, aby pokazać, że nawet włosy na jego głowie zostały policzone. Żadna niedoinformowana osoba, patrząc na precyzyjnie pobrużdżoną twarz i tęskne spojrzenie pitekantropa, nie przypuszczałaby ani przez chwilę, że ma przed sobą portret kości udowej albo kilku zębów i kawałka puszki mózgowej. Na tej samej zasadzie zaczęto o nim mówić tak, jakby był to osobnik, którego wpływy i charakter były nam wszystkim znane. Dopiero co czytałem w czasopiśmie artykuł o Jawie i o tym, jak współcześni biali mieszkańcy tej wyspy są zmuszeni do złego prowadzenia się przez osobisty wpływ biednego starego pitekantropa. W to, że współcześni mieszkańcy Jawy źle się prowadzą, łatwo mi uwierzyć, nie sądzę jednak, by potrzebowali do tego zachęty ze strony kilku niedawno odkrytych i raczej wątpliwych kości. Tak czy inaczej kości te

są zbyt nieliczne rozproszone fragmentaryczne i niepewne, by nimi zapełnić całą ziejącą przepaść, jaka w rozumowaniu i w rzeczywistości dzieli człowieka od jego zwierzęcych przodków, jeśli faktycznie zwierzęta były jego przodkami. Ale nawet zakładając istnienie tej ewolucyjnej koneksji (na której podważeniu wcale mi nie zależy), za naprawdę zdumiewający i znaczący trzeba uznać stosunkowy brak pozostałości dokumentujących to pokrewieństwo w samym momencie przemiany. Darwin był dość szczery, by to potwierdzić, i stąd zaczęto mówić o brakującym ogniwie. Jednakże dogmatyzm darwinistów okazał się silniejszy od agnostycyzmu Darwina, i ludzie bezmyślnie popadli w zwyczaj przerabiania tego całkowicie negatywnego pojęcia w pozytywne wyobrażenie. Mówią zatem o badaniu zwyczajów i środowiska brakującego ognia, jakby można było zaprzyjaźnić się z lukami w opowiadaniu albo z brakami w argumentacji czy też wybrać się na spacer z *non sequitur* lub na obiad z zasadą wyłączonego środka.

Niniejszy szkic dotyczy człowieka w relacji do pewnych problemów religijnych i historycznych, nie będę zatem tracił więcej czasu na spekulacje o naturze człowieka, zanim stał się człowiekiem. Jego ciało, być może, wykształciło się z ciała zwierząt, ale nie wiemy o tej przemianie nic, co rzuciłoby choćby najsłabsze światło na jego duszę — taką, jaka objawiła się w historii. Niestety, ta sama szkoła badaczy posługuje się tym samym stylem rozumowania, gdy przechodzi do omawiania pierwszych prawdziwych śladów po pierwszym prawdziwym człowieku. Ściśle rzecz biorąc,

o człowieku prehistorycznym oczywiście nie wiemy nic, z tej prostej przyczyny, że był on prehistoryczny. Historia człowieka prehistorycznego to sprzeczność sama w sobie. Na taki brak rozsądku pozwolić sobie mogą tylko racjoniści. Gdyby jakiś proboszcz zauważył od niechcenia, że potop był zjawiskiem przedpotopowym, być może pokpiwalibyśmy sobie z jego skrzywionej logiki. Gdyby (jakiś biskup powiedział, że Adam był preadamitą, być może, uznalibyśmy to stwierdzenie za dziwaczne. Nie wolno nam jednak zauważać takich słownych drobiazgów, gdy sceptyczni historycy mówią o prehistorycznym rozdziale historii. W rzeczywistości posługują się oni terminami „historyczny” i „prehistoryczny”, nie mając żadnego jasnego wzorca czy definicji tych słów. Chodzi im o to, że istnieją ślady życia ludzkiego wcześniejsze niż początki ludzkich opowieści; i w tym sensie wiemy przynajmniej, że ludzkość jest starsza niż historia.

Ludzka cywilizacja jest starsza niż ludzkie pisma. Takie jest trzeźwe określenie naszej relacji do tych odległych spraw. Ludzkość pozostawiła po sobie przykłady sztuk wcześniejszych niż sztuka pisanie, a przynajmniej niż jakiekolwiek pismo, które potrafilibyśmy odczytać. Nie ulega jednak wątpliwości, że prymitywna sztuka była sztuką. Jest też wielce prawdopodobne, że prymitywna cywilizacja była cywilizacją. Człowiek pozostawił po sobie rysunek renifera, ale nie pozostawił opowieści o tym, jak na niego polował - dlatego wszystko, co o nim mówimy nie jest historią, tylko hipotezą. Jednakże sztuka, którą uprawiał, była naprawdę sztuką; jego rysunki były całkiem rozumne i nie

ma powodu wątpić, że jego opowieści o polowaniu także byłyby rozumne, gdyby takie istniały i gdybyśmy potrafili je zrozumieć. Krótko mówiąc, epoka prehistoryczna nie musi oznaczać epoki prymitywnej w sensie barbarzyństwa albo zezwierzęcenia. Nie był to czas przed cywilizacją ani czas przed sztuką i rzemiosłem. Był to po prostu czas przed jakimkolwiek sensownym opisem, który moglibyśmy przeczytać. Z praktycznego punktu widzenia różnica między pamięcią a zapomnieniem jest rzeczywiście ogromna, niewykluczone jednak, że istniały najróżniejsze zapomniane cywilizacje, a także najróżniejsze zapomniane formy barbarzyństwa. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że wiele z tych zapomnianych albo na wpół zapomnianych stopni społecznego rozwoju było o wiele bardziej cywilizowanych i o wiele mniej barbarzyńskich, niż się to powszechnie dzisiaj przyjmuje. Ale nawet o tej niepisanej historii ludzkości, gdy ludzkość niewątpliwie składała się już z ludzi, możemy snuć przypuszczenia tylko z najdalej posuniętą ostrożnością i powątpiewaniem. Niestety, powątpiewanie i ostrożność to ostatnie rzeczy, do jakich zachęca współczesna kultura z jej rozpasanym ewolucjonizmem. Jest to bowiem kultura przepojona ciekawością, i jedyną rzeczą, której nie może znieść, jest udręka agnostycyzmu. Słowo to weszło do obiegu w epoce Darwina i już wtedy rzeczywistość, którą oznaczało, była nieznośna.

Trzeba powiedzieć wyraźnie, że wszelką ignorancję pokrywa się po prostu bezczelnością. Twierdzenia wygłaszane są tak dobitnie i z takim przekonaniem, że mało kto ma moralną

odwagę zatrzymać się nad nimi i zauważyć, że brak im uzasadnienia. Niedawno czytałem naukowe opracowanie na temat prehistorycznego plemienia, zaczynające się od pełnych przekonania słów: „Nie nosili żadnego odzienia”. Zapewne nawet jeden na stu czytelników nie zadał sobie w tym momencie pytania, skąd mielibyśmy wiedzieć, czy ludzie, po których zostało kilka odłamków kości i kamienia, nosili odzienie czy też nie. Niewątpliwie spodziewano się znaleźć, oprócz kamiennego toporka, także kamienny kapelusz. Najwyraźniej przewidywano odkrycie pary spodni z materii tak samo niezniszczalnej jak odwieczna skała. Dla osób o mniej popędlwym charakterze będzie oczywiste, że ludzie noszący proste czy też bogato zdobione okrycia nie zostawiliby po sobie więcej śladów niż członkowie owego plemienia. Gdyby na przykład tworzone wówczas coraz bardziej wymyślne plecionki z sitowia i trawy, nie zyskałyby one przez to na trwałości. Można sobie wyobrazić cywilizację, która przypadkiem wyspecjalizowała się w rzeczach nietrwałych jak tkactwo czy haft, a nie w rzeczach trwałych jak rzeźba czy architektura. W historii było wiele przykładów takich wyspecjalizowanych społeczeństw. Człowiek przyszłości natrafiwszy na resztki naszych maszyn fabrycznych, mógłby uczciwie stwierdzić, że z dostępnych materiałów znaleźliśmy jedynie żelazo, i ogłosić jako fakt, że właściciel i dyrektor fabryki bez wątpienia chodzili nago, chyba że nosili spodnie i kapelusze z żelaza.

Nie usiłuję dowieść, że prymitywni ludzie nosili ubrania albo robili plecionki z sitowia, twierdząc jedynie, że nie mamy

wystarczających dowodów, by stwierdzić, czy robili to, czy też nie. Warto jednak przez chwilę przyjrzeć się jeszcze raz tym kilku rzeczom, które zapewne robili i o których wiemy na pewno. Jeśli zastanowimy się nad tymi rzeczami, z pewnością nie uznamy ich za nie do pogodzenia z czymś takim jak ubiór czy ozdoby. Nie wiemy, czy zdobili cokolwiek innego. Nie wiemy, czy znali się na hafcie, a nawet gdyby się znali, nie moglibyśmy oczekiwać, że ich hafty dotrwałyby do naszych czasów. Wiemy jednak, że malowali obrazy, i obrazy te przetrwały do dziś. Wraz z nimi przetrwało zaś, jak już zauważyliśmy, świadectwo czegoś absolutnego i wyjątkowego; czegoś, co jest właściwe tylko człowiekowi i nikomu więcej; czegoś, co wyróżnia go istotowo, a nie jakościowo. Małpa nie malowała niezdarnie, a człowiek zręcznie; małpa nie zapoczątkowała sztuki przedstawiania, którą człowiek następnie ulepszył. Małpa nie robiła niczego takiego, nie zaczynała nawet robić niczego takiego, nie zaczynała nawet niczego takiego zaczynać. Jakaś linia musiała zostać przekroczona, zanim narysowano pierwszą niewyraźną linię.

Pewien znakomity pisarz komentując jaskiniowe rysunki przypisywane neolitycznemu człowiekowi z okresu reniferów, oznajmił, że żadne z tych obrazów najwyraźniej nie miały znaczenia religijnego; i był, zdaje się, bliski wyciągnięcia wniosku, że w związku z tym ich twórcy nie mieli żadnej religii. Trudno sobie wyobrazić cieńszą niż argumentacji niż ta, która odtwarza najintymniejsze poruszenia prehistorycznej myśli na podstawie faktu, że ktoś, kto z nieznanych pobudek i w nieznanym celu,

hołdując nieznanym zwyczajom i konwenansom, nagryzmołił na ścianie kilka szkiców, był skłonny raczej namalować renifera niż religię. Być może, narysował go, bo był to jego symbol religijny. Być może, narysował go, bo nie był to jego symbol religijny. Być może, rysował wszystko oprócz symboli religijnych. Być może narysował swój prawdziwy symbol religijny gdzie indziej, a może umyślnie zniszczył go po narysowaniu. Człowiek prehistoryczny mógł uczynić lub nie pół miliona rzeczy, ale twierdzenie, że nie miał symboli religijnych, wydaje się zadziwiającym wyczynem logiki, podobnie jak twierdzenie, że skoro nie miał symboli religijnych, nie miał też religii. Otóż ten szczególny przypadek bardzo jasno dowodzi niepewności takich domysłów. Jeszcze przez jakiś czas potem ludzie odkrywali w jaskiniach nie tylko wizerunki, ale także figurki zwierząt. Niektóre z nich miały dziury albo rysy, które brano za ślady po strzałach. Zniszczone podobizny uznawano za pozostałości jakiegoś magicznego obrzędu symbolizującego uśmiercanie zwierząt, natomiast istnienie niezniszczonych podobizn tłumaczono innym magicznym rytym, który miał zapewnić płodność stad. I tu znowu natykamy się na nieco śmieszne przyzwyczajenie naukowców do łapania dwóch srok za ogon. Jeśli podobizna była zniszczona, dowodzi to jednego przesądu, a jeśli nie była zniszczona - drugiego. Znowu mamy do czynienia z pośpiesznym wyciąganiem wniosków; teoretykom nie zaświtała myśl, że gromada myśliwych uwiecznionych zimą w jaskini mogła zabawić się strzelaniem do celu niczym prymitywną grą salonową.

Ale tak czy inaczej, jeśli nawet był to przejaw przesady to co stało się z tezą, że podobizny zwierząt nie miały nic wspólnego z religią? Prawda jest taka, że domysły te nie mają absolutnie nic wspólnego z rzeczywistością. Snucie ich nie jest ani w polowie tak dobrą grą salonową jak strzelanie z łuku do figurki renifera, bo przypomina raczej strzelanie w próżnię.

Teoretykom wyjątkowo łatwo na przykład wywietrzało z głowy, że współcześni ludzie także czasem zostawiają znaki w jaskiniach. Kiedy tłum wycieczkowiczów zwiedza labirynt Groty Cudów albo Magicznej Jaskini Stalaktytów, na ścianach widać później hieroglify; są to inicjały i inskrypcje, których uczeni uparcie nie chcą uznać za starożytne. Jeśli przyszli profesorowie będą choć trochę podobni do współczesnych, to z dwudziestowiecznych bazgrołów w jaskiniach wydedukują wiele barwnych i bardzo interesujących faktów. Jeśli wiem cokolwiek o tym gatunku ludzi i jeśli potomkowie nie utracą pełnokrwistej pewności swoich ojców, zdołają wywnioskować na nasz temat fascynujące rzeczy na podstawie inicjałów, które w Magicznej Grocie zostawili Józek i Jasia, nakreśliwszy dwie splecione litery J. Wyłącznie na tej podstawie badacze stwierdzą, że: 1) Skoro litery zostały niezdarnie wyskrobane tępym kozikiem, najwyraźniej wiek dwudziesty nie znał precyzyjnych narzędzi ani sztuki rzeźbienia. 2) Skoro obie litery są wielkimi literami, nasza cywilizacja nigdy nie stworzyła małych liter ani ręcznego pisma. 3) Skoro połączone są ze sobą dwie początkowe spółgłoski, których nie sposób wymówić, nasz język

prawdopodobnie przypominał walijski albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, jakiś dialekt wczesnosemicki, w którego zapisie pominięte są samogłoski. 4) Skoro inicjały Józka i Jasi nie są szczególnie religijnym symbolem, nasza cywilizacja najwyraźniej nie miała religii. To ostatnie twierdzenie byłoby jeszcze najbliższe prawdy, bo cywilizacja, która miałaby religię, miałaby także trochę więcej rozumu.

Powszechnie twierdzi się również, że religia ewoluowała bardzo powoli, a nawet, że jej ewolucji nie warunkowała jedna przyczyna, ale ich zbiór, który można by nazwać zbiegiem okoliczności. Najogólniej rzecz biorąc, trzema głównymi elementami tego zbioru są: po pierwsze strach przed wodzem plemienia (którego pan Wells z pożałowania godną poufałością uparcie nazywa Starym), po drugie zjawisko snów i po trzecie skojarzenie żniw i odrodzenia z ofiarą, symbolizowaną przez rosnące zboże. Przy okazji niech mi będzie wolno zauważyć, że wywodzenie żywego i wyjątkowego ducha od trzech martwych i niezwiązanych ze sobą przyczyn, nawet gdyby były to tylko martwe i niezwiązane ze sobą przyczyny, to przykład dość wątpliwej psychologii. Przypuśćmy, że pan Wells w jednej ze swych fascynujących powieści o przyszłości, powiedziałby nam, iż powstanie wśród ludzi nowa i jak dotąd nienazwana pasja, o której ludzie będą śnić, jak się śni o pierwszej miłości, i za którą będą umierać, jak się umiera za sztandar i ojczyznę. Myślę, że bylibyśmy nieco zakłopotani, gdyby nam oświadczył, że ta szczególna słabość wynikałaby z połączenia nawyku palenia

papierosów pewnej marki, podwyżki podatku dochodowego i przyjemności, jaką czerpie kierowca z łamania ograniczenia prędkości. Nie byłoby nam łatwo to sobie wyobrazić, bo nie bylibyśmy w stanie wyobrazić sobie żadnego związku między tymi przyczynami ani żadnego uczucia, które mogłoby je wszystkie połączyć. Tak samo nikt nie potrafi wyobrazić tobie związku między snami, zbożem i starym wodzem z dzidą, chyba że istniałoby już jakieś powszechne uczucie, zdolne do ich połączenia. Gdyby jednak istniało takie uczucie, musiałoby to być uczucie religijne, a w takim razie zjawiska te nie mogłyby być początkiem odczuć religijnych, które już istniały. Zdrowy rozsądek, jak mi się wydaje, podpowie każdemu, że o wiele bardziej prawdopodobne jest wcześniejsze istnienie tego rodzaju mistycznych emocji i że to w ich świetle sny, królowie i łany zbóż nabrały odcienia mistycyzmu, który mają do dziś.

Prawda bowiem jest taka, że mamy tu do czynienia z pewną sztuczką, która oddala i odczłowiecza wiele spraw, fałszywie zakładając, że nie rozumiemy rzeczy, które są dla nas zupełnie zrozumiałe. Równie dobrze można by powiedzieć, że prehistoryczni ludzie mieli wstrętny i nieokrzesany zwyczaj otwierania co jakiś czas ust na całą szerokość i wpychania do nich dziwnych substancji, tak jakbyśmy nigdy nie słyszeli o jedzeniu. Można by powiedzieć, że straszni troglodyci z epoki kamienia podnosili na przemian raz jedną, raz drugą nogę, tak jakbyśmy nigdy nie słyszeli o chodzeniu. Gdyby takie fantastyczne spojrzenie miało za zadanie dotknąć nerwu mistyki i zwrócić naszą uwagę na cud

chodzenia i jedzenia, można by je usprawiedliwić. Ale ponieważ ma ono na celu zabicie nerwu mistyki i obrzydzenie nam cudu religii, trzeba je uznać za irracjonalną bzdurę. Pozoruje ono bowiem niezrozumienie uczuć, które dla nas wszystkich są zupełnie zrozumiałe. Któż nie odczuwa tajemniczości snów i nie ma wrażenia, że leżą one na mrocznym pograniczu bytu? Któż nie przeczuwa, że śmierć i zmartwychwstanie tego, co wyrasta z ziemi, ma wiele wspólnego z tajemnicą wszechświata? Któż nie rozumie, że posmak czegoś świętego musi zawsze towarzyszyć władzy i solidarności, które są duszą plemienia? Jeśli jakiś antropolog naprawdę uważa te rzeczy za odległe i niemożliwe do wyobrażenia, nie możemy o tym uczonym dżentelmenie powiedzieć nic ponad to, że nie ma on umysłu tak otwartego i oświeconego jak prymitywny jaskiniowiec. Wydaje się oczywiste, że nic poza już odczuwanym nastrojem duchowym nie mogło owiać tak różnych i odrębnych rzeczy atmosferą świętości. Twierdzenie, że religia wzięła się z szacunku dla wodza albo składania ofiar w czasie żniw to stawianie bardzo wymyślnej karety przed bardzo prymitywnym koniem. Równie dobrze można by powiedzieć, że impuls malowania obrazów wziął się z kontemplowania malowideł reniferów w jaskini. Rozumując w ten sposób, malarstwo można by wyjaśnić jako coś, co rozwinęło się z działań malarzy, albo sztukę jako coś, co powstało ze sztuki. Jeszcze bardziej adekwatnie można by stwierdzić, że poezja powstała z pewnych obyczajów, takich jak obowiązkowe komponowanie ody na powitanie wiosny albo zwyczaj, by młodzi ludzie wstawali o ściśle określonej godzinie,

słuchali pieśni skowronka, a potem na kartce papieru pisali sprawozdanie z tego wydarzenia. To prawda, że na wiosnę wielu młodych ludzi staje się poetami i że gdy już się nimi staną, żadna siła nie może ich powstrzymać od pisania o skowronku. Wiersze nie istniały jednak wcześniej od poetów. Poezja nie powstała z ewolucji formy poetyckiej. Innymi słowy, stwierdzenie, że jakaś rzecz istniała już wcześniej, nie jest zbyt dobrym wytłumaczeniem jej pochodzenia. Podobną niedorzecznością byłoby twierdzić, że religia powstała z ewolucji form religijnych, bo byłoby to nic innego jak twierdzenie, że pojawiła się, kiedy już była na świecie. Tylko szczególny rodzaj umysłu mógł dostrzec, że jest coś mistycznego w snach o umarłych, podobnie jak tylko szczególny rodzaj umysłu mógł dostrzec, że jest coś poetycznego w skowronku albo wiosnie. Umysł ten był prawdopodobnie tym, co dziś nazywamy umysłem ludzkim, i miał konstrukcję bardzo podobną do tej, jaką ma dzisiaj; mistycy bowiem nadal medytują o snach i śmiertelności, a poeci nadal piszą o wiosnie i skowronkach. Nic jednak nie wskazuje na to, że jakiś umysł niedorównujący ludzkiemu mógłby odczuwać któreś z tych mistycznych skojarzeń. Krowa na pastwisku nie czerpie lirycznych impulsów ani nauk ze swoich bezsprzecznie niezrównanych możliwości słuchania skowronka. Tak samo nie mamy powodu przypuszczać, że żywe owce kiedykolwiek użyją martwych owiec do budowy skomplikowanego kultu zmarłych. Co prawda, wiosną fantazja młodego czworonoga może dość prosto zmienić się w myśl o miłości, ale nawet najdłuższa sekwencja wiosen nie zmieni jej w choćby najprostszą

myśl o literaturze. Podobnie, choć wiemy, że pies miewa sny, czego nic można powiedzieć o większości czworonogów, czekaliśmy już wystarczająco długo, by jakiś kundel stworzył ze swoich snów skomplikowany system lub ceremoniał religijny. Czekaliśmy już tak długo, że właściwie straciliśmy nadzieję i przestaliśmy się spodziewać, że pies wykorzysta swoje sny do tworzenia struktur kościelnych, tak jak się nie spodziewamy że będzie je analizował zgodnie z zasadami psychoanalizy. Krótko mówiąc, oczywiste jest, że z jakiejś przyczyny te naturalne doświadczenia czy nawet naturalne bodźce, u żadnego stworzenia poza człowiekiem, nie przekraczają granicy, która oddziela je od twórczej ekspresji znajdującej wyraz w religii i sztuce. Nie dzieje się to obecnie, nie stało się nigdy dotąd i wydaje się ze wszech miar prawdopodobne, że nie stanie się nigdy potem. Nie jest niemożliwe, czyli wewnętrznie sprzeczne, zobaczyć krowy powstrzymujące się w piątki od jedzenia trawy albo padające na kolana jak w starej legendzie o wieczorze wigilijnym. W tym sensie nie jest też niemożliwe, by krowy kontemplowały śmierć i wznosiły subtelny psalm lamentacji na melodię "Zdechł kanarek", i wyrażały swoją nadzieję niebiańskiej kariery symbolicznym tańcem na cześć krowy, która przeskoczyła księżyc. Być może, pies zbierze kiedyś wystarczająco dużo snów, by wznieść świątynię ku czci Cerbera jako czegoś w rodzaju psiej trójcy. Być może, psie sny już przybierają kształt wizji możliwych do wyrażenia słowami, jakichś objawień o Psiej Gwieździe jako duchowym domu wszystkich zbłąkanych kundli. Rzeczy te są z logicznego punktu widzenia możliwe w tym sensie, że trud-

no jest udowodnić kategoryczne przeczenie, które nazywamy niemożliwością. A jednak instynktowne wyczucie prawdopodobieństwa, które nazywamy zdrowym rozsądkiem, z pewnością podpowiedziało nam już dawno temu, że zwierzęta nie zdradzają żadnych skłonności do takiej ewolucji i że, najskromniej rzecz ujmując, nigdy nie zdobędziemy bezpośrednich dowodów na to, że doświadczenie zwierzęcia może być pobudką do prowadzenia ludzkich doświadczeń. A przecież wiosna, śmierć, a nawet sny, postrzegane wyłącznie jako doświadczenia, są doświadczeniami nie tylko ludzi, ale także zwierząt. Wniosek jest zatem jeden: doświadczenia te same w sobie nie wywołują żadnych uczuć religijnych w żadnym innym umyśle oprócz naszego. Po raz kolejny natykamy się na fakt istnienia umysłu, który był od początku przytomny i osamotniony i dzięki swej wyjątkowości mógł tworzyć religie tak jak malowidła. Składniki religii, podobnie jak składniki czegokolwiek innego, leżały odłogiem przez niezliczone wieki; siła religii tkwiła bowiem w umyśle. Człowiek od początku dostrzegał w tych zjawiskach zagadki, iluzje i nadzieje, jakie dostrzega do dziś. Widział nie tylko śmierć, ale i cień śmierci, a przy tym ogarniało go to tajemnicze zdumienie, które każe zawsze poddawać śmierć w wątpliwość.

Faktem jest jednak, że nawet te domysły odnoszą się głównie do człowieka z czasów, kiedy niewątpliwie był on już człowiekiem. Nie możemy potwierdzić prawdziwości tych ani żadnych innych przypuszczeń w odniesieniu do domniemanego zwierzęcia łączącego człowieka z nierozumnymi bestiami.

A nie możemy tego uczynić tylko dlatego, że mamy do czynienia nie ze zwierzęciem, tylko z domniemaniem. Nie możemy mieć pewności, czy pitekanthrop oddawał cześć bogom, bo nie możemy być pewni istnienia pitekantropa. Jest on jedynie wizją przywołaną po to, by zapełnić przepaść, która w rzeczywistości oddziela pierwsze stworzenie, będące na pewno człowiekiem, od innych stworzeń, które z pewnością były małpami albo innymi zwierzętami. Z kilku wątpliwych odłamków wywnioskowano istnienie takiego przejściowego stworzenia, bo jego istnienia domagała się pewna filozofia. Nikt chyba jednak nie sądzi, że nawet na użytek owej filozofii odłamki te wystarczą do ustalenia jakiegokolwiek prawdy filozoficznej. Odłamek czaszki znaleziony na Jawie nie może pomóc w ustaleniu czegokolwiek na temat religii albo jej braku. Jeśli domniemany małpolud kiedykolwiek istniał, to mógł wykazywać taką samą skłonność do rytuału w religii jak człowiek albo taką samą prostotę w odniesieniu do religii jak małpa. Być może tworzył mitologie, i być może sam był tylko mitem. Byłoby ciekawe dowiedzieć się, czy jego skłonność do mistycyzmu pojawiła się w trakcie przemiany z małpy w człowieka, gdyby oczywiście było o co się dowiadywać. Innymi słowy, brakujące ogniwo mogłoby mieć skłonności mistyczne albo nie mieć ich wcale, pod warunkiem, że nie byłoby brakującym ogniwnem. W porównaniu z danymi, jakie mamy na temat prawdziwych istot ludzkich, dane o nim są tak skąpe, że nic możemy nawet stwierdzić, czy pitekanthrop był rzeczywiście istotą ludzką albo półludzką ani czy rzeczy-

wiecie był jakąś istotą. Nawet najbardziej skrajni ewoiugoniści nie starają się z jego istnienia wyciągać żadnych wniosków na temat ewolucyjnego pochodzenia religii. Nawet wtedy, gdy starają się udowodnić powolny rozwój religii z prymitywnych czy irracjonalnych źródeł, zaczynają swój dowód od pierwszych ludzi, którzy na pewno byli ludźmi. Udaje im się jednak dowieść tylko tyle, że ludzie, którzy byli ludźmi, od początku byli także mistykami. Posługiwali się prymitywnymi i irracjonalnymi elementami tak, jak mogą się nimi posługiwać tylko ludzie i mistycy. Raz jeszcze wraca do nas ta prosta prawda, że w jakimś momencie, zbyt wczesnym do wyśledzenia przez krytyków, dokonała się przemiana, o której kości ani kamienie nie mogą ze swej natury dać żadnego świadectwa - i człowiek stał się duszą żyjącą.

Prawda jest taka, że ci, którzy próbują w ten sposób wytłumaczyć pochodzenie religii, w efekcie starają się ją zlekceważyć. Podświadomie czują, że zjawisko to wygląda mniej imponująco jako powolny, prawie niezauważalny proces. W gruncie rzeczy jednak ich perspektywa całkowicie fałszuje rzeczywistość, jaką znamy z doświadczenia. Zestawiają oni ze sobą dwa zupełnie różne zjawiska - rozproszone poszlaki co do ewolucyjnych początków człowieka oraz solidny, niewzruszony ogrom ludzkości - i tak długo zmieniają punkt widzenia, aż oba ustawiają się w jednej linii. Jest to jednak złudzenie optyczne. Ludzie bowiem nie są spokrewnieni z małpami albo brakującymi ogniwami w ten sam sposób, w jaki są spokrewnieni z innymi

ludźmi. Być może istniały jakieś formy przejściowe, na których niewyraźne ślady natrafiamy niekiedy w przepastnej otchłani czasu. Istoty te, jeśli istniały, mogły być wcale niepodobne do ludzi albo, jeśli były ludźmi, mogły być wcale niepodobne do nas. Jednakże stwierdzenie to ma się nijak do człowieka prehistorycznego, takiego jak ten, którego nazywamy jaskiniowcem albo pasterzem reniferów. Owi prehistoryczni ludzie byli bardzo podobni do luda i jako ludzie byli bardzo podobni do nas. Traf chciał, że są to ludzie, o których wiemy bardzo niewiele z tej prostej przyczyny, że nie pozostawili oni po sobie żadnych pism ani kronik. To jednak, co o nich wiemy, umożliwia zobaczenie w nich ludzi równie ludzkich i zwyczajnych jak mieszkańcy średniowiecznego zamku albo greckiego polis.

Patrząc z ludzkiego punktu widzenia na najdawniejsze dzieje ludzkości, postrzegamy zachowanie praludzi po prostu jako ludzkie. Gdybyśmy postrzegali je jako zwierzęca musielibyśmy uznać je za nienormalne. Gdybyśmy chcieli spojrzeć przez odwrócony teleskop, jak niejednokrotnie czyniłem to już w tych rozważaniach, gdybyśmy chcieli przedstawić osobę ludzką jako produkt nieludzkiego świata, moglibyśmy powiedzieć jedynie, że jedno ze zwierząt postradało zmysły. Patrząc jednak na to zjawisko przez teleskop od właściwej strony, a raczej od wewnątrz, postrzegamy je jako całkiem zdrowe i stwierdzamy że pierwotni ludzie byli raczej przy zdrowych zmysłach. Gdy natykamy się na ogólnoludzką solidarność - u dzikich ludów, cudzoziemców czy postaci historycznych -

zawsze przyjmujemy ją z radością. Nasza wiedza wynikająca z prymitywnych legend i z wiadomości o życiu barbarzyńców potwierdza na przykład istnienie pewnej moralnej czy nawet mistycznej idei, której najpowszechniejszym symbolem jest ubranie. Ubranie bowiem to nic innego jak szaty, a człowiek nosi je dlatego, że jest kapłanem. To prawda, że nawet w roli zwierzęcia różni się on pod tym względem od pozostałych zwierząt. Nagość nie jest dla niego stanem naturalnym; nie jest jego żydem, ale raczej śmiercią, choćby w najprostszym sensie śmierci z wychłodzenia. Ubrania - dla przyzwoitości, ozdoby lub dodania sobie powagi - nosi się jednak również tam, gdzie nie trzeba bronić się przed chłodem. Czasem można odnieść wrażenie, że mają one najpierw wartość dekoracyjną, a dopiero potem użytkową. Natomiast prawie zawsze w powszechnym odczuciu mają one jakiś związek z zachowaniem przyzwoitości. Konwenanse tego rodzaju oczywiście zmieniają się w zależności od miejsca i czasu, i niektórzy, nie mogąc przejść nad tym faktem do porządku dziennego, uznają go za wystarczający powód, by zaniechać wszelkich konwenansów. Ludzie ci powtarzają niezmordowanie i ze szczerym zdziwieniem, że na Wyspach Kanibali obowiązuje inny strój niż w Camden Town, i nie mogąc posunąć się ani o krok dalej, w rozpacz wyrzucają całą ideę przyzwoitości na złom. Mogliby równie dobrze stwierdzić, że ponieważ kapelusze mają różne kształty, niektóre z nich całkiem ekscentryczne, coś takiego jak kapelusz nie ma żadnego znaczenia albo w ogóle nie istnieje. Być może

zaprzeczyliby także istnieniu łysiny i udarów słonecznych. Otóż wszędzie na świecie ludzie odczuwali potrzebę norm, które chroniłyby i strzegły pewnych prywatnych spraw przed pogardą albo grubiańskim niezrozumieniem. Przestrzeganie tych norm, jakiegokolwiek by były, służyło zachowaniu godności i wzajemnego szacunku wśród ludzi. To, że odnoszą się one mniej lub bardziej do relacji między płciami, jest ilustracją dwóch faktów, które należy przytoczyć na samym początku opisu naszej rasy. Pierwszy to ten, że grzech pierworodny jest rzeczywiście pierworodny. Nie tylko w teologii, ale także w historii stanowił on zawsze fakt zakorzeniony w sprawach podstawowych. Ludzie mieli najróżniejsze wierzenia, ale zawsze wierzyli, że z ludzkością jest coś nie tak. To poczucie grzechu sprawiło, że nie mogli zachowywać się naturalnie i nie nosić ubrań, podobnie jak nie mogli zachowywać się naturalnie i nie tworzyć prawa. Jeszcze lepiej można dzięki temu zrozumieć ów drugi fakt, który jest zarazem ojcem i matką wszelkich praw, bo tam opiera się na ojcu i matce; na zjawisku, które poprzedza wszelkie dynastie, a nawet wszelkie wspólnoty.

Faktem tym jest rodzina. 1 tu znowu musimy starać się uwolnić monumentalne proporcje normalności od mniej lub bardziej uzasadnionych modyfikacji, wątpliwości i stopni rozwoju, które otoczyły ją jak obłoki spowijające szczyt góry. Być może to, co nazywamy rodziną, musiało bronić się przed najróżniejszymi przejawami anarchii i aberracji albo walczyć o swoje miejsce na ziemi. Z pewnością jednak okazało się trwalsze od

innych zjawisk, i nic nie wskazuje na to, by nie mogło być także od nich wcześniejsze. Jak to widać na przykładzie nomadyzmu i komunizmu, bezkształtne zjawiska mogą istnieć pod bokiem społeczeństw o bardziej wyrazistych konturach. Nic jednak nie wskazuje na to, by bezkształtność miała być wcześniejsza niż kształt. Decydujące znaczenie ma to, że kształt jest ważniejszy od bezkształtności i że materia zwana ludzkością przyjęła ten właśnie kształt. Wśród zasad dotyczących płci, o których przed chwilą była mowa, nie ma na przykład nic dziwniejszego niż prymitywny obyczaj znany jako kuwada⁹. Wydaje się on prawem ze świata-do-góry-nogami, gdzie ojca utożsamia się z matką. Zwyczaj ten najwyraźniej nawiązuje do mistycznego znaczenia płci, wielu jednak uważa, że jest to symboliczny akt, w którym ojciec przyjmuje na siebie odpowiedzialność ojcostwa. W takim razie symboliczna błazenada okazuje się w rzeczywistości bardzo poważnym działaniem, leży bowiem u podstaw wszystkiego, co nazywamy rodziną, i wszystkiego, co znamy jako ludzkie społeczeństwo. Niektórzy, zabłąkani w mrocznych początkach rodzaju ludzkiego, utrzymywali, że rządził nim kiedyś matriarchat, chociaż wydaje mi się, że pod rządami matriarchatu nie byłby to rodzaj ludzki, tylko rodzaj kobiecy. Inni natomiast dochodzili do wniosku, że to, co nazywamy matriarchatem, było po prostu formą moralnej anarchii, w której matka

⁹ Kuwada - z fr. „couver”- wysiadywać, wylęgać; zwyczaj wielu prymitywnych ludów polegający na współodczuwaniu i naśladowaniu przez ojca części cierpień matki związanych z porodem.

stanowiła jedyny punkt odniesienia, gdy ojcowie byli nieobecni i nieodpowiedzialni. I oto nadeszła chwila, kiedy mężczyzna postanowił zaopiekować się tym, co stworzył. Został zatem głową rodziny - nie jako gbur z wielką pałką do bicia kobiet, tylko jako godna szacunku osoba, starająca się być osobą odpowiedzialną. Wszystko to mogło wydarzyć się naprawdę, mogło być nawet równoznaczne z uchwaleniem pierwszej ustawy o rodzinie, ale tak czy inaczej nie ulega wątpliwości, że mężczyzna zachował się wtedy po raz pierwszy jak mężczyzna, a zatem po raz pierwszy stał się prawdziwym mężczyzną. Równie dobrze jednak mogło być tak, że ów matriarchat czy moralna anarchia, czy jak byśmy to zjawisko nazwali, był tylko jedną z setek form społecznego rozkładu lub powrotu do barbarzyństwa, które niekiedy musiały się zdarzać w czasach prehistorycznych, podobnie jak zdarzały się w historii. Symbol taki jak kuwada, jeśli faktycznie był symbolem, mógł upamiętniać raczej stłumienie herezji niż narodziny pierwszej religii. O tych zjawiskach nie możemy wiedzieć nic pewnego poza tym, że miały one wielki wpływ na rozwój ludzkości, potrafimy jednak stwierdzić, w jakim kierunku rozwinęły się jej najpowszechniejsze i najlepsze formy. Możemy stwierdzić, że rodzina jest jednostką państwa, że jest komórką, która tworzy formację. I rzeczywiście, to właśnie wokół rodziny gromadzą się świętości, które odróżniają człowieka od mrówek i pszczoł. Przyzwoitość jest zasłoną tego namiotu, wolność jest murem tego miasta, własność jest po prostu rodzinnym gospodarstwem, a honor - sztandarem

rodziny. W praktycznym wymiarze ludzkiej historii wracamy do tego fundamentu, który stanowią ojciec, matka i dziecko. Jak już mówiliśmy, historia człowieka, jeśli nawet nie może rozpocząć się od założeń religijnych, powinna przynajmniej wyjść od założeń etycznych lub metafizycznych, w przeciwnym razie będzie pozbawiona sensu. I oto znajdujemy doskonały przykład tej podwójnej konieczności. Jeśli nie należymy do tych, którzy zaczynają od inwokacji do Trójcy Świętej, musimy tym niemniej zacząć od inwokacji do ludzkiej trójcy, i przekonać się, że trójkąt ten znajduje odbicie wszędzie w strukturze świata. Najwznioślejsze wydarzenie w historii, przez całą historię oczekiwane i przygotowywane, jest bowiem równocześnie odwróceniem i odnowieniem tego samego trójkąta. A może raczej stanowi nałożenie jednego trójkąta na drugi, przez co tworzy się święty pentagram, którego mocy - o wiele większej niż ta, którą przypisują mu magowie - lękają się demony. Stara trójca składa się z ojca, matki i dziecka i nazywana jest ludzką rodziną. Nowa składa się z dziecka, matki i ojca i nazywana jest Świętą Rodziną. Jedna nie różni się od drugiej niczym ponad to, że jest jej całkowitym odwróceniem; podobnie jak przemieniony świat nie różni się od starego niczym poza tym, że jest odwrócony do góry nogami.

III

STAROŻYTNOŚĆ CYWILIZACJI

Współczesny człowiek poszukujący najstarszych początków cywilizacji przypomina kogoś, kto czeka na świt w obcej krainie i spodziewa się, że słońce wzejdzie za nagimi wyżynami lub samotnymi szczytami gór. Słońce jednak wyłania się zza czarnej bryły wielkich miast zbudowanych i ukrytych przed nami w ciemnościach pierwotnej nocy; kolosalnych miast przypominających domy olbrzymów, gdzie nawet rzeźbione podobizny zwierząt są wyższe od palm, portret człowieka może być od niego dwanaście razy większy, grobowce strzelają ku gwiazdom niczym zbudowane przez człowieka czworograniaste góry, a ogromne uskrzydłone i brodate byki strzegą czujnie potężnych bram świątyni, stojąc od wieków tak nieruchomo, jakby jedno uderzenie kopyta wystarczyło, by wstrząsnąć światem. Świt historii odsłania przed nami człowieka, który zdążył się już ucywilizować, a może nawet cywilizację, która zdążyła się już zestarzeć. Prócz innych ważniejszych rzeczy odsłania on przed nami także głupotę większości uogólnień na temat wcześniejszej, nieznanej epoki, gdy ludzka cywilizacja była

jeszcze młoda. Dwie pierwsze ludzkie społeczności, o których mamy dogłębne, szczegółowe informacje, to Egipt i Babilon. Te dwa wspaniałe i olbrzymie osiągnięcia ludzkiego geniuszu przypadkiem świadczą przeciwko dwóm najpopularniejszym i najbardziej prostackim założeniom, jakie głosi współczesna kultura. Jeśli chcemy pozbyć się połowy bzdur o nomadach, jaskiniowcach i starcach z lasu, wystarczy, że przyjrzymy się uważnie dwóm solidnym zdumiewającym faktom, których imiona brzmią: Egipt i Babilon.

Oczywiście większość teoretyków mówiących o praludziach myśli tak naprawdę o dzikich ludach żyjących współcześnie. Dowodem postępowej ewolucji jest dla nich fakt, że duża część rodzaju ludzkiego nie doświadczyła takiego postępu i nie ewoluowała wcale, a nawet nie uległa żadnym przemianom. Otóż nie zgadzam się z ich teorią zmienności; nie zgadzam się też z dogmatem o niezmienności pewnych zjawisk. Nie bardzo wierzę w to, że człowiek cywilizowany osiągnął tak wiele w tak krótkim czasie, a już zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego człowiek niecywilizowany miałby być tak tajemniczo nieśmiertelny i niezmienny. Wydaje mi się, że całe to zagadnienie wymaga nieco prostszego sposobu myślenia i mówienia. Współcześni dzicy nic mogą być dokładnie tacy sami jak ludzie pierwotni, gdyż nie są pierwotni. Współcześni dzicy nie są archaiczni, ponieważ są współcześni. Coś działo się z nimi tak samo jak z nami przez tysiące lat naszego istnienia i trwania na ziemi. Oni także musieli mieć doświadczenia i jakoś na nie

reagować, nawet jeśli nie odnosili z nich korzyści. Podobnie jak reszta z nas. Mieli jakieś swoje środowisko, w którym być może zachodziły zmiany, i zapewne przystosowywali się do nich we właściwy, zgodny z etykietą, ewolucyjny sposób. Rzecz miała by się tak samo, gdyby ich doświadczenia były niewielkie, a środowisko nudne, bo na człowieka wywiera wpływ nawet sam upływ czasu, gdy przyjmuje moralny wymiar monotonii. Wielu inteligentnych i dobrze poinformowanych ludzi uznaje jednak za równie prawdopodobne, że tym, czego doświadczyli dzicy, był upadek cywilizacji; Większość krytyków tego poglądu, зда- je się, nie może sobie wyobrazić, jak taki upadek miałby wyglądać. Niech niebiosy mają ich w swojej opiece, bo może wkrótce będą mogli się o tym przekonać. Zadowala ich stwierdzenie, że jaskiniowcy i mieszkańcy dziewiczych wysp mają pewne cechy wspólne, na przykład posługują się podobnymi narzędziami. Ale przecież już na pierwszy rzut oka wydaje się oczywiste, że plemiona z jakiegokolwiek powodu zmuszone do prymitywniejszego życia muszą mieć ze tobą wiek wspólny. Gdybyśmy stracili całą broń palną, zrobilibyśmy sobie łuki i strzały, ale nie oznaczałoby to, że stalibyśmy się pod każdym względem podobni do pierwszych ludzi, którzy je zrobili. Mówi się, że Rosjanie w czasie swojego wielkiego odwrotu mieli tak mało broni, iż walczyli kijami zdobytymi w lesie. Jednakże profesor z przyszłości myliłby się, przypuszczając, że rosyjska armia w 1916 r. była tak samo naga jak plemię Scytów, które nigdy nie wychynęło z lasu. Równie dobrze można by powiedzieć, że

drugie dzieciństwo człowieka jest dokładną kopią pierwszego. Niemowlę, co prawda, jest łyse tak samo jak starzec, ale tylko ktoś, kto nie wie nic o wieku niemowlęcym, mógłby przypuszczać, że ma ono także długą siwą brodę. Zarówno niemowlę, jak i starzec poruszają się z trudnością, ale rozczarowałby się ten, kto spodziewałby się zobaczyć starszego pana leżącego na plecach i radośnie wymachującego nogami.

Dlatego absurdem byłoby twierdzić, że pionierzy ludzkości z pewnością nic różnili się niczym od jej najbardziej pogrążonych w zastoje maruderów. Jest prawie na pewno kilka, a być może wiele, dzielących ich od siebie różnic czy wręcz zupełnych odwrotności. Przykładu na to zróżnicowanie, przykładu zasadniczego dla naszego toku rozumowania, dostarczy nam teoria istoty i pochodzenia rządów, już wcześniej przypisana przeze mnie panu H.G. Wellsowi i jego dobremu znajomemu, którego nazywa Starym. Jeśli wziąć pod uwagę suche fakty i dowody, jakie mamy na poparcie takiego właśnie portretu prehistorycznego wodza, moglibyśmy na usprawiedliwienie jego błyskotliwego i wszechstronnego autora powiedzieć tylko tyle, że widocznie zapomniał na chwilę o pisaniu dziejów ludzkości i uległ złudzeniu, że pisze Jedną ze swoich wspaniałych powieści fantastycznych. Ja w każdym razie nie potrafię sobie wyobrazić, skąd mógłby on wiedzieć, że prehistorycznego władcę nazywano Starym, i że dworska etykieta wymagała pisania tego tytułu wielką literą. Autor stwierdza dalej o tym możnowładcy: „Nikommu nie wolno było dotykać jego włóczni ani siadać na jego miejscu”. Jakoś

trudno mi uwierzyć, że odkopano gdzieś prehistoryczną włócznie z prehistoryczną przywieszką: „Proszę nie dotykać” albo zachowany w całości tron z inskrypcją: „Zarezerwowano dla Starego”. Można jednak przypuszczać, że autor, którego trudno posądzać o zwykłe zmyślanie, po prostu wziął za dobrą monetę ową bardzo wątpliwą paralełę między człowiekiem prehistorycznym i zcywilizowanym. Być może w niektórych dzikich plemionach wodza określa się mianem Starego i nikt nie może dotykać jego włócznie ani siadać na jego tronie. Być może otacza go wówczas aura przesądów i tradycyjnych lęków; być może jest on wówczas despotą i tyranem. Nie ma jednak najmniejszego dowodu na to, że pierwotne rządy również były despotyczne i tyrańskie. Oczywiście, mogły takie być, bo mogły być w ogóle jakiekolwiek albo żadne; na dobrą sprawę mogły w ogóle nie istnieć. Despotyzm w pewnych obdartych i rozkładających się plemionach dwudziestego wieku nie dowodzi, że pierwszymi ludźmi zarządzili despoci. Nie tylko tego nie dowodzi, ale nawet na to nie wskazuje; nie zaczyna nawet nic takiego sugerować. Jeśli możemy naprawdę udowodnić coś na podstawie historii, którą naprawdę znamy, to że despotyzm bywa etapem, często nawet późnym etapem rozwoju, a najczęściej jest końcem społeczeństw, które w przeszłości były bardzo demokratyczne. Despotyzm można by niemal zdefiniować jako zmęczoną demokrację. Gdy społeczeństwo staje się znużone, obywatele są mniej skłonni utrzymywać stałą czujność, którą słusznie nazwano ceną wolności, i wolą uzbroić tylko jednego wartownika, który pilnowałby miasta podczas ich

snu. To prawda, że czasem potrzebowali go także do przeprowadzenia jakiejś nagłej, wojskowej reformy. Prawdą jest również, że często on sam wykorzystywał pozycję jedyne go silnego, uzbrojonego człowieka i stawał się tyranem jak niektórzy sułtani na Wschodzie. Nie rozumiem jednak, dlaczego sułtan miałby się pojawić w dziejach ludzkości wcześniej od innych* Owszem, siła uzbrojonego człowieka wynika w sposób oczywisty z wysokiej jakości jego uzbrojenia, a uzbrojenie tego rodzaju pojawia się dopiero w bardziej rozwiniętych cywilizacjach. Jeden człowiek z karabinem maszynowym może zabić dwudziestu ludzi. Byłoby mu oczywiście trudniej dokonać takiego wyczynu, gdyby miał do dyspozycji tylko kawałek krzemienia. A co do powtarzanych obecnie frazesów o najsilniejszym człowieku, który rządził za pomocą postrachu i przemocy, jest to po prostu bajka o stugłowym olbrzymie. Dwudziestu ludzi dałoby radę najsilniejszemu w każdym społeczeństwie, starym czy nowym. Bez wątpienia w poetycznym, romantycznym sensie człowiek obdarzony największą siłą mógłby rzeczywiście cieszyć się podziwem, ale to już zupełnie inna rzecz: rzecz natury czysto moralnej czy nawet mistycznej, jak podziw dla kogoś nieskalanego czy najmądrzejszego. Jednakże okrucieństwa i zachcianki despoty potrafi znosić nie duch społeczeństwa młodego, ale starożytnego, osiadłego i, być może, zeszywniałego. Jak sama nazwa wskazuje, Stary rządzi postarzałą ludzkością.

Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że pierwotne społeczeństwo było bliskie czystej demokracji. Do dziś dnia stosun-

kowo proste społeczności wiejskie to ostoje demokracji w zdecydowanie najczystszej formie. Demokracja załamuje się zawsze w cywilizacjach skomplikowanych; jeśli się komuś podoba, może nawet ukuć stwierdzenie, że demokracja jest wrogiem cywilizacji. Musi jednak pamiętać, że niektórzy z nas naprawdę wolą demokrację od cywilizacji w tym sensie, że wolą demokrację od skomplikowania. W każdym razie rolnicy orzący swoje własne poletka mniej więcej w równości i zbierający się na bezpośrednie głosowanie pod drzewem na środku wsi, są najbardziej samorządnymi z ludzi. Wcale niewykluczone, że ten prosty ideał istniał w pierwotnej formie u jeszcze prymitywniejszych plemion. Wizja despotyzmu wydaje się doprawdy przesadzona nawet wówczas, gdy człowiekowi odmawia się człowieczeństwa. Nawet jeśli przyjąć założenia najbardziej materialistycznej ewolucji, nie ma powodu twierdzić, że człowiek nie cieszył się przynajmniej takim poczuciem koleżeństwa jak wrony albo szczury. Ludzie zapewne posiadali jakąś formę przywództwa, podobnie jak zwierzęta stadne; przywództwo jednak nie oznacza wcale irracjonalnego służalstwa, jakie przypisuje się poddanym Starego. Niewątpliwie ktoś pełnił wśród nich rolę, jak to ujął Tennyson, wrony liczącej sobie wiele zim, która wiedzie kraczące stado w domowe pielesze. Wydaje mi się jednak, że gdyby ten czcigodny ptak zaczął zachowywać się tak jak niektórzy sułtani w starożytnej, wynaturzonej Azji, stado zaczęłoby krakać naprawdę głośno, a licząca sobie wiele zim wrona nie dożyłaby następnej zimy. W tym kontekście można jeszcze dodać, że nawet wśród zwierząt cieszy się

szacunkiem coś zupełnie innego niż zwierzęca siła - choćby przywiązanie, które u ludzi nosi nazwę tradycji, albo doświadczenie, które u ludzi nosi nazwę mądrości. Nie wiem, czy wrony rzeczywiście lecą za najstarszą wroną, ale jestem pewien, że nie lecą za najsilniejszą. Jestem także przekonany, że nawet jeśli jakieś rytualne, starszeństwo każe dzikim czcić kogoś, kogo nazywają Starym, to nie mają oni przynajmniej tej służalczej sentymentalnej słabości dla kogoś, kogo my czcimy jako Silnego.

Można powiedzieć, że o pierwotnych rządach, podobnie jak o pierwotnej sztuce i religii, wiemy bardzo niewiele, a raczej tylko snujemy przypuszczenia. Dlatego równie dobrze możemy je uznać za tak powszechne, jak w bałkańskiej albo pirenejskiej wiosce lub równie kapryśne i skryte, jak władza tureckiego dywanu¹⁰. Zarówno demokracja górskiej wioski, jak i despotyzm wschodniego pałacu są współczesne w tym sensie, że istnieją obecnie, czyli są wytworem pewnej historii. Z nich dwóch jednak to pałac nosi więcej znamion nawarstwienia i zepsucia, wioska zaś o wiele więcej znamion pierwotności i trwania. Na razie jednak nie posunę się dalej niż do wyrażenia zdrowego powątpiewania na temat współczesnych poglądów. Wydaje mi się na przykład interesujące, że nawet pochodzenie liberalnych instytucji wywodzi się obecnie od barbarzyńców albo państw na niskim etapie rozwoju, o ile jest to korzystne dla jakiejś rasy, narodowości albo filozofii. I tak socjaliści głoszą, że ich ideał współ-

¹⁰ W Turcji osmańskiej - najwyższa rada państwa.

nej własności istniał w bardzo zamierzchłych czasach. Żydzi są dumni ze swoich jubileuszy i sprawiedliwszego podziału dóbr na mocy swego starożytnego prawa. Germanofile chełpią się śladami istnienia parlamentów, sądów przysięgłych i innych powszechnych instytucji wśród germańskich ludów północy. Celtofile i rzecznicy krzywd Irlandii bronią równości i sprawiedliwości systemu klanowego, o którym świadczyły rządy irlandzkich wodzów przed Strongbowem¹¹. Niektóre z tych twierdzeń są bardziej uzasadnione, inne mniej, skoro jednak coś przemawia za każdym z nich, podejrzewam, że wiele przemawia za ogólnym twierdzeniem, iż jakieś powszechne instytucje nie należały do rzadkości w dawnych, prostych społeczeństwach. Każda szkoła z osobna przyjmowała to założenie w celu udowodnienia konkretnej współczesnej teorii. Wszystkie razem jednak zdają się sugerować starszą i bardziej ogólną prawdę, a mianowicie, że prehistoryczne rady plemienia rządziły się czymś poza okrucieństwem i strachem. Każdy z teoretyków miał do upieczenia własną pieczeń, ale wystarczył mu ogień skrzesany krzemieniem, przez co przypadkiem udowodnił, że kawałek krzemienia był narzędziem równie republikańskim jak gilotyna.

W rzeczywistości jednak kurtyna podnosi się przed naszymi oczami, gdy sztuka trwa już w najlepsze. W pewnym sensie to prawdziwy paradoks, że istniała historia przed początkiem

¹¹Strongbow - Ryszard de Clare (ok. 1130-1176), hrabia Pembroke, w 1169 wylądował z wojskiem w Irlandii, opanował znaczną część wyspy; król Henryk II mianował go zarządcą Irlandii.

historii. Nie chodzi jednak o ów irracjonalny paradoks, jaki sugeruje określenie „historii prehistorycznej”- chodzi po prostu o historię, której nie znamy. Jest to zatem zupełne przeciwieństwo owej pretensjonalnej prehistorycznej odmiany historii, której zwolennicy twierdzą, że potrafią prześledzić konsekwentnie rozwój wszystkiego od ameby do antropoida i od antropoida do agnostyka. Nam jednak nic chodzi wcale o wiedzę na temat dziwacznych stworzeń i zupełnie niepodobnych do człowieka; prawdopodobnie byli to ludzie całkiem podobni do nas, tylko że nic o nich nie wiemy. Innymi słowy, najstarsze źródła, jakimi dysponujemy, pochodzą z czasów, kiedy człowiek dawno już był człowiekiem, i to człowiekiem cywilizowanym. Najstarsze źródła nie tylko wspominają o królach, kapłanach, książętach i powszechnych zgromadzeniach, ale uznają je za oczywistość; opisują społeczeństwa, które w przybliżeniu moglibyśmy nazywać społeczeństwami nawet w naszym rozumieniu tego słowa. Niektórymi z nich rządzą despoty, ale nie możemy stwierdzić, czy było tak od zawsze. Niektóre z nich, być może, wkraczały już w okres dekadencji, a niemal wszystkie przedstawiano jako wiekowe. Nie wiemy, co naprawdę działo się na świecie przed powstaniem dostępnych nam źródeł, ale odrobina wiedzy, jaką posiadamy, uchroniłaby nas przed zaskoczeniem, gdyby się okazało, że działy się wówczas rzeczy bardzo podobne do tych, które wydarzają się obecnie. Nie byłoby nic nielogicznego ani zdumiewającego w odkryciu, że nieznane nam epoki roiły się od republik, które upadały pod ciężarem monarchii, aby znów

odrodzić się jako republiki, albo imperiów, które rozrastały się i zdobywały kolonie, aby potem je stracić. Zapewne istniały wówczas królestwa, które to łączyły się w państwa światowe, to znów rozpadały na pojedyncze kraje, istniały zapewne klasy społeczne, które raz sprzedawały się w niewolę, a innym razem odzyskiwały wolność -jednym słowem, przetaczał się nieprzerwany korowód ludzkości, niemający może wiele wspólnego z postępem, ale na pewno z przygodą. Pierwsze rozdziały książki o tej przygodzie zostały jednak wyrwane i nigdy już nie będziemy mogli ich przeczytać.

Tak samo jest z jeszcze dziwniejszym urojeniem dotyczącym ewolucji i stabilności społecznej. Zgodnie z dostępnymi nam autentycznymi źródłami, barbarzyństwo i cywilizacja nie były kolejnymi etapami w dziejach świata. Były raczej stanami istniejącymi obok siebie, podobnie jak dziś. Cywilizacje istniały już wtedy, tak jak istnieją dzisiaj; dzicy istnieją dzisiaj, tak jak istnieli wtedy. Sugeruje się, że wszyscy ludzie przeszli przez etap życia koczowniczego. Pewne jest jednak, że niektórzy jeszcze z niego nie wyszli, a niewykluczone że są i tacy, którzy wcale wń nie wchodzili. Możliwe, że od najdawniejszych czasów osiadły oracz i wędrowny pasterz stanowili dwa różne typy człowieka, a ustawianie ich w porządku chronologicznym jest jedynie przejawem manii postępu, która w dużym stopniu zafałszowała już całą historię. Sugeruje się na przykład, że istniał etap komunizmu, w którym prywatna własność nie była w ogóle znana i cała ludzkość żyła z zanegowania własności; poszukiwanie dowodów

tej negacji przynosi jednak raczej negatywne rezultaty. Redystrybucja mienia, jubileusze czy prawa rolne pojawiały się w różnych okresach i najrozmaitszych formach, jednakże to, że ludzkość z pewnością przeszła przez etap komunizmu, wydaje się równie wątpliwe jak to, że nieuchronnie do niego powróci. Interesujące, przede wszystkim jako materiał dowodowy, jest to, że najśmielsze plany na przyszłość mają odwołanie do autorytetu przeszłości i że nawet rewolucjonista stara się przekonać samego siebie, iż jest zarazem reakcjonistą. Kolejnym zabawnym przykładem jest zjawisko zwane feminizmem. Mimo wszystkich pseudonaukowych plotek o małżeństwie przez uprowadzenie czy o jaskiniowcu bijącym swoją żonę maczugą, widać, że gdy tylko feminizm stał się ostatnim krzykiem mody; zaczęto dowodzić, iż ludzka cywilizacja była w swej najwcześniejszej fazie matriarchatem. A zatem wygląda na to, że to żona jaskiniowca nosiła maczugę. Tak czy inaczej wszystkie te pomysły nie są niczym innym, jak tylko domysłami, i jakoś dziwnie dzielą los wszystkich współczesnych teorii i trendów. W każdym razie nie są one częścią historii w sensie udokumentowanych faktów, i możemy jeszcze raz powtórzyć, że jeśli chodzi o udokumentowane fakty, to barbarzyństwo i cywilizacja istniały na świecie równocześnie. Cywilizacja czasem rozszerzała się i wchłaniała barbarzyńców, czasem degenerowała się do poziomu barbarzyństwa, a niemal zawsze posiadała w bardziej skomplikowanej formie pewne pojęcia i instytucje, które u barbarzyńców istniały w formie pierwotnej, takie jak rząd i władza społeczna, sztuki, zwłaszcza sztuki zdobnicze,

rozmaite tajemnice i tabu otaczające przede wszystkim sferę płci, a także pewną formę tego, co jest głównym tematem niniejszego rozważania, a mianowicie zjawiska zwanego religią.

Otóż Egipt i Babilon, owe dwa pradawne monstra, są jakby specjalnie wymyślane, by w tej kwestii posłużyć za model. Można je niemal nazwać sprawnym modelem, który wykazuje niesprawność współczesnych teorii. Dwie wielkie znane nam prawdy o tych dwóch wielkich kulturach są przypadkiem całkowitym zaprzeczeniem dwóch współczesnych błędów, które przed chwilą rozważaliśmy. Historia Egiptu jest jakby stworzona do tego, by udowodnić, że człowiek niekoniecznie zaczyna od despotyzmu, ponieważ jest barbarzyńcą, ale bardzo często skłania się do despotyzmu, ponieważ jest cywilizowany. Odkrywa despotyzm, bo jest doświadczony albo też - co często znaczy to samo - bo jest wyczerpany. Natomiast historia Babilonu jest jakby stworzona do wyciągnięcia morału, że człowiek niekoniecznie musi być koczownikiem albo komunistą, zanim stanie się rolnikiem i obywatelem, i że takie formy kultury nie zawsze są kolejnymi etapami rozwoju, natomiast często występują w sąsiadujących ze sobą krainach. Nawet w odniesieniu do tych dwóch wielkich cywilizacji, od których zaczyna się nasza historia, istnieje, rzecz jasna, pokusa nadinterpretacji albo zbyt dużej pewności siebie. Możemy czytać w ceglach Babilonu w zupełnie innym sensie, niż zgadujemy znaczenie kręgów na prehistorycznych kamieniach, i wiemy dokładnie, co oznaczały zwierzęta w egipskich hieroglifach, chociaż nie wiemy nic o zwierzętach z neolitycznej jaskini Ale

nawet godni podziwu archeologowie, którzy odczytali wiersz po wierszu cale kilometry hieroglifów, mogą mieć pokusę czytania między wierszami, a prawdziwy autorytet w dziedzinie historii Babilonu może zapomnieć, jak fragmentaryczna jest jego ciężko zdobyta wiedza i że Babilon odsłonił przed nim tylko pół cegły, chociaż pół cegły jest lepsze niż zupełny brak pisma klinowego. Jednakże z cienia Egiptu i Babilonu rzeczywiście wyłaniają się pewne prawdy - historyczne, a nie prehistoryczne, dogmatyczne, a nie ewolucyjne, faktyczne, a nie zmyślane, a wśród nich dwie wymienione przed chwilą.

Egipt to zielona wstążka nad rzeką na skraju martwej czerwonej pustyni. Przysłowie, i to bardzo starożytne, mówi, że stworzyła go tajemnicza obfitość i niemal złowroga hojność Nilu. Pierwszy raz słyszymy o Egipcjanach, gdy zamieszkują oni szereg nadrzecznych wiosek, tworząc małe i samodzielne, tle współpracujące ze sobą społeczności nad brzegami Nilu. Tam, gdzie rzeka rozgałęziała się w szeroką deltę, tradycyjnie zaczynał się region zamieszkiwany przez nieco inny typ ludzi, ale nie powinno to zaciemniać zasadniczego obrazu rzeczy. Te mniej więcej niezależne, choć współzależne plemiona już wówczas miały dość wysoką cywilizację. Miały one swoją heraldykę, czyli wykorzystywały sztuki zdobnicze do celów symbolicznych i społecznych: każde plemię pływało po Nilu pod własnym znakiem przedstawiającym ptaka albo zwierzę. Heraldyka wiąże się z dwoma niezwykle ważnymi dla normalnego człowieczeństwa rzeczami, których połączenie składa się na szlachetne zjawisko

współdziałania, będące podstawą istnienia wszystkich społeczności rolniczych i wszystkich wolnych plemion. Sztuka heraldyki oznacza niezależność; fantazja podpowiada znak, będący wyrazem indywidualności Teoria heraldyki oznacza współzależność; jest to umowa różnych grup co do rozpoznawania znaków, teoria wyobrażeń. Mamy tu zatem do czynienia z kompromisem współdziałania wolnych rodzin albo grup ludzkich, który jest dla ludzkości najnormalniejszym sposobem egzystencji i który ujawnia się szczególnie wyraźnie wśród ludzi mieszkających na własnej ziemi. Badacz mitologii na wzmiankę o wizerunkach ptaków i zwierząt wymamrocze niemal przez sen słowo „totem”. Z mojego punktu widzenia jednak większość kłopotów bierze się stąd, że mamrocze on takie słowa jakby przez sen. Od początku tego ogólnikowego szkicu starałem się, rzecz jasna z miernym skutkiem, pozostawać niejako we wnętrzu zjawisk i badać je, o ile to możliwe, w kategoriach myśli, a nie w kategoriach terminologii. Niewiele zyskamy, mówiąc o totemach, jeśli nie będziemy mieli wyobrażenia na temat odczuć związanych z posiadaniem totemu. To prawda, że oni posiadali totemy, a my ich nie mamy. Ale czy działało się tak dlatego, że bardziej bali się zwierząt, czy też dlatego, że zwierzęta były im bliższe? Czy człowiek, którego totemem był wilk, czuł się jak wilkołak czy jak ktoś, kto ucieka przed wilkołakiem? Czy czuł to samo co Wuj Remus¹² do Brata

¹² Narrator bajek zwierzęcych J.C. Harrisa, w których występują m.in. Brat Królik (Brer Rabbit), Brat Lis (Brer Fe*) i Brat Wilk (Brer Wolf).

Wilka, czy to, co św. Franciszek do swojego brata wilka, czy to, co Mowgli do swoich braci wilków? Czy totem był czymś w rodzaju brytyjskiego lwa czy raczej buldoga angielskiego? Czy oddawanie czci totemowi przypominało uczucia mieszkańców Syjamu do białego słonia czy uczucia dzieci do słonia Trąbalskiego? Nie przeczytałem ani jednej książki o folklorze, nawet bardzo uczonnej, która rzuciłaby światło na tę, według mnie, zdecydowanie najważniejszą kwestię. Ograniczę się zatem jedynie do powtórnego stwierdzenia, że między najstarszymi społecznościami Egiptu istniało porozumienie co do wizerunków oznaczających ich niezależne państewka i że ten zakres komunikacji jest prehistoryczny w tym sensie, iż na początku historii był już dobrze znany. Ale historia toczyła się i kwestia komunikacji stała się z czasem dla nadrzecznych społeczności kwestią, najważniejszą. Za potrzebą komunikacji szła potrzeba wspólnych rządów. I tak cień faraona rósł i wydłużał się coraz bardziej. Drugą, może nawet starszą niż monarchia siłą jednoczącą było kapłaństwo. To właśnie kapłani mieli prawdopodobnie najwięcej wspólnego z rytualnymi symbolami i sygnałami, którymi ludzie komunikowali się ze sobą. I oto w Egipcie dokonano najbardziej pierwotnego, a przynajmniej najbardziej modelowego wynalazku, któremu zawdzięczamy całą historię i rozróżnienie między historią a prehistorią: wynaleziono pierwotne pismo i sztukę piśmienniczą.

Pospolite wizerunki tych pradawnych imperiów nie są wcale w pospolitym guście. Spowija je cień wyolbrzymionej rozpacz, o wiele większej niż zwykły, a nawet zdrowy smutek

poganina. Jest to przejaw tego samego skrywanego pesymizmu, który z upodobaniem przedstawia pierwotnego człowieka jako istotę pełzającą po ziemi, o brudnym ciele i zastraszonej duszy. Bierze się to, rzecz jasna, z faktu, że ludźmi powoduje przede wszystkim ich własna religia, a zwłaszcza brak religii. Dla takich ludzi wszystko, co pierwotne i elementarne, musi być złe. Dziwnym trafem, chociaż załała nas powódź najdzikszych eksperymentów z dziedziny powieści przygodowych o ludziach pierwotnych, żadna z nich nie uchwyciła, na czym polega przygoda bycia pierwotnym człowiekiem. Opisywano w nich sceny wysane z palca, w których ludzie z epoki kamienia przypominali wyciosane z kamienia figury, a Asyryjczycy i Egipcjanie byli równie sztywni i malowani co ich najstarsze dzieła sztuki. Żaden z twórców tych wymyślonych scen nie próbował jednak sobie wyobrazić, jak czuł się człowiek, który rzeczy nam dobrze znajome postrzegał jako nowe. Żaden z nich nie widział człowieka, który odkrywał ogień, tak jak dziecko odkrywa fajerwerki. Żaden nie widział człowieka bawiącego się niezwykłym wynalazkiem, który my nazywamy kołem, tak jak chłopiec bawi się w budowanie stacji radiowej. Ich opisom młodości świata nigdy nie towarzyszył duch młodości, stąd w prymitywnych czy prehistorycznych zmyśleniach brakuje żartów. Brakuje nawet psikusów, jakie można było płatać dzięki nowym wynalazkom. Szczególnie wyraźnie widać to na przykładzie hieroglifów; istnieją bowiem poważne przesłanki po temu, by przypuszczać, że cała wzniosła ludzka sztuka pisanania zaczęła się od żartu.

Niektórzy bardzo się rozczarują, słysząc, że wszystko najwyraźniej zaczęło się od żartu słownego. Król czy też kapłan albo inny odpowiedzialny człowiek, chcąc wysłać wiadomość w górę rzeki w tym niewygodnie wąskim i długim kraju, wpadł, niczym ktoś bawiący się w Indian, na pomysł, by zapisać ją pismem obrazkowym. Jak większość osób, które dla zabawy próbowały posługiwać się talom pismem, przekonał się szybko, że słowa nie zawsze pasują do obrazków. Ale gdy stwierdził, że słowo oznaczające podatki brzmi podobnie do słowa oznaczającego świnie, śmiało narysował świnie jako kiepski kalambur, z nadzieją, że zostanie zrozumiany. Tak współczesny wynalazca hieroglifów mógłby przedstawić słowo „razowiec” jako pionowy liczebnik stojący przed stadkiem kudłatych zwierząt. Co wystarczyło faraonom, powinno wystarczyć i jemu. Pisanie, a nawet czytanie tych wiadomości w czasach, kiedy czytanie i pisanie było naprawdę nowością, musiało dostarczać świetnej zabawy. Skoro zatem ludzie muszą pisać powieści przygodowe o starożytnym Egipcie (a jak się wydaje ani modlitwy, ani łyzy, ani przekleństwa nie mogą powstrzymać ich od tego nawyku), proponuję, by umieszczali w nich sceny, które przypominałyby nam, że starożytni Egipcjanie byli istotami ludzkimi. Proponuję, by ktoś opisał scenę, w której wielki monarcha zasiada w otoczeniu swoich kapłanów i wszyscy pękają ze śmiechu, przerzucając się pomysłami, a królewska gra słów staje się coraz bardziej wymyślna i mniej uzasadniona. Równie ożywiona scena mogłaby przedstawiać moment odczytywania zaszyfrowanej wiadomości; domysły wskazówki i odkrycia dostarczyłyby takie-

go samego dreszczyku co popularne powieści detektywistyczne. Właśnie tak powinno się pisać powieści o pierwotnych ludziach i opisywać ich dzieje. Bez względu bowiem na jakość życia religijnego czy moralnego dawnych czasów, zainteresowania naukowe były wówczas zapewne bardzo ożywione. Słowa miały w sobie więcej cudowności niż telegraf bezprzewodowy, a doświadczenia z najzwyklejszymi rzeczami były jak seria elektrowstrząsów. Pełna życia opowieść o najdawniejszych czasach nadal czeka na swojego autora. Kwestię tę poruszam niejako na marginesie, choć z głównym tematem rozwoju politycznego wiąże ją pewna instytucja, która odegrała największą rolę w owej pierwszej i najbardziej fascynującej bajce z dziedziny nauki.

Uważa się, że większość wiedzy w tej dziedzinie zawdzięczamy kapłanom. Współczesnych pisarzy, takich jak pan Wells, trudno oskarżać o słabość do hierarchii kościelnej, uznają oni jednak przynajmniej wkład pogańskich kapłanów w rozwój nauki i sztuki. Wśród bardziej niedouczonej przedstawieli oświecenia panował niegdyś pogląd, że kapłani hamowali postęp we wszystkich epokach, a pewien polityk powiedział mi raz w dyskusji, że oponuję przeciw nowoczesnym reformom zapewne tak samo, jak starożytny kapłan oponował przeciw wynalazkowi koła. Odpowiedziałem mu, że jest o wiele bardziej prawdopodobne, iż starożytny kapłan sam je wynalazł. W każdym razie bardzo prawdopodobne jest, że starożytni kapłani ogromnie przyczynili się do wynalezienia sztuki pisanie. Ten oczywisty fakt jest potwierdzany nawet przez pokrewieństwo

słów „hieroglif” i „hierarchia”. Religią kapłanów egipskich był mniej lub bardziej zagmatwany politeizm, którego dokładniejszym opisem zajmiemy się gdzie indziej. Religia ta przechodziła różne etapy: najpierw wspierała króla, później została na jakiś czas zniszczona przez króla, który okazał się księciem wyznającym własną formę teizmu, a jeszcze później praktycznie zniszczyła króla i przejęła od niego ster rządów. Świat jednak winien jest jej wdzięczność za wiele zwyczajnych i niezbędnych rzeczy, a twórcom tych zwyczajnych rzeczy należy się miejsce wśród bohaterów ludzkości. Gdybyśmy byli prawdziwymi, zadowolonymi poganami, zamiast z niezadowoleniem i dość irracjonalnie reagować przeciwko chrześcijaństwu, oddalibyśmy może jakiś pogański hołd tym bezimiennym twórcom ludzkości. Moglibyśmy czcić tajemnicze posągi pierwszego człowieka, który rozpałił ogień, albo pierwszego człowieka, który zbudował łódź, albo pierwszego człowieka, który ujarzmił konia. I gdybyśmy nawet składali im w ofierze girlandy kwiatów, byłoby to o wiele rozsądniejsze niż oszpecanie miast pretensjonalnymi pomnikami zaśniedziałych polityków i filantropów. Jednym z dziwnych znamion potęgi chrześcijaństwa jest jednak to, że od czasu jego nadejścia żaden poganin w naszej cywilizacji nie mógł pretendować do miana kogoś naprawdę ludzkiego.

Rzecz w tym, że rząd egipski, czy to hieratyczny, czy rojalistyczny odczuwał coraz większą potrzebę komunikowania się z poddanymi, a komunikacja zawsze pociągała za sobą element przymusu. Można z powodzeniem udowodnić, że despotyzm

państwa egipskiego rósł w miarę rozwoju cywilizacji. Można by nawet powiedzieć, że despotyzm musiał rosnąć, by cywilizacja mogła się rozwijać. Jest to argument przytaczany na wszystkich etapach rozwoju dla uzasadnienia autokracji, i ciekawe, że jego ilustracje znajdujemy już na samym początku dziejów. Państwo jednak zdecydowanie nie było bardziej despotyczne na początku i nie stawało się bardziej liberalne z biegiem czasu; w praktyce przebieg wydarzeń był dokładnie odwrotny. To nieprawda, że historia plemienna zaczęła się od śmiertelnego strachu przed Starym, jego włóczęgą i tronem. Bardziej prawdopodobne jest — przynajmniej w Egipcie — że miejsce Starego zajmował tak naprawdę Młody, dysponujący bronią do zdobywania nowych warunków życia. Jego włóczęga stawała się coraz dłuższa, a tron wznosił się coraz wyżej, w miarę jak Egipt stawał się coraz bardziej skomplikowaną, kompletną cywilizacją. I właśnie to mam na myśli, gdy mówię, że historia terytorium Egiptu jest pod pewnym względem historią całej ziemi i zdecydowanie przeczy prostackiemu założeniu, że terroryzm może pojawić się tylko na początku, a nigdy na końcu dziejów. Nie wiemy, jakie było na samym początku położenie tej mniej lub bardziej feudalnej zbieraniny posiadaczy ziemskich, chłopów i niewolników zamieszkujących małe osady nad Nilem, ale być może tworzyli oni raczej powszechną wspólnotę rolników. Wiemy natomiast, że małe wspólnoty tracą swoją wolność przez doświadczenie i edukację, że władza absolutna jest czymś nie tylko starożytnym, ale także stosunkowo nowym, i że dopiero na końcu drogi zwanej postępek ludzie wracają do króla.

Egipt w tym, co wiemy o jego najdawniejszych początkach, jest ilustracją podstawowego problemu wolności i cywilizacji. Faktem jest, że ludzie zostają pozbawieni urozmaicenia, gdy wybierają zbyt skomplikowanie. Nam samym, podobnie jak Egipcjanom, nie udało się porządnie rozwiązać tego problemu, ale sugerowanie, że jedyną motywacją tyranii jest stosowanie plemiennego terroru, uwłacza ludzkiej godności. I podobnie jak przykład Egiptu podważa błędne przypuszczenia o cywilizacji i despotyzmie, tak przykład Babilonu podważa błędne mniemanie o cywilizacji i barbarzyństwie. Także o Babilonie słyszymy po raz pierwszy, kiedy jest on już państwem cywilizowanym, z tej prostej przyczyny, że nie możemy usłyszeć o czymś, co nie jest dość wykształconej by mówić. Babilon przemawia do nas za pośrednictwem czegoś, co nazywamy pismem klinowym: dziwacznej i sztywnej symboliki trójkątów tak różnej od malowniczego alfabetu egipskiego. Choć sztuka Egiptu jest stosunkowo sztywna, i tak różni ją wiele od ducha Babilonu, zbyt sztywnego, by w ogóle stworzyć jakąkolwiek sztukę. W liniach lotosu kryje się żywy wdzięk, natomiast w locie ptaków i strzał - pośpiech i sztywność. Kręty bieg rzeki ma w sobie coś okiełznanego, ale żywego, tak że mówiąc o wężu pradawnego Nilu, wyobrażamy sobie niemal sam Nil jako wielkiego węża. Cywilizacja Babilonu była raczej cywilizacją diagramów niż malowideł. Pan W.B. Yeats, którego wyobrażenia historyczna dorównuje mitologicznej (a bez tej drugiej pierwsza byłaby niemożliwa), słusznie pisał o ludziach, którzy obserwowali

gwiazdy „w swym pedantycznym Babilonie”¹³. Pismem klinowym ryto w cegle, z której zbudowana była cała babilońska architektura; cegły robiono z wypalanego błota, i być może ten materiał miał w sobie coś zbyt sprzecznego z wyczuciem formy, by tworzone z niego rzeźby albo reliefy. Cywilizacja Babilonu była statyczna, ale naukowa, mocno zaawansowana w ulepszaniu maszynerii życia i pod pewnymi względami bardzo nowoczesna. Powiadają, że panował w niej podobny do nowoczesnego kult wzniosłego staropanieństwa i że oficjalnie uznawano istnienie klasy niezależnych pracujących kobiet. W tej potężnej twierdzy z zakrzepłego błota jest coś, co przywodzi na myśl praktyczną krzątaninę wielkiego ula. Mimo swej wielkości Babilon był jednak całkiem ludzki; dostrzegamy w nim te same problemy społeczne co w starożytnym Egipcie albo współczesnej Anglii, i mimo swoich złych stron był on również jednym z najwcześniejszych arcydzieł człowieka. Zajmował, rzecz jasna, trójkąt utworzony przez niemal mityczne rzeki Tygrys i Eufrat, a olbrzymie obszary rolnicze, od których zależało życie miast całego imperium, zasilał opracowany naukowo system nawadniania. Tradycją Babilonu był wysoki poziom życia intelektualnego, choć było ono raczej filozoficzne niż artystyczne. Jego pierwotnych fundamentów strzegą postacie, które stały się niemal symbolem zapatrzonej w gwiazdy mądrości starożytnych - nauczyciele Abrahama, Chaldejczycy.

¹³ W.B. Yeats *Brzask*, przeł. Ludmiła Marjańska.

To solidne społeczeństwo, jak potężny nagi mur z cegieł, szturmowane było w ciągu wieków przez coraz to nowe bezimienne armie nomadów. Ci wylaniali się z pustyni, gdzie koczowniczy tryb życia istniał od początku i gdzie istnieje do dziś. Nie potrzeba rozwodzić się nad jego istotą; postępowanie za stadem, które zazwyczaj znajdowało sobie pastwiska, i życie ze zdobywanego w ten sposób mięsa i mleka było dla człowieka czymś oczywistym, a nawet dość prostym. Niewątpliwie taki sposób życia mógł zaspokoić niemal wszystkie ludzkie potrzeby, z wyjątkiem potrzeby domu. Wielu koczujących pasterzy mogło już w najdawniejszych czasach rozprawiać o wszystkich prawdach i zagadkach zawartych w Księdze Hioba. Z owych koczujących pasterzy wywodzili się Abraham i jego dzieci, dzięki którym współczesny świat nadal zмага się z nierozwikłaną tajemnicą niemal maniakałnego monoteizmu Żydów. Ten dziki lud nic znał się jednak na zawiłościach organizacji społecznej, przeciwko której kazał im niezmordowanie występować duch wiejący w ich sercach jak wiatr. Historia Babilonii jest w dużym stopniu historią obrony przed pustynnymi hordami, które nadciągały w odstępach jednego albo dwóch stuleci i zazwyczaj wycofywały się tak samo, jak przyszły. Niektórzy twierdzą, że z domieszki koczowniczych najeźdźców powstało w Niniwie aroganckie królestwo Asyryjczyków, którzy na swoich świątyniach rzeźbili olbrzymie potwory, brodate byki o skrzydłach cherubinów i którzy wysyłali na świat wielu wojskowych zdobywców, depczących go jakby ciężarem monstros-

alnych kopyt. Asyria była jednak imperialnym przerywnikiem i niczym więcej. Dzieje tej ziemi to przede wszystkim historia wojny pomiędzy koczowniczymi ludami i naprawdę zastygłym państwem. Zapewne już w czasach prehistorycznych, a na pewno później, koczownicy podążali na zachód, by niszczyć wszystko, co znaleźli na swojej drodze. Kiedy przyszli po raz ostatni, nie znaleźli już Babilonu, ale zdarzyło się to w czasach historycznych, a imię ich przywódcy brzmiało Mahomet.

Otóż warto na chwilę zatrzymać się nad tą historią dlatego że, jak już wspomniałem, zdecydowanie przeczy ona wciąż popularnemu przekonaniu, iż koczownictwo jest zjawiskiem prehistorycznym, a osadnictwo zjawiskiem stosunkowo nowym. Nie ma żadnego dowodu na to, że Babilończycy kiedykolwiek wędrowali. Bardzo niewiele świadczy też o tym, że plemiona pustynne kiedykolwiek się ustabilizowały. Jest nawet prawdopodobne, że teoria koczowniczego etapu rozwoju i następującego później etapu osadnictwa została już zarzucona przez szczerych, prawdziwych naukowców, których badaniom tak wiele zawdzięczamy. Nie mam jednak zamiaru spierać się w tej książce ze szczerymi, prawdziwymi naukowcami, tylko z rozległą niejasną opinią publiczną, która rozpowszechniła się przedwcześnie na podstawie pewnych niedoskonałych dociekań i która spopularyzowała fałszywy obraz całych dziejów ludzkości. Chodzi mi o niejasne wyobrażenie, że mała zmieniała się na drodze ewolucji w człowieka i w ten sam sposób barbarzyńca zmienił się w człowieka cywilizowanego, i że w związku z tym na każdym etapie

rozwoju mamy za sobą barbarzyństwo, a przed sobą cywilizację. Niestety, całe to wyobrażenie, dosłownie i w przenosi, jest zawieszone w próżni. Jest raczej atmosferą, w której ludzie żyją, niż twierdzeniem, którego chcieliby bronić. Tak nastawionych ludzi łatwiej przekonują fakty niż teorie, i dobrze by było, żeby ktoś - kto mówiąc albo pisząc, chce od niechcienia powołać się na to wyobrażenie - zatrzymał się na chwilę, zamknął oczy i zobaczył przed sobą olbrzymi i mgliście zatłoczony, niczym zaludnione urwisko, niezwyklej mur Babilonu.

Jedna sprawa na pewno kładzie się na nas cieniem tego starego muru. Rzut oka na oba pierwotne imperia ukazuje, że na początku stosunki wewnętrzne komplikowała w nich rzecz niezbyt ludzka, ale uważana za coś całkiem zwykłego. Wywołany jak dżin ciemnoskóry olbrzym zwany Niewolnictwem trudził się przy budowie olbrzymich dzieł z cegieł i kamienia. Jednak i tym razem nie powinniśmy zbyt łatwo przyjmować, że to, co wsteczne, było również bardziej barbarzyńskie. Co do zniesienia niewolnictwa, to niewola przed nim dawała pod pewnymi względami większe swobody niż niewola po nim; może nawet większe niż będzie dawała niewola w przyszłości. Wyżywienie ludzkości przez zmuszenie części z niej do pracy było w końcu rozwiązaniem bardzo ludzkim, i właśnie dlatego zapewne ktoś wpadnie na nie znowu. Starożytne niewolnictwo jest jednak pod pewnym względem znaczące. Jest ono przejawem podstawowej cechy całej starożytności przed Chrystusem - czegoś, co przyjmowano w niej od początku

do końca. Chodzi o znikomość jednostki wobec Państwa. Tak było zarówno w najbardziej demokratycznym polis Hellady i w despotycznym Babilonie. Jednym z przejawów tego ducha starożytności jest właśnie fakt, że istniała tak mało znacząca czy wręcz niewidzialna kategoria osób. Musiało to być normalne, bo było potrzebne do czegoś, co dziś nazwalibyśmy "służbą społeczeństwu". Ktoś powiedział: „Człowiek jest niczym, praca wszystkim”, wygłaszając to swobodnie jak wyświechtany aforyzm w stylu Carlyle'a¹⁴. Tak brzmiało złowrogie motto pogańskiego niewolniczego państwa. Pod tym względem jest nieco prawdy w tradycyjnej wizji olbrzymich kolumn i piramid wznoszonych pod odwiecznym niebem przez nieustanna prace niezliczonych bezimiennych ludzi, którzy pracowali jak mrówki, a umierali jak muchy, zmieceni z powierzchni ziemi przez dzieło własnych rąk.

Są jednak jeszcze dwa powody, dla których warto zacząć od tych dwu punktów oparcia; Egiptu i Babilonu. Po pierwsze, jako uosobienie starożytności, należą one do tradycji, a historia bez tradycji jest martwa. O Babilonie nadal śpiewa się piosenki, a Egipt (ze swoją niezliczoną rzeszą książąt oczekujących na reinkarnację) jest nadal tematem aż nazbyt licznych powieści. Tradycja jednak zazwyczaj nie mija się z prawdą, pod warunkiem, że jest wystarczająco powszechna, nawet gdyby była

¹⁴ Thomas Carlyle (1795-1881) - historyk i pisarz ang., znany z aforystycznego stylu oraz kontrowersyjnych poglądów popierających niewolnictwo.

tylko pospolita. Istnienie egipskiego i babilońskiego elementu w książkach i piosenkach nie jest bez znaczenia; nawet gazety, zazwyczaj tak spóźnione, zdążyły już zrelacjonować panowanie Tutenhamona. Pierwszy powód ma zatem wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem popularnej legendy; jest po prostu faktem, że o tych tradycyjnych zjawiskach wiemy więcej niż o wielu rzeczach współczesnych, i że zawsze tak było. Wszyscy podróżnicy, od Herodota do lorda Carnarvona, obierali tę samą trasę wędrówki. Co prawda, teorie naukowe dnia dzisiejszego przedstawiają mapę całego pierwotnego świata z zaznaczonymi przerywaną linią trasami migracji i obszarami mieszania się ras na tych terytoriach, które nieuczony średniowieczny kartograf z zadowoleniem określał jako *terra incognita* albo na których w dogodnym pustym miejscu malował smoka, by zaznaczyć, jakie przyjęcie, być może, czeka tam pielgrzymów. W najlepszym razie współczesne teorie są jednak tylko teoriami, a w najgorszym razie przerywane linie mogą być bardziej fantastyczne niż smok.

Jest tu, niestety, pewna pułapka, w którą wpadają z łatwością nawet ludzie najinteligentniejsi, a może zwłaszcza ci obdarzeni największą wyobraźnią. Pułapka ta polega na uznaniu, że skoro jakieś zjawisko jest większe od innych, to jest również ważniejsze, bardziej podstawowe i pewne. Jeśli jakiś człowiek mieszka w słomianej chatce w środku Tybetu, może usłyszeć od kogoś, że mieszka w cesarstwie chińskim, a trzeba przyznać, że cesarstwo chińskie jest rzeczą rozległą, wspaniałą i robiącą wielkie wrażenie. Z drugiej strony mógłby usłyszeć od kogoś innego,

że mieszka w imperium brytyjskim, i byłby pod równie wielkim wrażeniem. Ciekawą rzeczą jest jednak to, że w pewnych stanach świadomości człowiek ten będzie o wiele bardziej pewny chińskiego cesarstwa, którego nie widzi, niż swojej słomianej chatki, którą widzi. W jego głowie trwa jakaś magiczna zonglerka, która powoduje, że zaczyna on rozumowanie od cesarstwa, chociaż jego doświadczenie zaczyna się od chatki. Czasem człowiek ten odchodzi od zmysłów i zaczyna udowadniać, że słomiana chatka nie ma prawa istnieć na ziemiach Smoczego Tronu, że wysoka cywilizacja, która go otacza, nie dopuszcza istnienia nory, w której mieszka. Szaleństwo to jednak bierze się z założenia, że skoro Chiny stanowią większą i pojemniejszą hipotezę, muszą być czymś więcej niż hipotezą. Otóż współcześni ludzie stale przeprowadzają dowody tego rodzaju i stosują je do zjawisk o wiele mniej rzeczywistych i sprawdzonych niż cesarstwo Chin. Zapominają na przykład, że nawet co do istnienia systemu słonecznego człowiek nie może mieć takiej samej pewności, jaką ma co do istnienia South Downs¹⁵. System słoneczny to tylko wynik rozumowania, niewątpliwie prawdziwy, ale rzecz w tym, że ze względu na rozmiary systemu i jego olbrzymi zasięg człowiek przestał traktować go jako wniosek, a zaczął w nim widzieć podstawową zasadę. A przecież gdyby się przekonał, że jest to wniosek błędny, słońce, gwiazdy i lampy uliczne wyglądałyby

¹⁵ Wzgórza w pd. Anglii, u wybrzeży kanału La Manche, popularne miejsce pieszych wycieczek.

dokładnie tak samo. Człowiek jednak zdążył już zapomnieć, że ma do czynienia z wnioskiem i byłby niemal gotów zaprzeczyć istnieniu słońca, gdyby nie pasowało do systemu słonecznego. Jeśli taka pułapka czyha na nas nawet w przypadku faktów całkiem dobrze udowodnionych, takich jak system słoneczny czy chińskie cesarstwo, jest ona jeszcze bardziej niebezpieczna w odniesieniu do teorii i zjawisk, które tak naprawdę nigdy nie zostały udowodnione. I tak historycy, zwłaszcza historycy prehistorii, mają okropny zwyczaj zaczynania od pewnych uogólnień na temat ras. Nie będę opisywał chaosu i nieszczęścia, jakie to odwrócenie proporcji spowodowało we współczesnej polityce. Ponieważ rasa jest w jakiś niejasny sposób poprzedniczką narodu, ludzie zaczęli przemawiać tak, jakby naród był czymś mniej konkretnym od rasy. Ponieważ sami wynaleźli przyczynę, która tłumaczyłaby skutki, są gotowi niemal im zaprzeczyć, byle bronić przyczyny. Celta traktują jak aksjomat, Irlandczyka zaś jako spekulację. A potem są zdziwieni, że wielki ryczący Irlandczyk wścieka się na takie traktowanie. Nie potrafią zrozumieć, że Irlandczycy są Irlandczykami bez względu na to, czy są ludem celtyckim i czy w ogóle istnieli kiedykolwiek jacyś Celtowie, łanów tym, co wprowadza ich w błąd, jest wielkość wyznawanej przez nich teorii; wrażenie, że domysł jest większy od faktu. Wielka, rozproszona rasa celtycka podobno obejmuje Irlandczyków, a więc, rzecz jasna, samo istnienie Irlandczyków musi być od niej uzależnione. To samo zamieszanie wyeliminowało oczywiście naród angielski i niemiecki, zlawszy je w jedną rasę germańską.

Byli nawet tacy, co próbowali dowodzić, że skoro rasy są zgodne, narody nie mogą prowadzić ze sobą wojny. Przytaczam jednak te pospolite i banalne przykłady tylko przy okazji, jako bliższą nam próbkę tego samego błędu; nie chodzi przecież o to, jak przejawia się on w zjawiskach współczesnych, ale raczej w najbardziej starożytnych. Jednakże im odleglejsza i bardziej pozbawiona dowodów była kwestia rasowa, tym mocniej to dziwne, spaczone przekonanie zakorzeniało się w umysłach wiktoriańskich uczonych. Do dziś wychowanek tych samych tradycji naukowych przeżywa szok, jeśli ktoś kwestionuje zjawiska, które były jedynie spekulacjami, zanim on sam nie przerobił ich na podstawowe zasady. Nadal jest przekonany, że jest bardziej Aryjczykiem niż Anglosasem i bardziej Anglosasem niż Anglikiem. Nigdy tak naprawdę nie odkrył, że jest Europejczykiem, ale za to nigdy nie wątpił, że jest idnoeuropejczykiem. Wszystkie te wiktoriańskie teorie zmieniały dosyć często swój kształt i zakres, ale nawyk szybkiego przekuwania hipotezy w teorię, a teorii w twierdzenie, nadal nie wyszedł z mody. Ludziom niełatwo jest wyzbyć się pomieszanych pojęć, z których wnioskują, że podstawy historii na pewno są niewzruszone, pierwsze kroki pewne, a najszersze uogólnienia najbardziej oczywiste. I chociaż twierdzenie to może im się wydawać paradoksalne, ich przekonania są absolutnie sprzeczne z prawdą. Tylko wielkie rzeczy pozostają tajemnicze i niewidzialne, małe natomiast są oczywiste i przytłaczające.

Wszystkie rasy na ziemi stawały się przedmiotem takich spekulacji i nie sposób nakreślić tego tematu choćby w zarysie.

Wystarczy jednak wziąć pod uwagę rasę europejską, by stwierdzić, że jej historia, a raczej prehistoria, przechodziła wiele retrospektywnych rewolucji nawet w tak krótkim okresie jak moje dotychczasowe życie. Najpierw nazwano ją rasą kaukaską; w dzieciństwie czytałem opis jej zderzenia z rasą mongolską, piorą Breta Harte'a, zaczynający się od pytania: „Czy to już koniec kaukaskiego człowieka?”- Najwyraźniej był to jego koniec, bo wkrótce zmienił się on w człowieka indoeuropejskiego, którego przedstawia się czasem, co przyznaję z żalem, jako człowieka indogermańskiego. Okazało się, że Hindusi i Niemcy mają podobne słowa na określenie ojca lub matki i że jest więcej takich podobieństw między sanskrytem a językami Zachodu. I nagle wszystkie powierzchowne różnice między Hindusem a Niemcem jakby się rozwiały. Tę złożoną osobę określano przeważnie wygodniejszym mianem Aryjczyka, którego najważniejszym dokonaniem było to, że wywędrował kiedyś na zachód z wyżynnych krain Indii, gdzie nadal można znaleźć fragmenty jego mowy. Kiedy czytałem o tym jako dziecku, pomyślałem sobie, że Aryjczyk niekoniecznie pomaszerował na zachód, zostawiwszy język za sobą; równie dobrze mógł pomaszerować na wschód i przynieść tam swój język. Gdybym przeczytał o tym teraz, ograniczałbym się do wyznania całkowitej ignorancji. Przeczytanie o tej teorii byłoby jednak trudne, bo już się o niej nie pisze. Wygląda na to, że nadszedł także kres Aryjczyka. W każdym razie zmienił on imię, adres zamieszkania, trasę pochodzenia, a nawet punkt wyjścia. Jedną z nowych te-

orii głosi, że nasza rasa nie dotarła do swojego obecnego miejsca zamieszkania ze wschodu, ale z południa. Niektórzy dowodzą, że Europejczycy nie przybyli z Azji, tylko z Afryki. Są i tacy, którym przyszło do głowy, że Europejczycy przybyli z Europy, a raczej, że wcale jej nie opuszczali.

Mamy także sporo dowodów, że istniał bardziej lub mniej prehistoryczny napór z północy, jak ten, który sprawił, że Grecy odziedziczyli kulturę kreteńską, albo ten, który tak często sprowadzał Galów zza gór na niziny Italii. Wspominam jednak o europejskiej etnologii tylko po to, by wykazać, że uczeni zdążyli już do tej pory zupełnie zmienić kurs i że ja, który nie udaję uczonego, nie mogę nawet udawać, że rozumiem, w czym ich poglądy nie zgadzają się ze sobą. Potrafię jednak użyć zdrowego rozsądku i czasem mam wrażenie, że ich zdrowy rozsądek zardzewiał z powodu długiej beczynności. Pierwszą funkcją zdrowego rozsądku jest odróżnienie obłoku od góry. Dlatego będę twierdził uparcie, że nikt z nas nie wie o istnieniu tych zjawisk w taki sam sposób, w jaki wiemy o istnieniu piramid w Egipcie.

Powtórzmy raz jeszcze, że tym, co naprawdę widzimy, w odróżnieniu od tego, czego możemy uczciwie się domyślać, w tej najwcześniejszej fazie historii jest ciemność spowijająca ziemię i gęsty mrok okrywający ludy, w którym pełgające światło rozjaśnia tu i ówdzie przypadkowe poletka ludzkości, i że dwa z tych ognisk płoną na murach wyniosłych pradawnych miast: na wysokich tarasach Babilonu i olbrzymich piramidach

nad Nilem. W najdalszych zakątkach tego rozległego pustkowi nocy płoną też inne światła - starożytne albo takie, których starożytność można udowodnić. Daleko na wschodzie istnieje wysoko rozwinięta i bardzo starożytna cywilizacja Chin, szczątki innych cywilizacji znaleziono w Meksyku, w Ameryce Południowej i w innych miejscach; niektóre z nich, zdaje się, były tak rozwinięte, że osiągnęły najbardziej wyrafinowane formy kultu szatana. Zasadniczą różnicę stanowi tu jednak element tradycji. Tradycja tych zagubionych kultur została przerywana, a chociaż tradycja Chin nadal istnieje, wątpliwe jest, czy cokolwiek naprawdę o niej wiemy. Co więcej, człowiek, który stara się określić starożytny wiek Chin, musi dostosować się do chińskich tradycji mierzenia czasu, a wtedy doznaje dziwnego wrażenia, że znalazł się nagle w innym świecie, rządzącym się innymi prawami czasu i przestrzeni. Czas rozciąga się wstecz, a stulecia kroczą wolno i sztywno niczym całe epoki. Biały człowiek, który stara się zobaczyć czas z perspektywy żółtego człowieka, czuje zawroty głowy i zastanawia się, czy nie rośnie mu już chiński warkoczek. Nijak nie może przyjąć za naukową tej dziwnej perspektywy, która ukazuje pradawną pagodę pierwszych Synów Niebios. Znalazł się na prawdziwych antypodach, w jedynym świecie naprawdę przeciwnym względem chrześcijańskiego świata, i w pewnym sensie musi chodzić do góry nogami. Mówiłem już o średniowiecznym kartografie i jego smoku, ale jaki średniowieczny podróżnik, choćby zafascynowany potworami, spodziewałby się odkryć kraj, w którym

smoka uważa się za dobrodusznego i przyjaznego zwierzę? O najważniejszych stronach chińskiej tradycji będzie jeszcze mowa gdzie indziej, tu chodzi mi jedynie o samą tradycję i sprawdzian starożytności. wspominał o Chinach jedynie jako o starożytnej kulturze, z którą nie łączy nas pomost tradycji, w przeciwieństwie do starożytnych kultur Egiptu i Babilonu. Herodot jest dla nas istotą ludzką w takim sensie, w jakim Chińczyk w meloniku siedzący naprzeciwko nas w londyńskiej herbaciarni nigdy nie będzie ludzki. Mamy wrażenie, że znamy uczucia Dawida i Izajasza w takim sensie, w jakim nigdy nie bylibyśmy pewni uczuć Li Hung Czanga¹⁶. Grzechy, które przyczyniły się do porwania Heleny i Batszeby, weszły w przysłowie jako przykłady osobistej ludzkiej słabości, tragizmu czy wręcz przebaczenia. Natomiast u Chińczyków nawet cnoty mają w sobie coś przerażającego. Taka jest różnica, którą wprowadza obecność lub brak ciągłości historycznego dziedzictwa, takiej jak ta, która łączy starożytny Egipt i współczesną Europę. Jeśli jednak spytamy o to, jaki świat jest naszym dziedzictwem i dlaczego akurat te, a nie inne osoby i miejsca wydają się nam bliskie, dojdziemy do centralnego faktu historii cywilizacji.

Centrum tym było Morze Śródziemne - pojmowane nie jako zbiornik wodny, lecz jako świat. Świat ten miał jednak w sobie coś, co upodabniało go do takiego właśnie zbiornika,

¹⁶ Twórca pierwszej nowoczesnej armii i marynarki chińskiej, budowniczy pierwszej linii kolejowej w Chinach.

bo z biegiem czasu spływały do niego coraz liczniejsze strumienie obcych i bardzo zróżnicowanych kultur. Zarówno Nil, jak i Tyber wpadają do Morza Śródziemnego, podobnie jak kultura egipska i etruska zasilają śródziemnomorską cywilizację. Blask wielkiego morza docierał naprawdę bardzo daleko w głąb lądu, tak że poczucie jedności łączyło zarówno samotnych Arabów na pustyni, jak i Galów za północnymi górami. Stopniowe budowanie wspólnej kultury okrążającej wszystkie brzegi wewnętrznego morza było głównym zajęciem starożytności. Jak zobaczymy, bywało to czasem niegodziwe, a czasem godziwe zajęcie. W tym *orbis terrarum*, czyli kręgu ziem, można było spotkać skrajne przykłady zła i pobożności, spotykały się tu najróżniejsze rasy i jeszcze różniejsze religie. Był on sceną ciągłego zmagania między Europą i Azją, od nocy perskich statków pod Salaminą aż po ucieczkę tureckich okrętów pod Lepanto. Był on także sceną, czym szczegółowo zajmiemy się później, zacieklego zmagania między dwoma typami pogaństwa, które spoglądały ku sobie z łacińskich i fenickich miast, z rzymskiego forum i punickiego jarmarku. Był to świat wojny i pokoju, dobra i zła, wszystkiego, co liczy się najbardziej, z całym szacunkiem dla Azteków, Mongołów i Dalekiego Wschodu - tamte kultury nigdy nie liczyły się tak, jak kultura śródziemnomorska liczyła się dawniej, a nawet liczy do dziś. Między Morzem Śródziemnym a Dalekim Wschodem istniały, rzecz jasna, najróżniejsze kultury i były dokonywane rozmaite podboje, mniej lub bardziej związane ze śródziemnomorską kulturą i - proporcjonalnie do siły tego związku - mniej lub

bardziej zrozumiałe dla nas. Persowie nadciągnęli, by położyć kres potędze Babilonu, a z greckiej opowieści dowiadujemy się, jak ci barbarzyńcy nauczyli się napinać łuk i mówić prawdę. Aleksander, wielki Grek, pomaszerował ze swymi Macedończykami ku wschodowi słońca i przywiózł stamtąd dziwne ptaki w kolorach chmur o świtaniu, nieznane kwiaty i klejnoty z ogrodów i skarbów bezimiennych królów. Islam także wyprawiał się na Wschód, czyniąc tamtejszy świat bardziej dostępnym dla naszej wyobraźni - sam przecież narodził się w kręgu ziem otaczających nasze starożytne rodzinne morze. W średniowieczu imperium Mongołów zwiększyło swoją potęgę, nie tracąc na tajemniczości. Tatarzy podbili Chiny i, zdaje się, nie zostali specjalnie zauważeni przez Chińczyków. Wszystkie te zjawiska są interesujące same w sobie, nie można jednak przenieść środka ciężkości z wewnętrznego morza Europy na wewnętrzne równiny Azji. Ostatecznie, gdyby na świecie nie istniało nic poza tym, co powiedziano, uczyniono, napisano i zbudowano na ziemiach otaczających Morze Śródziemne, byłby to nadal, ze wszystkim, co żywotne i cenne, świat, w którym żyjemy. Kultura Południa, rozszerzając się na północny wschód, zrodziła wiele zdumiewających zjawisk, z których niewątpliwie my sami jesteśmy najbardziej zdumiewającym. Potem rozszerzała się dalej na kolonie i nowe kraje, nadal pozostając tą samą kulturą, o ile zasługiwała na to miano. Ale wokół owego małego, przypominającego jezioro morza - poza wszystkimi rozwinięciami, echem i komentarzami dotyczącymi zjawisk - skupiały się zjawiska same w sobie: Kościół i republika, Biblia

i poematy epickie, Izrael, islam i wspomnienia zaginionych imperiów, Arystoteles i miara wszechrzeczy. Właśnie dlatego, że pierwsze światło, jakie jaśnieje w tym świecie, jest naprawdę światłem, jasnym światłem dnia, w którym chodzimy do dzisiaj, a nie wątpliwą poświatą zmiennych gwiazd, zdecydowałem się zacząć od miejsca, gdzie światło to pada po raz pierwszy na wschodzie na wieże śródziemnomorskich miast.

Ale mimo że Babilon i Egipt rzeczywiście w pewnym sensie zasługują na pierwszeństwo, ponieważ są nam bliskie i znane z tradycji, a także dlatego, że stanowiły fascynujące zagadki zarówno dla nas, jak i dla naszych ojców, nie wolno nam przypuszczać, że były to jedyne stare cywilizacje nad południowym morzem, albo że wszelka cywilizacja była albo sumeryjska, albo semicka, albo koptyjska, a tym mniej azjatycka albo afrykańska. Rzetelne badania wywyższają coraz bardziej starożytną kulturę Europy, zwłaszcza tę, którą możemy w przybliżeniu nadal nazywać grecką. Trzeba zrozumieć, że istnieli Grecy przed Grekami, podobnie jak w wielu ich mitach istnieli bogowie przed bogami. Wyspa Kreta była ośrodkiem kultury zwanej dziś minojską, od Minosa, który zamieszkiwał starożytne legendy i którego labirynt został rzeczywiście odkryty przez archeologów. To wysoko rozwinięte europejskie społeczeństwo, ze swymi portami, kanalizacją i urządzeniami użytku domowego, upadło, jak się wydaje, pod naporem inwazji północnych sąsiadów, którzy stworzyli albo odziedziczyli Helladę, jaką znamy z historii. Owa wcześniejsza epoka, zanim się skończyła, zdążyła jednak

dać światu dary tak wielkie, że od tamtej pory świat na próżno stara się za nie odplacić, choćby przez naśladownictwo.

Gdzieś na wybrzeżu jońskim naprzeciw Krety i innych wysp znajdowało się miasteczko, które zapewne dziś nazwalibyśmy wioską albo osadą otoczoną murem. Nosiło nazwę Ilion, ale potem przemianowano je na Troję i imię to nigdy nie zginie z powierzchni ziemi. Poeta, który, być może, był żebrakiem i wędrownym balladzystą, który, być może, nie umiał czytać i pisać, zapamiętany przez tradycję jako ślepiec, stworzył poemat o Grekach wyruszających na wojnę z tym miastem, aby odbić najpiękniejszą na świecie kobietę. To, że najpiękniejsza kobieta na świecie mieszkała w tak nędznej mieścinie, brzmi jak legenda, ale to, że najpiękniejszy poemat na świecie został napisany przez kogoś, kto nie znał nic większego od takich mieścin, jest faktem historycznym. Powiadają, że poemat ten powstał pod koniec epoki, że prymitywna kultura wydała go na świat, będąc już w fazie rozkładu. Jeśli to prawda, warto byłoby poznać tę kulturę w pełni rozkwitu. W każdym razie jest prawdą, że ten właśnie wiersz, nasz pierwszy poemat, mógłby z powodzeniem być również ostatnim. Mógłby on z powodzeniem być nie tylko pierwszym, ale i ostatnim słowem, które człowiek miał do powiedzenia o swoim śmiertelnym losie, widzianym jedynie z punktu widzenia śmiertelnika. I jeśli świat spoganieje i zginie, ostatni żyjący człowiek postąpi słusznie, jeśli zacytuje *Iliadę*, i umrze.

W tym wielkim ludzkim objawieniu starożytności jest także inny element o wielkiej wadze historycznej; element,

któremu, moim zdaniem, nic przyznano jak dotąd należytego miejsca w historii. Poeta tak skonstruował swój utwór, że przypuszczalnie jego własne sympatie, a niewątpliwie sympatie jego czytelników leżą nie po stronie zwycięzców, lecz zwyciężonych. To uczucie potęguje się w tradycji poetyckiej w miarę, jak jego poetyckie źródło oddala się w czasie. Achilles cieszył się w czasach pogańskich sławą półboga, ale w czasach późniejszych zniknął zupełnie. Za to Hektor rósł coraz bardziej wraz z upływem stuleci; to jego imię nosił jeden z Rycerzy Okrągłego Stołu, i jego miecz legenda włożyła w dłoń Rolanda, który zadawał razy bronią pokonanego Hektora w ostatniej rozpaczliwej i chwalebnej chwili własnej klęski. To imię zapowiada wszystkie porażki, przez jakie miały przejść nasza rasa i religia; zapowiada przetrwanie setek przegranych, stanowiących o ich wielkości.

Opowieść o końcu Troi nigdy się nie skończy, wywyższona na zawsze i brzmiąca żywym echem, nieśmiertelna jak nasza rozpacz i nadzieja. Troja, dopóki istniała, była małym miastem, które mogło stać bezimienne przez wieki. Ale Troja w chwili upadku zapłonęła ogniem i zastygła w nieśmiertelnej chwili zniszczenia, a ponieważ zginęła od ognia, jej płomień nigdy nie zgaśnie. Rzecz ma się podobnie z bohaterem jak z miastem; tam właśnie rysuje się starożytną linią w pradawnym półmroku postać pierwszego Rycerza. Dziwnym zbiegiem okoliczności jego tytuł ma znaczenie prorockie; mówiliśmy już o słowie „kawaler” i o tym, jak stapia ono jeźdźca i konia. Słowo to zostało

niemał zapowiedziane na wiele wieków wcześniej przez grzmot homeryckiego heksametru i to długie, rozedrgane słowo, które zamyka *Iliadę*. Tej jedności nie możemy nazwać inaczej niż świętym centaurem rycerskości. Są jednak i inne powody, dla których w tym pobieżnym szkicu o starożytności znalazł się płomień znad świętego miasta. Świętość takich miast ogarniała jak pożar północne wybrzeża i wyspy Morza Śródziemnego - sława umocnionej osady, za którą umierali bohaterowie. Znikomość miejsciny stanowiła o wielkości jej obywatela. Hellada z jej setką posągów nie stworzyła nic bardziej posagowego niż ten żywy posąg, ideał panującego nad sobą człowieka. Hella-da o setkach posągów miała jedną legendę i literaturę, i cały labirynt małych ufortyfikowanych państweczek rozbrzmiewał lamentem po upadku Troi.

Młodsza legenda, dodana później, ale nieprzypadkowo, mówiła o niedobitkach z Troi, którzy założyli republikę na wybrzeżu Italii. To, że republikańska cnota miała takie korzenie, doskonale pasuje do jej ducha. Zagadka honoru, niezrodzona z Babilonu ani z egipskiej pychy, lśniła tam jak tarcza Hektora, rzucając wyzwanie Azji i Afryce, aż zajaśniał nowy dzień, nadleciały orły i zabrzmiało imię jak grom, a świat obudził się w Rzymie.

IV BÓG

I RELIGIOZNAWSTWO PORÓWNAWCZE

Zwiedzałem kiedyś rzymskie fundamenty starożytnego brytyjskiego miasta, pod kierunkiem profesora, który powiedział coś, co wydaje mi się niezłą satyrą na wielu innych profesorów. Być może profesor sam znał się na żartach, chociaż zachował kamienną powagę, i być może zdawał sobie sprawę, że jego żart podważa dużą część tego, co nazywa się religioznawstwem porównawczym. Zwróciłem jego uwagę na rzeźbioną podobiznę słońca w tradycyjnej koronie promieni, wyróżniającą się tym, że twarz na tarczy nie była chłopcą jak twarz Apolla, lecz brodata niczym oblicze Neptuna czy Jupitera. „Tak - powiedział profesor z dyskretną precyzją - ta rzeźba uznawana jest za przedstawienie miejscowego boga Sula. Największe autorytety utożsamiają Sula z Minerwą, jednak to przedstawienie przytacza się na dowód, że identyfikacja ta nie jest całkowita”.

Oto potężne niedopowiedzenie co się zowie. Współczesny świat jest bardziej szalony niż wszelkie satyry na jego

temat; dawno temu pan Belloc¹⁷ kazał akademikowi w burlesce twierdzić, że zgodnie z najnowszymi badaniami popiersie Ariadny przedstawia Sylena, ale prawdziwe pojawienie się Minnerwy w roli kobiety z brodą z pokazu pana Barnuma¹⁸ przebija nawet ten żart. Natomiast oba są bardzo podobne do utożsamień, jakich dokonują „największe autorytety” religioznawstwa porównawczego, dlatego gdy dogmaty katolickie identyfikowane są z najróżniejszymi szalonymi mitami, nie śmieję się, nie przeklinam i nie tracę manier; ograniczam się jedynie do uprzejmego stwierdzenia, że identyfikacja ta nie jest całkowita.

W czasach mojej młodości mianem Religii Ludzkości powszechnie określano filozofię Comte'a - teorię pewnych racjonalistów, którzy jako Istotę Najwyższą czcili ludzką zbiorowość. Już wtedy uważałem, że jest odrobinę dziwne darzyć pogardą i odrzucać jako tajemniczą, a nawet szaloną sprzeczność doktrynę Trójcy Świętej, a potem kazać nam bez mieszania osób i rozdzielania substancji adorować jedno bóstwo w stu milionach osób.

Istnieje jednak inna rzeczywistość, mniej lub więcej definiowalna i łatwiejsza do wyobrażenia niż wielogłowy, monstrualny idol ludzkości. I to ona ma o wiele bardziej uzasadnione

¹⁷ Hilaire Belloc (1870-1953) - katolicki pisarz angielski francuskiego pochodzenia, autor poezji, sztuk, powieści satyrycznych, publicysta.

¹⁸ P.T. Barnum (1810-1891) - słynny amerykański showman, twórca muzeum i pokazów osobliwości (często fałszywych), z którymi objechał całą Amerykę i Europę.

prawo mienić się religią ludzkości. Człowiek w istocie nie jest idolem, ale prawie zawsze jest idolatrą. Otóż te niezliczone idolatrie ludzkości są pod wieloma względami bardziej ludzkie i swojskie niż współczesne abstrakcje metafizyki. Jeśli jakiś azjatycki bóg ma trzy głowy i siedem ramion, to odzwierciedla to przynajmniej ideę wcielenia, która nie oddala od nas nieznanej mocy, ale ją przybliża. Gdyby natomiast nasi przyjaciele Brown, Jones i Robinson zostali podczas niedzielnej przechadzki przemienieni na naszych oczach w azjatyckie bóstwo, z pewnością nie wydaliby się nam bardziej bliscy. Gdyby wyrastające z jednego ciała ramiona Browna i nogi Robinsona wymachiwały na wszystkie strony, mielibyśmy raczej wrażenie, że machają nam smutno na pożegnanie. I gdyby trzech dżentelmeni, których głowy wyrastają na jednej szyi, obdarzyli nas uśmiechem, nie wiedzielibyśmy nawet, jakim imieniem zwrócić się do naszego nowego, dość osobliwego przyjaciela. W wielogłowym i wieloramiennym bóstwie Orientu jest przynajmniej jakieś przeczucie tajemnic, które choć trochę zyskują na zrozumiałości - bezkształtnych sił natury, przyjmujących mroczną, lecz materialną formę. To jednak, co jest prawdą w odniesieniu do wielokształtnego boga, nie jest prawdą w odniesieniu do wielokształtnego człowieka. Istoty ludzkie stają się mniej ludzkie, gdy tracą na odrębności; można by rzec, że stają się mniej ludzkie, gdy przestają być osamotnione. Osoby ludzkie mniej odizolowane stają się mniej zrozumiałe; można powiedzieć zgodnie z prawdą, że im bardziej do nas się zbliżają, tym wydają nam się

dalsze. W „Śpiewniku etycznym” owej humanitarnej religii znalazły się troskliwie wybrane hymny, okrojone zgodnie z zasadą zachowania wszystkiego co ludzkie i usunięcia wszystkiego co Boskie. W konsekwencji jeden ze znanych hymnów ukazał się w poprawionej wersji: „Bliżej Ciebie, o Ludzkości, Bliżej Ciebie”¹⁹. To zdanie przypomina mi zawsze wrażenia pasażera podróżującego na stojąco w zatłoczonym metrze. Jest rzeczą zadziwiającą i niezwykłą, jak odległe mogą nam się wydawać dusze ludzi, gdy ich ciała znajdują się aż tak blisko nas.

Ta jedność ludzkości, o jakiej chcę mówić, nie powinna być mylona ze współczesną przemysłową monotonią i spędem, który jest bardziej tłumem niż komunią. Jest to raczej coś, ku czemu grupy ludzkie pozostawione same sobie, a nawet jednostki ludzkie pozostawione same sobie dążą siłą instynktu, który można nazwać instynktem prawdziwie ludzkim. Zjawisko to, podobnie jak wszystko co zdrowe i ludzkie, wykazuje w ramach ogólnej charakterystyki olbrzymie zróżnicowanie; taki bowiem jest charakter wszystkiego, co należy do starożytnej krainy wolności poprzedzającej i otaczającej przemysłowe miasto niewolników. Industrializm chełpi się, że produkuje wszystko według jednego wzoru; że ludzie na Jamajce albo w Japonii mogą po złamaniu takiej samej pieczęci pić taką samą kiepską whisky i że człowiek aa biegunie północnym, tak jak drugi na

¹⁹ Aluzja do wiktoriańskiej pieśni religijnej *Nearer, my God, to Thee, nearer to Thee* („Bliżej Ciebie, mój Boże, bliżej Ciebie”).

południowym, może rozpoznać taką samą optymistyczną etykietkę na takiej samej wątpliwej konserwie z łososia. Natomiast wino, dar bogów dla ludzi, potrafi zmieniać się z każdą doliną i każdą winnicą, może być setką różnych win, ani razu nie przypominając whisky, tak jak sery zmieniają się w zależności od regionu i w żadnym nie przypominają kredy. Gdy zatem mówię o tym zjawisku, mówię o czymś, co bez wątpienia zawiera bardzo znaczne różnice, a mimo to będę twierdził, że jest to tak naprawdę jedno i to samo. Będę twierdził, że całe współczesne zamieszanie wynika w większości z braku uświadomienia sobie, że jest to tak naprawdę jedno i to samo. Wysunę hipotezę, że nim zaczniemy mówić o religioznawstwie porównawczym i rozmaitych założycielach religii na świecie, pierwszą i najważniejszą sprawą jest rozpoznać to coś jako całość, jako coś niemal wrodzonego i prawidłowego dla tej wielkiej wspólnoty, którą nazywamy ludzkością. Tym czymś jest pogaństwo, ja zaś mam zamiar dowieść, że stanowi ono jedyną prawdziwą konkurencję dla Kościoła Chrystusa.

Religioznawstwo porównawcze jest tak naprawdę religioznawstwem względnym. Tak wiele zależy w nim od stopnia, odległości i różnicy, że odnosi ono względny sukces tylko wtedy, gdy dokonuje się za jego pomocą porównań. Gdy przyjrzymy się temu z bliska, zobaczymy, że porównywane rzeczy są w istocie absolutnie nieporównywalne. Przyzwyczailiśmy się już do widoku tabel czy katalogów, w których największe religie świata figurują w przystających do siebie kolumnach, i zaczęło

nam się wydawać, że religie te są rzeczywiście do siebie przystające. Przyzwyczailiśmy się do stawiania w jednym rzędzie imion wielkich założycieli religii: Chrystusa, Mahometa, Buddy, Konfucjusza. Tak naprawdę jednak jest to zwyczajna sztuczka, kolejne złudzenie optyczne, które dowolne przedmioty ukazuje w danej relacji dzięki zmianie punktu widzenia. Wielkie religie i ich założyciele, a raczej to, co wedle swego uznania włączamy do tego zbioru, tak naprawdę nie mają wspólnej natury. To złudzenie do pewnego stopnia jest wywoływane przez islam, który na liście znajduje się zaraz za chrześcijaństwem, bo islam rzeczywiście przyszedł po chrześcijaństwie i był w dużym stopniu jego imitacją. Jednakże inne wschodnie religie nie tylko nie przypominają Kościoła, ale nawet nie przypominają siebie nawzajem. Dochodząc do konfucjanizmu na samym końcu listy, znajdujemy się już w całkiem innym świecie myśli. Porównywanie religii chrześcijańskiej z konfucjańską jest jak porównywanie chrześcijanina z angielskim ziemianinem albo jak pytanie, czy ktoś jest wyznawcą wiary w zmartwychwstanie czy raczej stuprocentowym Amerykaninem. Konfucjanizm jest być może formą cywilizacji, ale nie jest formą religii.

W rzeczywistości Kościół jest zbyt unikatowy, by mógł dowieść swojej unikatowości. Najpopularniejszym i najłatwiejszym dowodem jest bowiem dowód przez podobieństwo, a tu o żadnym podobieństwie nie może być mowy. Niełatwo jest zatem wykazać błąd w rozumowaniu, które tworzy fałszywą klasyfikację w celu rozmycia unikalnego zjawiska, gdy jest to

rzeczywiście zjawisko unikalne. Tak jak nigdzie nie ma dwóch takich samych faktów, tak nigdzie nie ma dwóch takich samych błędów. Posłużę się jednak jak najbardziej zbliżonym przykładem odosobnionego społecznego zjawiska, aby wykazać, w jaki sposób dokonuje się to rozmycie i zasymilowanie. Jak mierniam, większość z nas zgodzi się, że jest coś wyjątkowego i unikatowego w położeniu Żydów. Nie ma drugiego tak samo międzynarodowego narodu - starożytnej kultury rozsianej w różnych krajach, a mimo to odrębnej i niepoddającej się zniszczeniu. Otóż przedsięwzięcie, o którym mówimy, przypomina tworzenie listy narodów wędrownych w celu rozmycia niezwyklej samotności Żydów. Można to zrobić dość łatwo, stosując tę samą metodę: stawiając na pierwszym miejscu coś możliwie zbliżonego, a potem stopniowo przechodząc do innych rzeczy dorzucanych jakkolwiek, żeby uzupełnić listę. I tak na nowej liście narodów wędrownych zaraz za Żydami figurowaliby Cyganie, którzy przynajmniej są rzeczywiście wędrowni, nawet jeśli nie są prawdziwym narodem. Następnie profesor nowej nauki pod nazwą „nomadyka porównawcza” przeszedłby z łatwością do innego, choćby zupełnie odmiennego zjawiska. Mógłby na przykład wspomnieć o wędrownych przygodach Anglików, którzy rozsiali swoje kolonie po tak wielu morzach, i ich także nazwać wędrowcami. To prawda, że bardzo wielu Anglików nie może sobie znaleźć miejsca, przebywając w Anglii. To prawda, że nie wszyscy z nich opuszczają swój kraj dla dobra tego kraju. A skoro wymieniliśmy już wędrowne imperium Anglików,

musimy również wspomnieć o dziwnym imperium Irlandczyków na wygnaniu. Jest bowiem rzeczą bardzo ciekawą, odnotowaną przez naszą imperialną literaturę, że wszechobecność i niespokojny duch, stanowiące dowód angielskiego sukcesu i przedsiębiorczości, stanowią zarazem dowód irlandzkiego niepowodzenia i lenistwa. Następnie profesor nomadyki rozejrzałby się z namysłem i przypomniał sobie, że ostatnio wiele mówiło się o niemieckich kelnerach, niemieckich fryzjerach, niemieckich urzędnikach i w ogóle Niemcach naturalizujących się w Anglii, Stanach Zjednoczonych i republikach Ameryki Południowej. Niemcy zostaliby zatem zakwalifikowani jako piąta rasa wędrowna; bardzo przydatne okazałyby się tu słowa *Wanderlust* i *Volkerwanderung*. Naprawdę bowiem byli historycy, którzy wyjaśniali wyprawy krzyżowe, stwierdzając, że Niemców znaleziono blakających się bez celu (jak mówi policja) w okolicach Palestyny. Następnie profesor czując, że zbliża się do końca dowodu, wykonałby ostatni desperacki skok. Przypomniałby sobie, że francuskie wojsko zajęło prawie wszystkie stolice Europy, że przemaszerowało przez niezliczone podbite kraje pod wodzą Karola Wielkiego i Napoleona, i uznałby również i to za przejaw *Wanderlustu* oraz cechę rasy wędrownej. W ten sposób miałby swoich sześć narodów wędrownych, porządnie skompletowanych i upakowanych, i czułby, że Żydzi nie są już jakimś tajemniczym, a nawet mistycznym wyjątkiem. Jednak ludzie obdarzeni większą dozą zdrowego rozsądku prawdopodobnie zdaliby sobie sprawę, że profesor powiększył

listę nomadów, rozszerzając jedynie pojęcie nomadyzmu, i że rozszerzał je tak długo, aż straciło w ogóle jakiekolwiek znaczenie. To prawda, że francuski żołnierz odbywał jedne z najwspanialszych marszów w historii wojskowości. Ale prawdą jest również, że jeśli francuski rolnik nie jest rzeczywistością osiadłą, to coś takiego jak osiadła rzeczywistość nie istnieje nigdzie na świecie; innymi słowy, jeśli on jest wędrowcem, nie ma nikogo, kto by nim nie był.

Takiej samej sztuczki próbowano przy porównywaniu religii i założycieli religii światowych ustawionych godnie w szeregu. Religioznawstwo porównawcze klasyfikuje Jezusa tak, jak nomadka porównawcza klasyfikowała Żydów: wynajduje nową klasę tylko po to, by uzupełnić ją zapchaj dziurami i fałszerstwami z drugiej ręki. Nie chodzi mi o to, że te pozostałe zjawiska nie są często wielkie z własnej natury i w swojej klasie. Konfucjanizm i buddyzm to wielkie zjawiska, ale nazywanie ich Kościołami rozmija się z prawdą. Tak samo Francuzi i Anglicy to wielkie narody, ale nazywanie ich nomadami to absurd. Istnieją pewne podobieństwa między chrześcijaństwem i jego naśladownictwem w islamie. Jeśli o to chodzi, istnieją też pewne podobieństwa między Żydami i Cyganami. Dalej jednak lista tworzona jest ze wszystkiego, co znajdzie się pod ręką; ze wszystkiego, co można umieścić w tym samym katalogu, mimo że nie należy do tej samej kategorii.

W tym zarysie historii religii, z należnym uszanowaniem dla ludzi o wiele bardziej wykształconych ode mnie, proponuję

przekroczyć i zlekceważyć tę współczesną metodę klasyfikacji, która - jestem tego pewien - zafałszowała historyczne fakty. Zamierzam przedstawić alternatywną klasyfikację religii, która, jak mniemam, obejmie wszystkie fakty i, co w tym opisie ważne, także wszystkie urojenia. Zamiast geograficznego i niejako pionowego podziału religii na chrześcijańską, muzułmańską, bramińską, buddyjską i tak dalej, proponuję podział psychologiczny i w pewnym sensie poziomy, na warstwy elementów i wpływów duchowych, które czasem mogą występować w tym samym kraju, a nawet w tym samym człowieku. Odłożywszy Kościół na chwilę na bok, skłaniałbym się ku podziałowi naturalnej religii mas ludzkości pod następującymi nagłówkami: Bóg, Bogowie, Demony, Filozofowie. Moim zdaniem, tego rodzaju klasyfikacja pomoże nam posegregować duchowe doświadczenia człowieka o wiele skuteczniej niż popularna praktyka porównywania religii, a wiele słynnych postaci dzięki tej metodzie znajdzie swoje miejsce bez wysiłku, podczas gdy w poprzedniej metodzie musiały one być wpychane na miejsce na siłę. Ponieważ powyższych tytułów czy też terminów będę używał wielokrotnie w mojej opowieści czy też w aluzjach, dobrze będzie na tym etapie zdefiniować, co przez nie rozumiem. W tym rozdziale zacznę zatem od najprostszego i najwznioślejszego z nich.

Rozważając element pogaństwa, musimy zacząć od próby opisu tego, co nieopisane. Wielu radzi sobie z problemem opisu tego zjawiska, przecząc mu albo przynajmniej je ignorując;

rzecz jednak w tym, że nie znikło ono nigdy, nawet gdy było ignorowane. Ludzie opętani manią ewolucyjną uważają, że każda wielka rzecz wyrasta z nasienia, czyli z czegoś mniejszego od siebie. Zapominają przy tym najwyraźniej, że każde nasienie pochodzi od drzewa, czyli od czegoś większego od siebie. Otóż są bardzo poważne przesłanki, by sądzić, że religia pierwotnie nie powstała z jakiegoś szczegółu, o którym zapomniano, bo był za mały, żeby go wyśledzić. O wiele bardziej prawdopodobne jest, że była to idea, którą zarzucono, bo była zbyt wielka. Mamy powody przypuszczać, że wiele ludów zaczęło od prostej, ale obezwładniającej idei jednego Boga, władcy wszystkiego, a później popadło na przykład w kult demonów tak, jak po kryjomu popada się w rozpustę. Nawet badanie wierzeń dzikich ludów, tak lubiane przez badaczy folkloru, często w gruncie rzeczy potwierdza ten pogląd. Okazuje się na przykład, że należący do najdzikszych plemion australijscy Aborygeni, prymitywni w każdym znaczeniu, w jakim tego słowa używają antropologowie, wyznają czysty monoteizm o wysokim standardzie moralnym. Pewien misjonarz nauczał wyjątkowo dzikie plemię politeistów, którzy opowiedzieli mu wszystkie swoje politeistyczne historie, i odwdzieczył im się opowieścią o istnieniu jedyne go dobrego Boga, który jest duchem i sądzi ludzi według norm duchowych. I wtedy wśród statecznych barbarzyńców powstał szum, jakby natknęli się na zdrajcę tajemnic, i zaczęli wołać jeden do drugiego: „Atahocan! On mówi o Atahocanie!”.

Być może unikanie rozmów o Atahocanie było wśród tych politeistów przejawem dobrego wychowania czy nawet przyzwoitości. Imię to nie było może tak jak niektóre z naszych imion dostosowane do bezpośrednich i pełnych powagi religijnych wezwań, zawsze jednak znajdzie się wiele sił społecznych, które przysłaniają i zaciemniają takie proste idee. Być może dawny bóg stał na straży dawnej moralności[^] niewygodnej w bardziej towarzyskich momentach; być może stosunki z demonami były modne wśród najlepszych, tak jak to jest dzisiaj z modą na spirytualizm. Istnieje w każdym razie bardzo wiele podobnych przykładów. Wszystkie one są świadectwem charakterystycznej psychologii czegoś, co przyjmuje się za pewnik, w odróżnieniu od czegoś, o czym się mówi. Uderzający przykład znajdujemy w spisanej słowo w słowo opowieści pewnego Indianina z Kalifornii, która zaczyna się ze szczerem literackim i mitologicznym zacięciem od słów: „Słońce jest ojcem i władcą niebios. On jest wielkim wodzem. Księżyc jest jego żoną, a gwiazdy ich dziećmi”, a potem przechodzi do bardzo pomysłowej i skomplikowanej historii, by nagle w samym jej środku stwierdzić nieoczekiwanie, że słońce i księżyc muszą postąpić tak, a nie inaczej, ponieważ „tak postanowił Wielki Duch, który mieszka ponad wszystkimi”. Właśnie taki stosunek do Boga charakteryzuje większość pogan. Bóg jest dla nich kimś, kogo istnienie się zakłada i o kim się zapomina, a potem nagle przypomina, i nie jest to chyba nawyk właściwy wyłącznie poganom. Czasem o najwyższym bóstwie wspomina się

na wyższych poziomach moralności i otacza się je tajemnicą. Ale zawsze, jak słusznie stwierdzono, dziki jest rozmowny, gdy chodzi o mitologię, natomiast milczy na temat swojej religii. Australijscy Aborygeni reprezentują świat-do-góry-nogami, który starożytni uznaliby za doskonale pasujący do życia na antypodach. Dzik, który nic sobie nie robi z takiej drobnostki jak opowieść o słońcu i księżycu, które są połówkami rozciętego na dwoje niemowlęcia, i swobodnie, ot tak dla podtrzymania rozmowy, gawędzi o kolosalnej kosmicznej krowie, której dojenie powoduje deszcz, udaje się potem do ukrytych jaskiń zamkniętych dla kobiet i białego człowieka, do świątyń straszliwego wtajemniczenia, gdzie przy ryku *bull-roarera*²⁰ i kapaniu ofiarniczej krwi kapłan szepcze ostateczne tajemnice, znane tylko wtajemniczonym: że uczciwość popłaca, że uprzejmość nikomu nie szkodzi, że wszyscy ludzie są braćmi i że jest tylko jeden Bóg, Ojciec Wszechmogący, stwórca rzeczy widzialnych i niewidzialnych.

Innymi słowy, mamy tu do czynienia z kuriozum historii religijnej; dzicy, którzy obnoszą się z najohydniejszymi i najnieprawdopodobniejszymi wierzeniami, równocześnie ukrywają to, co w ich wierze jest najrozsądniejsze i najbardziej wiarygodne. Dzieje się tak dlatego, że mity w pewnym sensie

²⁰ *Bull-roarer* - prymitywny rytualny instrument muzyczny; owalny, zaostrowany na brzegach kawałek drewna, przymocowany do sznurka; kręcąc nim w powietrzu uzyskuje się charakterystyczny buczący dźwięk o różnej wysokości; używany głównie przez australijskich Aborygenów.

nie są wcale elementem ich wiary, w każdym razie nie wiary tego samego rodzaju. Mity to po prostu naciągane historie, choćby naciągano je na wysokość nieba, pióropusza fontanny albo strug tropikalnego deszczu. Natomiast tajemnice to prawdziwe historie, przekazywane w sekrecie, by mogły być brane na serio. Doprawdy, zbyt łatwo zapominamy, że teizm może wywoływać dreszczyk emocji. Powieść, w której dowolna liczba osobnych postaci okazywałaby się w końcu jedną i tą samą postacią, byłaby niewątpliwie powieścią sensacyjną. Tak właśnie jest z przekonaniem, że słońce i drzewo, i rzeka są przebrańcami jednego, a nie wielu bogów. Niestety, przekonujemy się także, że Atahocan zbyt łatwo brany jest za pewnik. Bez względu jednak na to, czy pozwala mu się zblaknąć i zamienić w truizm, czy też traktuje go jak sensację i utrzymuje w sekrecie, nie ulega wątpliwości, że jest to odwieczny truizm albo odwieczna tradycja. Nic nie wskazuje na to, by Bóg był ulepszonym produktem zwyczajnej mitologii, natomiast wszystko wskazuje na to, że jest jej poprzednikiem. Czczą go najprymitywniejsze plemiona, w których nie ma ani śladu wiary w duchy albo składania ofiar umarłym, ani żadnej z tych komplikacji, w których Herbert Spencer i Grant Allen²¹ doszukiwali się pochodzenia najprostszej ze wszystkich idei. Cokolwiek innego istniało, „ewolucja idei Boga” nie istniała na pewno.

²¹ Grant Allen (1848-1899) - pisarz angielski pochodzenia kanadyjskiego, agnostyk i socjalista, znany z radykalnych poglądów.

Idea ta była ukrywana, omijana, zapominana, a nawet lekceważona, ale nigdy nie przechodziła ewolucji.

Także w innych miejscach istnieją dość liczne oznaki takiej przemiany. Sugeruje ją na przykład to, że politeizm często robi wrażenie kombinacji kilku monoteizmów. Bóg, który na Olimpie zajmuje poślednie miejsce, rządził niebem, ziemią i wszystkimi gwiazdami, dopóki mieszkał w swojej małej dolinie. Jak wiele małych narodów włączonych do wielkiego imperium, zrezygnował on ze swojego lokalnego uniwersalizmu i poddał się uniwersalnemu ograniczeniu. Samo imię Pan sugeruje, że zanim ów bóg stał się bogiem lasu, był bogiem całego świata. Samo imię Jupiter to niemal pogańskie tłumaczenie słów „Ojciec nasz, któryś jest w niebie”. Rzecz ma się podobnie z Wielkim Ojcem, którego symbolem jest niebo, i z Wielką Matką, którą do dziś nazywamy Matką Ziemią. Demeter, Ceres i Kybele często robią wrażenie, jakby były w stanie przejąć całe przedsięwzięcie boskości, tak że ludzie nie potrzebowaliby innych bogów. Wydaje się całkiem prawdopodobne, że wielu ludzi nie miało innych bogów poza jedną z tych bogiń, którą czcili jako twórczynię wszystkiego.

Na niektórych największych i najbardziej ludnych polaciach ziemi, na przykład w Chinach, prosta idea Wielkiego Ojca nie była nigdy, jak się wydaje, zagmatwana przez konkurencyjne kultury, chociaż, być może, w jakimś sensie sama straciła charakter kultu. Największe autorytety uważają najwyraźniej, że mimo iż konfucjanizm jest pod pewnymi względami agnostycyzmem, nie

neguje otwarcie dawnego teizmu dlatego właśnie, że sam stał się jego rozwodnioną odmianą. Na określenie Boga używa on słowa Niebiosa, podobnie jak dobrze wychowane osoby, które czują pokusę przeklinania w salonach. Niebiosa jednak nadal wznoszą się nad naszymi głowami, nawet jeśli wznoszą się bardzo wysoko. Mamy dokładnie takie wrażenie, jakby jakaś prosta prawda oddalała się coraz bardziej, aż stała się naprawdę odległą, ale tym niemniej prawdziwa. Samo określenie przywodzi na myśl podobną ideę w mitologii Zachodu. Jest z pewnością jakieś echo pojęcia wycofywania się siły wyższej w owych tajemniczych, bogatych mitach o rozdzieleniu ziemi i nieba. Na sto różnych sposobów opowiada się, że niebo i ziemią były kiedyś kochankami, albo były jednością, a potem jakiś uzurpator, często w postaci nieposłusznego potomka, doprowadził do ich rozdzielenia. I tak u podstaw świata legła otchłań, podział i rozłąka. Jedną z najprymitywniejszych wersji tego mitu przedstawiła cywilizacja grecka w opowieści o Uranie i Saturnie. Natomiast jedną z najbardziej uroczych wersji jest opowieść dzikiego murzyńskiego plemienia o tym, jak mały krzew pieprzowy rósł coraz wyżej i wyżej, aż uniósł całe niebo jak pokrywę. Jest to piękna barbarzyńska wizja świtu dla tych naszych malarzy, którzy lubują się w tropikalnym półmroku. O mitach i o wielce mitycznych współczesnych wyjaśnieniach tychże mitów będzie jeszcze mowa w innym rozdziale, nie mogę bowiem oprzeć się wrażeniu, że cała mitologia znajduje się na innej, bardziej zewnętrznej płaszczyźnie. Jednakże w tej pierwotnej wizji rozdarcia świata na dwoje jest z pewnością echo

jakiejś bardziej podstawowej idei. Co do jej znaczenia, to można je poznać o wiele lepiej, leżąc na plecach na polu i po prostu gapiąc się w niebo, niż zapoznając się z całą biblioteką najbardziej uczonych i najwartościowszych dzieł na temat folkloru. Jedynie w ten sposób można zrozumieć, co to znaczy, że niebo powinno być bliżej nas, niż jest w rzeczywistości, że jest ono nic tylko rzeczą obcą i bezmierną, ale w jakiś sposób oderwaną od nas i mówiącą nam do widzenia. Tylko wtedy może przemknąć nam przez myśl dziwaczne przypuszczenie, że być może twórca mitu nie był jedynie marzycielem albo wioskowym głupkiem, któremu wydawało się, że może pokroić chmurę jak tort, ale że miał w sobie coś więcej niż moda przypisuje troglodycie; że być może Thomas Hood²² jednak nie przemawiał jak troglodyta mówiąc, że z biegiem czasu czubki drzew mówią mu jedynie, iż jest dalej od nieba, niż był jako chłopiec. W każdym razie legenda o Uranie, Panu Niebios, i o Saturnie, Duchu Czasu, znaczyłaby coś dla autora tego wiersza. Oznaczałaby między innymi owo wygnanie pierwotnego ojcostwa. Już w samym pojęciu bogów przed bogami zawarta jest idea Boga. We wszystkich aluzjach do starszego porządku rzeczy zawarta jest idea większej prostoty. Dowodzi tego także rozrost, którego świadkami jesteśmy już w czasach historycznych. Bogowie, półbogowie i herosi mnożą się na naszych oczach jak króliki, co już samo w sobie sugeruje, że rodzina mogła mieć jednego założyciela; mitologia komplikuje się

²² Thomas Hood (1799-1845) - angielski satyryk i poeta.

coraz bardziej i bardziej, co już samo w sobie sugeruje, że na początku musiała być całkiem prosta. A zatem nawet na podstawie zewnętrznych dowodów, z rodzaju tych, które nazywamy naukowymi, można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że człowiek zaczął od monoteizmu, który potem rozwinął się czy też zdegenerował w politeizm. Interesuje mnie jednak wewnętrzna, a nie zewnętrzna prawda, a jak już mówiłem, wewnętrzna prawda jest prawie nie do opisanie. Musimy bowiem mówić o czymś, czego samą istotą było to, że ludzie o tym nie mówili; musimy przetłumaczyć nie obcą mowę czy język, ale zdumiewające milczenie.

Podejrzewam, że wszelki politeizm i pogaństwo kryje w sobie wielkie niewypowiedziane założenie. Podejrzewam, że przebłyskuje ono jedynie tu i ówdzie w wierzeniach dzikich ludów czy pierwotnych mitach Greków. Nie można go właściwie nazwać obecnością Boga; w pewnym sensie trafniejsze byłoby określenie go jako nieobecności Boga. Nieobecność nie oznacza jednak nieistnienia. Człowiek wznoszący toast za nieobecnych przyjaciół nie uważa, że przyjaźń w ogóle nie jest obecna w jego życiu. Jest to pustka, ale nie negacja; jest to coś tak konkretnego jak puste krzesło. Byłoby jednak przesadą twierdzić, że pogaństwo widzieli wznoszący się powyżej Olimpu pusty tron. Bliższe prawdy byłoby przyjęcie gigantycznej metaforyki Starego Testamentu, zgodnie z którą prorok oglądał Boga jedynie od tyłu, jakby jakaś niezmierzona obecność odwróciła się plecami do świata. Ale stracilibyśmy znowu sens tego zjawiska, gdybyśmy

wyobrażali je sobie jako coś tak świadomego i żywego jak monoteizm Mojżesza i jego ludu. Nie twierdzę, że ludy pogańskie były choćby w najmniejszym stopniu obojętne dla tej idei po prostu dlatego, że jest obojętnością. Wręcz przeciwnie, była ona tak olbrzymia, że traktowali ją lekko, tak jak my traktujemy niezmierny ciężar nieba. Podziwiając szczegóły, taki jak ptak albo chmura, możemy zignorować jego niepokojące błękitne tło, możemy zignorować niebo; właśnie dlatego, że przygniata nas ono z tak niszczycielską siłą, możemy wcale nie odczuwać jego ciężaru. Takie rzeczy odczuwa się jedynie jako wrażenie i to wrażenie raczej subtelne. Na mnie jednak pogańska religia i literatura wywiera bardzo silne wrażenie tego rodzaju. Powtarzam, że w naszym szczególnym, sakramentalnym sensie mamy do czynienia z nieobecnością obecności Boga. Ale w bardzo konkretnym sensie mamy też do czynienia z obecnością nieobecności Boga. Można to wyczuć w niezgłębionym smutku pogańskiej poezji, wątpię bowiem, czy wśród wszystkich wspaniałych, dojrzałych mężczyzn starożytności był choć jeden szczęśliwy jak św. Franciszek. Można to wyczuć w legendzie Złotego Wieku i w niejasnych wspomnieniach, że sami bogowie są spokrewnieni z kimś jeszcze, nawet jeśli ów Nieznany Bóg skurczył się do rozmiarów Fatum. Przede wszystkim jednak można to wyczuć w tych nieśmiertelnych chwilach, gdy literatura pogańska zdaje się wracać do bardziej niewinnej epoki i przemawia bardziej bezpośrednio, tak że jedynym odpowiednim dla niej słowem wydaje się nasza własna

monoteistyczna monosylaba. Nie możemy wstawić słowa innego niż "Bóg" w zdanie takie jak to, którym Sokrates żegna się ze swoimi sędziami: "Ja idę na śmierć, wy zaś pozostajecie przy życiu, i Bóg jedyny wie, kto z nas podąża lepszą drogą". Nie możemy znaleźć lepszego słowa nawet dla najlepszycn urywków z Marka Aureliusza: „Czyż oni mogą mówić drogie miasto Cecropsa, a ty nie możesz powiedzieć drogie miasto Boga?”. Nie możemy użyć innego słowa w tym potężnym wersecie Wergiliusza, skierowanym do wszystkich cierpiących, który jest okrzykiem prawdziwego chrześcijanina przed Chrystusem: „O wy, którzyście znosili rzeczy jeszcze straszliwsze, i temu również Bóg położy kres”.

Krótko mówiąc, odkrywamy w tym wszystkim przecucie, że istnieje coś wyższego od bogów, ale jako wyższe, jest także bardziej odległe. Nawet Wergiliusz nie potrafił odczytać zagadki i paradoksu tego innego bóstwa, które jest wyższe, a równocześnie bliższe człowiekowi. Dla starożytnych prawdziwe bóstwo było zarazem bardzo odległe — tak odległe, że wyrzucali je coraz bardziej ze swoich myśli. Miało ono coraz mniej i mniej wspólnego ze zwykłą mitologią, o której napiszę później. Ale nawet w mitologii, jeśli wziąć pod uwagę jej przeważający charakter, istniało coś w rodzaju milczącego uznania owej nietykalnej czystości. Jak Żydzi nie chcieli jej kłać obrazami, tak Grecy nie chcieli jej kłać nawet wyobraźnią. Gdy bogom coraz bardziej pamiętano tylko psikusy i rozwiązłości, był to odruch względnego szacunku. Zapomnienie o Bogu było przejawem pobożności.

Innymi słowy, w atmosferze tamtych czasów jest coś, co sugeruje, że ludzie zstąpili na niższy poziom, ale zachowali cień świadomości, że spadli niżej. Trudno znaleźć słowa na opisanie tych zjawisk, ale jedno naprawdę słuszne słowo mamy na podorędziu. Byli oni świadomi *upadku*, choć może nie byli świadomi niczego więcej, i to samo można powiedzieć o całej pogańskiej ludzkości. Ci, którzy upadli, mogą pamiętać upadek, choć nie pamiętają wysokości, z której spadali. Tego rodzaju kuszące zaćmienie czy zanik pamięci leży u podstaw wszystkich pogańskich odczuć. Jest coś takiego, jak chwilowa pamięć o tym, że zapominamy. I nawet najwięksi ignoranci ludzkości patrząc na ziemię, rozumieją, że zapomnieli o niebie. Prawdą jest jednak, że nawet im zdarzały się chwile takie jak wspomnienie dzieciństwa, gdy słyszeli samych siebie przemawiających prościej. Były chwile, kiedy Rzymianin, tak jak Wergiliusz w przytoczonym cytacie, potrafił ostrzem pieśni jak mieczem przeciąć gęstwinę mitologii; wielobarwny tłum bogów i bogiń znikał nagle z pola widzenia, i Ojciec Niebieski zostawał sam na niebie.

Ten ostatni przykład dotyczy także kolejnej fazy procesu. Białe światło zaginionego poranka wciąż jarzy się na postaci Jupitera, Pana i starszego Apolla. Jak już było mówione, jest bardzo prawdopodobne, że każdy z nich był kiedyś bóstwem tak odosobnionym jak Allach albo Jahwe. Stracili oni swój samotny uniwersalizm w wyniku procesu, o którym trzeba koniecznie wspomnieć; był to proces amalgamacji, bardzo podobny do późniejszego tak zwanego synkretyzmu. Cały pogański

świat przyczynił się do budowania Panteonu. Dopuszczano do niego coiaz liczniejszych bogów, nie tylko greckich, ale i barbarzyńskich; nie tylko bogów Europy, ale także Afryki i Azji, zgodnie z zasadą, że w gromadzie weselej, chociaż niektórzy azjatyccy i afrykańscy bogowie wcale nie wyglądali wesoło. Rzymianie wyznaczyli im trony na równi ze swoimi bogami; czasem identyfikowali jednych z drugimi. Może uważali, że wzbogacają w ten sposób swoje życie religijne, tak naprawdę była to jednak ostateczna utrata wszystkiego, co dziś nazywamy religią. Starożytne światło prostoty, bijące ze źródła pojedynczego jak słońce, ostatecznie rozplynęło się w oślepiającym rozbłyску walczących światel i kolorów. Bóg został rzeczywiście złożony w ofierze bogom; sprawdziło się dosłownie potoczne powiedzenie „siła złego na jednego”.

Politeizm był zatem tak naprawdę czymś w rodzaju zbiornika, w którym poganie pozwolili się zmieszać swoim pogańskim religiom. Rzecz ta ma ogromne znaczenie dla wielu starożytnych i współczesnych kontrowersji. Twierdzenie, że bóg kogoś obcego może być równie dobry jak nasz bóg, uważa się za przejaw liberalizmu i oświecenia, i bez wątpienia poganie uważali się za bardzo liberalnych i oświeconych, gdy godzili się do bogów swego miasta i domowego ogniska dodać zstępującego z góry dzikiego fantastycznego Dionizosa albo wychylającego się z lasu kudłatego wiejskiego Pana. Takie wzniosłe idee sprawiają jednak, że traci się ni mniej, ni więcej, tylko najwznioślejszą z nich. Tym, co jednoczy cały świat, jest idea ojcostwa. I vice versa.

Niewątpliwie bardziej staroświeccy mężowie starożytności, trzymający się swoich samotnych posągów i jedynych świętych imion, byli uważani za ciemnych, przesądnych dzikusów, którzy nie idą z duchem czasu. Jednak to za sprawą tych przesądnych dzikusów zachowało się pojęcie kosmicznej siły o wiele bliższe pojęciom filozofii, a nawet nauki. Ten paradoks, na mocy którego nieokrzesany reakcjonista był równocześnie prorokiem postępu, pociąga za sobą pewną bardzo związaną z tym tematem konsekwencję. W czysto historycznym sensie i niezależnie od innych kontrowersji w tym względzie rzuca on światło, pojedyncze niegasnące światło, na pewien mały, osamotniony naród. Na tym paradoksie, jak na zagadce religii, której rozwiązanie było zapieczętowane przez całe stulecia, zasadza się misja i znaczenie Żydów.

Z ludzkiego punktu widzenia jest w tym sensie prawdą to, że świat zawdzięcza Boga właśnie Żydom. Zawdzięcza Go wielu rzeczom, o które obwinia się Żydów, a może nawet wielu, którym są faktycznie winni. Wspomnieliśmy już, że Żydzi byli nomadami wśród rolniczych ludów na obrzeżu cesarstwa babilońskiego. Dziwna, zmienna trasa ich wędrówek przecina ciemne terytoria najodleglejszej starożytności, gdy po opuszczeniu siedziby Abrahama i książąt-pasterzy udali się do Egiptu, potem wrócili do palestyńskich wzgórz, bronili ich przed Filistynami z Krety i popadli w niewolę babilońską, a jednak znów wrócili do swego górskiego miasta dzięki syjonistycznej polityce perskich zdobywców i ciągnęli tę niezwykłą romanse niepokoju,

której końca jeszcze nie znamy. Jednak we wszystkich swoich wędrówkach, a zwłaszcza w tych najwcześniejszych, rzeczywiście nosili losy świata w drewnianym tabernakulum, którego wnętrze kryło w sobie, być może, symbol bez twarzy, a na pewno niewidzialnego boga. Można nawet powiedzieć, że brak twarzy był jego najważniejszą cechą. Choćbyśmy przedkładali twórcą swobodę, ogłoszoną przez kulturę chrześcijańską, która dzięki niej prześcignęła nawet sztukę starożytności, nie wolno nam nie doceniać determinującej roli, jaką odegrała w swoim czasie hebrajska niechęć do obrazów. Jest to typowy przykład ograniczenia, które w rzeczywistości sprzyja swobodzie, jak mur zbudowany wokół dużej otwartej przestrzeni. Bóg, na cześć którego nie wolno było wznosić posągów, pozostał duchem. Co prawda, jego posąg i tak nie miałby w sobie obezwładniającej godności i wdzięku ówczesnych greckich albo późniejszych chrześcijańskich posągów. Był to bowiem Bóg mieszkający w krainie potworów. Będziemy jeszcze mieli okazję bliżej przyjrzeć się tym potworom: Molochowi, Dagonowi i straszliwej bogini Tanit. Gdyby bóstwo Izraela kiedykolwiek miało wizerunek, byłby to wizerunek falliczny. Obdarzając go ciałem, Izraelici dopuściliby do głosu wszystkie najgorsze elementy mitologii, całą poligamię i politeizm, wizję haremu w niebie. Odmowa tworzenia obrazów jest pierwszym przykładem ograniczenia, które często bywa krytykowane tylko dlatego, że jego krytycy sami są ograniczeni. Mocniejszego argumentu na jego poparcie dostarcza jednak inna krytyka, wygłaszana przez tych

samych krytyków. Często mówi się z szyderczym uśmieszkiem, że Bóg Izraela był jedynie bogiem wojen, „zwykłym barbarzyńskim Panem Zastępów”, który rywalizował z innymi bogami tylko jako ich zazdrosny wróg. Otóż dobrze się stało dla świata, że był on bogiem wojen. Dobrze się stało dla nas, że dla całej reszty był on jedynie rywalem i wrogiem. Zwykła kolej rzeczy mogłaby bowiem sprawić, że jego wyznawcy aż nazbyt łatwo osiągnęliby rozpaczliwą porażkę uznania go za przyjaciela. Aż nazbyt łatwo byłoby im sobie wyobrazić, jak wyciąga ręce w geście miłości i pojednania, obejmując Baala i całując malowaną twarz Asztarte, i jak ucztuje wspólnie z innymi bogami; ostatni bóg, który sprzedał swoją gwiaździstą koronę za some indyjskiego panteonu, nektar Olimpu albo miód Walhalli. Jego wyznawcom byłoby łatwo podążyć oświeconą drogą synkretyzmu i zlania wszystkich pogańskich tradycji w jedno. W istocie nie ma wątpliwości, że zsuwali się już oni po tym łagodnym stoku, i aby temu zapobiec, trzeba było nieomal demonicznej energii pewnych natchnionych demagogów, którzy świadczyli o boskiej jedności słowami brzmiącymi do dziś jak powiew natchnienia i katastrofy. Im lepiej naprawdę rozumiemy starożytne warunki, które przyczyniły się do ostatecznego kształtu kultury Wiary, tym więcej będziemy mieli realnego, a nawet realistycznego szacunku dla wielkości Proroków Izraela. Stało się tak, że podczas gdy cały świat stapiał się w jedną masę pomieszanych mitologii, jedno Bóstwo, nazywane plemiennym i ograniczonym, ocaliło właśnie ze względu na swój plemienny

i ograniczony charakter pierwotną religię całej ludzkości. Tylko On był wystarczająco plemienny, by mógł być wszechobecny. Tylko On był ograniczony jak wszechświat.

Krótko mówiąc, istniał pewien popularny pogański bóg o imieniu Jupiter-Ammon, ale nigdy nie istniał bóg o imieniu Jahwe-Ammon. Gdyby istniał, nie mogłoby nie być także innego boga o imieniu Jahwe-Moloch. Na długo przedtem, zanim liberalni i oświeceni kompilatorzy doszli do Jupitera, obraz Pana Zastępów, monoteistycznego stwórcy i króla, zostałby wypaczony nie do poznania, a On sam stałby się idolem o wiele gorszym niż jakikolwiek barbarzyński fetysz; mógłby upodobnić się do cywilizowanych bogów Tyru i Kartaginy. Cywilizacji tej przyjrzymy się bliżej w następnym rozdziale, rozważając, jak demoniczna siła niemal zniszczyła Europę, a nawet pogańskie zdrowie świata. Losy tego świata byłyby jednak jeszcze bardziej nieodwracalnie skrzywione, gdyby monoteizm nie przetrwał w tradycji Mojżeszowej. Mam nadzieję udowodnić w dalszej części tej książki, że nic brak mi sympatii dla zdrowego pogańskiego świata, który tworzył swoje baśnie i wymyślne religijne romanse. Mam nadzieję jednak udowodnić także, że prędzej czy później musiały one zawieść, i świat zostałby stracony, gdyby nic powrócił do wielkiej pierwotnej prostoty, uznającej jedną władzę nad wszystkimi rzeczami. To, że zachowaliśmy coś z tej pierwotnej prostoty, że poeci i filozofowie mogą nadal w pewnym sensie odmawiać uniwersalną modlitwę, że żyjemy w przestronnym, spokojnym świecie pod niebem, które rozcią-

ga się po ojcowsku nad wszystkimi ludami ziemi, że filozofia i filantropia są truizmami religii ludzi rozsądnych - wszystko to pod niebem bezsprzecznie zawdzięczamy skrytemu i ruchliwemu narodowi, który przekazał ludziom największe niosące pokój błogosławieństwo, jakim jest zazdrosny Bóg.

Ta unikatowa własność nie była dostępna ani osiągalna dla pogańskiego świata, ponieważ była to własność należąca do równie zazdrosnego narodu. Żydzi nie byli lubiani, częściowo z powodu tego ograniczenia, zauważanego już w świecie rzymskim, częściowo może dlatego, że już wówczas popadli w nawyk pośredniczenia w przekazywaniu przedmiotów, zamiast pracować nad ich wytwarzaniem własnymi rękami. Po części działało się tak również dlatego, że politeizm zmienił się w dżunglę, w której pojedynczy monoteizm mógł się łatwo zgubić; dziwnie jest jednak uświadomić sobie, jak całkowicie się zgubił. W tradycji Izraela, oprócz bardziej dyskusyjnych elementów, było wiele rzeczy, które są dziś dziedzictwem całej ludzkości, i które mogły być dziedzictwem całej ludzkości już wtedy. Do Izraelitów należał jeden z kolosalnych kamieni węgielnych świata: Księga Hioba. Z pewnością góruje ona nad *Iliadą* i greckimi tragediami, i może nawet bardziej od nich zasługuje na miano wczesnego spotkania i rozstania poezji i filozofii o poranku świata. Jest rzeczą pełną powagi i podnoszącą na duchu zobaczyć, jak dwóch wiecznych głupców, optymistę i pesymistę, zostaje pokonanych u zarania dziejów. Filozofia Księgi Hioba rzeczywiście udoskonala ironię

pogańskiej tragedii, ponieważ jest bardziej monoteistyczna, a przez to bardziej mistyczna. Księga ta całkiem otwarcie odpowiada tajemnicą na tajemnicę. Hiob zyskuje pocieszenie dzięki zagadkom, ale zyskuje je naprawdę. Znajdujemy tu rzeczywiście typ, czyli zapowiedź czegoś, co przemawia z mocą. To prawda, że gdy wątpiący może powiedzieć tylko: „Nic nie rozumiem”, wiedzący może jedynie odpowiedzieć jak echo: „Nic nie rozumiesz”. Ale to napomnienie zawsze rodzi w sercu nagłą nadzieję i przeczucie czegoś, co byłoby warte zrozumienia. Ten potężny monoteistyczny poemat pozostał jednak niezauważony przez cały antyczny świat, wypełniony politeistyczną poezją. Przykładem tego, jak bardzo na uboczu trzymali się Żydzi i jak bardzo dla siebie zachowywali swoją nienaruszoną tradycję, jest to, że coś takiego jak Księga Hioba nie zostało włączone do starożytnego świata intelektu. To tak, jakby Egipcjanie skromnie ukryli przed światem Piramidę Cheopsa. Była jednak jeszcze inna przyczyna impasu i sprzeczności dążeń, charakterystyczna dla świata u kresu pogaństwa. W istocie tradycja Izraela uchwyciła jedynie połowę prawdy, nawet jeśli zgodnie z powszechnie używanym paradoksem uznamy ją za większą połowę. W następnym rozdziale spróbuję z grubsza przybliżyć przewijający się w mitologii motyw przywiązania do miejsc i osób; teraz niech nam wystarczy stwierdzenie, że zawarta w nim prawda, choć lżejsza i mniej fundamentalna, była nie do pominięcia. Smutek Hioba musiał połączyć się ze smutkiem Hektora, i tak jak pierwszy z nich był smutkiem wszechświata,

tak drugi był smutkiem miasta; Hektor bowiem wznosi się ku niebu jedynie jako filar świętej Troi. Bóg przemawiający z wichury może przemawiać na pustyni. Monoteizm nomadów nie mógł jednak być czymś wystarczającym dla cywilizacji pól, ogrodzeń i warownych miast, świątyń i miejscowości; one również miały się doczekać swojej kolei, gdy oba elementy wreszcie złączyły się w bardziej konkretnej i domowej religii. Tu i tam w pogańskim tłumie trafiał się filozof, którego myśl żywiła się czystym teizmem. Filozof taki jednak nie był w stanie zmienić przyzwyczajeń całej populacji i wcale się nie łudził, że mu się to uda. Ale nawet w takiej filozofii nie jest łatwo znaleźć prawdziwą definicję relacji między politeizmem i teizmem. Być może najbliższe sedna czy też nazwania tego zjawiska jest wyobrażenie pochodzące ze świata bardzo oddalonego od całej cywilizacji śródziemnomorskiej i bardziej obcego dla Rzymu niż odosobniony lud Izraela. Jest to zasłyszany przeze mnie kiedyś fragment jakiejś hinduskiej opowieści o tym, że zarówno bogowie, jak i ludzie są tylko snami Brahmy, które się rozwiewają, gdy Brahma się przebudzi. W tym obrazie jest rzeczywiście coś z ducha Azji, mniej trzeźwego niż duch chrześcijaństwa. Nazwalibyśmy go rozpaczą, chociaż oni nazywają go pokojem. Ta nuta nihilizmu będzie jeszcze poddana szczegółowej analizie przy okazji porównania Azji i Europy. Teraz powiedzmy sobie tylko, że idea boskiego przebudzenia niesie ze sobą większe rozczarowanie niż przejście od mitologii do religii. Ale pod jednym względem jest to symbol bardzo subtelny i dokładny:

doskonale oddaje dysproporcję, a nawet rozdźwięk między samymi pojęciami mitologii i religii, przepaść dzielącą obie te kategorie. Prawdziwą porażką religioznawstwa porównawczego jest fakt, że między Bogiem a bogami nie ma żadnego porównania. Porównywanie ich ma taki sam sens jak porównywanie żywego człowieka z człowiekiem, który zamieszkuje jego sny. W następnym rozdziale spróbujemy opisać zmierzch tego snu, który bogowie zamieszkiwali jak ludzie. Ale jeśli komukolwiek wydaje się, że różnica między monoteizmem i politeizmem polega wyłącznie na tym, że jedni ludzie mieli jednego boga, a inni o kilku więcej, to może zbliżyłby się do prawdy, gdyby zanurzył się w słoniową ekstrawagancję bramińskiej kosmologii; gdyby odczuł drżenie przebiegające przez zasłonę wszystkich rzeczy, wielorękich stwórców, obdarzonych aureolami zwierząt i sieci splątanych gwiazd, oraz władców nocy, gdy straszliwe oczy Brahmy otwierają się jak świt nad śmiercią wszystkiego.

V

CZŁOWIEK I MITOLOGIE

Na określenie tego, co tu nazywamy bogami, można by niemal równie dobrze użyć pojęcia snów na jawie. Porównanie ich do snów nie oznacza, że sny nigdy się nie sprawdzają. Porównanie ich do opowieści podróżników nie oznacza, że nie mogą to być opowieści prawdziwe, a przynajmniej szczerze. W rzeczywistości są to opowieści, jakie podróżnik opowiada sam sobie. Całe przedsięwzięcie mitologii należy do poetyckiej części ludzkiej duszy. W dzisiejszych czasach dziwnie łatwo zapomina się, że mit jest dziełem wyobraźni, a zatem dziełem sztuki. Aby go stworzyć, trzeba być poetą. Poetą trzeba być również dlatego, by móc go poddać krytyce. Na świecie jest więcej poetów niż nie-poetów, czego dowodzi choćby popularność legend. Ale z jakiejś przyczyny, której nikt mi nigdy nie wyjaśnił, jedynie pozbawiona poetyckiego wyczucia mniejszość ma prawo pisać krytyczne opracowania tych popularnych poematów. Nie dajemy sonetu do recenzji matematykowi ani piosenki wyrachowanemu chłopcu, ale dopuszczamy równie fantastyczny pomysł traktowania folkloru jako nauki. Tego rodzaju rzeczy,

jeśli nie są oceniane z artystycznego punktu widzenia, nie doczekają się nigdy słusznej oceny. Kiedy jakiś profesor słyszy od Polinezyjczyka, że na początku nie istniało nic poza wielkim upierzonym wężem, to o ile nie odczuwa dreszczyku emocji i na wpół skrywanego pragnienia, by tak było naprawdę, nie będzie dobrym sędzią takich opowieści. Kiedy największe indiańskie autorytety zapewniają go, że pewien prymitywny bohater nosił słońce, księżyc i gwiazdy w pudełku, to o ile nie składa on rąk w zachwycie i nie wymachuje nogami jak dziecko w obliczu tak czarującej fantazji, naprawdę nie ma o tych sprawach najmniejszego pojęcia. Nie jest to wcale bezsensowny sprawdzian; dzieci barbarzyńców i dzikich wymachują nogami i śmieją się tak samo jak inne dzieci, a do wyobrażenia sobie dzieciństwa świata potrzeba pewnej prostoty. Kiedy Hiawatha słyszał od swojej piastunki opowieść o wojowniku, który podrzucił swoją babkę aż na księżyc, śmiał się tak jak każde angielskie dziecko słyszące od niani o krowie, która przeskoczyła księżyc. Dziecko ma takie samo poczucie humoru jak większość ludzi i większe od niejednego naukowca. Ale ostatecznym sprawdzianem nawet najbardziej wymyślnej fantazji jest stosowność tego, co niestosowne. Sprawdzian ten, jako artystyczny, musi wydawać się arbitralny. Gdy jakiś badacz mówi mi, że mały Hiawatha śmiał się jedynie dlatego, że szanował plemienny zwyczaj poświęcania starszych na rzecz domowej ekonomii, twierdzę, że to nieprawda. Gdy jakiś uczony mówi mi, że krowa przeskoczyła księżyc tylko dlatego, że Dianie składano w ofierze jałów-

kę, odpowiadam, że to nieprawda. Krowa z pewnością zrobiła to dlatego, że skakanie przez księżyc jest czymś właściwym dla krowy. Mitologia jest zaginioną sztuką; jedną z niewielu rzeczywiście zaginionych sztuk, ale tym nie mniej sztuką. Rogaty księżyc i rogate ciele tworzą harmonijną, by nie rzec, spokojną kompozycję. A rzucanie babci do nieba nic jest być może przejawem dobrego wychowania, ale jest przejawem całkiem dobrego smaku.

Naukowcy rzadko kiedy rozumieją tak jak artyści, że jedną z gałęzi piękna jest brzydota. Rzadko kiedy dopuszczają usprawiedliwioną swobodę groteski. Kwitują barbarzyński mit jako brutalny, niezgrabny i świadczący o degradacji tylko dlatego, że brak mu piękna Merkurego, posłańca bogów, który dotyka stopą całowanego przez niebo wzgórza. Tymczasem mit ten w rzeczywistości ma w sobie piękno Nibyżółwia albo Zwariowanego Kapelusznika. Niezbitym dowodem prozaiczności człowieka jest to, że wymaga on od poezji, aby zawsze była poetyczna. Tymczasem humor może kryć się zarówno w samym temacie baśni, jak i w stylu opowiadania. Australijscy Aborygeni, uważani za najprymitywniejsze plemię dzikich, opowiadają o wielkiej żabie, która połknęła morze i wszystkie wody na świecie, a wypłuka je z powrotem dopiero wtedy, kiedy ktoś ją rozśmieszył. Wszystkie zwierzęta przechodziły kolejno przed żabą, wykonując swoje harce, ale ona, tak jak królowa Wiktoria, nie była rozbawiona. Nic wytrzymała dopiero przy węgorzu, który stanął chwiejnie na końcu ogona, zachowując przy tym

bez wątpienia dość rozpaczliwą powagę. Na podstawie tej bajki można stworzyć tyle doskonałej literatury fantastycznej, ile dusza zapragnie. Wizja suszy panującej na świecie przed do-broczynną powodzią śmiechu jest głęboko filozoficzna. Obraz wielkiego jak góra potwora wybuchającego niczym wodny wul-kan to dowód wielkiej wyobraźni, a jego wytrzeszczone oczy wlepione w pelikana albo pingwina to bardzo zabawny obrazek. Żaba w każdym razie wybuchnęła śmiechem, natomiast bada-cze folkloru nadal zachowują powagę.

Baśnie, nawet jeśli są pośledniejszym rodzajem sztuki, nie mogą być właściwie sądzone przez naukę, a tym bardziej nie mogą być sądzone jako rodzaj nauki. Niektóre mity są bardzo prymitywne i dziwaczne, jak pierwsze rysunki dziecka, ale dziecko naprawdę stara się rysować. Traktowanie prymitywne-go rysunku jako wykresu albo czegoś, co miało być wykresem, byłoby nie mniejszą pomyłką niż traktowanie w ten sposób dzieła sztuki. Badacz nie może formułować naukowych wnio-sków o dzikich, bo dzicy nie formułują naukowych wniosków o świecie. Zamiast tego opowiadają coś zupełnie innego; coś, co można by nazwać plotkami bogów. Możemy stwierdzić, jeśli nam się podoba, że plotkom tym daje się wiarę, nim zdąży się je przeanalizować. Jeszcze trafniej byłoby stwierdzić, że przyjmu-je się je, nim zdąży się w nie uwierzyć.

Muszę wyznać, że nie wierzę w teorię rozprzestrzeniania się mitów czy też (bo o to najczęściej chodzi) jakiegoś jednego mitu. Co prawda, nasza natura i kondycja sprawiają, że two-

rzymy wiele podobnych do siebie opowieści, ale przecież każda z nich może być oryginałem. Ludzie nie zapożyczają od siebie opowieści, chociaż mogą je opowiadać z takich samych pobudek. Łatwo byłoby na podstawie argumentacji stosowanej do legend dowieść, że cała literatura jest manią pospolitego plagiatorstwa. Podjąłbym się wysłedzenia pojęcia takiego jak „złota gałąź” w poszczególnych współczesnych powieściach równie łatwo, jak w powszechnych, przestarzałych mitach. Podjąłbym się wysłedzenia motywu bukietu kwiatów, pojawiającego się co jakiś czas od fatalnej wiązanki Becky Sharpe aż po gałązkę róży przesłaną przez księżniczkę Rurytanii. Kwiaty te wyrosły może na tej samej glebie, ale nie jest to przecież stale ten sam zwiędły kwiatek przekazywany z rąk do rąk. Bukiet jest zawsze świeży.

Prawdziwe pochodzenie wszystkich mitów odkrywane jest stanowczo za często. Jest za wiele kluczy do mitologii, tak jak za wiele jest kryptogramów w twórczości Szekspira. Wszystko jest falliczne, wszystko jest totemistyczne, wszystko dotyczy pory siewu i zbiorów, wszystko wiąże się z duchami przodków i ofiarami na grobach, wszystko ma związek ze złotą gałęzią i ofiarą, wszystko pochodzi od słońca i księżyca — innymi słowy, wszystko jest wszystkim. Każdy badacz folkloru znający się na czymś jeszcze oprócz swojej manii, każdy bardziej odczytany człowiek o większej kulturze krytycznej, jak Andrew Lang²³,

²³ Andrew Lang (1844-1912) - szkocki pisarz i etnolog, badacz folkloru, wydawca popularnych zbiorów baśni.

musi w zasadzie przyznać, że wszystkie te zdumiewające rzeczy przyprawiają go o zawrót głowy. Wszystkie kłopoty powodują ludzie starający się patrzeć na te historie od zewnątrz, traktując je jak przedmiot naukowej obserwacji. A wystarczyłoby tylko spojrzeć na nie od środka i zadać sobie pytanie, jak zaczęłoby się własną opowieść. Opowieść bowiem można zacząć od czegokolwiek, i może ona poprowadzić wszędzie. Można ją zacząć od ptaka, który wcale nie jest totemem, i od słońca, chociaż nie będzie to mit solarny. Mówi się, że na świecie istnieje tylko dziesięć wątków, a zatem muszą zdarzać się w nich wspólne, powtarzające się elementy. Każcie dziesięciu tysiącom dzieci na raz pleść trzy po trzy o tym, co robiły w lesie, a nietrudno będzie wam znaleźć paralele świadczące o kulcie słońca albo o kulcie zwierząt. Niektóre historyjki będą miłe, inne głupie, a jeszcze inne nieprzyzwoite; wszystkie jednak można ocenić jedynie jako historie. Posługując się współczesnym żargonem, wydaje się, że można je ocenić tylko z punktu widzenia estetyki. To dziwne, że estetyka albo zwykłe uczucie, któremu pozwala się dziś zajmować nienależne mu miejsca i które niszczy rozum pragmatyzmem, a moralność anarchią, najwyraźniej nie ma prawa do czysto estetycznego osądu w tak czysto estetycznej kwestii. Wodze fantazji wolno nam puszczać na każdy temat, ale nie na temat bajek.

Otóż podstawową prawdą jest to, że najprostszy ludzie mają najbardziej finezyjne pomysły. Wszyscy powinni to wiedzieć, bo wszyscy byli kiedyś dziećmi. Dziecko mimo swej niewiedzy

wie więcej, niż potrafi wyrazić, i odczuwa nie tylko atmosferę, ale także najmniejsze jej niuanse. A rozważana przez nas kwestia ma kilka subtelnych niuansów. Nie zrozumie tego nikt, kto nie przeżywał czegoś, co można by nazwać bólem artysty próbującego odkryć jakieś znaczenie i jakąś historię w otaczającym go pięknie; kto nie odczuwał głodu tajemnic i złości na każdą wieżę czy drzewo, którym udało się ujść bez wyjawiania swojej opowieści. Artysta czuje, że nic, co nie jest osobowe, nie może być doskonałe. Bez tej osobowości ślepa, nieświadoma uroda świata stoi jak bezgłowy posąg w ogrodzie. Wystarczy być bardzo poślednim poetą, by podjąć zmaganie z wieżą albo drzewem, aż zaczną przemawiać do nas jak tytan albo driada. Często mówi się, że pogańska mitologia była personifikacją sił przyrody. Zdanie to jest w pewnym sensie prawdziwe, ale przy tym bardzo niezadowolające, zakłada bowiem, że siły przyrody to abstrakcje i traktuje personifikację jako coś sztucznego. Mity to nie alegorie. Siły przyrody w tym kontekście nie są abstrakcjami. W mitologii nie istnieje Bóg Grawitacji. Może istnieć duch wodospadu, ale nie samego spadania; byłby on jeszcze mniej prawdopodobny niż duch samej wody. Uosobienie nie dotyczy czegoś bezosobowego. Chodzi o to, że osobowość udoskonala wodę przydając jej znaczenia. Święty Mikołaj nie jest alegorią śniegu i ostrokrzewu; nie jest po prostu substancją o nazwie śnieg, której ktoś później nadał ludzką formę, tak jak lepi się bałwana. Jest on czymś, co nadaje nowe znaczenie białemu światu i wiecznie zielonym krzewom, tak że sam śnieg nic

wydaje się zimny, tylko ciepły. A zatem jedynym sprawdzianem jest sprawdzian wyobraźni. Ale wyobraźnia to nie zmyślenia. Nie można powiedzieć, że mitologia jest subiektywna, jak mówią współcześni, gdy chodzi im o to, że coś jest fałszywe. Każdy prawdziwy artysta odczuwa, świadomie czy nieświadomie, że dotyka prawd transcendentalnych; że jego obrazy są cieniami rzeczy widzianych przez zasłonę. Innymi słowy, mistyk natury wie, że tam *coś jest*, że coś kryje się za chmurami albo w drzewach, wierzy jednak, że właściwą drogą do odkrycia tego czegoś jest dążenie do piękna i że wyobraźnia jest rodzajem zaklęcia, którym można to coś wywołać.

Otóż nie rozumiemy w sobie tego procesu, nie mówiąc już o zrozumieniu go w naszych najdalszych współbraciach. A próba klasyfikowania tego typu zjawisk jest o tyle niebezpieczna, że daje nam złudzenie ich zrozumienia. Naprawdę dobre dzieło z dziedziny folkloru, takie jak *Złota gałąź*, wywołuje u wielu czytelników przekonanie, że na przykład taka czy inna opowieść o sercu olbrzyma czy czarownika zamkniętym w skrzyni „oznacza” tylko tyle, co jakiś głupi, zastały przesąd o „zewnątrznej duszy”. Tak naprawdę jednak nie wiemy, co te opowieści oznaczają, bo po prostu nie rozumiemy tego, co w nas wywołują. Przypuśćmy, że w jakiejś baśni ktoś mówi: Jeśli zerwiesz ten kwiat, w pałacu za morzem umrze królewna”. Nie wiemy, dlaczego słowa te poruszają coś w naszej podświadomości, i dlaczego coś tak niemożliwego wydaje się nam niemal nieuchronne. Przypuśćmy, że przeczytaliśmy zdanie: „I w tej samej

godzinie, gdy król zgasił świecę, jego statki rozbiły się u dalekich wybrzeży Hebrydów". Nie wiemy, dlaczego wyobraźnia przyjmuje ten obraz, zanim rozum mógłby go odrzucić, ani dlaczego nam się wydaje, że taki związek wydarzeń rzeczywiście wiąże się z czymś w głębi duszy. Wiele z tego, co najgłębsze w naszej naturze — niejasne przeczucia, że wielkie rzeczy są zależne od małych, tajemnicze wrażenie, że rzeczy nam najbliższe sięgają o wiele dalej niż nasza władza i sakramentalna intuicja, że substancje materialne mają magiczną moc — te i wiele innych niepoddających się poznaniu emocji zawiera w sobie pojęcie zewnętrznej duszy. Siła nawet najbardziej barbarzyńskich mitów jest taka sama jak siła poetyckich metafor. A dusza takiej metafory jest często w pełnym znaczeniu tego słowa zewnętrzna. Najlepsi krytycy zauważają, że u najlepszych poetów porównanie jest często obrazem jakby zupełnie odłączonym od tekstu. Ma ono z utworem tak samo mało wspólnego co daleki zamek z kwiatem albo wybrzeże Hebrydów ze świecą. Shelley porównuje skowronka do młodej kobiety na wieży, do róży ukrytej w gęstym listowiu i do całej serii zjawisk, które zdają się tak niepodobne do skowronka, jak tylko moglibyśmy sobie wyobrazić. Najmocniejszym, jak przypuszczam, momentem czystej magii w angielskiej literaturze jest często cytowany urywek z „Ody do słowika” Keatsa o „oknach otwierających się na niebezpieczne piany mórz”. Nikt przy tym nie zauważa, że obraz ten pochodzi jak gdyby znikąd, że pojawia się nagle, po niemal równie pozbawionych związku wzmiankach o Rut, i że

nie ma absolutnie nic wspólnego z tematem wiersza. Jeśli jest jakieś miejsce na świecie, gdzie nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby się spodziewać śpiewu słowika, to miejscem tym jest okno wychodzące na morski brzeg. Ale nikt nie spodziewałby się go tam usłyszeć tylko w tym sensie, w jakim nie spodziewałby się znaleźć serca olbrzyma ukrytego w skrzyni na dnie morza. Otóż klasyfikowanie metafor poetyckich to bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Shelley powiada na przykład, że chmura rodzi się „jak dziecię z łona, jak duch z mogiły”; z łatwością można by zaklasyfikować pierwsze porównanie jako prymitywny, barbarzyński mit o narodzinach, a drugie jako pozostałość kultu duchów, który z czasem przerodził się w kult przodków. Nie jest to jednak właściwy sposób obchodzenia się z chmurą i może on łatwo postawić uczonych w sytuacji Poloniusza, który był aż nadto gotowy uznać, że chmura jest jak łasica albo „zupełny wieloryb”²⁴.

Z psychologii snów na jawie wynikają dwie rzeczy, o których należy pamiętać przez cały czas, gdy rozwijają się one w mitologie, a nawet religie. Po pierwsze te pełne polotu impresje mają często ściśle lokalny charakter. Nie są to wcale abstrakcje zmienione w alegorie, ale obrazy przybierające konkretną postać idoli. Poeta wyczuwa tajemniczość konkretnego lasu, a nie teorii zalesiania albo departamentu lasów państwowych. Oddaje on cześć konkretnemu wierzchołkowi góry,

²⁴ William Shakespeare *Hamlet* przeł. St. Barańczak

a nie abstrakcyjnemu pojęciu wysokości nad poziomem morza. I tak odkrywamy, że bogiem jest nie tylko woda, ale też jakaś szczególna rzeka albo morze, które przypomina pojedynczy strumień — rzekę opływającą dookoła cały świat. Ostatecznie wielu bogów niewątpliwie osiąga rozmiary żywiołów, ale nawet wtedy nie stają się oni wyłącznie wszechobecni. Apollo mieszka nie tylko wszędzie tam, gdzie właśnie świeci słońce; ma dom na delfickiej skale. Diana jest dość potężna, by przebywać w trzech miejscach naraz: na ziemi, w niebie i w piekle, ale mocniejsza jest Diana czczona przez Efezjan. Takie zlokalizowane uczucie osiąga swoją najniższą formę w postaci fetysza lub talizmanu, takiego jak te, które milionerzy umieszczają na swoich samochodach. Może ono jednak także osiągnąć kształt wzniosłej i poważnej religii, w której wiąże się ze wzniosłymi i poważnymi obowiązkami; postać bogów miasta czy nawet bogów domowego ogniska.

Druga konsekwencja jest następująca: w pogańskich kultach można znaleźć zarówno wszystkie odcienie szczerości, jak i nieszczerości. W jakim dokładnie sensie Ateńczyk naprawdę sądził, że musi składać ofiary Pallas Atenie? Jaki badacz może być naprawdę pewien odpowiedzi na to pytanie? W jakim sensie doktor Johnson²⁵ naprawdę myślał, że musi dotknąć wszystkich słupów na ulicy albo że musi zbierać skórę

²⁵ Dr Samuel Johnson (1709-1784) - literat, leksykograf, twórca słownika jęz. angielskiego, wydawca dzieł Shakespeare'a, sportretowany barwnie w biografii pióra Jamesa Boswella.

pomarańczową? W jakim sensie dziecko naprawdę jest przekonane, że wolno mu stawać tylko na co drugiej płycie chodnika? Przynajmniej dwie rzeczy są tu stosunkowo jasne. Po pierwsze w mniej skomplikowanych i mniej wstydliwych czasach formy te mogły stawać się bardziej konkretne, nie zyskując wcale na powadze. Sny na jawie można było wówczas odgrywać w pełnym świetle, z większą swobodą artystycznej ekspresji, niekoniecznie tracąc przy tym lekki krok somnambulika. Wystarczy owinąć doktora Johnsona w starożytną togę, ukoronować go (za jego pozwoleniem) zielonym wieńcem, a będzie się przechadzał z godnością pod pradawnym niebem poranka, dotykając kolejno poświęconych słupów z rzeźbionymi głowami dziwnych skrajnych bóstw, które strzegą granic ludzkiego świata i życia. Wystarczy wpuścić dziecko do marmurowej, wykładanej mozaikami klasycznej świątyni i dać mu się bawić na podłodze wykładanej białymi i czarnymi kamieniami, by chętnie zmieniło wypełnianie swego próżnego i ulotnego marzenia w poważny i pełen wdzięku taniec. Jednak słupy i kamienne posadzki nie są w tej sytuacji ani mniej, ani bardziej prawdziwe niż wtedy, kiedy są poddane współczesnym ograniczeniom. Nie nabierają powagi przez to, że traktuje się je z powagą. Mają w sobie tę samą szczerłość, jaką miały zawsze; szczerłość sztuki jako symbolu, który wyraża bardzo realne rzeczywistości duchowe pod pozorem życia. Są one jednak szczerze tylko w tym samym sensie co sztuka, a nie w tym samym sensie co moralność. Kolekcjonowana przez ekscentryka skórka pomarańczowa może zmie-

nić się w pomarańcze jakiegoś śródziemnomorskiego święta albo w złote jabłka śródziemnomorskiego mitu. Jednak różnica między nimi nigdy nie będzie na tym samym poziomie, co różnica między daniem pomarańczy ślepemu żebrakowi a ułożeniem skórki pomarańczowej w taki sposób, by ów żebrak potknął się na niej i złamał sobie nogę. Te dwie rzeczy różnią się od siebie nie stopniem, lecz rodzajem. Dziecko nie uważa nadepnięcia na niewłaściwą płytę chodnikową za złe w tym samym sensie, w jakim uważa za złe nadepnięcie psu na ogon. I bez względu na to, jaki żart, sentyment czy fantazja skłoniły Johnsona po raz pierwszy do dotykania drewnianych słupów na drodze, z pewnością nie dotykał ich z tym samym uczuciem, z jakim wyciągał ręce do straszliwego drzewa, które dźwigało śmierć Boga i życie człowieka.

Jak już zauważyliśmy, nie oznacza to, że takie nastawienie było zupełnie oderwane od rzeczywistości czy nawet pozbawione religijnego uczucia. W efekcie Kościół katolicki przejął z olbrzymim sukcesem to popularne przedsięwzięcie, jakim jest dostarczanie ludziom lokalnych legend i lżejszych odmian ceremoniału. Nie było powodu, by temu rodzajowi pogaństwa, o ile był niewinny i związany z naturą, nie mieli patronować święci, tak jak kiedyś pogańscy bogowie. W każdym razie nawet najbardziej naturalne fantazje mogą mieć różne stopnie powagi. Jest różnica między wyobrażaniem sobie, że w lesie mieszkają wróżki - co często oznacza jedynie, że pewien las byłby odpowiedni dla wróżek — a podsycaniem

w sobie strachu do tego stopnia, że wolimy nadłożyć milę, byle tylko nie przejść obok domu, który uznaliśmy za nawiedzony. Za tymi wszystkimi sprawami kryje się fakt, że piękno i strach są zjawiskami bardzo prawdziwymi i związanymi ze światem duchowym i że dotykając ich nawet z powątpiewaniem albo w przypływie fantazji, porusza się najgłębsze pokłady duszy. Rozumiemy to wszyscy i rozumieli to również poganie. Rzecz jednak w tym, że w pogaństwie tym, co poruszało dusze, były wyłącznie wątpliwości i fantazje, w konsekwencji czego dziś możemy mieć jedynie wątpliwości i fantazje na temat pogaństwa. Wszyscy najlepsi krytycy są zgodni, że wszyscy najwięksi poeci, na przykład w pogańskiej Helladzie, mieli do swoich bogów stosunek, zdaniem ludzi z epoki chrześcijańskiej, zgoła dziwny i niepokojący. Wyglądało to tak, jakby wszyscy uznawali konflikt boga i człowieka, ale najwyraźniej nie byli pewni, który jest bohaterem, a który złoczyńcą. Ta wątpliwość występuje nie tylko u takich sceptyków jak Eurypides w *Bachantkach*, ale także u umiarkowanych konserwatystów jak Sofokles w *Antygonie*, a nawet u prawdziwego torysa i reakcjonisty Arystofanesa w *Żabach*. Czasem wydaje się, że Grecy nade wszystko wierzyli w szacunek, tylko nic mieli kogo szanować. Sednem tej zagadki mglistości i zmienności jest jednak to, że wszystko zaczęło się od fantazji i snów i że nie ma architektonicznych reguł budowania zamku na chmurze.

Oto wielkie rozłożyste drzewo zwane mitologią, rozgałęziające się na cały świat. Na jego najdalszych gałęziach pod roz-

maitymi niebami kołyszą się jak wielobarwne ptaki kosztowne idole Azji i niedopieczzone fetysze Afryki, królowie i królowny elfów z leśnych bajek, lary Rzymian skryte wśród winnej lato-rośli i oliwek, a także wznoszący się na podniebnych chmurach Olimpu najwyżsi bogowie Grecji. Tym właśnie są mity. A kto nie ma sympatii dla mitów, nie ma sympatii dla ludzi. Ale kto ma dla mitów najwięcej sympatii, najlepiej zdaje sobie sprawę, że nie są one i nigdy nie były religią w tym sensie, w jakim jest nią chrześcijaństwo albo islam. Mity zaspokajają niektóre z potrzeb, zaspokajanych przez religię - przede wszystkim potrzebę wykonywania określonych czynności w określone dni, dwie bliż-niacze potrzeby świętowania i ceremoniału. Ale mimo że mity wyposażają człowieka w kalendarz[^]nie wyposażają go w prawdy wiary. Nikt nie recytował na stojąco: "Wierzę w Jupitera, Junonę i Neptuna" i tak dalej, tak jak dziś recytujemy: "Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego" i cały Skład Apostolski. Wielu ludzi wierzy-ło w jednych bogów, a nie wierzyło w innych, albo w jednych wierzyło więcej, a w innych mniej, albo też wierzyło w ogóle w jakichkolwiek bogów jedynie w mglistym i poetyckim sensie. W żadnym momencie historii poganie nie byli zjednoczeni we wspólnym ortodoksyjnym porządku, za którego nienaruszalność ludzie walczyliby i cierpieli tortury. Jest jeszcze mniej prawdopodobne, by ktoś w tym duchu mówił: „Wierzę w Odyna, Tora i Freję", bo z dala od Olimpu nawet olimpijski porządek staje się niewyraźny i chaotyczny. Wydaje mi się oczywiste, że Tor nie był wcale bogiem, tylko bohaterem. Nic przypominającego religię

nie mogłoby przedstawić nikogo przypominającego boga jako karzełka czołgającego się po omacku w wielkiej jaskini, która okazuje się rękawicą olbrzyma. Jest to przykład chwalebnej niewiedzy zwanej przygodą. Tor może i był wielkim miłośnikiem przygód, ale nazywanie go bogiem przypomina porównywanie Boga Jahwe do bohatera bajki o Jasiu i czarodziejskiej fasoli. Odyn robi natomiast wrażenie prawdziwego barbarzyńskiego przywódcy, być może z okresu ciemnych wieków po nadejściu chrześcijaństwa. Politeizm rozmywa się na obrzeżach, przechodząc w bajki albo barbarzyńskie wspomnienia; nie przypomina on monoteizmu w tym kształcie, w jakim wyznają go poważni monoteiści. W tym również zaspokaja on pewną potrzebę, potrzebę przywoływania jakiegoś wzniosłego imienia albo szlachetnego wspomnienia w chwilach, które same z siebie są szlachetne i wzniosłe — jak narodziny dziecka czy ocalenie miasta przed wrogiem. Wreszcie politeizm zaspokaja, a raczej zaspokaja częściowo, jeszcze jedną bardzo głęboko zakorzenioną ludzką tęsknotę: tęsknotę za zrezygnowaniem z czegoś, co uważa się za część należną nieznanym mocom, pragnienie wylania winy na ziemię albo wrzucenia pierścienia w morze - jednym słowem, pragnienie ofiary. Ta mądra i szlachetna idea oznacza niewykorzystanie naszej przewagi do końca, położenie na drugiej szali czegoś, co zrównoważyłoby naszą wątpliwą pychę, zapłacenie naturze dziesięciny za naszą własną ziemię. Prawda o niebezpieczeństwie zuchwałości albo zbytniego przejmowania się sobą przewija się we wszystkich greckich tragediach i decyduje o ich

wielkości. Wraz z nią przewija się jednak enigmatyczny agnostycyzm dotyczący prawdziwej natury bogów, których trzeba przebłagać ofiarami. Tam, gdzie gest ofiarowania jest najbardziej wielkoduszny, jak to bywa u wielkich Greków, o wiele wyrażniejsze jest zrozumienie, że większą korzyść odnosi człowiek, który pozbywa się cielca, niż bóg, który go otrzymuje. Powiada się, że w bardziej barbarzyńskich formach tej ofiary spotyka się groteskowe czynności sugerujące, że bóg rzeczywiście zjada to, co mu ofiarowano. Postrzeganie tego faktu jest jednak zafałszowane przez błąd, o którym wspomniałem na początku tego rysu o mitologii. Chodzi o niezrozumienie psychologii snów na jawie. Dziecko, które udaje, że w dziupli drzewa mieszka goblin, może wykonać jakiś prymitywny materialny gest — na przykład zostawić mu kawałek ciasta. Poeta może zachować się godniej i bardziej elegancko, na przykład przynieść bogu owoce i kwiaty. Jednak poziom *powagi* w obu wypadkach może być taki sam albo może się wahać właściwie w każdym stopniu. Prymitywna fantazja tak samo nie jest prawdą wiary jak fantazja idealna. Z pewnością poganin nie jest równie niewierzący co ateista, ale też nie wierzy tak jak chrześcijanin. Przeczuwa on jedynie obecność mocy, co do których może snuć domysły i fantazje. Święty Paweł powiedział, że Grecy mieli jeden ołtarz wystawiony nieznanemu bogu. W rzeczywistości jednak wszyscy ich bogowie byli nieznani. A prawdziwy przełom w historii nastąpił wtedy, kiedy Św. Paweł obwieścił im, kogo czcili w nieświadomości.

Istotę takiego pogaństwa można podsumować w następujący sposób. Jest to próba dotarcia do rzeczywistości nadprzyrodzonej za pomocą samej wyobraźni; na jej własnym polu rozum nie ogranicza jej wcale. Sprawą zasadniczą dla zrozumienia całej historii świata jest uświadomienie sobie, że rozum był czymś oddzielnym od religii w najbardziej nawet racjonalnej cywilizacji pogańskiej. Dopiero na zasadzie późniejszej refleksji, kiedy kulty pogańskie wchodziły w fazę schyłkową lub zajmowały pozycje obronne, kilku neoplatonistów albo braminów starało się je zracjonalizować, choć i wówczas tylko je alegoryzowali. W gruncie rzeczy jednak nurty mitologii i filozofii płynęły równolegle i nic mieszały się ze sobą, dopóki nie spotkały się w morzu chrześcijaństwa. Prości wyznawcy sekularyzmu nadal przemawiają tak, jakby Kościół wprowadził coś w rodzaju schizmy między rozumem i religią. Prawda natomiast jest taka, że Kościół jako pierwszy starał się pogodzić rozum i religię. Nigdy przedtem nie było takiego przymierza kapłanów i filozofów. Mitologia zatem szukała Boga przez wyobraźnię, szukała prawdy za pośrednictwem piękna - w tym znaczeniu tego słowa, w którym obejmuje ono nawet najbardziej karykaturalną brzydotę. Wyobraźnia jednak ma własne prawa i w związku z tym swoje zwycięstwa, których nie mogą zrozumieć ani logicy, ani przedstawiciele nauki. Mitologia pozostała wierna temu twórczemu instynktowi w tysiącu ekstrawagancji - we wszystkich prymitywnych kosmicznych pantomimach o słońcu zjadającej księżyc albo o świecie wykrojonym z krowy, we

wszystkich zawrotnych zawirowaniach i mistycznych deformacjach azjatyckiej sztuki, w całej surowej, wytrzeszczonej sztywności egipskich i asyryjskich portretów, w każdym pękniętym lustrze szalonej sztuki, które na pozór zniekształca świat i przemieszcza niebo. Pozostała wierna czemuś, o co nie sposób się spierać - czemuś, co sprawia, że artysta z takiej czy innej szkoły może nagle zatrzymać się przed konkretną maską i stwierdzić: „Spełnił się mój sen”. Dlatego właśnie wszyscy w istocie czujemy, że pogańskie, prymitywne mity są nieskończenie sugestywne, dopóki jesteśmy na tyle mądrzy, by nie dociekać, co one sugerują. Dlatego wszyscy czujemy, co oznacza mit o Prometeuszu kradnącym ogień bogom, dopóki jakiś zarozumiały pesymista albo postępowiec nie wyjaśni nam jego znaczenia. Dlatego znamy znaczenie bajki o Jasiu i czarodziejskiej fasoli, dopóki ktoś nie zechce nam go zdradzić. W tym sensie prawdą jest, że to ignoranci akceptują mity, ale tylko dlatego, że to ignoranci potrafią docenić poezję. Wyobraźnia ma własne prawa i zwycięstwa; olbrzymia moc spowija wizerunki wyrzeźbione przez nią w myśli czy w błocie, w bambusie Mórz Południowych czy w marmurze górzystej Hellady. Ale z jej zwycięstwem zawsze wiązał się pewien problem, który starałem się tu na próżno zanalizować. Może jednak na koniec spróbuję go ująć w następujący sposób.

Zasadnicza kwestia i kryzys wynikają stąd, że dla człowieka czymś naturalnym było oddawanie czci, nawet oddawanie czci rzeczom wynaturzonym. Idol mógł mieć postawę sztywną

i dziwaczną, ale gest czciciela zawsze był szeroki i piękny. Czciiciel czuł się nie tylko swobodniejszy, gdy się schylał; czuł się naprawdę wyższy, gdy się kłaniał. Od tej pory wszystko, co mogło mu odebrać ów gest uwielbienia, umniejszało go, a nawet okaleczało na zawsze. Od tej pory życie wyłącznie świeckie stało się poddaństwem i ograniczeniem. Kto nie może się modlić, ma zakneblowane usta; kto nie może uklęknąć, znajduje się w kajdanach. Dlatego w całym pogaństwie wyczuwamy dziwne podwójne uczucie ufności i nieufności zarazem. Kiedy człowiek wykonuje gest pozdrowienia i ofiarowania, kiedy wylewa libację albo unosi miecz, wie, że dokonuje rzeczy szlachetnej i męskiej; Wie, że wypełnia jedną z rzeczy, dla których został stworzony. Jego eksperymentowanie z wyobraźnią jest zatem usprawiedliwione. Ale właśnie dlatego, że człowiek zaczął od wyobraźni, w jego kulcie, a zwłaszcza w przedmiocie jego kultu, do końca będzie coś z kpiny. Ta kpina w chwilach bardziej intensywnych intelektualnie przeradza się w nieznośną ironię greckiej tragedii. Istnieje jakby dysproporcja między kapłanem i ołtarzem albo między ołtarzem i bóstwem. Kapłan robi nieomal wrażenie bardziej majestatycznego i świętego niż sam bóg. Cały porządek świątyni jest solidny, zdrowy i zadowalający dla pewnych części naszej natury, z wyjątkiem środka tego porządku, który wydaje się nam dziwnie zmienny i wątpliwa jak roztańczony płomień. Wokół tej pierwszej myśli zbudowano całą resztę, ale sama myśl wciąż pozostaje fantastyczna, by nie rzec - frywolna. W tym dziwnym miejscu spotkania

człowiek wydaje się bardziej posągowy od posągu. Sam może trwać bez końca w szlachetnej i naturalnej postawie „Modlącego się chłopca”²⁶. Ale bez względu na to, jakie imię wypisano na piedestale - Zeusa, Ammona czy Apolla - bogiem, któremu ów człowiek oddaje cześć, jest Proteusz.

„Modlący się chłopiec” wyraża raczej pragnienie niż zaspokojenie pragnienia. Ręce chłopca są uniesione w zwykłym i nieodzownym geście, ale równie wiele mówiący jest fakt, że jego ręce są puste. O naturze tej potrzeby będzie jeszcze mowa gdzie indziej, tu zaznaczmy jedynie, że być może trafna intuicja o modlitwie i ofierze dającej wolność i wzrost odnosi się do tej potężnej i na wpół zapomnianej koncepcji uniwersalnego ojcostwa, która, jak już widzieliśmy, bladła stopniowo na porannym niebie historii. Jest to jednak prawda niekompletna. Pozostaje jeszcze niezniszczalną intuicja poety-poganina, która podpowiada mu, że nie myli się on całkowicie, nadając lokalny charakter swemu bogu. Jest to coś leżącego w samym sercu poezji, jeśli nic pobożności Największy z poetów podając definicję poety nie powiedział, że oddaje on wszechświat, absolut albo nieskończoność, ale że we własnym rozleglejszym języku podaje nam imię i miejsce zamieszkania. Żaden poeta nie jest wyłącznie panteistą; ci, którzy jak Shelley uważani są za największych panteistów, zaczynają od lokalnego szczegółowego obrazu, tak samo jak poganie. Ostatecznie Shelley pisał

²⁶ Posąg znajdujący się w ogrodach pałacu Sans-Souci w Poczdamie

o skowronku dlatego, że był to skowronek. Nie można byłoby wydać międzynarodowego, imperialnego tłumaczenia tego wiersza na użytek mieszkańców Afryki Południowej, w którym skowronek zostałby zastąpiony przez strusia. Tak samo mitologiczna wyobraźnia porusza się niejako po kole, próbując albo odnaleźć jakieś miejsce, albo do niego wrócić. Jednym słowem, mitologia jest *poszukiwaniem*; jest czymś, co łączy w sobie powracające pragnienie z powracającą wątpliwością, mieszając najbardziej pożądaną szczerść poszukiwania miejsca z najmroczniejszym, najgłębszym i najbardziej zagadkowym brakiem dbałości o miejsca już odnalezione. Samotna wyobraźnia mogła doprowadzić ludzi aż dotąd; w następnej kolejności będziemy musieli zająć się samotnym rozumem. Ani przez chwilę w ciągu całej wędrówki tych dwoje nie podróżowało razem.

To właśnie różniło tego typu zjawiska od religii, czyli od tej rzeczywistości, w której wszystkie wymiary spotkały się niczym w bryle. Różniła je nie powierzchowność, ale istota. Malowidło może przypominać krajobraz, może go nawet przypominać w każdym najdrobniejszym szczególe; jedyny szczegół, który je różni, to ten, że malowidło nie jest krajobrazem. Różnica jest zaledwie taka sama jak między portretem królowej Elżbiety i samą królową. Tylko że w świecie mitu i mistycyzmu portret mógł istnieć wcześniej niż osoba, i dlatego był on bardziej mglisty i wątpliwy. Każdy jednak, kto wczuwał się w atmosferę mitów i nimi się karmił, zrozumie, o co mi chodzi, gdy powiem, że w pewnym sensie mity te wcale nie pretendowały

do miana rzeczywistości. Poganie śnili o różnych rzeczywistościach i pierwsi przyznaliby własnymi słowami, że jedno z tych snów przyszły przez bramę z kości słoniowej, a inne przez bramę z rogu²⁷. Sny rzeczywiście mają to do siebie, że stają się bardzo żywe, gdy dotykają czułych i tragicznych spraw; z takich snów budzimy się z uczuciem, że serce pękło nam we śnie. Sny te nieustannie powracają do emocjonujących tematów spotkania i rozstania, życia, które kończy się śmiercią albo śmierci, która jest początkiem życia. Demeter błąka się po spustoszonej krainie, szukając uprowadzonego dziecka, Izis na próżno wyciąga ramiona nad ziemią, by pozbierać członki Ozyrysa, na wzgórzach rozlega się lament po Attisie, a w lasach opłakują Adonisa. Z wszelką tego rodzaju żałobą miesza się mistyczne, głębokie przeczucie, że śmierć może być wybawieniem i przebłaganiem, że taka śmierć napętnia boską krwią rzekę odrodzenia i że wszelkie dobro wynika z przysparzenia złamanego ciała boga. Możemy zgodnie z prawdą nazwać te obrazy zapowiedziami, o ile będziemy pamiętać, że zapowiedzi są tylko cieniami rzeczywistości. Przypadkiem metafora cienia oddaje tu bardzo dokładnie pewną niezwykle ważną prawdę. Cień bowiem to kształt: coś, co powtarza jedynie kształt, a nie strukturę. Zjawiska te były *podobne* do rzeczywistości, czyli inaczej mówiąc, były od niej inne.

²⁷ W *Odysei* Penelopa mówi Odysowi o dwóch bramach snów: te, które przychodzą przez bramę z kości słoniowej są próżnymi marzeniami, a te, które przychodzą przez bramę z rogu, wróżą prawdę.

Powiedzenie, że coś jest podobne do psa, jest innym sposobem stwierdzenia, że coś nie jest psem, i właśnie w tym sensie mit nie jest tożsamy z człowiekiem. Nikt tak naprawdę nie myślał o Izis jako o istocie ludzkiej, nikt nie przypuszczał, że Demeter była postacią historyczną, i nikt nie uważał Adonisa za założyciela Kościoła. Nie istniało przekonanie, że którekolwiek z tych bóstw zmieniło świat. Odczuwano raczej, że ich powtarzająca się śmierć i powrót do życia dźwigają na sobie smutny i piękny ciężar niezmienności świata. Żadne z nich nie dokonało przewrotu we wszechświecie, co najwyżej strzegło obrotu planet. Całe ich znaczenie nam umyka, jeśli nie dostrzegamy, że bóstwa te oznaczają cienie, którymi sami jesteśmy, i cienie, za którymi gonimy. W pewnych aspektach społecznych i dotyczących ofiary, mity sugerują w sposób naturalny, jaki rodzaj boga mógłby usatysfakcjonować człowieka; tylko że człowiek nie satysfakcjonuje się mitami. Każdy, kto twierdzi, że jest inaczej, jest kiepskim znawcą poezji.

Ci, którzy mówią o pogańskich Chrystusach, wykazują mniej sympatii dla pogaństwa niż dla chrześcijaństwa. Ci, którzy nazywają pogańskie kulty „religiami” i „porównują” je z solidnością i sprzeciwem Kościoła, nie potrafią tak jak my docenić tego, co czyniło pogaństwo ludzkim, ani zrozumieć, dlaczego literatura starożytna nadal rozbrzmiewa w powietrzu jak pieśń. Próba udowodnienia, że głód to to samo co pożywienie, nie jest przejawem ludzkiego współczucia dla głodnych. Dowodzenie, że nadzieja niweczy potrzebę szczęścia, nie jest przejawem

przyjacielskiego zrozumienia młodości. A dowodzenie, że obrazy istniejące w myślach i podziwiane wyłącznie w teorii, należały do tego samego świata co żywy człowiek i żywa społeczność, którym oddawano cześć dlatego, że były konkretne, to zupełny brak realizmu. Moglibyśmy równie dobrze powiedzieć, że chłopiec bawiący się w policjantów i złodziei przeżywa to samo, co żołnierz pierwszego dnia w okopach, albo że pierwsze chłopięce marzenia o „tej, która nie jest niemożliwością”, są tym samym, co sakrament małżeństwa. Różnią się one zasadniczo właśnie tym, co powierzchownie zbliża je do siebie; można by niemal powiedzieć, że nie są tym samym nawet tam, gdzie wyglądają tak samo. Różni je tylko to, że jedno jest prawdziwe, a drugie nie. Nie chodzi mi tylko o to, że sam wierzę w prawdziwość jednego i nieprawdziwość drugiego. Chodzi mi o to, że jedno nigdy nie miało być prawdziwe w tym samym sensie co drugie. W jakim sensie pogaństwo miało być prawdziwe, starałem się tu mgliście zasugerować, ale z pewnością jest to zjawisko bardzo subtelne i prawie niemożliwe do opisanie. Jest tak subtelne, że badacze, którzy starają się przedstawić je jako konkurencję dla naszej religii, tracą znaczenie i sens swoich badań. Wszyscy - nawet ci z nas, którzy nic są uczonymi - wiedzą lepiej od uczonych, co kryło się w tym głuchym lamencie, który zabrzmiał nad martwym ciałem Adonisa, i dlatego córka Wielkiej Matki poślubiła śmierć. Zgłębiliśmy lepiej od nich misteria eleuzyńskie i dotarliśmy na wyższy poziom, gdzie kolejne bramy strzegą mądrości Orfeusza.

Znamy znaczenie wszystkich mitów. Znamy ostatni sekret wyjawiany najbardziej wtajemniczonym. I nie jest to głos kapłana albo proroka mówiący: „Te rzeczy istnieją”. Jest to głos marzyciela i idealisty wołający: „Ach, czemu takie rzeczy nie mogłyby istnieć?”.

VI

DEMONY i FiLoZoFOwie

P oświęciłem sporo czasu na omówienie tej twórczej odmiany pogaństwa, która napełniła świat świątyniami i owocowała wszędzie powszechną tradycją świętowania. Zasadnicza historia cywilizacji obejmuje jednak, w moim pojęciu, jeszcze dwa etapy przed ostatecznym nadejściem chrześcijaństwa. Pierwszy był etapem walki między tą właśnie odmianą pogaństwa i czymś mniej szlachetnym od niej, a drugi - etapem przemian, w wyniku których ta odmiana pogaństwa sama utraciła szlachetność. Zróżnicowany i często bardzo mglisty politeizm starożytności miał w sobie słabość grzechu pierwotnego. Pogańscy bogowie przedstawiani byli tak, jakby grali ludźmi w kości, bo ludzie rzeczywiście są źle wyważonymi kośćmi. Zwłaszcza w sprawach płci rodzą się niezrównoważeni; moglibyśmy niemal powiedzieć, że rodzą się obłąkani. Trzeźwość umysłu osiągają dopiero niemal równocześnie ze świętością. Ta dysproporcja ściągnęła uskrzydłone fantazje na ziemię i napełniła schyłek pogaństwa zwykłym brudem i bezładem pieniących się bogów. Pierwszą rzeczą, którą trzeba sobie

uświadomić, jest jednak to, że tego rodzaju pogaństwo zdarzyło się już na początku z innym pogaństwem, i że rezultat tej zasadniczo duchowej walki zdecydował o dalszej historii świata. Aby to zrozumieć, musimy najpierw przyjrzeć się tej drugiej odmianie. Można ją omówić w o wiele większym skrócie; istnieje doprawdy wiele bardzo realnych powodów, by mówić o niej jak najmniej. Jeśli poprzedni rodzaj mitologii mogliśmy nazwać snem na jawie, ten drugi można by nazwać nocnym koszmarem.

Przesady pojawiają się we wszystkich epokach, zwłaszcza w epokach racjonalistycznych. Pamiętam, jak kiedyś musiałem bronić tradycji religijnej przed zebraniem przy stole gronem wybitnych agnostyków, i zanim nasza rozmowa dobiegła końca, każdy z nich wyciągnął z kieszeni albo pokazał zawieszony na łańcuszku od zegarka jakiś amulet lub talizman, z którym, jak wyznał, nigdy się nie rozstawał. Byłem jedyną osobą w tym towarzystwie, która zaniedbała sprawę zapewnienia sobie fetysza. Przesady pojawiają się w epoce racjonalizmu, ponieważ opierają się one na czymś, co może nie jest identyczne z racjonalizmem, ale ma wiele wspólnego ze sceptycyzmem, a w każdym z nich jest bliskie agnostycyzmu. Przesady opierają się bowiem na czymś, co w rzeczywistości jest bardzo ludzkim i zrozumiałym uczuciem, jak to, z którym w pogaństwie powszechnie wzywano lokalne *numena*. Jest to jednak uczucie agnostyczne, gdyż opiera się na dwóch intuicjach: po pierwsze, że tak naprawdę nie znamy praw rządzących wszechświatem, i po dru-

gie, że prawa te mogą być bardzo odległe od tego, co nazywamy rozumem. Przesądni ludzie zdają sobie sprawę z tego, że rzeczy wielkie często zależą od bardzo małych. Kiedy z głębi tradycji czy czegoś podobnego dobiega ich szept, że taka czy inna drobna rzecz jest kluczem i wskazówką, coś głębokiego i nie do końca bezmyślnego w naturze ludzkiej podpowiada im, że jest to całkiem możliwe. Uczucie to występuje w obu rozważanych przez nas odmianach pogaństwa, jednak w owej drugiej odmianie znajdujemy je w innej formie i napełnione nowym, bardziej przerażającym duchem.

Omawiając lżejsze zjawisko mitologii, powiedziałem bardzo mało o jego najbardziej dyskusyjnym aspekcie, a mianowicie o tym, do jakiego stopnia wzywanie duchów morza lub żywiołów może faktycznie przywołać duchy z głębi otchłani, albo raczej (jak ujął to szekspirowski szyderca) czy duchy przychodzą, kiedy się je woła. Uważam, moim zdaniem słusznie, że ten praktyczny problem nie odgrywał najważniejszej roli w poetyckim przedsięwzięciu, jakim była mitologia. Jeszcze bardziej oczywiste wydaje mi się jednak, i mam na to dowody, że duchy rzeczywiście czasem się zjawiały, nawet jeśli były tylko złudzeniem. W świecie przesądów dostrzegamy jednak bardzo subtelny cień różnicy; cień głębszy i mroczniejszy od innych. Niewątpliwie większość pospolitych przesądów jest tak samo niepoważna jak pospolita mitologia. Ludzie nie uważają za dogmat tego, że Bóg razi ich piorunem, jeśli przejdą pod rozstawioną drabiną; częściej zabawiają się po prostu niezbyt

męczącym ćwiczeniem polegającym na obchodzeniu drabiny dookoła. Nie ma w tym nic ponad to, o czym już wspomniałem: pewien rodzaj nieokreślonego agnostycyzmu co do prawdopodobieństwa, jakie kryje w sobie tak dziwny świat. Istnieje jednak inny rodzaj przesądu, zdecydowanie nastawionego na rezultaty; można by go nazwać przesądem relistycznym. W tym kontekście pytanie, czy duchy odpowiadają na prośby i przychodzą, staje się o wiele poważniejsze. Jak już powiedziałem, jestem przekonany, że czasem tak bywa; w tej sferze istnieje jednak rozróżnienie, które zapoczątkowało na świecie bardzo wiele zła.

Czy to dlatego, że upadek rzeczywiście zbliżył człowieka do mniej pożądanых sąsiadów w świecie duchowym, czy też dlatego, że gorliwemu, chciwemu człowiekowi łatwiej przychodzi wyobrażanie sobie zła, czarna magia związana z czarami okazała się, moim zdaniem, o wiele bardziej praktyczna i mniej poetyczna niż biała magia związana z mitologią. Ogród czarownicy był, jak sądzę, uprawiany o wiele staranniej niż leśny zagajnik nimfy. Podejrzewam nawet, że złe pole przynosiło większe plony niż dobre. Na początku jakiś impuls, być może rozpaczliwy, popchnął człowieka do przyzywania pomocy mroczniejszych sił w rozwiązywaniu praktycznych problemów. Istniało bowiem tajemne, przewrotne przekonanie, że owe ciemniejsze moce naprawdę robią to, co do nich należy; że nie zajmują się niedorzecznościami. To wyrażenie doskonale trafia w sedno. Bogowie zwyczajnej mitologii mieli w sobie

bowiem wiele niedorzeczności. Mieli w sobie wiele dobrych niedorzeczności - w tym wesołym, zabawnym sensie, w jakim mówimy o niedorzeczności Dżabbersmoka albo krainy, gdzie mieszkają Dżamble. Natomiast człowiek zwracający się do demona czuł się tak, jak często czujecie człowiek zwracający się po pomoc do detektywa, zwłaszcza do prywatnego detektywa: że jest to nieczysta sprawa, ale że robota będziewykonana. Człowiek nie szedł do lasu po to, żeby spotkać nimfę; szedł tam raczej z nadzieją, że uda mu się ją spotkać. Nie była to schadzka, ale raczej przygoda. Diabeł natomiast rzeczywiście stawiał się na umówione spotkania i nawet w pewnym sensie dotrzymywał obietnic; choćby człowiek życzył sobie potem, jak Makbet, żeby ich nie dotrzymał.

Z dostępnych nam opisów wielu prymitywnych czy też dzikich plemion możemy wnioskować, że kult demonów często był poprzedzany przez kult bogów, a nawet przez kult jednego najwyższego bóstwa. Można podejrzewać, że prawie zawsze w takim wypadku najwyższe bóstwo wydawało się zbyt odległe, by zwracać się do niego z pewnymi drobnymi sprawami, i ludzie zaczęli wywoływać duchy, bo w bardziej dosłownym sensie odnajdowali w nich bratnie dusze. Ale wraz z pomysłem zatrudnienia demonicznych sił do załatwiania różnych spraw pojawił się też inny pomysł, bardziej godny demonów. Chodziło w nim rzeczywiście o to, by stać się godnym demonów, by wyrobić w sobie cechy odpowiednie do przebywania w ich wybrednym i męczącym towarzystwie. Przesąd lżejszego

rodzaju bawi się myślą, że jakiś drobiazg, jakiś drobny gest, taki jak rozsypanie soli, może uruchomić ukrytą sprężynę nakręcającą tajemniczą maszynę świata. I ostatecznie jest coś w idei takiego „Sezamie, otwórz się”. Ale zwracanie się do podległych duchów niesie ze sobą straszne przekonanie, że gest ten musi być nie tylko bardzo mały, ale także bardzo podły; że musi to być jakaś najpodlejsza, najbardziej niegodziwa praktyka. Prędzej czy później człowiek świadomie zmusza się do robienia najbardziej odrażającej rzeczy, jaka przychodzi mu do głowy. Wydaje mu się, że skrajnie zły czyn wymusi uwagę albo odpowiedź złych sił kryjących się pod powierzchnią świata. Kanibalizm nie jest przecież w większości zwyczajem prymitywnym ani nawet zwierzęcym. Jest to sztucznie stworzony zwyczaj, a nawet swego rodzaju sztuka; można go nawet nazwać sztuką dla sztuki. Ludzie nie praktykują kanibalizmu dlatego, że nie uważają go za coś strasznego; wręcz przeciwnie, uprawiają go, bo uważają, że jest on czymś strasznym. Chcą całkiem dosłownie żywić się obrzydliwością. Dlatego właśnie często okazuje się, że prymitywne plemiona, na przykład australijscy tubylcy, nie znają kanibalizmu, natomiast o wiele bardziej wyrefinowane i inteligentne ludy, takie jak nowozelandzcy Maorysi, niekiedy go praktykują. Są oni dość wyrefinowani i inteligentni, by od czasu do czasu świadomie pozwolić sobie na potworność. Gdybyśmy potrafili zrozumieć ich mentalność albo chociaż do końca zrozumieć ich język, prawdopodobnie odkrylibyśmy, że nie działają jako nieświadomi, to znaczy niewinni kanibale.

Postępują w ten sposób nie dlatego, że nie widzą w tym zła, ale właśnie dlatego, że je dostrzegają. Zachowują się jak paryski dekadent idący na czarną mszę. Ale czarna msza musi schodzić pod ziemię z obawy przed prawdziwą Mszą. Innymi słowy, demony od czasu przyjścia Chrystusa na ziemię naprawdę pozostają w ukryciu. Kanibalizm wyżej stojących barbarzyńców kryje się przed cywilizacją białego człowieka. Ale przed nadejściem chrześcijaństwa, zwłaszcza poza granicami Europy, nie zawsze tak było. W czasach starożytnych demony często wałęsały się po szerokim świecie jak smoki. Można je było publicznie i z całym przekonaniem koronować na bogów. Ich olbrzymie podobizny można było ustawiać w publicznych świątyniach w środku ludnych miast. Na całym świecie dostrzegamy ślady tego zdumiewającego i konkretnego faktu, tak zagadkowo pomijanego przez współczesnych, którzy ten rodzaj zła przypisują wczesnym etapom ewolucji: że w gruncie rzeczy to właśnie w niektórych najwyżej stojących cywilizacjach rogi Szatana wywyższano nie tylko do gwiazd, ale nawet wobec jasnego słońca.

Weźmy na przykład cywilizacje Azteków i amerykańskich Indian ze starożytnych imperiów Meksyku i Peru. Były one co najmniej tak skomplikowane jak cywilizacja Egiptu czy Chin i mniej żywotne jedynie od cywilizacji centralnej, czyli naszej. Ci jednak, którzy krytykują ową centralną cywilizację (która wciąż jest ich własną), mają dziwny zwyczaj nie tylko całkiem uzasadnionego potępiania jej przestępstw, ale też dokładania

wszelkich starań, żeby idealizować jej ofiary. Ludzie ci zawsze zakładają, że przed nadejściem Europejczyków rozciągał się wszędzie na świecie prawdziwy Eden. Na przykład Swinburne, w pełnej werwy litanii narodów z „Pieśni przed świtem”, użył na określenie Hiszpanii i jej południowoamerykańskich podbojów wyrażenia, które zawsze wydawało mi się uderzająco dziwaczne. Powiedział coś o jej „grzechach i synach rozproszonych po bezgrzesznych łądach” i o tym, że uczynili oni „przeklętym imię człowieka i trzykroć przeklętym imię Boga”. Być może stwierdzenie, że Hiszpanie byli grzeszni, jest całkiem uzasadnione, dlaczego jednak upierać się przy tym, że mieszkańcy Ameryki Południowej byli bez grzechu? Dlaczego zdaniem Swinburne’a akurat ten kontynent miałby być zamieszkany wyłącznie przez archaniołów albo świętych Pańskich? Nawet w odniesieniu do najbardziej szacownej wspólnoty byłoby to twierdzenie bardzo odważne; a gdy przypomnimy sobie, co tak naprawdę wiemy o społeczności południowoamerykańskiej, okazuje się ono po prostu śmieszne. Wiemy mianowicie, że bezgrzeszni kapłani tego bezgrzesznego ludu czcili bezgrzesznych bogów, dla których nektarem i ambrozją ich słonecznego rajy były ni mniej, ni więcej, tylko składane wśród okrutnych męczarni nieustanne ofiary z ludzi. Również w mitologii tej amerykańskiej cywilizacji możemy zauważyć element uwstecznienia czy też pogwałcenia instynktu, o którym pisał Dante; ten wsteczny nurt obecny jest w całym wynaturzonym kulcie demonów. Przejawia się on nic tylko w etyce, ale także w estetyce. Południowo-

amerykańskiego idola przedstawiano jako możliwie najbrzydszego, tak jak starano się, by wizerunek greckiego boga był możliwie najpiękniejszy. Wyznawcy tego idola pragnęli posiąść tajemnicę władzy, działając wbrew własnej naturze i naturze wszechrzeczy. Zawsze istniało w człowieku pragnienie, by nareszcie wyrzeźbić - w złocie, granicie albo ciemnoczerwonym drewnie z dżungli — twarz, na widok której samo niebo rozsypałoby się jak pęknięte lustro.

W każdym razie jest raczej jasne, że malowane i złożone cywilizacje zwrotnikowej Ameryki pozwalały sobie na systematyczne składanie ofiar z ludzi. O ile wiem, nie ma żadnych podstaw, by podejrzewać, że składaniu ofiar z ludzi kiedykolwiek oddawali się Eskimosi. Nie byli na to dość cywilizowani. Za mocno trzymała ich w okowach biała zima i niekończące się ciemności. Lodowata nędza gasiła ich szlachetny gniew i mroziła gorący poryw ducha. Tylko w jaśniejszym świetle bardziej słonecznych dni wybuchał nieomylnie szlachetny gniew. Tylko na żyzniejszych i lepiej uprawnych polach spływał z ołtarzy gorący strumień, spijany przez wielkich bogów w szczerzących się maskach, których wzywano w strachu i udręczeniu, przywołując ich długie kakofoniczne imiona brzmiące jak piekielny śmiech. Trzeba było cieplejszego klimatu i bardziej naukowej uprawy, by wyhodować te szczególne kwiaty; by wyprowadzić ku słońcu ich szerokie liście i bujne kwiecie, ubarwiające złotem, karminem i purpurą ogród, który Swinburne porównuje do ogrodu Hesperyd. Przynajmniej co do smoka nie mogło być wątpliwości.

Nic chcę podnosić w tym kontekście szczególnej kontrowersji między Hiszpanią i Meksykiem, chciałbym tylko zaznaczyć na marginesie, że jest ona doskonałym odbiciem kwestii, którą będziemy musieli zająć się później - a mianowicie kwestii Rzymu i Kartaginy. W obu wypadkach wśród Anglików istniał dziwny zwyczaj opowiadania się przeciwko Europejczykom i przedstawiania konkurencyjnej cywilizacji słowami Swinburne'a jako bezgrzesznej, chociaż jej grzechy w sposób oczywisty wołały, a raczej wrzeszczały o pomstę do nieba. Kartagina bowiem również była wysoko rozwiniętą cywilizacją; w rzeczy samej była cywilizacją o wiele bardziej cywilizowaną. Ona także została zbudowana na religii strachu, posyłającej w niebo dym ludzkich ofiar. Nie przeczę, że słuszne jest karcenie własnej rasy i religii za to, że nie dorasta do swoich wymogów i ideałów. Absurdem jest jednak udawanie, że upadła ona niżej niż pozostałe rasy i religie, uznające całkowicie przeciwne wymogi i ideały. W pewnym bardzo konkretnym sensie chrześcijanin jest gorszy od poganina, Hiszpan jest gorszy od Indianina, a nawet Rzymianin jest potencjalnie gorszy od Kartagińczyka. Jest jednak gorszy tylko w tym konkretnym znaczeniu, a nie w sensie obiektywnym. Chrześcijanin jest gorszy tylko dlatego, że powinien być lepszy.

Ta przenicowana wyobraźnia wydaje na świat rzeczy, o których lepiej nie wspominać. Niektóre z nich rzeczywiście prawic można nazwać, mimo że się ich nie zna; należą one do tej skrajnej odmiany zła, która niewinnym wydaje się niewin-

na. Są to rzeczy zbyt nieludzkie, by mogły być nieprzyzwoite. Ale nie zatrzymując się dłużej w tych ciemnych zakamarkach, wspomnijmy jedynie, że w tradycji czarnej magii powracają stale pewne antyludzkie antagonizmy. Wydaje się na przykład, że zawsze przenika ją mistyczna nienawiść do idei dzieciństwa. Ludzie rozumieliby lepiej) pospolitą nienawiść do czarownic, gdyby pamiętali, że zło najczęściej im przypisywane polegało na niedopuszczaniu do rodzenia się dzieci. Hebrajscy prorocy nieustannie sprzeciwiali się ludowi hebrajskiemu, który popadał w idolatrię związaną właśnie z toceniem wojny przeciw własnym dzieciom. Niewykluczone, że ta odrażająca apostazja wobec Boga Izraela powracała w Izraelu sporadycznie także w późniejszych czasach, przyjmując formę rytualnego mordu, oczywiście niedokonywanego przez jakiegokolwiek przedstawiciela judaizmu, ale przez indywidualnych, nieodpowiedzialnych wyznawców diabła, którzy przypadkiem byli Żydami. Odczucie, że siły zła szczególnie zagrażają dzieciństwu, przejawia się także w średniowiecznej popularności "Małego Męczennika". Chaucer stworzył jedynie inną wersję tej bardzo angielskiej legendy, przedstawiając najpodlejszą czarownicę jako obcą ciemnowłosą kobietę, która wygląda zza wysokiej kraty i słucha szemrzącego jak strumień na kamiennej ulicy śpiewu małego św. Hugona²⁸.

²⁸ Mały św. Hugon (Hugh) - dziewięcioletni chłopiec, którego ciało znaleziono w studni w Lincoln w 1255 r.; o jego zamordowanie oskarżono Żydów. Chaucer wspomina o nim w *Opowieściach kanterberyjskich*.

W każdym razie część tego rodzaju spekulacji, mająca związek z naszą opowieścią, koncentrowała się głównie wokół wschodniego krańca Morza Śródziemnego, gdzie koczownicy stopniowo zmienili się w kupców i zaczęli handlować z całym światem. Rzeczywiście w dziedzinie handlu, podróży i zakładania kolonii dysponowali oni już wtedy czymś w rodzaju światowego imperium. Purpurowy barwnik, symbol bogatego ceremoniału i przepychu tej kultury, barwił towary sprzedawane u dalekich wybrzeży Kornwalii i żagle, które wpływały na spokojne tropikalne morza tajemniczej Afryki. Można by bez przesady powiedzieć, że cała mapa świata zabarwiła się purpurą. Po osiągnięciu światowego sukcesu księżę Tyru ledwie raczyli zauważyć, że jedna z jego księżniczek zaszczyciła małżeństwem wodza jakiegoś plemienia o nazwie Juda, a handlarze z afrykańskiej kolonii tego miasta krzywili brodate semickie twarze w ironicznym uśmiechu, gdy ktoś wymieniał przy nich nazwę odległej wioski - Rzymu. W istocie nie było dwóch zjawisk równie odległych od siebie, zarówno geograficznie, jak i duchowo, niż monoteizm palestyńskiego ludu i cnoty małej włoskiej republiki. Istniała między nimi tylko jedna kultura i to właśnie ona, dzieląc je, zdołała je także zjednoczyć. Konsulowie Rzymu i prorocy Izraela darzyli miłością bardzo różne i nie raz zupełnie sprzeczne rzeczy, byli jednak jednomyślni co do tego, czego nienawidzili. Bardzo łatwo przedstawić nienawiść jednych i drugich po prostu jako odrażającą cechę charakteru. Łatwo przedstawić zarówno Eliasza, radującego się rzezią na

górze Karmel, jak i Katona, grzmiącego przeciw ułaskawieniu Afryki, jako postaci okrutne i nieludzkie. Ludzie ci mieli z pewnością swoje ograniczenia i swoje lokalne namiętności, ale taka krytyka ich poczynañ jest pozbawiona wyobraźni i dlatego nierealna. Nie bierze ona pod uwagę czegoś olbrzymiego, co leżało pośrodku, zwrócone twarzą na wschód i na zachód, wywołując tak wielkie namiętności wrogów ze wschodu i z zachodu. To coś jest tematem niniejszego rozdziału.

Cywilizacja skupiająca się w Tyrze i Sydonie była przede wszystkim praktyczna. Sztuki nie pozostawiła po sobie prawie wcale, a poezji żadnej. Szczyciła się jednak swoją efektywnością, a w filozofii i religii kierowała się tym dziwnym i często skrywanym myśleniem, które widzieliśmy już u ludzi nastawionych na szybkie zyski. Takiej mentalności zawsze towarzyszy przekonanie, że do tajemnicy sukcesu można dotrzeć na skróty, sposobem, który zaszokowałby świat swoją bezwstydną gruntownością. Mieszkańcy Tyru i Sydonu ufali - jak powiedzielibyśmy dzisiaj - dostawcom towarów. Ze swej strony zaś dbali o terminową dostawę towarów w relacjach z bogiem Molochem. Była to interesująca transakcja, do której będziemy musieli wracać nieraz w dalszej części naszej historii; w tym miejscu zaznaczmy jedynie, że wiązała się ona ze wspomnianą przeze mnie teorią dotyczącą pewnego szczególnego stosunku do dzieci. To właśnie wprowadzało w oburzenie równocześnie sługę jedyne Boga w Palestynie i strażników wszystkich domowych bóstw opiekuńczych Rzymu. To właśnie rzuciło wyzwanie dwóm

zjawiskom, które z natury dzieliły wielkie dystanse i rozłamy; zjawiskom, których zjednoczenie miało zbawić świat.

Czwarty i ostatni z elementów duchowych, na które, według mnie, można podzielić pogańską ludzkość, opatrzyłem etykietką "filozofowie". Wyznam, że obejmuje ona dla mnie dużo spraw, które zazwyczaj klasyfikowane są inaczej, i że to, co tu nazywam filozofiami, często uznawano za religie. Uważam jednak, że mój opis okaże się o wiele bardziej realistyczny, a przy tym nie pozbawiony szacunku. Najpierw jednak musimy przyjrzeć się filozofii w najczystszej i najmniej skażonej formie, aby wysledzić jej prawidłowe kontury; taką filozofię można znaleźć w świecie najczystszych i najmniej skażonych konturów, w tej samej kulturze śródziemnomorskiej, której mitologie i idolatrie rozważaliśmy w dwóch poprzednich rozdziałach.

Politeizm czy też politeistyczny aspekt pogaństwa nigdy nie był dla pogan tym, czym katolicyzm dla katolików. Nigdy nie był on wizją świata zaspokajającą wszystkie dziedziny życia; kompletną i złożoną prawdą, mającą coś do powiedzenia o wszystkim. Politeizm zaspokajał tylko jedną potrzebę duszy ludzkiej, nawet jeśli nazwiemy ją potrzebą religijną; moim zdaniem, słuszniesze byłoby nazwać ją potrzebą wyobraźni. Rzeczywiście jednak zaspokajał on tę potrzebę i ostatecznie zdołał ją nasycić. Cały świat tworzył tkaninę splecioną z opowieści i kultów, wśród których, jak już widzieliśmy, obok nieskazitelnych kolorów przewijała się jedna czarna nić: mroczniejsza odmiana pogaństwa będąca w gruncie rzeczy kultem diabła. Jak

nam doskonale wiadomo, nie oznacza to jednak wcale, że poga-
nie myśleli wyłącznie o pogańskich bóstwach. Właśnie dlatego,
że mitologia zaspokajała w nich tylko jedną potrzebę, z innymi
zwracali się zupełnie gdzie indziej. Trzeba jednak sobie uświa-
domić, że chodzi tu o zupełnie coś innego. Były to dwa zjawis-
ka zbyt odmienne, by mogły być ze sobą w sprzeczności, zbyt
sobie obce, by mogły się ścierać. Podczas gdy tłumy zdążały
na publiczne obchody święta Adonisa albo na igrzyska ku czci
Apolla, ten czy inny człowiek wolał zostać w domu i obmyślić
sobie teoryjkę dotyczącą natury rzeczy. Czasem jego hobby
przybierało nawet postać rozmyślania o naturze Boga, czy-
li w pewnym sensie także o naturze bogów. Rzadko jednak
zdarzało się, by taki człowiek próbował przeciwstawiać swoją
naturę bogów popularnym bogom natury.

Trzeba koniecznie podkreślić to oderwanie od rzeczywi-
stości charakteryzujące pierwszego badacza oderwanych po-
jęć. Był on nie tyle zbuntowany, co roztargniony. Możliwe,
że przedmiotem jego zainteresowania stał się wszechświat,
ale z początku było to zainteresowanie równie prywatne jak
numizmatyka albo gra w bierki. Nawet gdy jego mądrość sta-
wała się publiczną własnością i niemal polityczną instytucją,
bardzo rzadko funkcjonowała ona na tej samej płaszczyźnie co
instytucje publiczne i religijne. Arystoteles, ten kolos zdrowe-
go rozsądku, był chyba największym, a na pewno najbardziej
praktycznym ze wszystkich filozofów. Nie przysłoby mu
jednak do głowy, by stawiać Absolut obok delfickiego Apolla

w charakterze podobnej czy też konkurencyjnej religii, tak jak Archimedesowi nie przyszłoby do głowy, by uczynić z Dźwigni rodzaj idola albo fetysza, który powinien zastąpić miejskie paladium. Równie dobrze moglibyśmy sobie wyobrazić Euklidesa budującego ołtarz trójkątowi równoramiennemu albo składającego ofiary kwadratowi przeciwprostokątnej. Jeden medytował o metafizyce tak samo, jak drugi zgłębiał matematykę; robił to z umiłowania prawdy albo z ciekawości, albo dla czystej przyjemności płynącej z tego zajęcia. Ale ten rodzaj przyjemności nigdy specjalnie nie kolidował z inną przyjemnością, z przyjemnością tańca i śpiewu dla uczczenia jakiejś awanturniczej opowieści o Zeusie, który zmienił się w byka albo łabędzia. Być może dowodem powierzchowności, a nawet nieszczerości pospolitego politeizmu jest to, że ludzie mogli być filozofami, a nawet sceptykami, wcale go nie naruszając. Myśliciele mogli wstrząsać fundamentami świata, nie zmieniając nawet kształtu wielobarwnej chmury, która unosiła się ponad nim.

Myśliciele bowiem naprawdę wstrząsali fundamentami świata, nawet jeśli dziwny kompromis najwyraźniej powstrzymywał ich od wstrząsania fundamentami miasta. Dwaj wielcy filozofowie starożytności jawią się nam w istocie jako obrońcy zdrowych czy wręcz świętych idei; ich maksymy często brzmią jak odpowiedzi na wątpliwości sceptyków tak doskonale rozwiązane, że nie trzeba ich nawet cytować. Arystoteles unicestwił setki anarchistów i zwariowanych czcicieli natury jednym stwierdzeniem: że człowiek jest politycznym zwierzęciem. Platon

w pewnym sensie antycypował katolicki realizm pod ostrzałem nominalizmu, gdy obstawał przy równie fundamentalnej prawdzie, że idee są rzeczywistościami, czyli że istnieją tak samo jak ludzie. Czasem można mieć jednak wrażenie, że według Platona istnienie idei jest pewniejsze niż istnienie ludzi, czyli że tych ostatnich nie trzeba właściwie brać pod uwagę, jeśli nie zgadzają się z ideami. Platon miał sentyment społeczny, który my nazwalibyśmy fabiańskim; jego ideałem było dostosowanie obywatela do wymogów miasta — coś jak dostosowanie wymyślonej głowy do idealnego kapelusza - i mimo swej wielkości i chwały, Platon jest także ojcem wszystkich maniaków. Arystoteles zapowiadał o wiele pełniej tę sakramentalną trzeźwość umysłu, która miała połączyć ciało i duszę wszystkich rzeczy. Rozwagał zarówno naturę człowieka, jak i naturę moralności i zwracał uwagę także na oczy, a nie tylko na światło. Ale mimo że myśl tych wielkich filozofów była w pewnym sensie konstruktywna i konserwatywna, żyli oni w świecie myśli tak wolnej, że nic nie broniło jej przed bujaniem w obłokach. W ich ślady poszli inni wielcy intelektualiści. Jedni wynosili ponad wszystko abstrakcyjną wizję cnoty, inni podążali bardziej racjonalnie za koniecznością ludzkiego dążenia do szczęścia. Ci pierwsi nosili miano stoików, co w powszechnej świadomości stało się synonimem jednego z głównych ideałów moralnych ludzkości: takiego wzmocnienia umysłu, by umiał znosić nieszczęścia, a także ból. Wiadomo jednak, że duża część filozofów zdegenerowała się do poziomu ludzi, których do dziś nazywamy

sofistami. Stali się oni kimś w rodzaju zawodowych sceptyków kręcących się tu i tam i zadających niewygodne pytania; płacono im przyzwoicie za naprzykrzanie się zwykłym ludziom. Być może przypadkowe podobieństwo do takich stawiających pytania szarlatanów umniejszyło popularność Sokratesa, którego śmierć można by uznać za zaprzeczenie trwałego zawieszenia broni między bogami i filozofami. Sokrates nie umarł jednak jako monoteista potępiający politeizm, a na pewno nie jako prorok potępiający idole. Dla każdego, kto umie czytać między wierszami, jasne jest, że istniało jakieś słuszne albo niesłuszne przekonanie, iż czysto osobiste wpływy mogą zmieniać moralność i, być może, politykę. Powszechny kompromis pozostał jednak nienaruszony; czy to dlatego, że Grecy traktowali swoje mity z przymrużeniem oka, czy też dlatego, że traktowali w ten sposób swoje teorie. Nigdy nie zaistniał konflikt, w którym jedno zniszczyłoby drugie, ani układ, w którym jedno z drugim byłoby całkowicie pogodzone. Z pewnością te dwie sfery nie współpracowały ze sobą; filozof był raczej rywalem kapłana. Obaj niejako przyjęli pewien podział funkcji społecznych i pozostali elementami tego samego systemu. Kolejna ważna tradycja pochodzi od Pitagorasa, mającego duże znaczenie ze względu na podobieństwo do mistyków Orientu, na których również przyjdzie kolej w naszej opowieści. Głosił on swego rodzaju mistykę matematyczną; twierdził, że ostateczną rzeczywistością jest liczba. Zdaje się jednak, że nauczał także, podobnie jak bramini, o transmigracji dusz i przekazywał swoim uczniom

pewne tradycyjne sztuczki z dziedziny wegetarianizmu i picia wody. Sztuczki te byty i są popularne wśród wschodnich mędrców, zwłaszcza tych przyjmowanych na salonach - choćby na salonach późnego cesarstwa rzymskiego. Ale przechodząc do wschodnich mędrców i nieco innej atmosfery Wschodu, możemy inną ścieżką dojść do kolejnej ważnej prawdy.

Jeden z wielkich filozofów powiedział, że byłoby dobrze, gdyby filozofowie byli królami albo królowie filozofami. Uważał to za nieosiągalny ideał, w rzeczywistości jednak często tak bywało. Istniał typ władcy, być może mało zauważanego przez historię, którego można by nazwać filozofem królewskiego rodu. Po pierwsze zdarzało się od czasu do czasu, że jakiś mędrzec, niekoniecznie królewskiego pochodzenia, nie będąc twórcą religii, stawał się niejako twórcą polityki. Przykład takiego mędrca, jednego z największych, znajdziemy o tysiące mil stąd, za rozległym pustkowiem Azji, we wspaniałym i pod pewnymi względami bardzo mądrym świecie idei i instytucji, który tak łatwo spisujemy na straty, gdy mówimy o Chinach. Ludzie służyli już wielu bardzo dziwnym bogom i powierzali swój los z ufnością wielu ideałom, a nawet idolom. Natomiast Chińczycy naprawdę wybrali wiarę w intelekt. Możliwe, że jako jedyni na świecie brali intelekt na serio. Od bardzo dawnych wieków faktycznie radzili sobie z dylematem filozofa i króla, wyznaczając filozofa na królewskiego doradcę. Zwykłemu człowiekowi, który nie miał nic do roboty poza tym, że był intelektualistą, nadano rangę publicznej instytucji. Chiny miały i mają, rzecz

jasna, wiele instytucji działających w ten sam sposób. Wszystkie urzędy i przywileje są przyznawane po zdaniu publicznych egzaminów; nie ma tam nic, co my nazwalibyśmy arystokracją, jest to bowiem demokracja zdominowana przez inteligencję. Nas jednak interesuje przede wszystkim to, że na królewskich doradców wyznaczano w Chinach filozofów, a jeden z nich był najwyraźniej wielkim filozofem i wielkim mężem stanu.

Konfucjusz nie założył religii ani nawet nie nauczał religii; możliwe, że nie był wcale religijnym człowiekiem. Nie był ateistą; raczej kimś, kogo określilibyśmy jako agnostyka. Rzecz jednak w tym, że jego religijność nie miała w ogóle żadnego znaczenia. Omawianie jej przypominałoby teologiczny wywód umieszczony na wstępie opowieści o tym, jak Rowland Hill utworzył system pocztowy, albo Baden Powell zorganizował skauting. Zadaniem Konfucjusza nie było przekazanie ludziom wiadomości z nieba, tylko zorganizowanie państwa, i najwyraźniej udało mu się to doskonale. Z tego względu poświęcał on wiele uwagi moralności, ale wiązał ją ściśle z obyczajem. Wyjątkowość, która odróżniała ten system od jego wielkiego odpowiednika na Zachodzie - systemu chrześcijaństwa - polegała na tym, że Konfucjusz obstawał przy przestrzeganiu zewnętrznych form, aby przez zewnętrzną ciągłość ocalić wewnętrzny pokój. Każdy, kto wie, jak wielki wpływ na zdrowie zarówno cielesne, jak i duchowe mają przyzwyczajenia, dostrzeże słuszność tej idei. Dostrzeże jednak coś jeszcze: że kult przodków i cześć oddawana Świętemu Cesarzowi także były

przyzwyczajeniami, a nie prawdami wiary. Twierdzić, że wielki Konfucjusz był założycielem religii, to krzycząca niesprawiedliwość. Niesprawiedliwe jest nawet twierdzić, że nim nie był. Jest to tak samo niesprawiedliwe jak upieranie się przy tym, że Jeremy Bentham²⁹ nie był chrześcijańskim męczennikiem.

Istnieje jednak cała kategoria bardzo interesujących przykładów na to, że filozofowie bywali także królami, a nie tylko przyjaciółmi królów. Połączenie to jest nieprzypadkowe. Ma ono wiele wspólnego z dość ulotną kwestią, jaką jest misja filozofa. Zawiera też pewną wskazówkę co do przyczyny, dla której tak rzadko dochodziło do otwartego rozłamu między filozofią i mitologią. Działo się tak nie tylko z powodu frywolności mitologii. Działo się tak również z powodu zarozumiałstwa filozofów. Filozofowie gardzili nie tylko mitologią, ale także tłumem, i uważali, że jedno jest warte drugiego. Pogański filozof rzadko kiedy bywał trybunem ludowym, w każdym razie nie był nim w głębi ducha; rzadko kiedy bywał demokratą, częściej zaciekle krytykiem demokracji. Otaczała go atmosfera arystokratycznego, cywilizowanego próżniactwa; w roli filozofa najłatwiej było odnaleźć się komuś, kto zajmował odpowiednio wysoką pozycję społeczną. Dla księcia albo innej wysoko postawionej osoby udawanie filozoficznej natury Hamleta albo Tezeusza ze *Snu nocy letniej* było czymś bardzo naturalnym.

²⁹ Jeremy Bentham (1748-1832) - angielski filozof, ekonomista i prawnik, liberał i współtwórca utilitaryzmu.

Już w najdawniejszych czasach natykamy się na obecność takich intelektualistów książęcego rodu. Jednego z nich spotykamy nawet w pierwszych wiekach spisanej historii ludzkości, na pradawnym tronie górującym nad starożytnym Egiptem.

Przypadek Echnatona, popularnie nazywanego heretyckim faraonem, jest interesujący przede wszystkim dlatego, że władca ten był, przynajmniej przed nadejściem chrześcijaństwa, jedynym filozofem królewskiego rodu, który podjął się walki z popularną mitologią w imię całkiem prywatnej filozofii. Większość tego rodzaju władców przyjmowała postawę Marka Aureliusza, który pod wieloma względami stanowi wzorzec władcy i mędrca. Marek Aureliusz bywał oskarżany o tolerowanie pogańskiego amfiteatru i męczeńskiej śmierci chrześcijan. Jego zachowanie było jednak bardzo charakterystyczne; człowiek pokroju Marka Aureliusza miał bowiem do pospolitej religii stosunek taki sam jak do pospolitych igrzysk. Profesor Phillimore powiedział o nim głęboko, że był to „wielki i dobry człowiek- i miał tego świadomość”. Heretycki faraon kierował się filozofią bardziej zaangażowaną i być może skromniejszą. Stwierdzenie, że jest się zbyt dumnym, aby walczyć, pociąga za sobą inne: że walka musi być prowadzona w większości przez prostych ludzi. W każdym razie egipski książę był dość prostoduszny, by brać własną filozofię poważnie, i jako jedyny z wśród książąt-intelektualistów zdobył się na coś w rodzaju zamachu stanu; stracił jednym możnowładczym gestem wielkich bogów Egiptu i wywyższył przed oczyma wszystkich ludzi - niczym

płonące zwierciadło monoteistycznej prawdy - tarczę kosmicznego słońca. Miał też inne interesujące pomysły, często spotykane u tego typu idealistów. W tym samym sensie, w jakim mówimy o zwolenniku Małej Anglii³⁰, był on zwolennikiem Małego Egiptu. W sztuce preferował realizm, ponieważ był idealistą, a realizm jest bardziej niedościgniony niż jakikolwiek ideał. Ostatecznie jednak padł na niego jakby cień Marka Aureliusza, tak trafnie wyśledzony przez profesora Phillimore'a. Problemem szlachetnych książąt jest to, że nigdy nie udaje im się uniknąć zarozumialstwa. Zarozumialstwo ma tak gryzący zapach, że można je wyczuć nawet wśród zwietrzałych olejków egipskiej mumii. Wadą heretyckiego faraona, podobnie jak wielu innych heretyków, było to, że prawdopodobnie ani przez chwilę nie zastanowił się nad tym, że w pospolitych wierzeniach i opowieściach ludzi mniej wykształconych od niego może jednak coś być. W rzeczywistości, jak już widzieliśmy, faktycznie coś w nich było. W indywidualności i swojskości mitologii, w procesji bóstw przypominających olbrzymie pokojowe zwierzęta, w niezmordowanym czuwaniu w nawiedzonych miejscach i w zawiłym labiryncie mitów kryło się prawdziwe ludzkie pragnienie. Być może natura nie nosi tak naprawdę imienia Izis; być może Izis tak naprawdę nie szuka Ozyrysa. Ale prawdą jest, że Natura stale czegoś poszukuje; poszukuje

³⁰ Zwolennik Małej Anglii (Little Englander) - przeciwnik angielskiego kolonializmu.

tego, co nadprzyrodzone. To pragnienie miało zostać w końcu zaspokojone przez coś o wiele konkretniejszego, ale dystyngowany monarcha z tarczą słoneczną nie potrafił go ugasić. Królewski eksperyment upadł wśród burzliwej reakcji pospolitych przesądów, w wyniku której kapłani, wyniesieni na barkach ludu, wstąpili na tron faraonów.

Kolejnym przykładem mędrca książęcego rodu, przykładem, którym chciałbym się posłużyć, jest Gautama, wielki Pan Budda. Wiem, że zazwyczaj nie klasyfikuje się go jedynie jako filozofa, jestem jednak coraz bardziej przekonany, na podstawie wszystkich dostępnych mi wiadomości, że taka właśnie interpretacja jego niepospolitej wielkości jest właściwa. Był on bez wątpienia największym i najlepszym z intelektualistów urodzonych na książęcym dworze. Jego reakcja była chyba najszlachetniejsza i najszczerza pośród czynów, jakie kiedykolwiek podjął ktoś łączący w sobie mądrość i prawo do tronu. Reakcją tą było wyrzeczenie. Marek Aureliusz zadowalał się wysublimowaną ironią powiedzenia, że życie można dobrze przeżyć nawet w pałacu. Bardziej porywczy egipski książę uznał, że można je przeżyć jeszcze lepiej po przeprowadzeniu rewolucji pałacowej. Wielki Gautama jako jedyny z władców dowiódł jednak, że może się obejść bez swojego pałacu. Marek Aureliusz uciekł się do tolerancji, Echnaton do rewolucji; ostatecznie jednak o wiele bardziej absolutnym czynem był akt abdykacji Gautamy. Abdykacja jest być może jedynym naprawdę absolutnym czynem absolutnego monarchy. Hinduski książę,

wychowany we wschodnim przepychu i luksusie, z premedytacją odszedł, by wieść żywot żebraka. Był to czyn wspaniały, ale nie wojowniczy, to znaczy niekoniecznie oznaczał krucjatę w chrześcijańskim znaczeniu tego słowa. Nie rozstrzygał on, czy życie żebraka ma być życiem świętego czy filozofa. Nie decydował o wyborze między~beczką Diogenesa a jaskinią św. Hieronima. Otóż ci, których badania nad Buddą wydają się najbliższe prawdy, a w każdym razie ci, którzy piszą o nim najprościej i najinteligentniej, zdołali mnie przekonać, że był on po prostu filozofem, który założył cieszącą się powodzeniem szkołę filozoficzną i został uznany za bóstwo czy też istotę świętą dlatego, że wszystkie tego rodzaju tradycje Azji otaczała zawsze bardziej tajemnicza i mniej naukowa atmosfera. Należałoby zatem powiedzieć teraz słówko o tej niewidzialnej, a jednak wyraźnej linii granicznej, którą przekraczamy idąc od kultury śródziemnomorskiej ku tajemnicom Wschodu.

Chyba z niczego nie wyciągamy mniej prawdy niż z prawd oczywistych, zwłaszcza gdy faktycznie są one prawdziwe. Wszyscy mamy zwyczaj wygłaszać na temat Azji pewne twierdzenia, całkiem prawdziwe, ale niezbyt przydatne, jeśli nie rozumiemy zawartej w nich prawdy. Mówimy na przykład, że Azja jest stara albo zapatrzona w przeszłość, albo że nie jest postępową. Otóż prawdą jest, że świat chrześcijański rzeczywiście jest bardziej postępowy, i to w znaczeniu mającym niewiele wspólnego z dość prowincjonalnym pojęciem gorączkowego postępu politycznego. Świat chrześcijański wierzy, bo taka jest

wiara chrześcijańska, że człowiek może w końcu, na tym czy innym świecie, zależnie od doktryny, w ten albo inny sposób osiągnąć jakiś cel. Pragnienie świata może zostać zaspokojone, tak jak wszystkie inne pragnienia: przez nowe życie albo dawną miłość, albo przez jakąkolwiek formę prawdziwego posiadania i spełnienia. Co się tyczy reszty świata, wszyscy zdajemy sobie sprawę, że cechą zjawisk jest nie tylko postęp, ale także rytm, że zjawiska wznoszą się i opadają, i że tylko w naszym przypadku jest to rytm raczej swobodny i nieprzewidywalny. W przeważającej części Azji rytm ten skostniał i przybrał formę powtarzalności. Świat już nie tylko stawał na głowie, ale zaczął kręcić się w kółko. Wszystkie bardzo inteligentne i wysoce cywilizowane narody Azji zostały jakby pochwycone w obroty kosmicznego koła, którego oś stanowiła pustka. Najgorszą rzeczą w tak pojmowanej egzystencji jest to, że może ona kręcić się w nieskończoność. O to właśnie chodzi w stwierdzeniach, że Azja jest stara albo niepostępowa, albo zapatrzona w przeszłość; Dlatego nawet jej zakrzywione szable przypominają nam odpryski tego olśniewającego koła; dlatego jej zawiły ornament prześladowe nas wszędzie jak wąż, którego nie sposób zabić. Ma to bardzo niewiele wspólnego z fasadą politycznego postępu. Wszyscy Azjaci mogą nosić cylindry, ale jeśli w ich sercach nadal będzie panował ten sam duch, będą po prostu myśleli, że ich kapelusze znikną i pojawią się znowu niczym planety; nie żeby uganianie się za kapeluszami miało ich zaprowadzić do nieba albo chociaż do domu.

Otóż kiedy geniusz Buddy przystąpił do rozprawy z tym zagadnieniem, przekonanie o takiej kosmicznej zasadzie było już rozpowszechnione niemal we wszystkich dziedzinach życia na Wschodzie. Istniała tam wręcz dżungla niezwykle ekstrawaganckich, niemal dławiących mitologii. Mimo wszystko łatwiej przychodzi nam sympatyzować z wybujałością pospolitego folkloru niż z niektórymi elementami wzniosłego pesymizmu, który mógł ją ukrócić. Przy wszystkich uczciwych zastrzeżeniach należy jednak pamiętać, że duża część spontanicznej twórczości Wschodu to w gruncie rzeczy idolatria; literalny lokalny kult idola. Nie dotyczy to prawdopodobnie starożytnego systemu bramińskiego, przynajmniej w takim kształcie, w jakim widzieli go bramini. Ale już to jedno zdanie wystarczy, by przypomnieć nam o pewnej bardziej znaczącej rzeczywistości. Tą wielką rzeczywistością jest system kastowy starożytnych Indii. Być może miał on swoje dobre strony, tak jak system cechowy średniowiecznej Europy. Kontrastował jednak nie tylko z tą formą chrześcijańskiej demokracji, ale także z każdą, nawet najskrajniejszą formą chrześcijańskiej arystokracji, ponieważ naprawdę utożsamiał hierarchię społeczną z hierarchią ducha. System kastowy nie tylko odróżnia się zasadniczo od chrześcijańskiego braterstwa, ale także sprawia, że Indie wznoszą się niczym wybujała nawarstwiona góra pychy pomiędzy stosunkowo egalitarnymi nizinami islamu i Chin. Niezmiennność tej formacji społecznej w ciągu tysięcy lat jest kolejnym przykładem ducha powtarzalności, którym od niepamiętnych czasów

przeniknięty był czas. Jeszcze jedną ideą, której rozpowszechnienie na Wschodzie możemy uznać za pewnik, jest pojęcie zazwyczaj wiązane z buddyzmem, przynajmniej z buddyzmem w ujęciu teozofów. W rzeczywistości część najbardziej ortodoksyjnych buddystów odrzuca tę ideę tak samo jak nauki teozofów. Ale bez względu na to, czy idea ta związana jest z buddyzmem, czy tylko z miejscem jego pochodzenia, czy może z tradycją albo trawestacją buddyzmu, pasuje ona doskonale do ogólnej zasady powtarzalności. Chodzi mi oczywiście o ideę reinkarnacji.

Reinkarnacja faktycznie nie jest wcale ideą mistyczną. Nic jest tak naprawdę ideą transcendentalną, a przez to nic jest nawet w zasadzie ideą religijną. Mistycyzm zakłada istnienie czegoś przekraczającego doświadczenie; religia dostrzega przeblyski lepszego dobra albo gorszego zła niż to, które wynika z doświadczenia. Reinkarnacja natomiast rozszerza doświadczenie jedynie przez jego powtarzanie. Człowiek, który sobie przypomina, co robił w Babilonie przed własnym urodzeniem, nie zajmuje się niczym bardziej transcendentalnym niż człowiek, który sobie przypomina, co robił w Brixton, zanim ktoś zdzielił go po głowie. Nie ma powodu, by kolejne życie było czymś więcej niż zwykłym ludzkim życiem, podlegającym wszelkim właściwym mu ograniczeniom. Nie ma ono nic wspólnego z oglądaniem Boga czy choćby przyzywaniem diabła. Innymi słowy, reinkarnacja jako taka nie musi być wcale ucieczką z kręgu przeznaczenia, bo w pewnym sensie sama

tworzy ten krąg. I bez względu na to, czy Budda ją ustanowił, czy też zastał, czy może z miejsca całkowicie odrzucił, przenika ją niewątpliwie charakterystyczna atmosfera Azji, w której również i on musiał odegrać swoją rolę. A rolę, którą odgrywał, była rolą filozofa-intelektualisty, wyznającego konkretną teorię właściwego intelektualnego podejścia do tej atmosfery.

Potrafię zrozumieć niechęć buddystów do twierdzenia, że buddyzm to tylko filozofia, jeśli przez filozofię rozumiemy intelektualną grę podobną do tej, jaką prowadzili greccy sofisci, rzucając światy w powietrze i łapiąc je jak piłeczki. Precyzyjniejsze chyba byłoby twierdzenie, że Budda stworzył rodzaj metafizycznej, a może nawet psychologicznej dyscypliny. Zaproponował sposób wyzwolenia z wszelkich powtarzających się smutków po prostu przez porzucenie złudzeń zwanych pragnieniami. Wcale nie głosił, że łatwiej osiągniemy to, czego pragniemy, jeśli powściągniemy naszą pożądlivość wobec niektórych przedmiotów naszych pragnień, albo że osiągniemy to w lepszy sposób lub w lepszym świecie. Głosił tylko, że powinniśmy w ogóle przestać tego pragnąć. Kiedy człowiek raz sobie uświadomi, że tak naprawdę nie ma żadnej rzeczywistości, że wszystko, nie wyłączając jego duszy, w każdym momencie rozwiewa się w nicość, będzie oczekiwał rozczarowania i stanąć się nieczuły na zmiany, egzystując (o ile można to nazwać egzystencją) jakby w ekstazie obojętności; Buddyści nazywają ten stan błogosławieństwem, i nie będziemy przerywać naszej opowieści, żeby się z nimi spierać, chociaż dla nas niewątpliwie

nie różni się on od rozpacz. Nie rozumiem na przykład, dlaczego niespełnienie pragnienia musi dotyczyć zarówno najbardziej wielkodusznych, jak i najbardziej samolubnych pragnień. W istocie Pan Współczucia zdaje się litować nad ludźmi dlatego, że żyją, a nie dlatego, że umierają. Co do reszty, pewien inteligentny buddysta napisał kiedyś: „Wyjaśnienie popularnego buddyzmu chińskiego i japońskiego jest takie, że nie ma on nic wspólnego z buddyzmem”. Buddyzm ten przestał bowiem być wyłącznie filozofią, ale za cenę stania się wyłącznie mitologią. Jedno jest pewne: buddyzm nigdy nie stworzył niczego choćby w najmniejszym stopniu zbliżonego do Kościoła.

Może zostanie uznane za żart, jeśli powiem, że cała historia religii jest tak naprawdę grą w kółko i krzyżyk. Kółka według mnie nie oznaczają jednak nicości, tylko zjawiska negatywne w porównaniu z pozytywnym kształtem czy też wzorem krzyżyków. I c h o c i a ż jest to symbol wybrany na chybił trafił, tym razem wydaje się on wyjątkowo trafny. Azjatycką mentalność można naprawdę przedstawić w formie okrągłego O, jeśli nie w znaczeniu liczbowym, to przynajmniej w znaczeniu koła. Wielki azjatycki symbol węża trzymającego ogon w pysku jest naprawdę doskonałą ilustracją pojęcia jedności i powtarzalności, które stanowi nieodłączną część wschodnich filozofii i religii. Jest to rzeczywiście linia z jednej strony obejmująca wszystko, a z drugiej prowadząca donikąd. Można w niej wyczytać sugestię, a raczej przechwałkę, że wszystkie dyskusje są kręceniem się w kółko. I chociaż figury to tylko symbole, widzimy,

jak uzasadniony jest symboliczny sens, który stworzył podobny symbol koła Buddy, częściej zwanego swastyką. Krzyż to dwie linie przecinające się pod kątem prostym, śmiało wskazujące w przeciwnych kierunkach, natomiast swastyka to krzyż pochwycony w trakcie przemiany w symbol powtarzalności. Ten skrzywiony krzyż to faktycznie krzyż zmieniający się w koło. Zanim jednak odrzucimy te symbole jako arbitralne obrazy, musimy sobie przypomnieć, jak żywa wyobraźnia je stworzyła czy też wybrała na Wschodzie i na Zachodzie. Krzyż stał się czymś więcej niż zabytkiem historii; przekazuje on w formie niemal matematycznego diagramu prawdę o punkcie wyjścia wszystkiego: ideę konfliktu wybiegającego w wieczność. Jest prawdą, a nawet tautologią stwierdzenie, że w krzyżu krzyżują się wszystkie najważniejsze problemy.

Innymi słowy, krzyż, w rzeczywistości i jako figura, jest prawdziwym symbolem rozerwania kręgu oznaczającego równocześnie wszystko i nic. Stanowi on ucieczkę od prowadzącej donikąd argumentacji, według której wszystko zaczyna się i kończy w umyśle. Skoro zajmujemy się symbolami, przedstawmy całą rzecz na przykładzie przypowieści o św. Franciszku, w której ptaki odlatujące po jego błogosławieństwie poszybowały w cztery strony bezkresnego nieba, tworząc na nim olbrzymi kształt krzyża. W porównaniu ze swobodą owych ptaków, kształt swastyki przypomina bardziej kociaka goniącego własny ogon. Posługując się znaną alegorią, możemy powiedzieć, że kiedy św. Jerzy wbił włócznię w paszczę

smoka, przerwał samotność żywiącego się sobą potwora i dał mu do gryzienia coś więcej niż jego własny ogon. Prawdę można zilustrować wieloma wytworami fantazji, ona sama jednak jest abstrakcyjna i absolutna, choć niełatwo ją wyrazić za pomocą takich i tym podobnych obrazów. Chrześcijaństwo odwołuje się do trwałej, zewnętrznej względem niego prawdy; do czegoś, co w pewnym sensie jest zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Głosi, że rzeczy istnieją naprawdę, czyli innymi słowy, że są one naprawdę rzeczami. Chrześcijaństwo zgadza się pod tym względem ze zdrowym rozsądkiem, a cała historia religii dowodzi, że zdrowy rozsądek zanika wszędzie tam, gdzie nie ma chrześcijaństwa, które by go ocaliło.

Zdrowy rozsądek nie może bez chrześcijaństwa istnieć, a w każdym razie trwać, bo sama myśl nie potrafi zachować trzeźwości. W pewnym sensie staje się zbyt prosta, by mogła ją zachować. Pokusą filozofów jest bowiem raczej prostota niż wyrafinowanie. Zawsze pociągają ich szalone uproszczenia, podobnie jak ludzi balansujących nad przepaścią fascynuje śmierć, nicość i pustka. Trzeba było innego rodzaju filozofa, żeby stojąc na narożniku świątyni, zachował równowagę i nie rzucił się w dół. Jednym z oczywistych, zbyt oczywistych wyjaśnień filozofów jest twierdzenie, że wszystko jest snem i złudzeniem i że na zewnątrz *ego* nie istnieje nic. Inna teoria zakłada powtarzalność wszystkiego, a jeszcze inna, podobno buddyjska, a na pewno pochodząca ze Wschodu, głosi, że główny problem człowieka wynika z faktu bycia stworzeniem, w całej jego wie-

lobarwnej różnorodności i indywidualności, i że nic nie będzie w porządku, dopóki znów nie stopimy się w jedno. Mówiąc krótko, teoria ta utożsamia akt stworzenia z upadkiem człowieka. Ma ona znaczenie historyczne, gdyż była przechowywana w mrocznym sercu Azji i w różnych okresach, i w rozmaitych formach przekraczała raz po raz mgliste granice Europy. Jej właśnie możemy przypisać tajemniczą postać Manesa, czyli Manicheusza, mistyka odwrotności, ojca wielu sekt i herezji, którego będziemy tu nazywać pesymistą. W tej samej tradycji, ale nieco wyżej, ma swoje miejsce Zaratustra. Pospolicie utożsamia się jego imię z kolejnym uproszczeniem, uznającym równość dobra i zła, które równoważą się i ścierają w każdym atomie materii. On także należy do szkoły mędrców, których możemy nazwać mistykami. Z tego samego tajemniczego ogrodu Persji przybył na ociężałych skrzydłach Mitra, nieznany bóg, by zakłócić ostatni zmierzch Rzymu.

Okrąg czy też tarcza słońca podniesiona o poranku świata przez dawnego Egipcjanina stała się zwierciadłem i modelem dla wszystkich filozofów. Przypisywali jej wiele znaczeń, a czasem szaleli na jej punkcie, zwłaszcza wówczas, gdy tak jak u wschodnich mędrców, okrąg ten stawał się kołem wirującym w ich głowach. Ale najważniejszą cechą filozofów jest wspólne dla nich wszystkich przekonanie, że istnienie można przedstawić nie w formie rysunku, ale diagramu; niezdarnym, żywiołowym protestem przeciw takiemu mniemaniu są dziecinne obrazki pierwotnych twórców mitów. Filozofowie nie

mogą uwierzyć, że religia tak naprawdę to nie szablon, tylko malowidło. Jeszcze trudniej jest im uwierzyć, że malowidło to jest wizerunkiem czegoś, co naprawdę istnieje na zewnątrz naszego umysłu. Czasem filozof maluje całą tarczę słońca na czarno i obwołuje się pesymistą, czasem maluje ją na białą i nazywa się optymistą, czasem dzieli ją dokładnie na pół i głosi, że jest dualistą, tak jak perscy mistycy, którym, niestety, z braku miejsca nie mogę oddać pełnej sprawiedliwości. Żaden z nich nie potrafił zrozumieć zjawiska, które zaczęło kreślić proporcje wszechświata tak, jakby były one prawdziwe, z życia wzięte, dla autora matematycznych wykresów pozbawione proporcjonalności. Zjawisko to, podobnie jak pierwsze rysunki w jaskini, odkryło przed zdumionymi oczami widzów zapowiedź nowego znaczenia w czymś, co wyglądało na szaleńczą deformację szablonu. Zdawało się, że autor jedynie wypacza swój wykres, gdy po raz pierwszy w historii wyłonił się z rysunku zarys formy i Twarz.

VII

WOJNA BOGÓW I DEMONÓW

Materialistyczna teoria historii, uznająca całą politykę i etykę za wytwór ekonomii, opiera się w gruncie rzeczy na bardzo prostym błędzie. Polega on na pomyleniu tego, co człowiekowi potrzebne do życia, z tym, co go zazwyczaj zajmuje, czyli z zupełnie czymś innym. Przypomina to trochę twierdzenie, że skoro człowiek nie może chodzić inaczej niż na dwóch nogach, jedynym celem jego spacerów musi być kupowanie skarpetek i butów. Człowiek nie może żyć bez jedzenia i picia, które podtrzymują go tak jak dwie nogi, ale sugerowanie, że stanowią one jedyną motywację wszystkich jego działań w historii, przypomina twierdzenie, że wszystkie wojskowe marsze i pielgrzymki religijne musiały mieć na celu złotą nogę panny Kilmansegg³¹ albo idealną, doskonałą nogę sir Willoughby'ego Patterne'a³². A przecież to właśnie wojskowe

³¹ Panna Kilmansegg - bohaterka satyrycznego poematu Thomasa Hooda (1799-1845) *Miss Kilmansegg and Her Precious Leg*, chciwa córka bogacza, której sztuczna noga ze złota ostatecznie stała się przyczyną jej zguby.

³² Sir Willoughby Patterne - tytułowy bohater satyrycznej powieści George'a Meredith'a *The Egoist*, narcystyczny dżentelmen bezskutecznie poszukujący żony.

i religijne wędrówki tworzą historię ludzkości i bez nich historia praktycznie nie mogłaby istnieć. Być może krowy są stworzeniami, którymi kierują wyłącznie względy ekonomiczne, skoro nie widzimy, żeby robiły wiele poza przeżuwaniem trawy i szukaniem lepszego pastwiska; dlatego też historia krów w dwunastu tomach nie stanowiłaby zbyt interesującej lektury. Być może owce i kozy, przynajmniej w swych zewnętrznych zachowaniach, są doskonałymi ekonomistkami, ale właśnie dlatego żadna owca nie była nigdy bohaterką epickich wojen ani rozbudowanych narracji o dziejach cesarstwa, i nawet żwawszy z tych dwóch czworonogów nie zainspirował nikogo choćby do napisania książki dla chłopców pod tytułem „Złote czyny walecznych kóz”³³ czy czegoś w tym rodzaju. Można zatem nie tylko powiedzieć, że działania tworzące historię ludzkości nie są działaniami wynikającymi z ekonomii, ale także dowieść, że historia zaczyna się dokładnie tam, gdzie kończy się motywacja charakterystyczna dla krów i owiec. Trudno byłoby udowodnić, że krzyżowcy wyruszyli ze swoich domów w dziką pustynię, ponieważ krowy także przemieszczają się z dzikich pustyń na wygodniejsze pastwiska. Trudno byłoby udowodnić, że badacze Arktyki wyruszyli na północ z tego samego przyziemnego powodu, z którego jaskółki udają się na południe. A jeśli z ludzkiej opowieści usunie się wszystkie wojny religijne i wszystkie wyprawy podejmowane jedynie z żądzy przygód, nie tylko przestanie ona

³³ Nawiązanie do książki *A Book of Golden Deeds* („Księga złotych czynów”) pióra Charlotte M. Yonge, popularnego zbioru opowieści o bohaterskich czynach z różnych epok, przeznaczonego dla młodzieży.

być ludzka, ale w ogóle przestanie być opowieścią. Zarysy historii są tworzone przez zdecydowane krzywizny i kąty określone wolą człowieka. Ekonomiczna historia ludzkości nie zasługiwałaby nawet na miano historii.

Poza oczywistym faktem, że ludzie nie muszą żyć dla jedzenia tylko dlatego, że nie mogą żyć bez jedzenia, błędności rozumowania ekonomistów dowodzi jeszcze inna, głębsza rzeczywistość. W gruncie rzeczy tym, co najmocniej zaznacza swoją obecność w świadomości człowieka, nie jest niezbędna mu do istnienia machina ekonomii, ale raczej istnienie jako takie - świat, który widzi, budząc się co rano; porządek rzeczy i jego własna pozycja w tym porządku. Czymś znacznie bliższym człowiekowi niż środki do życia jest samo życie. Na jedną myśl człowieka o tym, jaka dokładnie praca przekłada się na jego płacę i jaka dokładnie płaca przekłada się na jego posiłki, przypada dziesięć innych: rozważanie, czy warto żyć albo czy małżeństwo to porażka, miłe albo niemiłe zaskoczenie własnymi dziećmi, wspomnienia z młodości czy też inne mgliste przemyślenia o zagadkowym losie człowieka. Dotyczy to nawet większości najemnych niewolników naszej ponurej ery industrializmu, która z powodu swojej brzydoty i odczłowieczenia rzeczywiście na pierwszy plan wysunęła kwestie ekonomiczne. W znacznie większym stopniu dotyczy to zaś rolników, myśliwych i rybaków, tworzących prawdziwy ogół ludzkości. Nawet ci zasuszeni pedanci, którzy uważają, że etyka jest uzależniona od ekonomii, muszą przyznać, że ekonomia jest uzależniona od egzystencji.

Większość zwykłych wątpliwości i marzeń dotyczy egzystencji; nie tego, jak przeżyć, ale tego, dlaczego żyjemy. Dowód na to jest prosty: tak prosty jak samobójstwo. Jeśli przekreścimy w myślach wszechświat do góry nogami, cała ekonomia polityczna przekreśli się do góry nogami razem z nim. Przypuśćmy, że jakiś człowiek chce umrzeć, a profesor ekonomii politycznej zanudza go zawiłymi wyjaśnieniami dotyczącymi tego, skąd ma wziąć środki do życia. Wszystkie dewiacje i decyzje, które przetwarzają naszą przeszłość w historię, mają to do siebie, że zmieniają bieg czystej ekonomii. Ekonomista może sobie darować obliczanie przyszłej płacy samobójcy, tak jak może sobie darować troskę o emeryturę męczennika. Nie musi się przejmować przyszłością męczennika, tak jak nie musi zapewniać utrzymania rodzinie mnicha. Na zmianę jego planów w mniejszym i bardziej różnorodnym stopniu wpływa to, że ktoś jest żołnierzem i oddaje życie za swój kraj, albo rolnikiem i wyjątkowo kocha swoją ziemię, albo że jest mniej lub bardziej pod wpływem jakiejś religii, która czegoś mu zabrania, a na coś innego pozwala. Wynika to jednak nie z ekonomicznych kalkulacji o środkach do życia, ale z elementarnego poglądu na życie. Wszyscy oni odwołują się do fundamentalnych odczuć, które ogarniają człowieka, wyglądającego przez dziwne okna zwane oczami na dziwną wizję, która nazywa się „świat”.

Nikt mądry nie chciałby dodawać nowych przydługich terminów do tych, które już istnieją. Mimo to wolno chyba powiedzieć, że potrzeba nam nowej dyscypliny, którą można

by nazwać psychologiczną historią ludzkości. Chodzi mi o zastanowienie się nad tym, jakie znaczenie miały poszczególne zjawiska dla człowieka, przede wszystkim zwykłego człowieka, w odróżnieniu od tego, co można wydedukować z oficjalnych zachowań albo oświadczeń politycznych. Dotykałem już tego problemu w kontekście totemu, a właściwie jakiegokolwiek popularnego mitu. Nie wystarczy powiedzieć, że kotka nazywano totemem, zwłaszcza że nikt go tak nie nazywał. Trzeba wiedzieć, jakie budził uczucia. Czy takie, jak kot Whittingtona³⁴, czy jak kot czarownicy? Czyjego prawdziwe imię brzmiało Bastet³⁵ czy też Kot w butach? Takiej właśnie wiedzy potrzebujemy w odniesieniu do charakteru stosunków społecznych i politycznych. Musimy poznać prawdziwe uczucia stanowiące społeczną więź między zwykłymi ludźmi, tak samo trzeźwo myślącymi i samolubnymi jak my. Co czuli żołnierze, gdy widzieli błyszczący na tle nieba dziwaczny totem, który my nazywamy złotym orłem legionów? Co czuli wasale na widok innych totemów - lwów albo lampartów zdobiących tarczę ich pana? Dopóki będziemy zaniedbywać subiektywną stronę historii, czyli prościej mówiąc, jej wnętrze, dopóty nauka ta zawsze będzie podlegać

³⁴ Richard Whittington (1358-1423) - trzykrotny burmistrz Londynu, który według popularnej legendy jako ubogi pomocnik kuchenny osiągnął bogactwo, gdy jego kot, wysłany jako towar na statku handlowym, został sprzedany za ogromną sumę królowi Maroka dręczonego plagą szczurów.

³⁵ Bastet - egipska bogini płodności, przedstawiana jako kotka albo kobieta z głową kota.

ograniczeniom, z którymi sztuka radzi sobie znacznie lepiej. Dopóki historyk nie zdobędzie tej nowej umiejętności, dopóty fikcja będzie prawdziwsza od faktu, a powieść, i to nawet powieść historyczna, będzie bliższa rzeczywistości.

Ten nowy rodzaj historii nigdzie nie jest tak bardzo potrzebny jak w psychologii wojny. Nasza historia jest pełna prywatnych i publicznych dokumentów, które nie mówią nam nic o wojnie jako takiej. W najgorszym razie mamy dostęp jedynie do oficjalnych plakatów, które właśnie dlatego, że są oficjalne, nie mogą być spontaniczne. W najlepszym zaś razie mamy dostęp do tajnej dyplomacji, która właśnie dlatego, że była tajna, nie mogła być powszechnie znana. Na jednym albo drugim z tych źródeł opiera się historyczna ocena przyczyn trwania konfliktu. Rządy prowadzą walkę o kolonie albo wpływy handlowe; rządy prowadzą walkę o porty albo wysokie cła; rządy prowadzą walkę o kopalnie złota albo łowiska pereł. Tak naprawdę jednak rządy wcale nie uczestniczą w walce. Dlaczego zatem uczestniczą w niej wojacy? Jaka rzeczywistość psychologiczna podtrzymuje to przerażające i wspaniałe zjawisko, jakim jest wojna? Nikt znający się choć trochę na żołnierzach nie wierzy w prostackie pomysły akademików, że milionami ludzi można rządzić siłą. Gdyby każdy zaczął się ociągać, nie sposób byłoby ukarać wszystkich maruderów. A przecież najmniejszy przejaw maruderstwa mógłby w pół dnia doprowadzić do przegrania kampanii. Co takiego zwykli żołnierze myśleli o polityce? Jeśli powiemy, że po prostu przyjmowali politykę z ust polityka, co

w takim razie myśleli o polityku? Jeśli wasale bili się ślepo za swego księcia, to co ci ślepcy musieli w nim widzieć?

Istnieje znane nam wszystkim zjawisko, które we właściwym mu języku można określić jako *realpolitik*. W rzeczywistości jest to niemal szaleńczo nierealna *politik*. Jej zwolennicy uparcie i głupio powtarzają stale, że ludzie walczą o cele materialne, i żaden z jej wyznawców nie zastanowi się ani przez chwilę, że cele materialne rzadko kiedy mają materialne znaczenie dla walczącego człowieka. W każdym razie żaden człowiek nie oddałby życia za praktyczną politykę, tak jak nie oddałby życia za pieniądze. Neron nie mógł wynająć setki chrześcijan, którzy daliby się pożreć lwom, biorąc szylinga za godzinę; ludzie bowiem nie ponoszą męczeństwa za mamonę. Ale wizja wywołana przez *realpolitik*, czyli politykę realną, jest bezprzykładnie szalona i niewiarygodna. Czy ktokolwiek na świecie wierzy, że żołnierz mógłby powiedzieć: „Co prawda odpada mi noga, ale będę walczył, dopóki całkiem nie odpadnie, bo przecież na koniec będę mógł cieszyć się ze wszystkich korzyści, jakie mój rząd odniesie ze zdobycia niezamarzającego portu w Zatoce Fińskiej”? Czy ktokolwiek może sobie wyobrazić zmobilizowanego urzędnika, który mówi: Jeśli zostanę zagazowany, prawdopodobnie umrę w męczarniach, ale jest dla mnie wielkim pocieszeniem, że gdybym kiedyś chciał zostać poławiaczem pereł na Morzach Południowych, zawód ten będzie od tej pory dostępny dla mnie i moich rodaków”? Materialistyczna historia ludzkości jest najbardziej szaloną

i niewiarygodną ze wszystkich historii, a nawet ze wszystkich opowieści. Bez względu na to, co wywołuje wojny, ich trwanie podsycane jest przez coś istniejącego w ludzkiej duszy; coś zbliżonego do religii. Tym czymś są ludzkie odczucia na temat życia i śmierci. Człowiek bliski śmierci bezpośrednio styka się z absolutem; nonsensem jest twierdzić, że zajmują go jedynie względne i odległe komplikacje, które śmierć tak czy inaczej zakończy. Jeśli podtrzymują go jakieś zobowiązania, muszą to być zobowiązania proste jak śmierć. Sprowadzają się one do dwóch pojęć, które są tak naprawdę dwoma aspektami tego samego pojęcia. Pierwszym jest miłość czegoś, czemu zagraża niebezpieczeństwo, nawet jeśli to coś jest tylko mgliście znane jako ojczyzna; drugim jest niechęć i sprzeciw wobec obcego zagrożenia. Ten pierwszy aspekt jest o wiele bardziej filozoficzny, niż się wydaje, ale nie ma potrzeby go tu roztrząsać. Człowiek nie chce, by zniszczono czy choćby zmieniono jego ojczyznę, bo nic może nawet uświadomić sobie wszystkich związanych z nią dobrych rzeczy; tak samo nie chce, by spalono jego dom, bo nie potrafiłby nawet wyliczyć wszystkich rzeczy, które by przez to stracił. Dlatego walczy za coś, co wydaje się mglistą abstrakcją, a tak naprawdę jest konkretnym domem. Jednakże negatywny aspekt jego uczuć jest nie tylko równie silny, ale i równie szlachetny. Ludzie walczą najzacieklej, gdy czują, że ich przeciwnik jest równocześnie ich starym wrogiem i kimś odwiecznie obcym, otoczonym nieznana i nieprzyjazną atmosferą - kimś takim, jak Prusacy dla Francuzów albo Turcy dla wschodnich

chrześcijan. Jeśli powiemy, że jest to sprawa różnic religijnych, słuchający nas ludzie popadną w nudne utarczki na temat sekt i dogmatów. Litując się nad nimi, powiedzmy zatem, że jest to różnica dotycząca śmierci i światła; różnica, która rzeczywiście wsuwa się niczym czarny cień pomiędzy nasze oczy a światło dnia. Ludzie potrafią myśleć o tej różnicy nawet o włos od śmierci; jest to bowiem różnica dotycząca sensu życia.

Ludźmi w takich sprawach powoduje coś znacznie wznioślejszego i świętszego niż polityka: tym czymś jest nienawiść. Gdy żołnierze nie poddawali się w najmroczniejszych dniach wojny światowej, cierpiąc na ciele albo na duszy za tych, których kochali, do prowadzenia dalszej walki już dawno przestały ich motywować takie drobiazgi, jak cele dyplomacji. Co do mnie i tych, których najlepiej znałem, mogę powiedzieć, że poddanie się uważaliśmy za niemożliwe z powodu pewnej wizji. Była to wizja twarzy niemieckiego cesarza wjeżdżającego do Paryża. Nie wywoływała ona uczucia, które niektórzy z moich idealistycznie nastawionych przyjaciół nazwaliby Miłością. Ja sam zadowolę się nazwaniem jej nienawiścią; nienawiścią piekła i wszystkich jego dzieł, i zgodzę się, że ci, którzy nie wierzą w piekło, nie wierzą także w nienawiść. To przydługie wprowadzenie było niestety konieczne, aby wobec tak rozpowszechnionego stereotypu wyjaśnić, czym naprawdę jest wojna religijna. Z wojną religijną mamy do czynienia wtedy, gdy spotykają się dwa światy, to znaczy, gdy spotykają się dwie różne wizje świata, a mówiąc bardziej współczesnym językiem - dwie

różne atmosfery moralne. To, co dla jednego jest powietrzem, dla drugiego może okazać się trucizną. A mówienie o tym, że nawet zaraza powinna mieć swoje miejsce pod słońcem, to czcza gadanina. Problem ten warto dobrze zrozumieć nawet za cenę dygresji, jeśli chcemy pojąć, co rzeczywiście wydarzyło się nad Morzem Śródziemnym, kiedy przeciw rozwijającej się nad Tybrem republice wystąpiło coś, co ją przewyższało i co z niej szydziło, coś bardziej czarnego od mrocznych zagadek Azji, ciągnącego za sobą liczne plemiona i imperialne zależności: przybywająca na grzbietach morskich fal Kartagina.

Religia starożytnej Italii była, ogólnie rzecz biorąc, tą samą mieszaniną, którą omówiliśmy w rozdziale o mitologii, z tym że w przeciwieństwie do Greków, mających niejako wrodzoną skłonność do mitologii, mieszkańcy Italii mieli najwyraźniej skłonność do prawdziwej religii. I jedni, i drudzy mnożyli bogów, ale czasem ma się wrażenie, że mnożyli ich z zupełnie innych powodów. Grecki politeizm rozgałęział się i wypuszczał kwiaty ku górze podobnie jak wielkie drzewo, natomiast rzymski politeizm rozrastał się w dół jak płatanina korzeni. Może trafniej byłoby powiedzieć, że konary tego pierwszego unosiły się lekko, rodząc jedynie kwiaty, natomiast gałęzie drugiego zwieszały się ciężko, rodząc owoce. Chodzi o to, że Latynowie mnożyli bogów, pragnąc jakby przybliżyć ich człowiekowi, natomiast greccy bogowie wznosili się i ulatywali wzwyż, w niebo poranka. To, co uderza nas w kultach Italii, to ich lokalny, a przede wszystkim domowy charakter. Mamy

wrażenie, że nadprzyrodzone zjawiska roją się w domu jak muchy, że stada bóstw czepiają się belek jak nietoperze albo budują gniazda pod okapem jak ptaki. Zdaje się nam, że dostzegamy tam bóstwa dachów i bóstwa bram wjazdowych, bóstwa drzwi, a nawet bóstwa kanalizacji. Całą mitologię uważa się za rodzaj bajki, ale ta mitologia była szczególną bajką, opowiadaną przy ogniu albo w dzieciennym pokoju. Była to bowiem bajka z wnętrza domu, jak te opowieści, w których krzesła i stoły przemawiają głosami elfów. Stare bóstwa domowe rolników Italii przypominały wielkie niezgrabne drewniane figury, jeszcze bardziej pozbawione rysów niż rzeźba dziobowa, na którą Quilp³⁶ rzucił się z pogrzebaczem. Ta religia domu miała bardzo domowy charakter. Oczywiście, w gęstwinie rzymskiej mitologii były też inne, mniej ludzkie elementy. Greckie bóstwa nakładały się na bóstwa rzymskie, a tu i ówdzie czaiły się gorsze rzeczy: eksperymenty z dziedziny okrutnego pogaństwa, takie jak arcyjski ryt wymagający od kapłana zamordowania mordercy. Te rzeczy jednak zawsze były potencjalnie obecne w pogaństwie i z pewnością nie stanowiły szczególnej cechy pogaństwa rzymskiego. Jego wyjątkowość, ogólnie rzecz biorąc, polegała na tym, że o ile mitologia uosabiała siły natury, o tyle ta konkretna mitologia uosabiała naturę przekształconą siłami człowieka. Miała bóstwa zbóż, a nie trawy, bydła, a nie dzikich mieszkańców lasu; krótko

³⁶ Daniel Quilp - bohater powieści Dickensa *Magazyn osobliwości*.

mówiąc, kult ten był w rzeczywistości kulturą w takim znaczeniu, w jakim mówi się o kulturze rolnej.

Wiązał się z tym paradoks, który dla wielu do dziś stanowi tajemnicę czy też zagadkę Latynów. Religii, oplatającej na wzór pnącza każdy szczegół domowego życia, towarzyszyło coś, co wielu uważa za jej zupełne przeciwieństwo, a mianowicie duch rewolty. Imperialiści i reakjoniści często powołują się na Rzym jako na wzór porządku i dyscypliny, Rzym jednak był w rzeczywistości czymś zupełnie innym. Prawdziwa historia starożytnego Rzymu o wiele bardziej przypomina historię współczesnego Paryża. Posługując się współczesnym językiem, można by nazwać Rzym miastem zbudowanym z barykad. Powiadają, że brama Janusa³⁷ nigdy nie była zamknięta, bo za murami miasta toczyła się nieustanna wojna; prawie tak samo słusznie można by powiedzieć, że w obrębie murów trwała nieustanna rewolucja. Od pierwszych buntów plebejskich po ostatnie wojny niewolnicze państwo, które zaprowadziło pokój na świecie, nigdy tak naprawdę nie zaznało pokoju; sami władcy byli buntownikami.

Istnieje pewien realny związek między religią w życiu prywatnym a rewolucją w życiu publicznym. Strywializowane, ale tym nie mniej heroiczne opowieści przypominają nam, że fundamentem rzymskiej republiki było zabójstwo tyrana, mające

³⁷ Brama Janusa - pełniąc rolę świątyni Janusa brama ocalała z najstarszych umocnień Rzymu, zamykana w czasie pokoju, a otwierana, gdy Rzym ruszał na wojnę.

pomścić znieważenie żony, i że urząd trybuna ludowego został przywrócony po innym zabójstwie, mającym pomścić znieważenie córki. W rzeczywistości bowiem tylko ci ludzie którzy uważają rodzinę za świętość, mają odpowiedni punkt odniesienia albo punkt widzenia, by krytykować państwo. Tylko oni mogą odwoływać się do czegoś świętszego niż bogowie miasta - do bogów ogniska domowego. Stąd bierze się coś, co stale dziwi ludzi: że narody uznawane za najbardziej domatorskie, jak Irlandczycy albo Francuzi, są równocześnie najaktywniejsze politycznie. Warto zatrzymać się nad tą kwestią polityki wewnętrznej, doskonale ilustrującą to, co kryje się pod pojęciem wnętrza historii, tak bardzo przypominającym wnętrze domu. Historia Rzymu skupiająca się wyłącznie na polityce, może całkiem słusznie ukazywać, że to czy tamto wydarzenie było cynicznym i okrutnym działaniem rzymskich polityków; nie ulega jednak wątpliwości, że duchem, który podtrzymywał Rzym od wewnątrz, był duch wszystkich Rzymian, i nie jest pustym frazesem stwierdzenie, że ich ideałem było przeniesienie Cincinnatusa z senatu do pług. Tacy właśnie ludzie umacniali swoją osadę ze wszystkich stron i odnosili zwycięstwa nie tylko w całej Italii, ale także w Grecji, gdy wtem spadła na nich konieczność wojny, która zmieniła świat. Na użytek tej opowieści postanowiłem ją nazwać wojną bogów i demonów.

Na przeciwległym brzegu śródlądowego morza istniała metropolia pod nazwą Nowe Miasto. Była ona o wiele starsza, potężniejsza i bardziej zasobna niż metropolia Italii, ale

panująca w niej atmosfera nadal usprawiedliwiała tę nazwę. Miasto nazwano nowym, ponieważ, tak jak Nowy Jork czy Nowa Zelandia, stanowiło kolonię. Była to osada czy też placówka stanowiąca dowód energii i ekspansji wielkich kupieckich miast: Tyru i Sydonu. Panował w niej nastrój właściwy dla nowych krajów i kolonii: nastrój pewności i biznesu. Jego mieszkańcy lubili wypowiadać kategoryczne zdania dźwięczące jak stal; mawiali na przykład, że nikt nie może umyć rąk w morzu bez pozwolenia Nowego Miasta. Jego wielkość zależała niemal całkowicie od wspaniałości okrętów, tak samo jak w wypadku owych dwóch wielkich portów i ośrodków handlowych, z których pochodzili jego mieszkańcy. Ich geniusz handlowy i spore doświadczenie w podróżach wywodziły się z Tyru i Sydonu. Wywodziło się stamtąd również wiele innych rzeczy.

W poprzednim rozdziale wspomniałem o psychologii leżącej u podstaw pewnego rodzaju religii. U ludzi spragnionych nie tylko poetyckich, ale także praktycznych efektów istniała tendencja do wzywania duchów strachu i niewoli; skłonność do poruszania Acherontu w rozpaczliwej nadziei nagięcia woli bogów. Od zawsze panowało wśród nich mgliste przekonanie, że te mroczniejsze moce naprawdę robią, co do nich należy, i nie zajmują się niedorzecznościami. W psychologii ludów punickich ten dziwny rodzaj pesymistycznej pragmatyki osiągnął niespotykane proporcje. W Nowym Mieście, które Rzymianie nazywali Kartaginą, podobnie jak w macierzystych miastach fenickich, bóg, który robił, co do niego należało,

nosił imię Molocha; niewykluczone, że był to ten sam bóg, którego znamy pod imieniem Baala, czyli Pana. Rzymianie z początku nie bardzo wiedzieli, jak mają go nazywać ani co mają o nim myśleć; musieli odwołać się do najbrutalniejszego greckiego czy też rzymskiego mitu o początkach i porównać go z Saturnem pożerającym własne dzieci. Jednakże czciciele Molocha nie byli wcale brutalni ani prymitywni. Należeli do dojrzałej, wyrafinowanej cywilizacji, obfitującej w subtelności i luksusy, byli prawdopodobnie o wiele bardziej cywilizowani od Rzymian. Moloch zaś nie był mitem, w każdym razie mitem, nie były jego uczty. Ci wysoce cywilizowani ludzie naprawdę spotykali się, by wypraszać błogosławieństwo niebios dla swego imperium przez wrzucanie setek własnych dzieci do wielkiego paleniska. Żeby zdać sobie sprawę z tego, jakie było to połączenie, wyobraźmy sobie grupę kupców z Manchesteru, w przypominających kominy cylindrach i z bujnymi bokobrodami, jak co niedziela udają się o jedenastej do kościoła, by oglądać pieczone żywcem niemowlę.

Pierwsze stadia tego politycznego czy też handlowego sporu są nam znane w zbyt wielu szczegółach właśnie dlatego, że był to spór jedynie polityczny albo handlowy. Na pewnym etapie wojny punickie wyglądały tak, jakby nigdy nie miały się skończyć; trudno także powiedzieć, kiedy właściwie się zaczęły. Grecy i Sycylijczycy już wcześniej walczyli przeciwko afrykańskiemu miastu po ogólnie pojętej stronie Europy Kartagina pokonała Grecję i opanowała Sycylię, osiadła także

mocno w Hiszpanii. Łatyńskie miasto, mające Sycylię z jednej i Hiszpanię z drugiej strony, mogłoby zostać łatwo otoczone i zmiażdżone, gdyby Rzymianie łatwo dawali się zmiażdżyć. Ale najciekawsze w tej opowieści jest to, że Rzym rzeczywiście został zmiażdżony. Gdyby w tej historii obok elementu materialnego nie istniał element moralny, cała historia skończyłaby się tam, gdzie jej końca spodziewała się Kartagina. Dość powszechnie obwinia się Rzym o niezawarcie pokoju. Powszechny instynkt podpowiadał jednak Rzymianom, że nie może być pokoju z takim przeciwnikiem. Dość powszechnie potępia się pewnego Rzymianina za jego *delenda est Carthago* - Kartagina musi zostać zniszczona. Zbyt często zapomina się przy tym, że otaczająca Rzym atmosfera świętości przylgnęła doń po części z powodu jego niespodziewanego zmartwychwstania.

Kartaginą, jak większością państw kupieckich, rządziła arystokracja. Nacisk, jaki bogaci wywierali na biednych, był bezosobowy i nie do przewyciężenia. Arystokracja tego rodzaju nigdy bowiem nie dopuszcza do rządów konkretnych osób, i być może właśnie dlatego zdolności konkretnych osób budziły zazdrość kartagińskiej arystokracji. Geniusz może jednak pojawić się wszędzie, nawet w klasie rządzącej. W jednym z wielkich rodów Kartaginy, jakby tylko po to, by najtrudniejszą dla świata próbę uczynić jeszcze straszniejszą, przyszedł na świat człowiek, który opuścił złocone pałace z energią i oryginalnością zjawiającego się znikąd Napoleona. W kryzysowym momencie wojny dotarła do Rzymu wieść o militarnym cudzie:

Italia została zaatakowana z północy. Hannibal, którego imię w jego języku znaczyło "Łaska Baala" zdołał przeprowadzić przez rozgwieżdżone odludzie Alp ciężki łańcuch zbrojnych i skierował się na południe, ku miastu, którego zniszczenie poprzysiągł wszystkim swoim przerażającym bogom.

Hannibal wyruszył w drogę do Rzymu, a Rzymianie, którzy rzucili się do walki, mieli wrażenie, że walczą z czarnoksiężnikiem. Dwie wielkie armie zatoneły na prawo i lewo od niego w trzęsawiskach nad Trebią, jeszcze większą liczbę pochłonał przerażający wir bitwy pod Kannami, coraz więcej żołnierzy szło mu naprzeciw i padało zdruzgotanych jednym jego dotknięciem. Zdrada, nieomylny znak klęski, obracała plemię za plemieniem przeciwko upadającemu Rzymowi, a niezwyciężony wróg zbliżał się coraz bardziej do miasta. Olbrzymiejąca wielonarodowa armia Kartaginy posuwała się za wielkim wodzem jak światowa parada - słonie wstrząsające ziemią jak maszerujące góry, olbrzymi Galowie w pełnym barbarzyńskim uzbrojeniu, śniadzi Hiszpanie przepasani złotem, ciemnoskórzy Numidzi na nieosiodłanych pustynnych koniach, krążący i spadający na ofiarę niczym sokoły, całe tłumy dezertów, najemników i najróżniejszych plemion - a łaska Baala szła na ich czele.

Rzymscy wieszczkowie i pisarze, którzy twierdzili, że na ziemi w tym czasie pojawiły się różne niestworzone znaki, takie jak dzieci rodzące się z głowami słoni albo gwiazdy spadające jak grad, mieli o wiele bardziej filozoficzne pojęcie o tym, co się wówczas wydarzyło, niż współczesny historyk, który nie

dostrzega niczego poza sukcesem strategii i zakończeniem handlowej rywalizacji. Coś zupełnie innego odczuwano w tamtym czasie i na tamtym miejscu; odczucie to znane jest wszystkim, którzy doświadczyli obcej atmosfery wdzierającej się w atmosferę ich kraju na podobieństwo mgły albo odrażającej woni. Tym, co zapełniło wyobraźnię Rzymian ohydnyymi znakami świadczącymi o wynaturzeniu samej natury, nie była zwykła porażka wojskowa ani z pewnością zwykła handlowa rywalizacja. Moloch stanął na górach Italii i zwrócił przerażającą twarz ku równinom; Baal tratował kamiennymi stopami winnice; wszędzie rozbrzmiewał głos niewidzialnej, ukrytej za zwiewnymi welonami Tanit, szepczącej o miłości straszniejszej niż nienawiść. Spalone rzymskie pola i stratowane rzymskie winnice były nie tylko faktem; były alegorią. Oznaczały zniszczenie rzeczy bliskich i przynoszących owoce, uwiąd wszystkiego, co ludzkie, w obliczu odczłowieczenia, które przekraczało granice czysto ludzkiego okrucieństwa. Bogowie ogniska domowego skłonili głowy w ciemności pod niskimi dachami domów. Górą, niesione wiatrem spoza wszystkich murów świata, leciały demony, dmąc w trąby tramontany. Brama Alp została skruszona, i całkiem dosłownie rozpętało się piekło na ziemi. Wydawało się, że wojna bogów i demonów dobiegła końca i że bogowie polegli. Orły poległy, legiony zostały rozbite, a Rzymowi nie pozostało nic poza honorem i zimną desperacką odwagą.

Kartaginie zagrażała na świecie jeszcze tylko jedna rzecz: sama Kartagina. W jej wnętrzu nadal działał element domi-

nujący we wszystkich dobrze prosperujących państwach kupieckich i nadal obecny był duch, z którym już zdążyliśmy się zaznajomić. Kartaginą nadal rządziła solidność i przebiegłość zarządców wielkich firm; nadal słuchano tam rad najlepszych ekspertów finansowych, nadal powierzano rządy przedsiębiorcom, nadal wyznawano otwarte i zdrowe poglądy praktycznych ludzi biznesu - i w tym właśnie leżała ostatnia nadzieja Rzymian. Gdy wydawało się, że wojna dobiegała tragicznego końca, powoli zaczęło w nich świtać dziwne, niejasne przecucie, że ich nadzieja ostatecznie nie okaże się daremna. Prości biznesmeni Kartaginy, myślący jak wszyscy ludzie tego pokroju w kategoriach żywych i martwych ras, widzieli wyraźnie, że Rzym nie tylko umiera, ale że już jest martwy. Wojna była skończona; stawianie dalszego oporu przez italskie miasto było rzeczą zupełnie beznadziejną, a trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek chciał jeszcze stawiać opór w tak beznadziejnej sytuacji. Kartagińczycy uznali, że w takich okolicznościach należy wziąć pod uwagę inny zestaw otwartych, zdrowych zasad przedsiębiorczości. Wojny prowadzone są za pieniądze, a zatem dużo kosztują. Być może kartagińscy przedsiębiorcy, jak wielu podobnych ludzi, czuli w głębi serca, że wojna rzeczywiście musi być zła, skoro pochłania tyle pieniędzy. Przyszedł czas na zawarcie pokoju, a tym bardziej na wprowadzenie oszczędności. Wiadomości, które Hannibal wysyłał od czasu do czasu z prośbą o posiłki, wydawały się im śmiesznym anachronizmem; teraz należało się zająć o wiele ważniejszymi sprawami.

Możliwe, że taki czy inny konsul zrobił wypad nad Metaurus, zabił Hannibalowi brata i z latyńską furią cisnął jego głową w obóz Hannibala. Tego rodzaju szalone działania dowodzą, jak całkowicie Latynowie stracili nadzieję na powodzenie swojej kampanii. Najlepsi eksperci finansowi argumentowali, że nawet porywczy Latynowie nie mogli być tak szaleni, by w nieskończoność bronić przegranej sprawy, i odrzucali coraz to więcej listów pełnych niepokojących wieści. Takiej argumentacji i linii działania trzymało się wielkie kartagińskie imperium. Przekleństwo państw kupieckich - bezsensowne przekonanie, że głupota jest czymś praktycznym, a geniusz czymś bezpłodnym - doprowadziło do tego, że kartagińscy przedsiębiorcy zagłodziли i porzucili wielkiego artystę działań wojennych, którego bogowie zesłali im na próżno.

Skąd u ludzi to dziwne przeświadczenie, że to, co nikczemne, zawsze zwycięża nad tym, co szlachetne; że istnieje jakieś mroczne powiązanie rozumu z rozbojem, albo że nikczemniko-
wi można wybaczyć nudziarstwo? Dlaczego uważa się wszelką rycerskość za przejaw sentymentalizmu, a sentymentalizm za przejaw słabości? Otóż dzieje się tak dlatego, że wyznawcy tych poglądów, podobnie jak wszyscy ludzie, kierują się religią. Dla nich, tak samo jak dla wszystkich, najważniejsze jest ich własne pojęcie natury rzeczy, ich wyobrażenie na temat świata, w którym przyszło im żyć. Ich wiara obejmuje tylko jedną rzecz ostateczną - strach, i dlatego są przekonani, że sercem świata jest zło. Wierzą, że śmierć jest silniejsza od życia, a zatem rzeczy martwe

muszą być silniejsze od żywych; bez względu na to, czy za rzeczy martwe uważają złoto, żelazo i maszyny - czy też skały, rzeki i siły natury. Twierdzenie, że ludzie, których spotykamy na herbatce albo z którymi rozmawiamy podczas przyjęć w ogrodzie, są w głębi ducha czcicielami Baala albo Molocha, brzmi dość fantastycznie. Jednakże umysł handlowca ma własną wizję wszechświata: jest to wizja Kartaginy. Popełnia on ten sam grubiański błąd, który doprowadził do zburzenia Kartaginy. Punicka potęga legła w gruzach, ponieważ wyznawany przez nią rodzaj materializmu odznaczał się szaloną obojętnością wobec prawdziwej myśli. Kto nie wierzy w duszę, przestaje wierzyć także i w rozum. Kto jest zbyt praktyczny, by brać pod uwagę moralność, odrzuca to, co każdy praktyczny żołnierz określa jako morale armii. Wydaje mu się, że pieniądze będą walczyć, gdy ludzie zaniechają walki. Tak właśnie uważali puniccy książęta handlu. Oni sami wyznawali przecież religię rozpaczony nawet wtedy, gdy w praktyce ich perspektywy wyglądały różowo. Jak zatem mogli pojąć, że Rzymianie zachowują nadzieję nawet wtedy, gdy ich perspektywy będą wyglądać beznadziejnie? Kartagińczycy wyznawali religię przemocy i strachu. Jak zatem mogli zrozumieć, że można pogardzać strachem nawet wtedy, gdy jest się ofiarą przemocy? U podstaw ich filozofii świata leżało znużenie - przede wszystkim znużenie walką. Jak zatem mogli zrozumieć kogoś, kto walczy mimo znużenia? Jednym słowem, jak mieli zrozumieć umysł Człowieka ci, którzy od tak dawna kłaniali się bezmyślnym przedmiotom, pieniądzwowi, nieokiełznanej sile i bogom

o sercach bestii? Nagle dobiegła ich wieść, że węgle, które według nich nie zasługiwały na zdeptanie, znów wszędzie wybuchają płomieniem; że Hasdrubal został pokonany, że Hannibal walczy z przeważającą siłą wroga, że Scypion zepchnął wojnę do Hiszpanii, że zepchnął ją do samej Afryki. Przed bramami złotego miasta Hannibal stoczył w jego obronie ostatnią bitwę i przegrał, a upadku Kartaginy nie można porównać z niczym od czasu upadku Szatana. Z Nowego Miasta ocalało jedynie imię; nie pozostał po nim na piaskach ani jeden kamień. Jego ostateczne zniszczenie wymagało co prawda stoczenia jeszcze jednej wojny, ale zniszczenie to rzeczywiście było ostateczne. Dopiero ludzie rozkopujący wiele wieków potem głębokie fundamenty miasta znaleźli stos setek małych szkieletów: święte relikwie przerażającej religii. Kartagina upadła, bo pozostała wierna swojej filozofii i wyciągnęła ostateczne logiczne wnioski z własnej wizji wszechświata. Moloch pożarł własne dzieci.

Bogowie powstałi znowu, a demony ostatecznie zostały zwyciężone. Było to jednak zwycięstwo pokonanych; niemalże zwycięstwo poległych. Nie można zrozumieć romantycznej historii Rzymu ani przyczyn jego późniejszego, jakby podyktowanego przeznaczeniem i całkiem naturalnego przywództwa, jeśli zapomina się o udręce strachu i poniżenia, w jakiej Rzym nie przestawał świadczyć o trzeźwości umysłu, będącej duszą Europy. Rzym stanął samotnie pośrodku imperium, dlatego że kiedyś stał samotnie pośród ruin i zniszczenia. Odtąd wszyscy wiedzieli w głębi serca, że był reprezentan-

tem ludzkości, nawet gdy został odrzucony przez ludzi. Padł nań odblask jasnego, wówczas jeszcze niewidzialnego światła, i spoczął na nim ciężar przyszłych rzeczy. Nie do nas należy zgadywać, w jaki sposób i w którym momencie miłosierdzie Boże mogłoby inaczej wybawić świat, faktem jest jednak, że walka o ustanowienie chrześcijaństwa wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby zamiast imperium rzymskiego istniało imperium Kartaginy. Musimy być wdzięczni za cierpliwe zmagania Rzymian w wojnach pu nic kich, jeśli w późniejszych wiekach to, oo Boskie, mogło przyjść do ludzkiej zamiast do nieludzkiej rzeczywistości. Europa nabawiła się własnych wad i sama osiągnęła stan bezsilności, jak o tym powiemy na następnych stronach, ale nawet w najgorszym stadium nie dorównała nikczemnością temu, przed czym się uratowała. Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógłby porównywać wielką drewnianą kukłę, która zgodnie z przekonaniem dzieci zjadała odrobinę ich obiadu, z wielkim idolem, który zgodnie z powszechnym przekonaniem zjadał same dzieci? Oto jak daleko świat zbłądził w porównaniu z tym, jak daleko mógł zbłądzić. Jeśli Rzymianie zachowywali się bezlitośnie, to byli bezlitośni wobec prawdziwego wroga, a nie wobec rywala w interesach. Legioniści nie pamiętali o szlakach i umowach handlowych, pamiętali jedynie szydercze twarze ludzi i nienawidzili nienawistnego serca Kartaginy. My sami zawdzięczamy im to, że nigdy nie musieliśmy ścinać zagajników Wenus, tak jak ścinano zagajniki Baala. Po części dzięki ich okrucieństwu nie

wspominamy naszej ludzkiej przeszłości wyłącznie jako pasma okrucieństw. Jeśli przejście z pogaństwa do chrześcijaństwa było nie tylko zerwaniem, ale także przerzuceniem pomostu, zawdzięczamy to tym, którzy ocalili ludzką twarz pogaństwa. Jeśli po tylu wiekach zawarliśmy w pewnym sensie pokój z pogaństwem i możemy życzliwie myśleć o naszych przodkach, dobrze byłoby pamiętać o tym, co się stało, i o tym, co mogło się stać. Tylko dzięki temu bagaż starożytności jest dla nas lekki i nie musimy się wzdragać na widok nimfy na fontannie albo kupidyna na kartce pocztowej. Śmiech i smutek wiążą nas z rzeczami dawno minionymi i wspominanymi bez wstydu; możemy patrzeć nie bez wzruszenia na zmierzch zapadający wokół sabińskiej posiadłości i słuchać, jak bóstwa domowe się cieszą, gdy Katullus wraca do Sirmio. *Deleta est Carthago.*

VIII KONIEC ŚWIATA

Siedziałem kiedyś w letni dzień na łące w hrabstwie Kent w cieniu małego wiejskiego kościoła, z dość dziwnym kompanem, któremu dopiero co towarzyszyłem w przechadźce przez las. Należał on do napotkanej przeze mnie podczas moich wędrówek grupy ekscentryków, wyznającej nową religię: kult Wyższej Myśli. Zostałem w nią wtajemniczony na tyle, by odczuć ogólną atmosferę wzniosłości czy też wyżyn, i miałem nadzieję, że na późniejszym, bardziej ezoterycznym etapie odkryję wreszcie jakieś zaczątki myśli. Mój towarzysz był najzabawniejszy z całej grupy, bo bez względu na to, ile miał wspólnego z myśleniem, miał przynajmniej znaczącą przewagę nad resztą w kwestii doświadczenia, podróżował bowiem poza strefy zwrotnikowe, gdy tamci medytowali na przedmieściach, choć zarzucano mu przesadę w opowieściach z podróży. Jednakże wbrew wytaczanym przeciwko niemu zarzutom wolałem go od jego towarzyszy i chętnie wędrowałem z nim przez las, gdzie nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jego opalona twarz, sterczące brwi i szpiczasta bródka nadawały jęgo-

powierzchności wygląd bożka Pana. Po wyjściu z lasu siedliśmy na łące i patrzyliśmy beczynn timer na czubki drzew i wieżę wiejskiego kościołka, gdy tymczasem ciepłe popołudnie rozpływało się w zapowiedzi wieczoru, spod nieba dobiegał cichy śpiew maleńkiego jak punkcik ptaka, a leciutki szept bryzy gładził raczej, niż kołysał pradawne sady zielonej Anglii. Wtedy mój towarzysz odezwał się do mnie: „Wie pan, dlaczego wieża tego kościołka strzela w ten sposób ku górze?”. A gdy wyraziłem pełen szacunku agnostycyzm, odparł od niechcienia: „Ach, to dokładnie to samo co obeliski; kult falliczny starożytności”. Rzuciłem okiem na leżącego towarzysza, spoglądającego lubieżnie znad koziej brody, i przez chwilę wydawało mi się, że to wcale nie bożek Pan, tylko diabeł. W żadnym śmiertelnym języku nie można wyrazić olbrzymiej, obłąkańczej nieprzystawalności i wynaturzonej perwersji myśli, która w takiej chwili i w takim miejscu każe mówić tego rodzaju rzeczy. Przez chwilę ogarnął mnie nastrój, w jakim kiedyś palono czarownice, a potem, niczym światło poranka, olśniło mnie poczucie równie wielkiego absurdu. „Ależ oczywiście - odparłem po chwili namysłu - gdyby nie kult falliczny, budowano by wieże skierowane w dół i opierające się na iglicy”. Mógłbym tak siedzieć na polu i śmiać się przez godzinę. Mój przyjaciel nie wydawał się urażony, bo nigdy nie był przewrażliwiony na punkcie swoich odkryć naukowych. Spotkałem go przypadkowo i później nigdy już go nie widziałem; zdaje się, że już nie żyje. A chociaż nie ma to nic wspólnego z moim wywodem, warto może wspom-

nieć imię tego wyznawcy Wyższej Myśli i tłumacza prymitywnych źródeł religii; przynajmniej to imię, pod którym go znano. Brzmiało ono Louis de Rougemont.

Szalona wizja kościółka w Kent, stojącego na czubku wieży, jak w jakiejś zwariowanej ludowej baśni, wraca do mnie zawsze, ilekroć słyszę podobne wypowiedzi na temat pogańskich źródeł; przychodzi mi ona z pomocą, wzbudzając śmiech olbrzymów. Czuję się wówczas tak samo wielkoduszny i miłośniemy wobec wszystkich badaczy naukowych, ważnych krytyków i autorytetów z dziedziny starożytnych i współczesnych religii, jak wobec biednego Louisa de Rougemonta. Wspomnienie tego gigantycznego absurdu służy mi jako rodzaj wzorca albo zawór bezpieczeństwa umożliwiający zachowanie trzeźwości umysłu nie tylko w odniesieniu do chrześcijańskich kościołów, ale także świątyń pogańskich. Wielu ludzi mówi bowiem o pochodzeniu pogaństwa tak samo, jak ów szacowny podróżnik mówił o pochodzeniu chrześcijaństwa. W rzeczywistości bardzo wielu współczesnych pogan traktuje pogaństwo z wielką surowością. Bardzo wielu współczesnych obrońców człowieka traktuje bardzo surowo prawdziwą religię ludzkości. W ich ujęciu jest ona wszędzie i od początku zakorzeniona wyłącznie w tego rodzaju odpychających tajemnicach; nosi cechy czegoś całkowicie bezwstydного i anarchicznego. Ja jednak me wierzę w to ani przez chwilę. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy myśleć o kulcie Apolla w ten sposób, w jaki de Rougemont myślał o kulcie Chrystusa. Nigdy nie przyznałbym, że w miastach

Grecji panowała atmosfera, jaką ten szaleniec potrafił wyczuć w angielskiej wsi. Wręcz przeciwnie, sednem całego mojego wywodu - nawet tego ostatniego rozdziału traktującego o ostatecznym rozkładzie pogaństwa - jest obstawanie przy tym, że pogaństwo najgorszego rodzaju zostało już wcześniej rozgromione przez pogaństwo najlepszego rodzaju. To najlepsze pogaństwo zagarnęło złoto Kartaginy. To najlepsze pogaństwo stroiło się w laury Rzymu. Ogólnie rzecz biorąc i bez względu na skalę porównawczą, trzeba uznać, że od łańcucha Grampianów po ogrody Eufratu światem rządziło wówczas najlepsze, co świat do tej pory widział. To, co najlepsze, zwyciężyło; to, co najlepsze, sprawowało władzę; i to, co najlepsze, zaczęło się psuć.

Jeśli nie pojmiemy tej ogólnej prawdy, cała nasza wizja historii będzie skrzywiona. Pesymizm nie polega na znużeniu złem, ale na znużeniu dobrem. Rozpacz to nie zmęczenie cierpieniem, ale zmęczenie radością. Społeczeństwo zaczyna upadać, gdy z tego czy innego powodu przestaje w nim działać to, co dobre; gdy jego pokarm nie syci, lekarstwa nie leczą, a błogosławieństwa przestają błogosławić. Moglibyśmy niemal powiedzieć, że w społeczeństwie niemającym takich dobrych zjawisk trudno byłoby nam ustalić standard, według którego można by stwierdzić upadek tego społeczeństwa. Dlatego właśnie niektóre osiadłe handlowe oligarchie, takie jak Kartagina, robią raczej w historii wrażenie nieruchomych mumii, tak zasuszonych, zabalsamowanych i zabandażowanych, że nikt

nie potrafi rozpoznać ich wieku. Kartagina w każdym razie padła martwa i najgorszy atak, jaki demony przypuściły kiedykolwiek na społeczeństwo śmiertelników, został odparty. Cóż jednak z tego, że to, co najgorsze, straciło życie, skoro to, co najlepsze, również zaczęło umierać?

Na początku należy zaznaczyć, że stosunek Rzymu do Kartaginy był częściowo powielany i przenoszony przez Rzym na narody o wiele normalniejsze i bardziej podobne do niego samego niż do Kartaginy. Nie mam tu zamiaru podważać czysto politycznego poglądu, że rzymscy mężowie stanu postępowali bez skrupułów wobec Koryntu albo miast greckich. Chcę jednak zaprzeczyć twierdzeniu, że powszechna rzymska niechęć do greckich wad była jedynie obłudną wymówką. Nic mam zamiaru przedstawiać ówczesnych pogan jako pionierów rycerskości, darzących nacjonalizm uczuciem nieznanym do czasów chrześcijańskich. Chcę ich jednak przedstawić jako ludzi mających ludzkie, i to wcale nieudawane uczucia. Otóż jedna ze słabości kultu natury i zwykłej mitologii doprowadziła Greków do perwersji podyktowanej najgorszą sofistyką: sofistyką prostoty. Tak jak oddając cześć naturze, doszli do wynaturzeń, tak oddając cześć męskości, stali się niemęscy. Jeśli Grecja rzeczywiście była przewodnikiem swojego zdobywcy, to równie dobrze mogła sprowadzić go na manowce; z początku jednak zdobywca naprawdę usiłował pokonać te zjawiska - pokonać je nawet w sobie. W pewnym sensie jest prawdą, że nawet Sodomia i Gomora nie były tak niehumanitarne jak Tyr

i Sydon. Biorąc pod uwagę wojnę, jaką demony toczyły przeciwko dzieciom, grecka dekadencja nie może się nijak równać z punickim kultem diabła. Nie jest jednak prawdą, że szczerza niechęć zarówno wobec dekadencji, jak i kultu demonów musi być czystym faryzeizmem. Nie jest to zgodne ani z naturą ludzką, ani ze zdrowym rozsądkiem. Przypuśćmy, że jakiś chłopiec, który miał szczęście wzrastać w trzeźwości i prostocie, marząc o miłości, usłyszałby po raz pierwszy o kulcie Ganimedesa³⁸; byłby nie tylko zaszokowany, ale i zniesmaczony. I właśnie to jego pierwsze wrażenie, jak już wielokrotnie podkreślaliśmy, byłoby wrażeniem słusznym. Natomiast nasza cyniczna obojętność na to zjawisko jest złudzeniem, i to największym ze wszystkich - złudzeniem swojskości. Można zatem słusznie przypuszczać, że hołdujący mniej lub bardziej chłopskim cnotom ogół pierwotnych Rzymian, z całkowitą szczerością i spontanicznością zawrzał na samą wieść o czymś podobnym. Można słusznie przypuszczać, że ich reakcja na mniejszą skalę była taka sama, jak wobec okrucieństwa Kartaginy. Ze względu na tę mniejszą skalę Korynt nie został zburzony tak jak Kartagina. I nawet jeśli postawa i czyny Rzymian były raczej niszczycielskie, to ani w jednym, ani w drugim wypadku ich oburzenie nie musiało być jedynie przekonaniem o własnej racji, pokrywającym zwykły egoizm. Gdyby ktokolwiek upierał

³⁸ Ganimedes - w mitologii greckiej piękny młodzieniec, którego porwał zakochany Zeus, przybrawszy postać orła.

się jednak, że w obu wypadkach nic miało znaczenia nic poza racjami stanu i ekonomicznymi spiskami, możemy mu powiedzieć jedynie, że nie rozumie pewnej rzeczy, że być może nie zrozumie jej nigdy; i że dopóki jej nie zrozumie, nie będzie mógł w ogóle zrozumieć Latynów. Rzeczą tą jest demokracja. Zapewne nasz oponent słyszał to słowo wiele razy i być może sam go używał, nie ma jednak pojęcia, co ono oznacza. Przez całą rewolucyjną historię Rzymu przewijało się nieustanne dążenie do demokracji; państwo i mężowie stanu nie mogli zrobić nic bez znaczącego poparcia demokracji - tego rodzaju demokracji, która nie ma nic wspólnego z dyplomacją. Właśnie z powodu demokracji Rzymu słyszymy tak wiele o rzymskiej oligarchii. Na przykład ostatnio niektórzy historycy starali się wyjaśnić sukces i waleczność Rzymu w kategoriach tej godnej pogardy i pogardzanej lichwy, jaką uprawiała część patrycjuszy; tak jakby Kuriusz zwyciężył macedońską falangę dzięki proponowaniu jej pożyczki albo jakby konsul Nero negocjował pięć procent zysku od zwycięstwa nad Metaurusem. Ale o lichwie patrycjuszy dowiadujemy się tylko dzięki nieustannej rewolcie plebejuszy. Władza punickich książąt-kupców była lichwiarska do szpiku kości. Nigdy jednak nie istniał punicki tłum, który odważyłby się nazwać ich lichwiarzami.

Rozkwit Rzymu, obciążony, jak wszystko co śmiertelne, śmiertelnym grzechem i słabością, był tak naprawdę rozkwitem zjawisk normalnych, a przede wszystkim powszechnych. W niczym nie przejawiało się to mocniej niż w całkowicie

normalnej i bardzo powszechnej nienawiści do perwersji. Otóż wśród Greków perwersja osiągnęła status konwenansu. Była co prawda tak mocno skonwencjonalizowana, zwłaszcza w literaturze, że czasem w ramach konwencji kopiowali ją nawet rzymscy literaci. Takie komplikacje zawsze towarzyszą konwencjom. Nie mogą one jednak zaciemniać naszych odczuć co do różnicy nastrojów w obu tych społeczeństwach. Wergiliusz podejmował czasem temat z Teokryta, ale nikt nie odnosi wrażenia, że był do niego szczególnie przywiązany. Tematy podejmowane przez Wergiliusza były wyjątkowo i wybitnie normalne, zwłaszcza od strony moralnej: były to tematy takie jak pobożność, patriotyzm i godność wiejskiego życia. Przechodząc w naszym wywodzie do jesieni starożytności, możemy słusznie zatrzymać się nad imieniem tego poety; nad imieniem tego, który był szczególnym uosobieniem głosu jesieni — jej dojrzałości i melancholii, jej owoców spełnienia i perspektywy rozkładu. Nikt, kto przeczytał choćby kilka linijek Wergiliusza, nie może mieć wątpliwości, że rozumiał on, czym dla człowieka jest zdrowie moralne. Nikt nie może wątpić, jakie uczucia go przepełniały, gdy zmuszone do ucieczki demony pierzchały przed domowymi bóstwami. Dla naszego głównego tematu mają jednak przede wszystkim znaczenie dwie charakterystyczne cechy samego Wergiliusza i jego dzieła. Pierwszą jest to, że cała wielka patriotyczna epika Wergiliusza w bardzo interesujący sposób opiera się na upadku Troi, to znaczy na nieskrywanej dumie, jaką poeta odczuwa na myśl o Troi pomi-

mo jej upadku. Wywodząc od Trojan zaczątki swojej ukochanej rasy i republiki, Wergiliusz zapoczątkował coś, co można by nazwać wielką tradycją trojańską, obecną w całym średniowieczu i współczesności. Jej pierwszą zapowiedź widzieliśmy już w patetycznym tonie homeryckiego opisu Hektora. Wergiliusz uczynił z niej jednak nie tylko literaturę, ale i legendę: legendę o niemal boskiej godności należnej pokonanym. Była to jedna z tradycji, które rzeczywiście przygotowały świat na nadejście chrześcijaństwa, a zwłaszcza chrześcijańskiego rycerstwa. To ona pomagała w ocaleniu cywilizacji w okresie nieustannych klęsk wczesnego średniowiecza i barbarzyńskich wojen, z których narodziło się to, co nazywamy rycerskością. Rycerskość to moralna postawa człowieka przypartego do muru; murem tym zaś był mur Troi. Na setkach przykładów można prześledzić, w jaki sposób to rozumienie homeryckich cnót przez cały okres średniowiecza i współczesności współpracowało ze wszystkim, co było mu pokrewne w uczuciach chrześcijańskich. Anglicy, podobnie jak inne narody, uwielbiali powtarzać za Wergiliuszem, że oni także pochodzą od bohaterskich Trojan. Rozmaici ludzie uważali wywodzenie swojego rodu od Hektora za najwznioślejszy rodzaj genealogii. Nikt, jak się wydaje, nic miał ochoty wywodzić się od Achillesa. Sam fakt, że imię Trojanina stało się imieniem chrześcijańskim i rozprzestrzeniło się aż po granice chrześcijańskiego świata, po Irlandię i góry Szkocji, podczas gdy imię Greka pozostało stosunkowo rzadkie i przeintelektualizowane, jest świadectwem tej samej prawdy.

Wiąże się z nią ciekawostka językowa, która niemal zakrawa na żart. Otóż w języku angielskim od imienia Hektor utworzono czasownik, i samo pojęcie „hektorzenia” (*hectoring*), oznaczające zwracanie się do kogoś arogancko, z góry, przywodzi na myśl miriady żołnierzy, które stawiały sobie za wzór poległego Trojanina. Prawdę mówiąc, nikt w starożytności nie był mniej skłonny do „hektorzenia” niż sam Hektor. Ale dziwnym trafem nawet łobuz udający zwycięzcę zapożyczył swoje miano od zwyciężonego. Oto dlaczego popularyzacja trojańskiego pochodzenia Rzymu przez Wergiliusza ma wiele wspólnego z tymi elementami jego poezji, które sprawiły, że ludzie uważali go przez wieki niemal za chrześcijanina. Odnosi się wrażenie, że dwa wielkie narzędzia, boskie i ludzkie, albo dwie zabawki z tego samego drewna, znalazły się w rękach Opatrzności, tak że jedynym, co można było porównać z drewnianym Krzyżem Kalwarii, był drewniany Koń Trojański. Tak jakby w szalonej alegorii, pobożnej w zamiarze, choć niemal bluźnierczej w formie, Święte Dzieciątko walczyło ze Smokiem za pomocą drewnianego miecza i na drewnianym koniku.

Drugim ważnym dla naszego wywodu elementem poezji Wergiliusza jest jego szczególny stosunek do mitologii czy też do tego, co w pewnym sensie można by nazwać folklorem - do wyobrażeń i wierzeń pospólstwa. Powszechnie wiadomo, że poezja Wergiliusza osiąga szczyty doskonałości, gdy jej autora zajmuje nie tyle pompatyczność Olimpu, ile *numina* wiejskiego życia wśród natury. Powszechnie wiadomo, gdzie doszukuje

się on przyczyny wszystkich rzeczy. Sam oznajmia, że znalazł ją nie tyle w kosmicznych alegoriach Uranusa i Chronosa, ile w osobach Pana, siostrzanych nimf i leśnego starca Sylena. Wergiliusz jest chyba najbardziej sobą w tych fragmentach *Eklog*, w których uwiecznia wielką legendę Arkadii i jej pasterzy. Łatwo w tym miejscu znowu nie trafić w sedno, poddając drobiazgowej krytyce wszystko, co przypadkiem dzieli jego konwencję literacką od naszej. Nic ma nic bardziej sztucznego a niż zarzut sztuczności kierowany pod adresem starej poezji pastoralnej. Zupełnie straciliśmy z oczu to, co nasi ojcowie chcieli wyrazić przez zewnętrzną formę swojego pisarstwa. Ludziom wydawało się tak zabawne, że porcelanowa pasterka zrobiona jest z porcelany, że nie pytali nawet, dlaczego w ogóle została zrobiona. Tak dalece zadowalało ich traktowanie Wesołego Wieśniaka jako postaci z opery, że nie pytali nawet, skąd się tam dostał ani w jaki sposób trafił na scenę.

Krótko mówiąc, wystarczy zapytać, dlaczego mamy porcelanową pasterkę, a nie porcelanowego sklepikarza? Dlaczego gzymsów kominka nie zdobią figurki wielkomiejskich kupców w eleganckich pozach, sprzedawców artykułów żelaznych z żelaza i handlarzy złotem ze złota? Dlaczego w operze występował Wesoły Wieśniak, a nie Wesoły Polityk? Dlaczego nigdy nie było baletu bankierów, kręcących piruety na czubkach palców? Otóż nie było ich dlatego, że starożytny instynkt i poczucie humoru podpowiadało ludzkości, bez względu na obowiązujące konwencje literackie, że złożone konwenanse miast nie są tak

zdrowe i wesołe jak obyczaje wsi. Stąd też wynika wieczna aktualność *Eklog*. Pewien współczesny poeta rzeczywiście napisał kiedyś wiersze zatytułowane „Eklogi z Fleet Street”³⁹, w których poeci zajęli mksjce pasterzy. Ale nikomu nie przyszło do głowy, by napisać „Eklogi z Wall Street”, w których milionerzy zajęliby miejsce poetów. Wynika to stąd, że istnieje prawdziwa, choć czasem zanikająca tęsknota za wiejską prostotą, natomiast nie istnieje tego rodzaju tęsknota za miejską złożonością. Kluczem do zagadki Wesołego Wieśniaka jest fakt, że wieśniak często bywa wesoły. Ci, którzy w to nie wierzą, po prostu wcale go nie znają i nie wiedzą, kiedy bywa wesoły. Ci, którzy nie wierzą w pasterską ucztę i pieśń, po prostu nie znają pasterskiego kalendarza. Prawdziwy pasterz jest faktycznie zupełnie inny od wyidealizowanego pasterza, nie ma jednak powodu, by zapominać o rzeczywistości leżącej u podstaw ideału. Potrzeba prawdy, aby powstała tradycja. Potrzeba tradycji, aby powstała konwencja. Poezja pastoralna z pewnością często bywa przejawem konwencji, zwłaszcza w okresie rozkładu społeczeństwa. Właśnie w atmosferze owego rozkładu wypoczywali w ogrodach Wersalu pasterze i pasterki Watteau. W takiej atmosferze pasterze i pasterki z najbliższych imitacji Wergiliusza wciąż tańczyli i grali na fujarkach. Nie jest to jednak powód, by spisać na straty umierające pogaństwo, nie zrozumiawszy jego życia.

³⁹ *Fleet Street Eclogues* - pod tym tytułem ukazały się dwa tomy wierszy szkockiego poety Johna Davidsona (1857-1909).

To nie powód, by zapominać, że samo słowo „poganin” znaczy to samo co „wieśniak”. Sztuka tego rodzaju może nam się wydawać sztuczna, ale nie jest ona umiłowaniem sztuczności. Wręcz przeciwnie, jest ona w istocie porażką kultu natury, czyli umiłowania tego, co naturalne.

Pasterze bowiem wymierali dlatego, że wymierali także ich bogowie. Pogaństwo żyło poezją - poezją, którą już rozważaliśmy pod nazwą mitologii. Wszędzie jednak, a zwłaszcza w Italii, ta poetycka mitologia była zakorzeniona w krajobrazie wsi i właśnie ta wiejska religia w dużej mierze przyczyniała się do wiejskiej szczęśliwości. Dopiero gdy całe społeczeństwo zaczęło się starzeć i nabywać doświadczenia, wyszła na jaw słabość mitologii, o której mówiliśmy już w poświęconym jej rozdziale. Okazało się mianowicie, że religia ta nie jest do końca religią. Czyli że, mówiąc inaczej, nie jest do końca rzeczywistością. Mitologia przypominała oszołomienie młodego świata obrazami i pojęciami, podobne do oszołomienia młodego człowieka winem albo miłością; było to coś nie tyle niemoralnego, co nieodpowiedzialnego, coś, co nie uwzględniało ostatecznej próby czasu. Mitologia była nieskończenie twórcza, dlatego też była nieskończenie naiwna. Należała do artystycznej części ludzkiej natury, ale nawet z artystycznego punktu widzenia stała się w końcu przeładowana i zagmatwana, Drzewa rodowe kiełkujące z nasienia Jupitera tworzyły nie las, ale prawdziwą dżunglę; roszczenia bogów i półbogów mogłby prędzej rozstrzygnąć prawnik albo zawodowy mistrz ceremonii niż zwykły poeta.

Nie trzeba jednak dodawać, że dżungla ta nie tylko pod względem artystycznym stawiała się coraz bardziej nieuporządkowana. Coraz jaskrawiej rozkwitał w niej kwiat zła, który tak naprawdę od samego początku jest częścią kultu natury, nawet jeśli kult ten wydaje się nie wiadomo jak naturalny. Powiedziałem już, że, moim zdaniem, kult natury nie musi brać początku z konkretnej namiętności; nie należę do szkoły naukowego folkloru reprezentowanej przez de Rougemonta. Nie wierzę, że mitologia musi brać początek z erotyki. Wierzę natomiast, że na niej musi się zakończyć I jestem pewien, że na niej właśnie się skończyła. Co więcej, nie chodzi tylko o to, że poezja stawiała się coraz bardziej niemoralna; niemoralność stawiała się też coraz trudniejsza do usprawiedliwienia. Greckie występki, orientalne występki, przebłyśki odwiecznego horroru semickich demonów — wszystko to otaczało marzenia rozkładającego się Rzymu jak muchy krążące nad stertą gnoju. Psychologia tego zjawiska jest w istocie bardzo ludzka, jak może się przekonać każdy, kto spróbował eksperymentu z oglądaniem historii od środka. Po południu zwykle nadchodzi godzina, kiedy chłopiec jest już zmęczony „udawaniem”; kiedy nudzi mu się już być złodziejem albo czerwonoskórym. Właśnie wtedy zabiera się do dręczenia kota. W rutynowym porządku cywilizacji przychodzi taki moment, kiedy człowiek jest już zmęczony zabawą w mitologię i udawaniem, że drzewo to dziewczyna albo że księżyc zakochał się w człowieku. Efekt tego znużenia jest wszędzie taki sam: widać go w braniu narkotyków i w picciu - w każdej formie dążenia do coraz większej dawki.

Ludzie zaczynają szukać coraz dziwniejszych grzechów albo coraz bardziej zaskakujących nieprzyzwoitości, by pobudzić przesycone zmysły. Z tego samego powodu szukają szalonych orientalnych religii. Próbuje znaleźć bodziec, który jak nóż kapłanów Baala pobudzi do życia ich uśpione nerwy. Chodzą pogrążeni we śnie jak somnambulicy i próbują się obudzić za pomocą koszmarów.

Na tym etapie nawet w świecie pogańskim coraz bardziej cichło w lesie echo wieśniaczych pieśni i tańców. Działo się tak po pierwsze dlatego, że cywilizacja wieśniacza właśnie znikła albo też znikła już całkowicie z wiejskich okolic Italii. Organizacja imperium rzymskiego pod koniec jego istnienia przypominała coraz bardziej system niewolniczy, który zwykle towarzyszy przechwałkom na temat świetnej organizacji. Był to system niemal równie niewolniczy co współczesne programy organizacji przemysłu. Stało się przysłowiem, że dawne masy chłopskie przechodząc w ludność miejską, uzależniły się od chleba i igrzysk, co być może skojarzy się komuś z tłumami zależnymi od zasiłków i kina. Pod tym, jak i pod wieloma innymi względami współczesny powrót do pogaństwa nie jest nawet powrotem do jego młodości, ale do wieku starczego. Przyczyny dawnych i nowych zjawisk były jednak duchowe; wyraźnie widać to zwłaszcza w tym, że duch pogaństwa ulotnił się wraz z odejściem domowych duchów. Pogaństwo wyzionęło ducha, gdy znikły domowe bóstwa, odchodzące razem z bóstwami ogrodów, lasów i pól. Leśny Starzec zestarzał się; właściwie

stał już nad grobem. W pewnym sensie słusznie się twierdzi, że Pan umarł, bo narodził się Chrystus. W innym sensie można by niemal równie słusznie powiedzieć, że ludzie dowiedzieli się o narodzinach Chrystusa, ponieważ Pan już nie żył. Zniknięcie mitologii pozostawiło po sobie pustkę, w której świat udusiłby się jak w próżni, gdyby nie wypełniła jej teologia. W tej chwili chodzi nam jednak o to, że tak czy inaczej, w przeciwieństwie do teologii, mitologia nie mogłaby przetrwać sama z siebie. Teologia to myśl, czy się z nią zgadzamy czy nie. Mitologia zaś nigdy nie była myślą i nikt tak naprawdę nie mógł się z nią zgodzić albo nie zgodzić. Była ona jedynie aurą cudowności i gdy się rozwiała, w żaden sposób nie można jej było odzyskać. Ludzie nie tylko przestali wierzyć w bogów, ale wręcz zdali sobie sprawę z tego, że nigdy w nich nie wierzyli, opiewali im pieśni, tańczyli wokół ich ołtarzy. Grali im na flecie i odgrywali komedię.

Tak zapadł zmrok nad Arkadią i ostatnie dźwięki fletni zabrzmiały smutno w bukowym zagajniku. W wielkiej poezji Wergiliusza wyczuwa się już ten smutek, chociaż dawne miłości i domowe bóstwa nie znikły jeszcze z pięknych linijek jak ta, którą pan Belloc uznał za test zdolności rozumienia; *incipit parve puer risu cognoscere matrem*. Ale już wtedy, tak samo jak teraz, ludzka rodzina zaczęła się rozpadać pod naciskiem niewolniczej organizacji państwa i przeludnienia miast. Miejski tłum stał się tłumem oświeconym, to znaczy stracił umysłową energię, która mogła tworzyć mity. Wszędzie w kręgu śródziemnomorskich

miast ludzie opłakiwali utratę bogów i pocieszali się walkami gladiatorów. A tymczasem coś podobnego zaczęło dotyczyć arystokrację intelektu, która od czasów Sokratesa i Pitagorasa wygłaszała mowy i chodziła, gdzie chciała. Intelektualiści zaczęli bowiem przyznawać się przed światem, że cały czas kręcili się w kółko i powtarzali ciągle to samo. Filozofia stała się niepoważna, a poza tym stała się nudna. Nienaturalne uproszczenie wszystkiego w ramach takiego czy innego systemu, które, jak już widzieliśmy, było głównym błędem filozofów, ujawniło naraż całą swoją skończoność i daremność. Wszystko było cnotą albo wszystko było szczęściem, albo wszystko było losem, albo wszystko było dobre, albo wszystko było złe; w każdym razie wszystko było wszystkim, tak że nie zostało już nic więcej do powiedzenia; i to właśnie powiedzieli światu filozofowie. Mędracy zmieniali się w sofistów, to znaczy retorów do wynajęcia albo zadawaczy zagadek. Jednym z symptomów tego zjawiska był fakt, że mędrzec zmieniał się nie tylko w sofistę, ale także w magika. Szczypta wschodniego okultyzmu była bardzo dobrze widziana w najlepszych domach Rzymu. A skoro filozof stał się już specjalistą od zabawiania towarzystwa, mógł także zostać prestidigitatorem.

Wielu współczesnych podkreśla, jak mały był śródziemnomorski świat i o ile odkrycie innych kontynentów mogłoby poszerzyć jego horyzonty. Jest to jednak złudne myślenie, jedno z wielu złudzeń materializmu. Granice, jakie osiągnęło pogaństwo w Europie, były granicami ludzkiej egzystencji;

pogaństwo na innych kontynentach mogło w najlepszym razie osiągnąć te same granice. Rzymscy stoicy nie potrzebowali uczyć się stoicyzmu od Chińczyków. Pitagorejczycy nie potrzebowali słuchać nauk Hindusów o powtarzalności, prostocie życia albo pięknie wegetarianizmu. Na tyle, na ile mogli przejąć te rzeczy ze Wschodu, przejęli ich już raczej zbyt wiele. Zwolennicy synkretyzmu byli tak samo jak teozofowie przekonani o tym, że wszystkie religie są w istocie tożsame. W jaki sposób starożytni mogliby poszerzyć swoją filozofię, powiększając jedynie terytorium geograficzne? Trudno byłoby utrzymywać, że nauczyliby się czystszej religii od Azteków albo siedząc u stóp Inków w Peru. Całą resztę świata pokrywał gąszcz barbarzyństwa. Jest niezwykle ważne, by przyjąć do wiadomości, że imperium rzymskie było wówczas największym, a przy tym najbardziej wszechstronnym osiągnięciem ludzkości. Na olbrzymich dziełach z marmuru i kamienia, olbrzymich amfiteatrach i akweduktach zapisano jakby nieznanymi hieroglifami straszliwą tajemnicę. Człowiek nie mógł uczynić nic więcej.

Nie była to bowiem wypalona na murach Babilonu wieść, że jeden król nie dorósł do swego urzędu i że jedno królestwo zostało oddane obcemu. Nie była to nowina tak dobra jak nowina o najeździe i podboju. Nie było już niczego, co mogłoby podbić Rzym, ale nie było też niczego, co mogłoby go naprawić. To, co najmocniejsze, zaczęło tracić siły. To, co najlepsze, zaczęło schodzić na psy. Nie trzeba ciągle powtarzać, że w jednej cywilizacji śródziemnomorskiej spotkało się wiele cywilizacji

i że jej uniwersalność już wówczas była zwietrzała i jałowa. Ludzie połączyli wszystkie swoje środki, ale i tak ich nie wystarczyło. Imperia zawiązały spółkę, ale i tak zbankrutowały. Żaden filozof zasługujący na swoje miano nie może zaprzeczyć temu, że to właśnie na Morzu Śródziemnym fala tego świata wzniosła się najwyżej, niemal sięgając gwiazd. Fala ta jednak już się załamywała; była to jedynie fala tego świata.

A zatem mitologia i filozofia, na które, jak już widzieliśmy, dzieliło się pogaństwo, wyczerpały się tak, że na dnie zostały dosłownie tylko męty. I chociaż wraz z rozwojem magii trzeci departament, znany nam pod nazwą demonów, zwiększał swoją aktywność, jego wpływ od zawsze był destrukcyjny. Pozostał jedynie czwarty, a właściwie pierwszy element; zapomniany w pewnym sensie właśnie dlatego, że był pierwszy. Mam na myśli pierwotne i przemożne, ale ulotne wrażenie, że wszechświat mimo wszystko ma jeden początek i jeden cel, a skoro ma cel, to musi mieć i autora. Być może trudno będzie ustalić, co się stało w tym czasie z tą wielką prawdą drzemiącą w podświadomości ludzi. Niektórzy stoicy widzieli ją bez wątpienia tym wyraźniej, im bardziej rozwiewały się i znikały opary mitologii; najwięksi z nich aż do samego końca bardzo się trudzili, kładąc podwaliny pod koncepcję moralnej jedności świata. Żydzi nadal ukrywali swoje przekonanie o prawdziwości tej myśli za wysokim murem wyłączności. Jest jednak rzeczą bardzo charakterystyczną dla ówczesnego społeczeństwa i ówczesnej sytuacji, że niektóre modne osoby, a zwłaszcza modne panie, zaczęły przyjmować

judaizm. Wydaje mi się jednak, że dla wielu innych nadszedł czas zupełnie nowej negacji. W tych anormalnych czasach ateizm stał się naprawdę możliwy, sam ateizm jest bowiem anormalny. Nie polega on jedynie na odrzuceniu dogmatu. Polega także na odwróceniu istniejącego w duszy podświadomego założenia: przekonania o tym, że świat postrzegany przez nią ma kierunek i sens. Lukrecjusz, pierwszy ewolucjonista, który odważył się zastąpić ewolucją Boga, już wcześniej ukazał ludzkim oczom taniec błyskających atomów, na podstawie którego uznał kosmos za wytwór chaosu. Ale, moim zdaniem, to nie jego mocna poezja ani smutna filozofa umożliwiły ludziom przyjęcie takiej wizji świata. Umożliwiło im to poczucie bezsilności i rozpacz, z jakim daremnie wygrażali gwiazdom, gdy widzieli, że najwspanialsze dzieło ludzkości powoli i nieuchronnie tonie w trzęsawisku. Łatwo było im wierzyć, że nawet akt stworzenia był tylko początkiem upadku, gdy widzieli, jak najcenniejszy i największej wagi wytwór ludzkości pada przygnieciony własnym ciężarem. Mogło im się wydawać, że wszystkie gwiazdy są spadającymi gwiazdami i że kolumny ich własnych dostojnych portyków uginają się jakby pod stopniowym naporem Potopu. Ludzie mający takie odczucia znajdowali dla ateizmu uzasadnienie, które w pewnym sensie wydaje się uzasadnione. Mitologia może się rozpuścić, a filozofia zeszytnieć, ale gdyby za tymi zjawiskami kryła się jakaś rzeczywistość, to przecież mogłaby podtrzymać zapadający się świat. Bóg nie mógł istnieć, bo gdyby istniał, z pewnością właśnie w tym momencie podjąłby jakieś działanie i zbawił świat.

Życie wielkiej cywilizacji toczyło się z nużącą zapobiegliwością, a nawet z nużącym dostojeństwem. Koniec świata już nadszedł, ale najgorsze było to, że mógł się on nigdy nie skończyć. Osiągnięto wygodny kompromis dla wszystkich religii i mitów cesarstwa; uznano, że każda grupa może w wolności oddawać cześć swoim bogom, składając jedynie coś w rodzaju wyszukanego oficjalnego podziękowania tolerancyjnemu cesarzowi, przed którego oficjalnym wizerunkiem z przydomkiem Divus miała rzucić nieco kadzidła. Oczywiście, nie było z tym żadnych problemów, a raczej miało upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim świat zdał sobie sprawę, że z czymkolwiek był jakiś choćby najmniejszy problem. Podobno członkowie jakiejś wschodniej sekty czy też tajnego bractwa zrobili gdzieś z tego powodu scenę, chociaż nikt nie mógł zrozumieć dlaczego. Incydent ten powtórzył się raz i drugi i zaczął wzbudzać irytację nieproporcjonalną do swego znaczenia. Sami prowincjusze mówili coś zupełnie innego, chociaż brzmiało to raczej, dziwnie. Mówili, jak się wydaje, że Bóg umarł i że oni sami widzieli, jak umierał. Można by uznać ich słowa za jedną z obłąkańczych manii wieku rozpaczy, gdyby niejaki ludzie ci nie wyglądali na specjalnie zrozpaczonych. Wyglądali wręcz na nienormalnie uradowanych, a jako powód podawali fakt, że śmierć Boga umożliwiła im jedzenie. Jego ciała i picie Jego krwi. Według innych pogłosek Bóg jednak nie był martwy; przed oczami zdumionych Rzymian przesunął się jakby fantastyczny korowód pogrzebu Boga, w czasie którego najpierw słońce poczerwiało, a potem

martwa wszechmoc rozsadziła grób i powstała znowu niczym wschodzące słońce. Ale to nie dziwaczna historia przyciągała uwagę wszystkich; ludzie żyjący w tamtym świecie widzieli już tyle dziwnych religii, że można by nimi zapełnić dom wariatów. Uwagę przyciągał raczej ton tych szaleńców i rodzaj ich formacji. Byli oni zbieraniną barbarzyńców, niewolników biedaków i ludzi bez znaczenia, ale ich formacja była bojowa; trzymali się razem i mieli absolutną pewność, kto i co tak naprawdę należy do ich małego systemu. A słowa, które mówili, choćby jak najłagodniej, były twarde jak stal. Ludzie przywykli do wielu mitologii i moralności, nie potrafili rozgryźć tej tajemnicy, potrafili jedynie wyciągnąć niecodzienny wniosek, że ci dziwacy naprawdę myślą to, co mówią. Wszystkie próby przemówienia im do rozsądku w zupełnie prostej sprawie uczczenia posągu cesarza przypominały rzucanie grochem o ścianę. Wyglądało to tak, jakby na ziemię spadł meteoryt z nieznanego metalu i już dotykem można było stwierdzić, że składa się z innej substancji. Ci, którzy dotknęli fundamentu chrześcijaństwa, mieli wrażenie, że uderzyli w skałę.

Z dziwną gwałtownością, z jaką zachodzą zmiany we śnie, rzeczy w ich obecności zaczęły zmieniać proporcje. Zanim większość ludzi zdała sobie sprawę, co się stało, obecność tej garstki szaleńców była już wyraźnie wyczuwalna dla wszystkich. Stali się oni na tyle ważni, że można było zacząć ich ignorować. Ludzie mijając ich, nagle milkli i przechodzili z podniesioną głową. Przed naszymi oczami otwiera się zupełnie nowa

KONIEC ŚWIATA

scena: oto świat zebrał spódnice i odsunął się od tych mężczyzn i kobiet, a oni zostali na środku dużej pustej przestrzeni jak trędowaci. Scena zmienia się znowu i pustą przestrzeń, na której stoją, otacza z każdej strony chmara świadków - wznoszące się w nieskończoność rzędy twarzy wpatrujących się w nich w najwyższym napięciu. Dzieją się z nimi bowiem dziwne rzeczy. Dla szaleńców, którzy przynieśli dobrą nowinę, wymyślono nowe tortury. Smutne i znużone społeczeństwo niemal odzyskało energię dzięki ustanowieniu pierwszych prześladowań religijnych. Nikt jeszcze dokładnie nie wie, dlaczego płaski świat pogaństwa zachwiał się tak mocno z powodu stojących w środku ludzi; oni jednak stoją absolutnie nieruchomo, podczas gdy świat i arena jakby kręć się wokół nich. W tej mrocznej godzinie opromieniło ich światło, które nigdy już nie miało zostać przyćmione. Biały płomień przylgnął do tej gromadki jak nieziemska fosforescencja, wypalając swój ślad w zmierzchu historii i niweczając wszelkie próby zaćmienia go oparem teorii i mitów; padł na nich strumień światła czy też piorun, którym świat sam ich uderzył, oddzielił i ukoronował, którym wrogowie dodali im blasku, a krytycy tajemniczości: aureola nienawiści wieńcząca Kościół Boga.

II

O CZŁOWI^EKU

Z_WA_{N_Y}M

CHR_YSTUSEM

I

BÓG w JASKINI

Ten szkic opowieści o ludzkości zaczął się w jaskini; tej jaskini, którą popularna nauka wiąże z jaskiniowcem i w którą dzięki praktycznym odkryciom zostały ujawnione archaiczne rysunki zwierząt. Druga połowa ludzkiej historii, przypominająca jakby nowe stworzenie świata, również zaczyna się w jaskini. Cień tego fantastycznego skojarzenia można nawet dostrzec w fakcie, że i tu obecne były zwierzęta; była to bowiem jaskinia zamieniona na stajnię przez górali z wyżyn wokół Bedejem, którzy do dziś zapędzają swoje bydło na noc do podobnych rozpadlin i grot. Tu właśnie schroniła się pod ziemię razem ze zwierzętami bezdomna para, której zatrzaśnięto przed nosem drzwi zatłoczonego karawanseraju; tu, pod stopami przechodniów, w piwnicy pod podłogą świata, urodził się Jezus Chrystus. To drugie stworzenie miało wymiar naprawdę symboliczny, kryjący się w korzeniach odwiecznej skały i rogach prehistorycznego stada. Bóg także był Jaskiniowcem; On także nakreślił dziwne sylwetki ciekawie ubarwionych stworzeń na ścianie jaskini świata, tylko że Jego malowidła zbudziły się do życia.

Gęstwina legend i literatury, która wciąż rośnie i będzie rosnać nadal, wielokrotnie powtarzała i wygrywała najrozmaitsze akcenty tego jednego paradoksu: że ręce, które stworzyły słońce i gwiazdy, były za małe, by dosięgnąć ogromnych łbów zwierząt. Na tym paradoksie, moglibyśmy niemal powiedzieć: na tym dowcipie, opiera się cała literatura naszej wiary. Jest to prawdziwy dowcip przynajmniej pod tym jednym względem, że żaden naukowy krytyk nie potrafi go zrozumieć. Naukowy krytyk stara się jak może usunąć problem, który zawsze był przez nas śmiało i niemal zuchwale wyolbrzymiany, i delikatnie nazywa nieprawdopodobnym to, co my od zawsze niemal szaleńczo sławiliśmy jako niewiarygodne -jako coś, co byłoby zbyt dobre, by mogło być prawdziwe, gdyby nie to, że rzeczywiście się wydarzyło. Kontrast pomiędzy stworzeniem kosmosu i małym, lokalnym niemowlęctwem był powtarzany, podkreślany, uwypuklany, pochwalany, wyśpiewywany, wykrzykiwany, ogłaszany wybuchami, by nie rzec, salwami śmiechu w setkach tysięcy hymnów, kolęd, rymowanek, obrzędów, obrazów, wierszy i popularnych kazań; mamy chyba zatem prawo sugerować, że nie potrzeba nam subtelnego krytyka, który zwróciłby naszą uwagę na fakty, że jest w tym zjawisku coś odrobinę dziwnego. Nie potrzeba nam zwłaszcza takiego krytyka, któremu dużo czasu zajmuje zrozumienie dowcipu, nawet jeśli sam go opowiedział. O tej kombinacji przeciwstawnych pojęć można jednak powiedzieć pewną rzecz, która ma związek z główną tezą tej książki. Typ współczesnego krytyka, o jakim tu mowa, jest

zwykle pod wrażeniem wielkiego znaczenia edukacji w życiu człowieka i wielkiego znaczenia psychologii w tejże edukacji. Człowiekowi tego rodzaju nigdy nie nudzi się powtarzanie, że pierwsze wrażenia, zgodnie z prawem przyczynowości, determinują ludzki charakter; denerwuje go bardzo, gdy zmysł wzroku dziecka wypaczają nieodpowiednie kolory przytulania, a jego system nerwowy przedwcześnie nadwyreża kakofonia grzechotki. Uznałby nas jednak za bardzo ograniczonych, gdybyśmy mu powiedzieli, że z tego samego względu naprawdę ma znaczenie, czy człowiek wychowuje się jako chrześcijanin, jako żyd, jako muzułmanin czy jako ateista. Różnica polega na tym, że każde katolickie dziecko z obrazków, a każde protestanckie dziecko z opowieści poznaje ową niewiarygodną kombinację przeciwstawnych pojęć jako jedną z pierwszych rzeczy, które zostawiają ślad w jego umyśle. Jest to różnica psychologiczna, trwalsza niż jakiegokolwiek teologie. Jest ona, jak tego rodzaju naukowiec uwielbia mówić o wszystkim, nieuleczalna. Każdy agnostyk albo ateista, który w dzieciństwie przeżywał prawdziwe Boże Narodzenie, ma raz na zawsze utrwalony w myślach, czy mu się to podoba czy nie, związek dwóch wyobrażeń, które dla większości ludzi są bardzo odległe: wyobrażenia dziecka i wyobrażenia nieznanej siły podtrzymującej gwiazdy. Łączą się one w jego instynkcie i wyobraźni nawet wtedy, gdy jego umysł nie dostrzega już potrzeby ich łączenia; zwykły obrazek matki z dzieckiem będzie miał dla niego zawsze posmak religii, a przypadkowo zasłyszane straszliwe imię Boga będzie mu się

niejasno kojarzyło z miłosierdziem i łagodnością. Powiązanie tych dwóch wyobrażeń nie jest jednak ani naturalne, ani oczywiste. Nie byłoby ono oczywiste dla starożytnego Greka albo Chińczyka, nawet takiego jak Arystoteles albo Konfucusz. Związek małego dziecka z Bogiem nie jest bardziej nieuchronny niż związek małego kotka z grawitacją. W naszych myślach związek ten wywołało Boże Narodzenie, ponieważ jesteśmy chrześcijanami; chrześcijanami w sensie psychologicznym nawet jeśli nie w sensie teologicznym. Innymi słowy, ta kombinacja pojęć - by użyć kontrowersyjnego zwrotu - zdecydowanie zmieniła ludzką naturę. Istnieje rzeczywista różnica między kimś, kto ją zna, i kimś, kto jej nie zna. Różnica ta nie musi polegać na wartości moralnej, bo muzułmanin i żyd, żyjący według udzielonego im światła, mogą okazać się bardziej wartościowi; wynika ona jednak z oczywistego faktu skrzyżowania się dwóch konkretnych światła, koniunkcji dwóch gwiazd naszego horoskopu. Wszechmoc i niemoc albo boskość i dzieciństwo niewątpliwie tworzą rodzaj epigramu, którego nawet tysiąc-krotne powtarzanie nie może zmienić w komunał. Nazywanie go wyjątkowym wcale nie jest bezzasadne. Betlejem jest zdecydowanie miejscem, gdzie spotykają się skrajności.

Nie trzeba dodawać, że z tego miejsca bierze początek także inny potężny czynnik, wpływający na humanizację chrześcijańskiego świata. Gdyby świat chciał znaleźć pozbawiony kontrowersji aspekt chrześcijaństwa, prawdopodobnie wybrałby Boże Narodzenie. Jest ono jednak w oczywisty sposób powiązane

z czymś, co uważa się za aspekt kontrowersyjny (choć na żadnym etapie mojego rozwoju myślowego nie mogłem sobie wyobrazić dlaczego): aspektem tym jest szacunek okazywany Najświętszej Dziewicy. Kiedy byłem chłopcem, bardziej purytańskie starsze pokolenie protestowało przeciwko zdobiącej mój kościół parafialny rzeźbie Madonny z Dzieciątkiem. Po wielu sporach zawarto kompromis i usunięto Dzieciątko. Mogłoby się wydawać, że takie przedstawienie Madonny było jeszcze bardziej zepsute przez kult Maryi, chyba że matkę uznano za mniej niebezpieczną, gdy wyjęto jej z ręki swoistą broń. Ten praktyczny problem ma jednak również znaczenie symboliczne. Nie można zburzyć figury matki otaczającej ze wszystkich stron figurę niemowlęcia. Nie można go zostawić wiszącego w powietrzu, a właściwie wcale nie można wystawić mu samodzielnego pomnika. Podobnie nie można zawiesić w próżni pojęcia nowo narodzonego dziecka i nie sposób myśleć o nim w oderwaniu od jego matki. Nie można nawiedzić niemowlęcia, nie nawiedzając matki; w zwykłych okolicznościach życia nie można dotrzeć do dziecka inaczej niż przez matkę. Jeśli mamy w ogóle myśleć o Chrystusie w kontekście Bożego Narodzenia, to drugie pojęcie towarzyszy mu tak, jak towarzyszyło mu rzeczywiście w historii. Musimy albo usunąć Chrystusa z Bożego Narodzenia, albo Boże Narodzenie z historii Chrystusa, albo też musimy pogodzić się z tym, choćby tak jak pogodziliśmy się z przedstawieniem owej prawdy na starych malowidłach, że te dwie święte głowy są za blisko siebie, aby ich aureole nie łączyły się i nie przecinały.

Można by zasugerować, posługując się dość ekspresyjnym obrazem, że w zagłębieniu czy rozpadlinie wielkich szarych wzgórz nie zdarzyło się nic więcej niż wywrócenie całego świata na drugą stronę. Chodzi mi o to, że wszystkie oczy, które do tej pory z uwielbieniem i podziwem zwracały się na zewnątrz ku temu, co największe, teraz zwróciły się do środka, ku temu, co najmniejsze. Już sam ten obraz przywodzi na myśl ów zwielokrotniony cud zbiegających się w jednym punkcie spojrzeń, który znaczy tak wiele w barwnej jak pawi ogon sztuce chrześcijańskiej. W pewnym sensie jest jednak prawdą, że Bóg, który do tej pory otaczał okrąg ziemi, nagle pojawił się w środku, a środek okręgu jest przecież nieskończenie mały. To prawda, że od tej pory duchowa spirala kręci się do środka, a nie na zewnątrz, i w tym sensie jest dośrodkowa, a nie odśrodkowa. Wiara staje się na wiele sposobów religią rzeczy małych. Jak już mówiliśmy, jej tradycja artystyczna, literacka i gawędziarska świadczyła wystarczająco dobitnie o szczególnym paradoksie obecności Boskiej istoty w kołysce. Być może nie akcentowała ona równie wyraźnie obecności Boskiej istoty w jaskini. Co ciekawe, nie podkreślała nawet wyraźnie znaczenia samej jaskini. Wiadomo, że betlejemska scena przedstawiana była w scenerii wszystkich możliwych epok i miejsc, krajobrazów i architektury; jest całkiem słuszne i godne pochwały, że ludzie wyobrażali ją sobie odmiennie, tak jak odmiennie były ich indywidualne tradycje i upodobania. Ale chociaż wszyscy pamiętali o stajence, nic wszyscy pamiętali o jaskini. Niektórzy krytycy

byli nawet na tyle niemądrzy, że doszukiwali się sprzeczności między stajnią i jaskinią; oznacza to, że nie wiedzieli zbyt wiele ani o palestyńskich jaskiniach, ani o palestyńskich stajniach. A skoro krytycy ci widzieli różnice, których nie było, nie trzeba dodawać, że nie zauważyli różnic, które rzeczywiście istniały. Pewien znany krytyk twierdzi na przykład, że narodziny Chrystusa w skalnej jaskini przypominają narodziny Mitry, który wyskoczył ze skały; brzmi to doprawdy jak parodia religioznawstwa porównawczego. Istnieje coś takiego jak sedno historii, nawet jeśli jest to historia całkowicie zmyślona. Wyobrażenie bohatera, który zjawia się jako dorosły, pozbawiony matki, niczym Pallas wyskakująca z głowy Zeusa, jest całkowitym przeciwieństwem obrazu Boga, który rodzi się jak każde zwykłe dziecko i jest całkowicie zależny od matki. Bez względu na to, który ideał przyjmujemy, musimy przyznać, że są to ideały sprzeczne. Łączenie ich tylko dlatego, że oba zawierają odniesienie do substancji zwanej skałą, jest równie niedorzeczne jak łączenie kary Potopu z chrztem w Jordanie tylko dlatego, że oba zawierają odniesienie do substancji zwanej wodą. Chrystus, bez względu na to, czy uznajemy Go za mit, czy też za tajemnicę, był bez wątpienia przedstawiany jako narodzony w skalnej dziurze przede wszystkim dlatego, że podkreślało to pozycję kogoś odrzuconego i bezdomnego. Tym niemniej jest prawdą, jak już mówiłem, że symbolu jaskini nie wykorzystywano tak powszechnie i tak jednoznacznie jak innych realiów otaczających pierwszy Wieczór Wigilijny.

Przyczyna tego stanu rzeczy wiąże się z samą naturą nowego świata. W pewnym sensie była to trudność wynikająca z pojawienia się nowego wymiaru. Chrystus urodził się nie tylko na poziomie świata, ale nawet na poziomie niższym niż świat. Pierwszy akt Boskiego dramatu nie rozegrał się na scenie umieszczonej powyżej wzroku widza, ale na scenie ciemnej, zasłoniętej przed jego wzrokiem i wpuszczonej w ziemię; był on bardzo trudny do przedstawienia środkami artystycznego wyrazu. Rozgrywały się w nim bowiem zdarzenia dziejące się jednocześnie na różnych płaszczyznach życia. Być może coś w tym rodzaju mogła osiągnąć archaiczna dekoracyjna sztuka średniowiecza. Ale im lepiej artyści poznawali realizm i perspektywę, tym trudniej przychodziło im równoczesne przedstawianie aniołów w niebie, pasterzy na wzgórzach i chwały ukrytej w ciemnościach pod wzgórzami. Chyba najlepiej można by je ukazać za pomocą wynalazku pewnych średniowiecznych cechów, które przetaczały po ulicach wóz teatralny z trzema scenami jedna nad drugą: powyżej ziemi znajdowało się niebo, a pod ziemią - piekło. Ale w zagadce Betlejem to niebo zstąpiło pod ziemię.

Już w tym jednym fakcie widać przebłysk rewolucji, jakby odwrócenia świata do góry nogami. Na próżno próbowalibyśmy powiedzieć coś adekwatnego albo coś nowego o wpływie, jaki koncepcja bóstwa urodzonego poza nawiasem społeczeństwa, a nawet wyjątego spod prawa, wywarła na całą koncepcję prawa i jego obowiązki względem ubogich i odrzuconych.

Z całą słuszością można powiedzieć, że w chwilę potem na świecie nie mogło już być niewolników. Co prawda, mogli jeszcze istnieć i nadal istnieli ludzie noszący to oficjalne miano, dopóki Kościół nie był dość silny, by owo zjawisko wyplenić; nie mogło już jednak istnieć pogańskie zadowolenie, z jakim przyjmowano korzyści czerpane z niewolniczego ustroju państwa. Jednostki ludzkie zyskały znaczenie, jakiego nie mogły osiągnąć żadne narzędzia pracy. Człowiek nie mógł już być środkiem do celu, w każdym razie nie mógł być środkiem do celu dla żadnego innego człowieka. Cały ten powszechny, braterski element historii słusznie został powiązany przez tradycję z epizodem o pasterzach - kmiotkach, którzy niespodziewanie stanęli twarzą w twarz z księżętami nieba i rozmawiali z nimi. Element reprezentowany przez pasterzy ma jednak jeszcze jeden aspekt, który, być może, nie został w pełni rozwinięty, a który odnosi się bardziej bezpośrednio do naszego wywodu.

Przedstawiciele ludu tacy jak owi pasterze, ludzie zachowujący ludowe tradycje, wszędzie na świecie byli twórcami mitologii. To oni odczuwali w sposób najbardziej bezpośredni, najmniej ograniczony czy zmrożony przez filozofię albo przez zepsute kultury cywilizowanego świata tę potrzebę, o której mówiliśmy już przedtem; dostrzegali obrazy będące przygodą wyobraźni, mitologię będącą swego rodzaju poszukiwaniem, kuszące i przytłaczające przebliski czegoś na wpół ludzkiego w naturze, nieme znaczenie pór roku i wyjątkowych miejsc. Rozumieli lepiej od innych, że duszą krajobrazu jest opowieść,

a duszą opowieści - osobowość. Racjonalizm zaczął już jednak podgryzać te faktycznie irracjonalne, ale za to świadczące o wielkiej wyobraźni bogactwa chłopów; tak samo jak ustrój niewolniczy wygryzał ich z domów i gospodarstw. I właśnie w tym czasie, kiedy nad wszystkimi chłopskimi społecznościami na świecie zapadał zmierzch i mrok rozczarowania, kilku pasterzy znalazło to, czego szukało. Wszędzie na świecie duch Arkadii opuszczał lasy. Pan umarł i pasterze rozproszyli się jak owce. Nikt jeszcze o tym nie wiedział, ale już zbliżała się godzina, która miała być końcem i wypełnieniem wszystkiego; nikt nie nadstawiał ucha, ale w falującym pustkowiu gór już rozległo się obcojęzyczne wołanie. Pasterze znaleźli swojego Pasterza.

To, co znaleźli, było zgodne z tym, czego szukali. Pospólstwo myliło się co do wielu rzeczy, nie myliło się jednak w przekonaniu, że to, co święte, może mieć niieszkanie i że bóstwo nie musi pogardzać ograniczeniami czasu i przestrzeni. Barbarzyńca, który tworzył najfantastyczniejsze historie o skradzionym i schowanym do pudełka słońcu albo najdziksze mity o ucieczce boga, którego wroga zmylił podłożony kamień, był bliższy rozwiązania zagadki jaskini i wiedział więcej na temat światowego kryzysu niż wszyscy ci, którzy mieszkając w kręgu śródziemnomorskich miast, zadowalali się zimnymi abstrakcjami albo kosmopolitycznymi uogólnieniami; ci, którzy wysnuwali coraz to cieńsze i cieńsze nici z transcendentalizmu Platona albo orientalizmu Pitagorasa. Miejsce, które znaleźli pasterze, nic było akademią ani abstrakcyjną republiką. Nie

było to mityczne miejsce, które mędracy alegoryzowali, analizowali, wyjaśniali albo lekceważyli. Było to miejsce ze snu, który się ziścił. Od tej pory na świecie nie powstały żadne mitologie. Mitologia bowiem jest poszukiwaniem.

Wszyscy wiemy, że popularne wersje tej popularnej opowieści, zawarte w wielu jasełkach i kolędach, przypisują pasterzom stroje, dialekty i realia wiejskich okolic Anglii i innych krajów Europy. Wszyscy wiemy, że jeden pasterz mówi w dialekcie z Somerset, a inny opowiada, jak pędził owce z Conway do Clyde. Większość z nas zdążyła się już przekonać, że jest to pomyłka słuszną; że anachronizm ten jest mądry, nasycony artyzmem, intensywnie chrześcijański i katolicki. Niektórzy jednak, choć potrafili dostrzec to zjawisko w scenkach rodem ze średnio-wiecznej wsi, nie zauważali go najwyraźniej w innej poezji, którą czasem modnie jest nazywać przejawem sztuczności, a nie sztuki. Obawiam się, że wielu współczesnych krytyków dopatrzy się jedynie słabego echa klasycyzmu w fakcie, że poeci tacy jak Crashaw⁴⁰ i Herrick⁴¹ przedstawiali pasterzy z Betlejem jako pasterzy Wergiliusza. Było to jednak z ich strony posunięcie głęboko słuszne, a napisanie betlejemskiego dramatu w formie łacińskiej eklogi było nawiązaniem do jednego z najważniejszych połączeń w ludzkiej historii. Wergiliusz, jak już

⁴⁰ Richard Crashaw (1612-1649) - przedstawiciel angielskiej poezji metafizycznej.

⁴¹ Robert Herrick (1591-1634) - poeta i duchowny, największy z grupy tzw. *Cavalier poets*, kontynuujących starożytne tradycje klasyczne.

widzieliśmy, reprezentuje całą zdrową pogańską tradycję, która pokonała szaloną pogańską tradycję składania ludzkich ofiar. Ale nawet wergiliuszowskie cnoty i zdrowe pogaństwo znajdowało się w stanie nieodwracalnego rozkładu i właśnie ten fakt jest kwestią, na którą odpowiada prawda objawiona pasterzom. Gdyby świat kiedykolwiek miał szansę zmęczyć się swoim demonizmem, uleczyłby go jedynie powrót do przytomności umysłu. Ale jeśli zmęczył się przytomnością umysłu, co mogło się stać poza tym, co rzeczywiście się stało? Wyobrażenie arka-dyjskiego pasterza z *Eklog* radującego się tym, co się stało, nie jest wyobrażeniem fałszywym. W jednej z *Eklog* dopatrywano się przecież nawet proroctwa zaistniałych wypadków. Potencjalną sympatię dla tego wielkiego wydarzenia wyczuwamy jednak również w samym tonie i przypadkowych sformułowaniach wielkiego poety; wergiliuszowskim pasterzom, nawet wtedy, gdy przemawiali własnymi ludzkimi słowami, nieraz, być może, załamywał się głos z powodu czegoś więcej niż tylko kruchości Italii... *Incipe, parve puer, risu cognoscere matrem...* W dziwnym podziemnym miejscu pasterze owi mogli odkryć wszystko, co składało się na późną tradycję Latynów, a przy tym znaleźć coś, co lepiej od drewnianego idola miało spełniać funkcję wiecznego fundamentu ludzkiej rodziny: prawdziwe bóstwo domowego zacisza. Ale zarówno oni, jak i wszyscy inni twórcy mitologii mogliby całkiem słusznie cieszyć się także z tego powodu, że wydarzenie to ziściło nie tylko mistyczne, ale również materialistyczne przeczucia mitologii. Mitologia

miała wiele grzechów, nic zbłądziła jednak w tym, że była równie cielesna co samo Wcielenie. Ten sam starożytny głos, który podobno rozległ się w lesie, mógł teraz zawołać ponownie: „Ujrzeliśmy, a on nas ujrzał: widzialny bóg”. Starożytni pasterze mogliby zatem zatańczyć z radości - i jakże piękne byłyby na górach ich stopy - ciesząc się ze zwycięstwa nad filozofami. Ale filozofowie również usłyszeli wołanie.

Mimo swej starożytności historia o tym, jak zjawili się z krajów Orientu, uwieńczeni królewskim majestatem i spowici tajemniczością na podobieństwo magików, nadal nie przestaje zdumiewać. Tradycja, która jest częścią prawdy, mądrze zapamiętała ich niemal jako niewiadome, równie zagadkowe co ich melodyjne imiona: Melchior, Kacper, Baltazar. Wraz z nimi przybył do Betlejem cały świat wiedzy, obserwujący gwiazdy w Chaldei i słońce w Persji, i nie pomylimy się, jeśli przypiszemy im tę samą ciekawość, która popycha do działania wszystkich mędrców. Reprezentowaliby oni ten sam ludzki ideał, gdyby ich imiona brzmiały: Konfucjusa, Pitagoras, Platon. Ci ludzie nie szukali opowieści, ale prawdy o świecie. A skoro ich pragnienie prawdy było samo w sobie pragnieniem Boga, oni także otrzymali swoją nagrodę. Aby móc jednak zrozumieć, na czym polegała ta nagroda, musimy wiedzieć, że zarówno dla mitologii, jak i dla filozofii była ona uzupełnieniem tego, co niepełne.

Wszyscy uczeni mężowie, tak jak ci, którzy rzeczywiście przybyli, bez wątpienia znaleźliby w Betlejem potwierdzenie dużej części tego, co było prawdziwe w ich tradycjach i słuszne

w ich rozumowaniu. Konfucjusz znalazłby nowe podstawy rodziny w przewrocie, jakim była Święta Rodzina; Budda ujrzałby nowe wyrzeczenie - wyrzeczenie się gwiazd zamiast klejnotów, i boskości zamiast królewskiego tronu. Uczeni mężowie mieliby prawo twierdzić nadal, a raczej zupełnie na nowo, że w ich dawnym nauczaniu było wiele prawdy. Ale uczeni mężowie ostatecznie przybyliby po to, żeby się czegoś nauczyć. Przybyliby, żeby poszerzyć swoje koncepcje o coś, czego dotąd sobie nie wyobrażali, a nawet zrównoważyć swój niedoskonały obraz świata czymś, czemu, być może, kiedyś przeczyli Budda wyszedłby ze swego bezosobowego raju, by uczcić osobę. Konfucjusz wyszedłby ze świątyni, gdzie oddawał cześć przodkom, by uczcić niemowlę.

Od samego początku trzeba uchwycić pewną szczególną cechę tego nowego kosmosu, a mianowicie, że był on większy od dawnego. Świat chrześcijański jest w tym sensie większy niż całe stworzenie, ponieważ stworzenie było przed Chrystusem. Chrześcijaństwo skupiło w sobie rzeczy, które już były, i takie, których przedtem nie było. Dobrym przykładem jego pojemności może być to, co powiedzieliśmy przed chwilą o pobożności Chińczyków, ale to samo odnosi się także do innych pogańskich cnót i pogańskich wierzeń. Nikt nie może wątpić, że rozsądny szacunek dla rodziców jest częścią Ewangelii, w której sam Bóg był w dzieciństwie poddany ziemskim rodzicom. W zupełnie innym sensie jednak rodzice byli poddani Synowi, a takiej idei z pewnością nie znajdziemy w konfucjanizmie.

Mały Chrystus nie przypomina małego Konfucjusza; nasz mistycyzm przedstawia Go w nieśmiertelnym niemowlęctwie. Nie wiem, co Konfucjusz zrobiłby z Dzieciątkiem, gdyby ożyło. Ono w jego ramionach, tak jak ożyło w ramionach św. Franciszka. Wiem jednak, że prawda ta odnosi się w podobny sposób do wszystkich innych religii i filozofii; takie bowiem jest wyzwanie Kościoła. Kościół obejmuje to, czego nie obejmuje świat. Samo życie nie może tak jak Kościół zaspokoić wszystkich aspektów życia. Twierdzenie, że każdy system w porównaniu z tym jednym systemem jest ograniczony i niewystarczający, nie jest retoryczną przechwałką; jest to prawdziwy fakt i prawdziwy dylemat. Gdzie jest Święte Dzieciątko stoików i czciceli przodków? Gdzie jest Najświętsza Panna muzułmanów, kobieta niestworzona dla żadnego mężczyzny i wyniesiona ponad wszystkich aniołów? Gdzie jest św. Michał buddyjskich mnichów, jeździec i mistrz trębaczy, będący dla każdego żołnierza strażnikiem chwały oręża? Co mógłby zrobić z mitologią braminów św. Tomasz z Akwinu, ten, który wyłożył całą naukowość, racjonalność, a nawet racjonalizm chrześcijaństwa? Ale nawet jeśli porównamy Akwinatę i stojącego na przeciwnym biegunie rozumu Arystotelesa, znów będziemy mieli to samo wrażenie czegoś dodanego. Akwinata potrafił zrozumieć najlogiczniejsze rozdziały Arystotelesa. Można jednak wątpić, czy Arystoteles potrafiłby zrozumieć najbardziej mistyczne rozdziały Akwinaty. Nawet tam, gdzie trudno nam uznać wyższość myśli chrześcijanina, musimy uznać jej większą pojemność.

Tak samo jest z każdą filozofią, herezją czy współczesną myślą, ku której moglibyśmy się zwrócić. Jaki los spotkałby trubadura Franciszka wśród kalwinistów czy nawet wśród utylitarystów ze szkoły manchesterskiej? A jednak ludzie pokroju Bossueta i Pascala potrafili być równie surowi i logiczni jak każdy kalwinista czy utylitarysta. Jaki los spotkałby św. Joannę d'Arc, kobietę, która wymachując mieczem, wzywała mężczyzn do walki, wśród kwaków albo duchoborców, albo w tołstojowskiej sekcie pacyfistów? A jednak bardzo wielu katolickich świętych poświęciło całe życie na głoszenie pokoju i zapobieganie wojnom. To samo jest ze wszystkimi współczesnymi próbami synkretyzmu. Synkretykom nigdy nie udaje się stworzyć czegoś większego niż Credo, bez pominięcia jakiegoś elementu. Nie chodzi mi o pomijanie elementu Boskiego, ale ludzkiego: flagi albo gospody, chłopięcej opowieści o bójce albo żywopłotu na końcu pola. Teozofiści budują panteon, ale jest to panteon wyłącznie dla panteistów. Zwołują Parlament Religii jako spotkanie wszystkich ludów, ale jest to wyłącznie spotkanie wszystkich zarozumiałców. Dokładnie taki panteon został zbudowany dwa tysiące lat temu nad brzegami Morza Śródziemnego i chrześcijanie zostali zaproszeni do ustawienia w nim podobizny Jezusa obok posągów Jupitera, Mitry, Ozyrysa, Attisa czy też Amona. To właśnie odmowa chrześcijan stała się punktem zwrotnym historii. Gdyby chrześcijanie wyrazili zgodę, niewątpliwie zeszliby razem z całym światem, jak mówi groteskowa, ale precyzyjna metafora, na psy. Zmieniliby się w gromadę

nieróżniących się niczym kundli, tarzających się w błocie kosmopolitycznego zepsucia, które pozbawiło już indywidualności wszystkie pozostałe mity i tajemnice. Nie rozumie natury Kościoła ani alarmującego tonu jego starożytnej doktryny ten, kto nie zdaje sobie sprawy, że w pewnym momencie cały świat o mało nie umarł na chorobę zwaną tolerancją i braterstwem wszystkich religii.

Najważniejsze jednak jest to, że Trzej Królowie, symbolizujący mistycyzm i filozofię, słusznie przedstawieni są jako poszukiwacze czegoś nowego, a nawet jako odkrywcy czegoś nieoczekiwanego. Napięta atmosfera kryzysu, nadal wyczuwalna w bożonarodzeniowej opowieści, a nawet w każdej bożonarodzeniowej uroczystości, podkreśla ideę poszukiwania i odkrycia. Inne mistyczne postacie występujące w jasełkach - anioł i matka, pasterze i żołnierze Heroda - mogą mieć charakter prostszy i zarazem bardziej nadprzyrodzony, bardziej elementarny albo bardziej emocjonalny. Mędracy jednak muszą szukać mądrości; dla nich zajaśnieć musi także światło intelektu. A oto istota tego światła: katolicka doktryna jest katolicka, czyli powszechna, i nic innego nie jest katolickie tak jak ona. Filozofia Kościoła jest filozofią uniwersalną. Filozofia filozofów taka nie była. Gdyby Platon, Pitagoras i Arystoteles stanęli na moment w świetle padającym z tej niewielkiej jaskini, zrozumieliby, że ich własne światło nie było uniwersalne. W istocie nie jest wcale wykluczone, że rozumieli to nawet wcześniej. Filozofię, podobnie jak mitologię, otaczała bardzo wyraźna aura

poszukiwania. Właśnie uświadomienie sobie tej prawdy przez Trzech Króli obdarza ich tradycyjnym majestatem i tajemniczością; odkryli oni, że religia jest bardziej pojemna niż filozofia i że oto mają przed sobą, zamkniętą w tym ciasnym miejscu, najpojemniejszą religię świata. Magowie wpatrywali się w dziwny pentagram z odwróconym ludzkim trójkątem, i nie mogli doprowadzić do końca kalkulacji na jego temat. Jest bowiem paradoksem tej grupy w jaskini, że choć na jej widok ogarniają nas uczucia dziecięcej prostoty, nasze myśli o niej mogą rozrastać się i komplikować w nieskończoność. Nie umiemy zakończyć nawet naszych własnych rozważań o dziecku, które było ojcem, i o matce, która była dzieckiem.

Moglibyśmy zadowolić się stwierdzeniem, że mitologia zjawiała się w Betlejem z pasterzami, a filozofia z filozofami, i że pozostało im tylko połączyć się we wspólnym przyjęciu religii. Był jednak jeszcze trzeci element, którego nie wolno lekceważyć i którego ta konkretna religia nigdy nie lekceważyła, nie godząc się na żadną fetę pojednania. Od pierwszych chwil dramatu obecny był na scenie Nieprzyjaciół - ten sam, który zatruwał legendy zgnilizną pożądania i skuwał teorie lodem ateizmu, ale na bezpośrednie wyzwanie odpowiedział czymś bardziej zbliżonym do bezpośrednich metod, jakie widzieliśmy w świadomym kulcie demonów. W opisie tego kultu, w opisie nienasyconego wstrętu do niewinności, jakim odznaczały się dzieła czarnej magii i najbardziej nieludzka ofiara składana z ludzi, poświęciłem mniej miejsca na omówienie efektów

pośredniego ukrytego wpływu tego kultu na zdrowsze odmiany pogaństwa: mitologicznej wyobraźni przesiąkniętej seksem czy cesarskiej pychy sięgającej szaleństwa. W dramacie Betlejem można jednak wyczuć wpływy zarówno pośrednie, jak i bezpośrednie. Podległy Rzymowi władca, prawdopodobnie otoczony rzymskim przepychem i porządkiem mimo płynącej w jego żyłach krwi Wschodu, poczuł zapewne w tej godzinie, że budzi się w nim jakiś dziwny duch. Wszyscy znamy opowieść o tym, jak Herod, zaalarmowany plotkami o tajemniczym rywalu, przypomniał sobie dziki gest kapryśnych despotów Azji i zarządził masakrę najmłodszego pokolenia pospólstwa. Wszyscy znają tę opowieść, ale nie wszyscy chyba zdają sobie sprawę, jakie miejsce zajmuje ona w historii dawnych ludzkich religii. Nie wszyscy nawet dostrzegają kontrast tego wydarzenia z korynckimi kolumnami i rzymskim brukiem podbitego, pozornie cywilizowanego świata. Jedynie jasnowidz, widząc determinację mrocznej duszy błyszczącą w oczach Idumejczyka, mógłby dostrzec za jego plecami coś na kształt wielkiego szarego ducha; wypełniającą kopułę nocy i unoszącą się po raz ostatni nad dziejami ludzkości olbrzymią i straszną twarz Molocha Kartagińczyków, oczekującego ostatniej daniny od władcy pokoleń Sema. Podczas obchodów pierwszego Bożego Narodzenia świętowały na swój sposób także demony.

Jeśli nie weźmiemy pod uwagę obecności tego nieprzyjaciela, nie zrozumiemy nie tylko istoty chrześcijaństwa, ale nawet istoty świąt Bożego Narodzenia. Boże Narodzenie stało

się dla nas, chrześcijan, jednym z elementów chrześcijaństwa, w pewnym sensie elementem bardzo prostym. Ale w innym sensie, jak wszystkie prawdy należące do chrześcijańskiej tradycji, jest ono czymś bardzo złożonym. Jego wyjątkowy ton powstaje przez uderzenie naraz wielu różnych strun: pokory, wesołości, wdzięczności, mistycznego lęku, ale także czujności i dramatu. Nie jest to tylko i wyłącznie okazja dla głosicieli pokoju ani tylko i wyłącznie okazja dla wielbicieli zabawy; nie jest to tylko hinduska konferencja pokojowa albo tylko skandynawski festyn zimowy. W Bożym Narodzeniu jest także coś zuchwałego; coś, co sprawia, że dzwony rozlegające się nagle o północy, brzmią jak wielkie salwy armatnie dopiero co wygranej bitwy. Cała ta nieopisana atmosfera Bożego Narodzenia unosi się w powietrzu niczym wciąż wyczuwalny zapach lub rozwiewający się dym radosnego wybuchu, który w owej godzinie prawie dwa tysiące lat temu dał się słyszeć na wzgórzach Judei. Jego ton nadal nie pozostawia żadnych wątpliwości; jest zbyt subtelny czy też zbyt wyjątkowy, by mogło go zagłuszyć używane przez nas powszechnie słowo „pokój”. Z samej istoty tej historii wynika, że świętowanie w grocie było świętowaniem w fortecy albo w kryjówce człowieka wyjętego spod prawa. Nie byłoby nawet żartem właściwie rozumiane twierdzenie, że było to świętowanie w ziemiance. Jest bowiem prawdą nie tylko to, że podziemna komora dawała schronienie przed wrogami i że wrogowie ci już zaczęli przetrząsać kamieniste pustkowia zamykające ją z góry jak niebo. Jest prawdą nie tylko to; że

w pewnym sensie odgłos kopyt Heroda mógł przetoczyć się jak grzmot nad zapadniętą pod ziemię głową Chrystusa. Prawdą jest także, że obraz ten zawiera w sobie ideę wysuniętej placówki, ideę przebicia skały i wejścia na terytorium wroga. Wyobrażenie podziemnego bóstwa zawiera w sobie ideę *podkopania* świata, wstrząśnięcia wieżami i pałacami od fundamentów. Tak właśnie Herod poczuł, że ziemia trzęsie się pod nim, i zachwiał się razem z chwiejącym się pałacem.

Jest to, być może, najpotężniejsza z tajemnic bedejemskiej jaskini. Choć ludzie podobno szukali pod ziemią piekła, widać wyraźnie, że tym razem pod ziemią znalazło się niebo. Stąd w tej dziwnej historii pojęcie trzęsienia nieba. Oto paradoks tak nieoczekiwane rozmieszczonych sił: od tej pory to, co najwyższe, może działać jedynie od dołu. Następca tronu może odzyskać dziedzictwo tylko na drodze czegoś w rodzaju rewolty. W istocie Kościół od samego początku, a może szczególnie na samym początku, był nie tyle zwierzchnością, co rewolucją przeciwko księciu tego świata. Przekonanie, że świat został podbity przez wielkiego uzurpatora i wzięty przez niego w posiadanie, spotykało się często z potępieniem albo wyśmianiem ze strony tych optymistów, którzy utożsamiają oświecenie z wygodnym życiem. Ale właśnie to przekonanie było przyczyną owego dreszczu sprzeciwu i pięknego ryzyka, który sprawił, że dobra nowina wydawała się słuchającym naprawdę dobra i nowa. Wzniesiona przez nią rewolta była naprawdę skierowana przeciwko olbrzymiej nieuświadomionej uzurpacji

i początkowo pozostawała całkiem niezauważana. Olimp nadal przysłaniał niebo jak nieruchoma chmura tworząca sylwetki wielu potężnych postaci. Filozofia nadal zajmowała najwyższe miejsca i królewskie trony. Tymczasem Chrystus narodził się w jaskini, a chrześcijaństwo w katakumbach.

W obu wypadkach można zaobserwować ten sam paradoks rewolucji; obecność czegoś pogardzanego i równocześnie budzącego lęk. Jaskinia z jednej strony jest jedynie dziurą albo kątem, do którego zmiata się jak śmieci wyrzutków społeczeństwa, z drugiej zaś jest ona jednak schowkiem na coś drogiego, czego tyrani szukają jak skarbu. Z jednej strony bohaterowie bożonarodzeniowej opowieści znaleźli się tam, bo pewien właściciel gospody nie zadał sobie trudu, żeby ich odnotować w pamięci, a z drugiej dlatego, że pewien król nie mógł o nich zapomnieć. Jak już zauważyliśmy, paradoks ten przejawiał się także w sposobie traktowania pierwotnego Kościoła. Kościół był ważny już wtedy, gdy nie miał żadnego znaczenia, a niewątpliwie wtedy, gdy był jeszcze bezsilny. Był ważny tylko dlatego, że był nieznośny; w pewnym sensie możemy słusznie powiedzieć, że był nieznośny dlatego, że był nietolerancyjny. Otaczała go niechęć, ponieważ na swój cichy, niemalże tajny sposób odważył się toczyć wojnę. Wyłonił się spod ziemi, żeby zburzyć niebo i ziemię pogaństwa. Nie próbował niszczyć jego dzieł z marmuru i złota, ale brał pod uwagę świat, który istniałby bez nich. Miał czelność patrzeć przez złoto i marmur na wylot, jakby były ze szkła. Ci, którzy zarzucali chrześcijanom

podpalenie Rzymu, byli oszczercami, ale przynajmniej bliższymi prawdziwej istoty chrześcijaństwa niż ci ze współczesnych, którzy nam mówią, że chrześcijanie byli jakby członkami stowarzyszenia etycznego, którzy w wolnych chwilach ponosili męczeństwo za informowanie ludzi o ich obowiązkach względem bliźnich i wzbudzali jedynie umiarkowaną niechęć jako ludzie umiarkowani i łagodni.

Herod ma zatem miejsce w betlejemskich jasełkach jako zagrożenie dla Kościoła Wojującego i dowód na to, że od samego początku Kościół był prześladowany i musiał walczyć o życie. Ludziom, dla których jest to dysonans, możemy jedynie wyjaśnić, że współbrzmi on z dzwonami Bożego Narodzenia. Ludziom, dla których idea krucjaty psuje ideę Krzyża, możemy jedynie powiedzieć, że to idea Krzyża wydaje im się zepsuta; całkiem dosłownie zepsuta od kołyski. Nie chodzi o to, żeby spierać się z nimi o abstrakcyjną etykę walki; chodzi jedynie o to, by podsumować splot idei składających się na ideę chrześcijaństwa i katolicyzmu i stwierdzić, że wszystkie one skrzystalizowały się już w historii pierwszego Bożego Narodzenia. Są to trzy różne elementy, zwykle sobie przeciwstawiane, a mimo to tworzące jedność; chrześcijaństwo jako jedyne potrafi je pogodzić. Pierwszym jest ludzkie instynktowne pragnienie nieba, które byłoby tak dosłowne i niemal tak bliskie jak własny dom. To właśnie usiłowali wyrazić wszyscy poeci i poganie tworzący mity. że konkretne miejsce musi być świątynią boga albo mieszkaniem błogosławionego, że kraina cesarzy jest prawdziwą krainą,

a powrotowi duszy z zaświatów musi towarzyszyć zmartwychwstanie ciała. Nie chcę tu roztrząsać odmowy zaspokojenia tej potrzeby przez racjonalizm. Chcę jedynie powiedzieć, że jeśli racjoniści odmawiają jej zaspokojenia, poganie zostają niezaspokojeni. Element ten jest obecny w historii Betlejem i Jerozolimy tak samo, jak był obecny w historii Delos i Delf, i tak samo, jak *nie był* obecny we wszechświecie Lukrecjusza albo Herberta Spencera. Drugi element chrześcijaństwa to filozofia *większa* niż inne filozofie; większa od filozofii Lukrecjusza i nieskończenie większa od filozofii Herberta Spencera. Filozofia ta wygląda na świat przez sto różnych okien, podczas gdy starożytny stoicyzm albo współczesny agnostycyzm wygląda tylko przez jedno okienko. Filozofia chrześcijaństwa postrzega życie oczyma tysięcy ludzi najróżniejszego pokroju, podczas gdy zwykła filozofia jest indywidualnym punktem widzenia pojedynczego stoika lub agnostyka. Chrześcijańska filozofia ma w sobie coś odpowiadającego każdemu usposobieniu człowieka, ma zajęcie dla każdego typu człowieka, zgłębia tajniki psychologii, przenika otchłanie zła, odróżnia prawdziwe i nieprawdziwe cuda i nadzwyczajne wyjątki, praktykuje taktowne zachowanie w skomplikowanych wypadkach, a wszystko to z wszechstronnym subtelnym i twórczym podejściem do różnorodności życia, wykraczającym daleko poza śmiałe albo niezobowiązujące frazesy większości starożytnych i współczesnych filozofii moralnych. Innymi słowy, jest w niej coś więcej; ludzka egzystencja dostarcza jej więcej tematów do rozmyślań, a życie - więcej radości. Od czasów

Św. Tomasza z Akwinu do tej wszechstronnej wiedzy o życiu dodano ogrom materiału. Ale już sam św. Tomasz z Akwinu czułby się ograniczony w świecie Konfucjusza albo Comte'a. Wreszcie trzeci element chrześcijaństwa stanowi to, że choć jest ono wystarczająco prowincjonalne, by inspirować poetów, a równocześnie większe od jakiegokolwiek filozofii, jest ono także wyzwaniem i walką. Świadomie rozszerza swoje granice, by objąć każdy aspekt prawdy, a mimo to jest sztywno ufortyfikowane przeciwko wszelkim odmianom błędu. Werbuje do walki po swojej stronie ludzi wszelkiego pokroju, posługuje się w walce każdym dostępnym orężem, poszerza swoją wiedzę o rzeczach, za które i przeciwko którym toczy się walka, stosując wszystkie możliwe wybiegi ciekawości i współczucia, a przy tym ani na chwilę nie zapomina, że prowadzi walkę. Głosi pokój na ziemi, ale ani na chwilę nie zapomina, dlaczego rozegrała się wojna na niebie.

Oto trójca prawd, których symbolem są dla nas trzy typy postaci ze starej historyjki o Betlejem: pasterze, królowie i jeszcze jeden król, prowadzący wojnę przeciwko dzieciom. Utrzymywanie, że inne religie i filozofie mogą pod tym względem konkurować z chrześcijaństwem, jest utrzymywaniem nieprawdy. Nieprawdą jest, że którakolwiek z nich zawiera w sobie wszystkie te postacie; nieprawdą jest, że którakolwiek choćby stwarza takie pozory. Buddyzm może uchodzić za równie mistyczny co chrześcijaństwo, ale nie może uchodzić za równie bojowy. Islam może uchodzić za równie bojowy, ale jego wyznawcy nie starają się nawet o to, by uchodził za równie metafizyczny i subtelny.

Konfucjanizm może głosić, że zaspokaja filozoficzną potrzebę porządku i rozumu, ale jego zwolennicy nie próbują nawet głosić, że zaspokaja on mistyczną potrzebę cudów i sakramentów oraz uświęcania konkretnych rzeczywistości. Istnieje wiele dowodów prawdziwej obecności tego uniwersalnego i zarazem unikatowego ducha. Nam wystarczy jeden, dobrze ilustrujący temat niniejszego rozdziału: otóż żadna inna opowieść, żadna pogańska legenda, filozoficzna anegdota ani fakt historyczny nie wywołuje w nas naprawdę tego dziwnego i przeszywającego odczucia, jakie wzbudza w nas słowo Betlejem. Żadne inne narodziny boga ani dzieciństwo mędrca nie przypominają nam Bożego Narodzenia ani czegoś bliskiego Bożemu Narodzeniu. Są one albo zbyt zimne, albo zbyt frywolne, albo zbyt formalne i klasyczne, albo zbyt proste i prymitywne, albo zbyt tajemnicze i skomplikowane. Nikt z nas, bez względu na wyznawane opinie, nic stanąłby wobec takiej sceny z uczuciem, że wraca do domu. Mógłby ją podziwiać za jej poetyckość albo za jej filozoficzność, albo za wiele innych rzeczy z osobna; ale nie za to, że jest tym, czym jest. W rzeczywistości betlejemska opowieść działa na ludzką naturę w sposób zupełnie wyjątkowy i niepowtarzalny; w swej psychologicznej istocie nie przypomina ona wcale legendy ani życiorysu sławnego człowieka. Niekoniecznie zwraca ona nasze myśli ku wielkości w zwykłym znaczeniu tego słowa - ku przejawskrawionym i wyolbrzymionym obrazom ludzkości, które nawet pod wpływem najzdrowszego kultu bohaterów zmieniały się w bogów i herosów. Niekoniecznie skłania

nas ona do awanturniczego wychodzenia na zewnątrz, ku dziwom, jakie można znaleźć na końcu świata. Raczej atakuje nas ona od tyłu, wyłaniając się niespodziewanie z tajnej i intymnej części naszej osobowości, jak uczucie, którym czasem napełnia nas tragizm drobnych przedmiotów albo ślepa pobożność ubogich. To trochę tak, jakby człowiek odkrył w samym sercu swojego domu ukryty pokój, którego istnienia nigdy nie podejrzewał, i zobaczył padające z jego wnętrza światło. To tak, jakby znalazł na dnie własnego serca coś, co zaprzedało go w ręce dobra. Betlejemska opowieść nie powstała z tego, co świat uważa za mocny materiał; powstała raczej z materiału, którego moc kryje się w zwiewnej lekkości, z jaką muska nas i odchodzi. Nie ma w niej niczego, co nie byłoby z nas, oprócz przelotnej czułości, która zyskała w niej nieśmiertelność; wszystko to oznacza zaledwie chwilowe złagodnienie, które w niezrozumiały sposób przynosi umocnienie i odpoczynek. Betlejemska opowieść to urywana mowa i zagubione słowo, które zyskują konkretny sens i zawisają w powietrzu nienaruszone, gdy dziwni królowie nikną w dalekich krainach, a na górach cichną kroki pasterzy, i tylko noc i jaskinia okrywają kolejnymi fałdami coś bardziej ludzkiego niż ludzkość.

II

ZAGADKI EWANGELII

Aby zrozumieć istotę tego rozdziału, trzeba odwołać się raz jeszcze do istoty całej książki. Jej trzon stanowi argumentacja zaliczana do rodzaju znanego pod nazwą *reductio ad absurdum*. Sugeruje ona, że założenia racjonalistyczne prowadzą do bardziej irracjonalnych rezultatów niż nasze własne. Aby tego dowieść, trzeba jednak najpierw przyjąć te założenia. W związku z tym w pierwszej części książki często mówiłem o człowieku jak o zwykłym zwierzęciu, aby wykazać, że takie traktowanie daje efekty bardziej nie do przyjęcia niż traktowanie go jak anioła. W tym samym sensie, w jakim było konieczne przedstawianie człowieka jako zwierzęcia, konieczne jest także przedstawianie Chrystusa jako zwykłego człowieka. Muszę zawiesić własne, o wiek bardziej zdecydowane przekonania i chwilowo przyjąć owo ograniczenie po to, żeby móc je usunąć. Muszę sobie wyobrazić, co przydarzyłoby się człowiekowi, który naprawdę przeczytałby historię Chrystusa jako historię zwykłego człowieka, i to człowieka, o którym nigdy przedtem nie słyszał. Chciałbym mianowicie zauważyć, że tego rodzaju naprawdę bezstronna lektura doprowadziłaby, jeśli

nie bezpośrednio do wiary, to przynajmniej do zdumienia, którego nie byłoby w stanie rozwiązać nic poza wiarą. Dlatego w tym rozdziale nie zawrę nic z ducha własnych przekonań; wykluczę sam sposób wyrażania się, a nawet pisownię, którą uważałbym za słuszną, gdybym przemawiał we własnym imieniu. Przemawiam zatem uczciwie jako wyimaginowany poganin, przyglądający się ewangelicznej historii pierwszy raz w życiu.

Otóż wcale nie jest łatwo uznać, że Nowy Testament to Nowy Testament. Nie jest łatwo zdać sobie sprawę z tego, że dobra nowina jest rzeczywiście nowa. Znajomość pewnych rzeczy, na dobre i na złe wpaja nam konkretne hipotezy i skojarzenia; nikt należący do naszej cywilizacji - bez względu na to, co myśli o naszej religii - nie może naprawdę przeczytać Ewangelii tak, jakby nigdy o niej nie słyszał. Oczywiście, sugerowanie, że Nowy Testament spadł nagle z nieba w postaci porządnie oprawionego tomu, jest i tak rzeczą zupełnie ahistoryczną. Nowy Testament to po prostu potwierdzony autorytetem Kościoła wybór z ogółu pism wczesnochrześcijańskich. Pominąwszy jednak kwestie tego rodzaju, musimy przyznać, że w traktowaniu Nowego Testamentu jako czegoś nowego istnieje także pewna psychologiczna trudność. Istnieje psychologiczna trudność w odczytywaniu tych dobrze znanych słów tak, jak są napisane, bez wychodzenia poza to, co one same znaczą. Musi to być rzeczywiście ogromna trudność, skoro prowadzi do kuriozalnych rezultatów. Mianowicie większość współczesnych krytyków i duża część aktualnej krytyki powtarza uwagę, która

jest całkowitym zaprzeczeniem prawdy. Jest to tak absolutne zaprzeczenie prawdy, że można by nawet podejrzewać, iż krytycy ci w ogóle nigdy nie czytali Nowego Testamentu.

Wszyscy słyszeliśmy ludzi mówiących po setki razy - bo zdaje się, że mówienie o tym nigdy im się nie nudzi - że Jezus Nowego Testamentu jest w istocie miłosiernym i ludzkim wielbicielem ludzkości, ale Kościół tak długo spowijał Jego ludzki charakter w odpychające dogmaty i usztywniał Go eklezjastycznymi horrorami, aż stał się On zupełnie nieludzki. Jest to, ośmielę się powtórzyć, niemal dokładne zaprzeczenie prawdy. Prawda jest taka, że obraz Chrystusa przedstawiany w kościołach jest niemal wyłącznie obrazem łagodności i miłosierdzia. Natomiast obraz Chrystusa w Ewangelii ukazuje poza tym wiele innych rzeczy. Postać Chrystusa z Ewangelii w słowach tak pięknych, że aż rozdzierających serce, rzeczywiście wyraża współczucie dla naszych rozdartych serc. Jednak absolutnie nie są to jedyne wypowiediane przezeń słowa. Są one natomiast niemal jako jedyne wkładane w Jego usta przez Kościół w popularnych wizerunkach. Te powszechnie znane wizerunki inspirowane są całkiem zdrowym powszechnym instynktem. Ogół biedaków żyje w zwątpieniu, a ogół ludzkości to biedacy, i dlatego najważniejsze jest zapewnienie ich o niewiarygodnym współczuciu Boga. Nikt, kto ma oczy otwarte, nie może wątpić, że tę właśnie ideę współczucia stara się przekazać machina Kościoła powszechnego. Popularne wizerunki z dużą przesadą rozdmuchują sentymentalny obraz Jezusa „cichego i pokornego”. Jest to pierwsza rzecz, jaką osoba postronna spostrzeża

i krytykuje w przedstawieniu Piety albo w świątyni Najświętszego Serca. Jak już powiedziałem, sztuka ta może być niewystarczająca, nie mam jednak wrażenia, żeby dyktujący ją instynkt był niezdrowy. Jest w każdym razie coś przerażającego, a nawet mrozącego krew w żyłach w pomysle figury rozgniewanego Chrystusa. Jest coś nie do zniesienia w samej myśli, że wychodząc zza rogu ulicy albo na otwartą przestrzeń rynku, moglibyśmy natknąć się na skamieniałą grozę *tej* postaci napominającej plemię żmijowe, albo tej twarzy wpatrującej się w twarz hipokryty. Kościół może być zatem słusznie usprawiedliwiony, jeśli ukazuje ludziom najbardziej miłosierne oblicze Jezusa; nie ma bowiem wątpliwości, że oblicze, które ukazuje, jest właśnie tym najbardziej miłosiernym. Rzecz jednak w tym, że jest to oblicze jedynie i wyjątkowo miłosierne w porównaniu z tym, jakie mógłby sobie wyobrazić człowiek czytający po raz pierwszy w życiu Nowy Testament. Człowiek przyjmujący słowa tej opowieści w ich pierwotnym brzmieniu, stworzyłby sobie zupełnie inny obraz Jezusa; obraz pełen tajemniczości i być może niekonsekwencji, ale z pewnością nieograniczający się do łagodności. Obraz taki jest bardzo ciekawy, między innymi dlatego, że pozostawia bardzo wiele do odgadnięcia czy wyjaśnienia. Jest pełen niespodziewanych i ewidentnie znaczących gestów, których znaczenia nie sposób zrozumieć; pełen tajemniczego milczenia i ironicznych odpowiedzi. Wybuchy gniewu, tak jak burze nad ziemią, nie zdarzają się w nim dokładnie tam, gdzie można by się spodziewać, ale najwyraźniej pozostają posłuszne własnym mapom pogody. Piotr ukazwany przez popularne nauczanie

Kościół jest całkiem słusznie tym Piotrem, któremu Chrystus powiedział w duchu przebaczenia: „Paś baranki moje”. Nie jest on tym Piotrem, do którego Chrystus zwrócił się jak do diabła, wołając w niepojętym gniewie: „Zejdź Mi z oczu, szatanie!”, Chrystus lamentował z miłością i współczuciem nad Jerozolimą, która miała Go zamordować. Nie wiemy, jaki dziwny nastrój ducha albo jaka duchowa wiedza kazała mu postawić Betsaidę niżej od strąconej do otchłani Sodomy. Odkładał na razie na bok wszystkie kwestie ortodoksyjnych i nieortodoksyjnych wniosków i wyjaśnień dotyczących doktryny chrześcijaństwa; staram się jedynie wyobrazić sobie wpływ, jaki na umysł człowieka miałyby to, o czym bez przerwy mówią krytycy Ewangelii: odczytanie Nowego Testamentu bez odniesienia do ortodoksji, a nawet bez odniesienia do chrześcijańskiej doktryny w ogóle. Człowiek ten znalazłby wiele rzeczy, które o wiele mniej pasują do współczesnej myśli nieortodoksyjnej niż do współczesnej ortodoksji. Odkryłby na przykład, że jeśli jakiegokolwiek opisy ewangeliczne zasługują na miano realistycznych, są to ni mniej, ni więcej tylko opisy zjawisk nadprzyrodzonych. Jeśli Jezus Nowego Testamentu prezentuje się w jakimś aspekcie przede wszystkim jako człowiek praktyczny, to aspektem tym jest Jego działalność jako egzorcysty. Nie ma nic cichego i pokornego, nie ma nawet nic w zwykłym znaczeniu mistycznego w tonie głosu, który wypowiada słowa: „Milcz i wyjdź z niego”. Przypomina on raczej rzeczowy ton pogromcy lwów albo bardzo opanowany głos lekarza rozmawiającego z niebezpiecznym dla otoczenia wiriatem. Jest to jednak tylko uboczna kwestia, którą przytaczam gwoźli ilustracji;

nie chodzi mi o roztrząsanie tych kontrowersji, tylko o zajęcie się przypadkiem wyimaginowanego człowieka z księżyca, dla którego Nowy Testament jest rzeczywiście nowy.

Pierwszą rzeczą, jaką należy zauważyć, jest to, że jeśli potraktujemy tę opowieść jako czysto ludzką, będzie to pod wieloma względami bardzo dziwna opowieść. Nie chodzi mi tu o jej wstrząsający, tragiczny punkt kulminacyjny ani o żadne wnioski dotyczące zwycięstwa odniesionego mimo tragedii. Nie nawiązuję do tego, co zazwyczaj określa się jako element cudowności, filozofowie mają bowiem w tej kwestii bardzo różne zdanie, a współcześni filozofowie są wyraźnie niezdecydowani. W istocie można powiedzieć, że dzisiejszy wykształcony Anglik zarzucił dawną modę, która uniemożliwiała mu wierzenie w cuda nienależące do starożytności, i przyjął nową modę, która uniemożliwia mu wierzenie w cuda nienależące do teraźniejszości. Kiedyś utrzymywał, że cudowne uzdrowienia skończyły się wraz z czasami pierwszych chrześcijan, a teraz skłonny jest podejrzewać, że zaczęły się one w czasach pierwszych chrześcijańskich scjentyistów⁴². W tym miejscu pragnę jednak przede wszystkim nawiązać do całkiem pozbawionych cudowności, a nawet niezauważonych i niepo-

⁴² Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki (scjentyści) - ruch religijny zał. w 1866 w USA przez Mary Baker Eddy; opiera się na wierze, że materia jest złudzeniem, a umysł jedyną rzeczywistością, cierpienie zaś i śmierć są efektem błędnego myślenia; koncentruje się na uzdrawianiu, które polega na przeciwstawianiu właściwego myślenia złudzeniom chorego.

zomych elementów ewangelicznej opowieści Jest w niej wiele rzeczy, których nikt by nie wymyślił, bo nikomu nie mogłyby się przydać; rzeczy, o których nie wspomina się wcale, a jeśli już, to tylko w charakterze zagadek. W życiu Chrystusa jest na przykład długi, trwający aż do trzydziestki okres milczenia. Jest to najdłuższe i najbardziej działające na wyobraźnię milczenie Chrystusa. Nie jest to jednak rzecz, którą ktokolwiek skłonny byłby wymyślić, aby udowodnić swoją rację; nikt jak dotąd, o ile mi wiadomo, nie starał się na jej podstawie niczego udowodnić. Jest to coś, co robi wrażenie jako fakt, natomiast nie jest szczególnie popularnym ani oczywistym elementem baśni. Kult bohaterów i prądy mitotwórcze zwykle skłaniały się ku czemuś wręcz przeciwnemu. O wiele bardziej prawdopodobne byłoby stwierdzenie (jak, zdaje się, twierdzą niektóre odrzucone przez Kościół ewangelie), że Jezus wykazywał się nadprzyrodzoną dojrzałością i rozpoczął swoją misję w niezwykle młodym wieku. Jest rzeczywiście coś dziwnego w tym, że Ten, który z całej ludzkości potrzebował najmniej przygotowania, faktycznie miał go najwięcej. Czy był to jakiś przejaw Boskiej pokory, czy może odzwierciedlenie prawdy, której cień dostrzegamy w dłuższym domowym wychowaniu wyższych stworzeń na ziemi, nie podejmuję się spekulować. Przytaczam ten fakt jedynie jako przykład rzeczy, które całkiem zwyczajnie dają początek rozważaniom zupełnie niezależnym od oficjalnych dysput religijnych. Otóż cała opowieść ewangeliczna jest pełna takich przykładów. Nie jest to pod żadnym pozorem, jak dumnie

zachwała się w druku, historia, którą łatwo zgłębić do dna. Jest ona wszystkim, ale nie tym, co ludzie nazywają prostą Ewangelią. Z zachowaniem wszelkich proporcji można powiedzieć, że to Ewangelia ma w sobie mistycyzm, a Kościół - racjonalizm. Ja oczywiście nie zawaham się dodać, że to Ewangelia jest zagadką, a Kościół - odpowiedzią. Ale bez względu na odpowiedź, Ewangelia jako taka jest niemal księgą zagadek.

Po pierwsze człowiek czytający ewangeliczne cytaty nie znajdzie wśród nich komunałów. Gdyby wcześniej przeczytał, nawet w duchu największego szacunku, większość pism starożytnych filozofów albo współczesnych moralistów, zdawałby sobie sprawę z wyjątkowej wagi tego stwierdzenia. To więcej, niż można powiedzieć nawet o Platonie. To o wiele więcej, niż można powiedzieć o Epiktecie, Senece, Marku Aureliuszowi albo Apoloniuszu z Tiany⁴³. I nieskończenie więcej, niż można powiedzieć o większości agnostycznych moralistów i kaznodziejów towarzystw etycznych, z ich peanami na temat służby i religią braterstwa. Moralistyka większości starożytnych i współczesnych moralistów była jednym nieprzerwanym błyskotliwym wodospadem niekończących się komunałów. Takiego wrażenia z pewnością nie odniósłby nasz wyimaginowany postronny obserwator badający Nowy Testament. Nie miałby

⁴¹ Apoloniusz z Tiany (zm. ok. 98) - filozof neopitagorejski, którego cnoty i dążenia do reformy religijnej były tak wyolbrzymiane po śmierci, że przeciwnicy chrześcijaństwa tworzyli jego biografie świadomie wzorowane na ewangelicznych żywotach Chrystusa.

odczucia, że obcuje z czymś tak banalnym ani w pewnym sensie tak ciągłym jak ten strumień, znalazłby sporo dziwnych roszczeń, które brzmiałyby jak roszczenie sobie prawa do bycia bratem słońca albo księżyca; sporo bardzo zaskakujących rad; sporo zdumiewających napomnień; sporo dziwnie pięknych opowieści. Dostrzegłby kilka gigantomańskich figur retorycznych, dotyczących na przykład niemożliwości nawleczenia igły wielbłądem albo możliwości wrzucenia góry w morze. Zobaczyłby sporo bardzo odważnych uproszczeń dotyczących trudności życia, na przykład radę, żeby świecić wszystkim obojętnie jak słońce albo troszczyć się o przyszłość nie więcej niż ptaki. Z drugiej zaś strony znalazłby także urywki, ze swojego punktu widzenia, niemal zupełnie niezrozumiałe, jak na przykład morał przypowieści o nieuczciwym rządcy. Niektóre z tych fragmentów uznałby za fantazje, a inne za prawdę, ale żadnych nie uznałby za truizmy. Nie znalazłby na przykład ani jednego z popularnych banałów w obronie pokoju. Znalazłby natomiast sporo paradoksów w obronie pokoju. Znalazłby kilka zasad niestawiania oporu, które, wzięte dosłownie, byłyby zbyt pacyfistyczne dla każdego pacyfisty. Z pewnego fragmentu, gdyby dosłownie potraktował wymienione w nim warunki, dowiedziałby się, że nie powinien wobec rabusia stosować biernego oporu, ale raczej zdecydowaną i entuzjastyczną zachętę, zarzucając podarunkami człowieka, który ukradł mu jego własność. Nie znalazłby jednak ani słowa konwencjonalnej retoryki przeciwko wojnie, którą zapełniono niezliczone książki,

ody i oracje; ani słowa o niegodziwości wojny, marnotrawstwie wojny, odrażającej skali masakry w czasie wojny ani o żadnej z tych znajomo brzmiących oczywistości. Tak naprawdę nie znalazłby w ogóle ani słowa o wojnie. Nie ma nic, co rzucałoby światło na stosunek Chrystusa do zorganizowanych działań wojennych poza tym, że, jak się wydaje, darzył sympatią rzymskich żołnierzy. Fakt, że najwyraźniej lepiej dogadywał się z Rzymianami niż z Żydami, stanowi właściwie kolejną trudność. Przykłady można by jednak mnożyć w nieskończoność, natomiast dla nas najważniejszą kwestią jest po prostu konkretny ton, który można wyczuć, czytając konkretny tekst.

Stwierdzenie, że cisi posiadają ziemię, nie jest wcale przejawem cichości. Chodzi mi o cichość w zwyczajnym rozumieniu łagodności, opanowania i nieszkodliwości. Aby to stwierdzenie uzasadnić, trzeba byłoby cofnąć się bardzo daleko w głąb historii i przewidzieć rzeczy, o których wówczas nikomu się nie śniło, a z których i dziś wielu nie zdaje sobie sprawy, na przykład to, w jaki sposób mistyczni mnisi odzyskali ziemię utracone przez praktycznych królów. Jeśli w ogóle owo stwierdzenie było prawdziwe, to dlatego, że było prawdziwym proroctwem, a nie dlatego, że było prawdziwym banałem. Błogosławieństwo cichych może się wydawać bardzo gwałtowne, w tym sensie, że zadaje ono gwałt prawom rozumu i prawdopodobieństwa. W tym miejscu dochodzimy do kolejnej ważnej fazy naszych rozważań. Jako proroctwo, błogosławieństwo to rzeczywiście się spełniło, ale spełniło się dopiero o wiele później. Klasztory były najprak-

tyczniejszymi i najlepiej prosperującymi posiadłościami, a także najbardziej udaną próbą odbudowy świata po barbarzyńskim potopie; cisi rzeczywiście posiadli ziemię. Nikt jednak nie mógł wiedzieć o tym w czasie, kiedy błogosławieństwo to zostało wypowiedziane - chyba że naprawdę był Ktoś, kto o tym wiedział. Coś podobnego można powiedzieć o historii Marty i Marii, która była interpretowana z perspektywy czasu i od wewnątrz przez mistyków chrześcijańskiego życia kontemplacyjnego. Ich punkt widzenia nie był jednak wcale oczywisty, a większość starożytnych i współczesnych moralistów byłaby z pewnością opowiedziała się po stronie oczywistości. Jakież strumienie gładkiej elokwencji popłynęłyby z ich ust w celu wyolbrzymienia każdej drobnej przewagi po stronie Marty, jakież wspaniałe kazania "O radości służby", „O ewangelii pracy" i „O zostawieniu świata lepszym, niż go zastaliśmy", jakież dziesiątki tysięcy komunałów w obronie zadawania sobie trudu usłyszeliśmy od ludzi, którzy nie powinni w ogóle zadawać sobie trudu, żeby je formułować. Jeśli Chrystus bronił w osobie Marii, mistyczki i dziecka miłości, ziarna czegoś o wiele subtelniejszego, kto mógł zrozumieć to w tamtych czasach? Nikt poza Nim nie mógł przecież dostrzec postaci Klary, Katarzyny i Teresy, jaśniejących nad dachem domu w Betanii. W pewnym sensie rzecz ma się tak samo ze wspaniałą groźbą dotyczącą miecza, który przyniesiony na ziemię będzie różnił i dzielił. Nikt nie mógł wówczas zgadywać ani jak się ona wypełni, ani czym można by ją usprawiedliwić. W istocie niektórzy wolnomyśliciele są nadal na tyle prostoduszni, że dają się

złapać w pułapkę i są zaszokowani tak rozmyślnie zuchwałym stwierdzeniem. Prawdę mówiąc, obwiniają paradoks o to, że nie jest komunalem.

Rzecz jednak w tym, że gdybyśmy potrafili przeczytać ewangeliczne relacje jako coś równie nowego jak relacje w gazetach wprowadziłyby nas one w zakłopotanie i być może w przerażenie o wiele większe niż te same opisy w ujęciu historycznego chrześcijaństwa. Na przykład, po wyraźnym nawiązaniu do eunuchów na wschodnich dworach, Chrystus powiedział, że będą też eunuchowie dla królestwa niebieskiego. Gdyby stwierdzenie to nie oznaczało dobrowolnego entuzjazmu dla dziewictwa, można by je wytłumaczyć jako nawiązanie do czegoś o wiele bardziej nie-naturalnego i ordynarnego. Zdanie to stało się dla nas ludzkie dzięki historycznemu chrześcijaństwu; dzięki doświadczeniu franciszkanów i sióstr miłosierdzia. Potraktowane w oderwaniu, mogłoby sugerować dość nieludzką atmosferę: złowrogą, bezduszną ciszę panującą w azjatyckim haremie albo dywanie. Jest to zaledwie jeden przykład z tysiąca, ale morał płynący z niego jest taki, że Chrystus prezentowany przez Ewangelię może w rzeczywistości wydawać się bardziej zaskakujący i groźny niż Chrystus prezentowany przez Kościół.

Zatrzymuję się nad zagadkowymi porażającymi, zuchwałymi czy też tajemniczymi stronami słów Ewangelii nie dlatego, żeby nie miały one stron bardziej oczywistych i popularnych, ale dlatego, że stanowią one odpowiedź na ważny punkt krytyki. Wolnomyślicielowi często zdarza się mówić, że

Jezus z Nazaretu był człowiekiem swoich czasów, nawet jeśli te czasy wyprzedzał; że nie możemy przyjmować Jego etyki jako ostatecznej etyki dla ludzkości. Wolnomyśliciel przeprowadza następnie krytykę tejże etyki, stwierdzając całkiem, słusznie, że ludzie nie mogą nadstawiać drugiego policzka i że muszą troszczyć się o jutro, albo dowodząc, że zaparcie się siebie jest zbyt ascetyczne, a monogamia zbyt surowa. Jednakże idoci i legionieści nie nadstawiali drugiego policzka tak samo jak my, jeżeli nie mniej. Żydowscy kupcy i rzymscy celnicy troszczyli się o jutro tak samo jak my, jeżeli nie bardziej. Nie możemy udawać, że porzucamy dawną moralność dla jakiejś innej, bardziej pasującej do dnia dzisiejszego. Moralność ewangeliczna z pewnością nie jest moralnością z innej epoki; jest raczej moralnością z innego świata.

Krótko mówiąc, możemy stwierdzić, że ideały te są nie do osiągnięcia same w sobie. Jedyne, czego nie możemy stwierdzić, to że są one nie do osiągnięcia dla nas. Są one wyraźnie naznaczone mistycyzmem, który, jeśli dostrzec w nim rodzaj szaleństwa, będzie zawsze wydawał się szalony tej samej kategorii ludzi. Weźmy na przykład sprawę małżeństwa i relacji między płciami. Mogłoby się wydawać bardzo prawdopodobne, że galilejski nauczyciel nauczał rzeczy naturalnych dla galilejskiego środowiska; w rzeczywistości jednak tak nie było. Można by się całkiem rozsądnie spodziewać, że człowiek żyjący w czasach Tyberiusza proponował poglądy uwarunkowane czasami Tyberiusza – rzeczywistości jednak tak nie było. Proponował

coś zupełnie innego; coś bardzo trudnego, co jednak wcale nie jest trudniejsze dzisiaj niż wtedy. Możemy na przykład całkiem słusznie powiedzieć, że Mahomet poszedł na kompromis w sprawie poligamii, bo był uwarunkowany przez poligamiczne społeczeństwo. Pozwolił mężczyźnie na posiadanie czterech żon, bo rzeczywiście postępował w sposób stosowny do okoliczności, czyli taki, który w innych okolicznościach mógłby okazać się mniej stosowny. Nikt nie będzie udawał, że cztery żony niczym cztery wiatry były czymś wynikającym z porządku natury; nikt nie będzie twierdził, że liczba cztery została zapisana w gwiazdach. Nikt jednak nie będzie twierdził także, że liczba cztery to nieosiągalny ideał, że zliczenie do czterech przekracza możliwości ludzkiego umysłu albo że przekracza je zliczenie własnych żon i stwierdzenie, czy ich liczba wynosi cztery. Jest to praktyczny kompromis noszący piętno konkretnego społeczeństwa. Gdyby Mahomet urodził się w dziewiętnastowiecznym Acton⁴⁴, moglibyśmy szczerze wątpić, czy natychmiast wypełniłby to przedmieście haremami po cztery żony w każdym. Urodził się on jednak w szóstym wieku w Arabii i w jego prawach małżeńskich możemy dostrzec wpływ warunków życia panujących w Arabii szóstego wieku. W poglądach Chrystusa na małżeństwo nic można jednak doszukać się żadnego wpływu warunków życia panujących w pierwszym

⁴⁴ Acton - zachodnie przedmieście Londynu, w XIX w. zamieszkane głównie przez robotników.

wieku w Palestynie. Nie można się w nich doszukać niczego poza sakramentalną wizją małżeństwa, rozwiniętą o wiek później przez Kościół katolicki. Poglądy Chrystusa były tak samo trudne dla ówczesnych, jak i dla dzisiejszych ludzi. Żydzi, Rzymianie i Grecy nie wierzyli w mistyczną ideę, zgodnie z którą mężczyzna i kobieta stają się jedną substancją sakramentalną; nie rozumieli jej nawet na tyle, by móc ją odrzucić. Wolno nam uznać tę ideę za niewiarygodny albo niemożliwy do osiągnięcia ideał; nie byłby on jednak bardziej niewiarygodny i niemożliwy do osiągnięcia dla nas niż dla nich. Innymi słowy, można powiedzieć wiele rzeczy, ale z pewnością nie to, że kontrowersja ta uległa zmianie wraz z upływem czasu. Można powiedzieć wiele rzeczy, ale bezwzględnie nie to, że idee Jezusa z Nazaretu pasowały do Jego czasów, a nie pasują do naszych. Na ile pasowały do Jego czasów, widać chyba z zakończenia Jego historii.

Tę samą prawdę można by wyrazić inaczej: jeśli potraktować Ewangelię wyłącznie jako ludzką i historyczną opowieść, zdumiewa, jak mało jest odniesień w spisanych słowach Chrystusa do Jego czasów. Nie chodzi mi o szczegóły z epoki, z których przemijalności zdaje sobie sprawę nawet człowiek z epoki. Chodzi mi o podstawy, które nawet najmądrzejszy człowiek często mgliście traktuje jak wieczne. Arystoteles na przykład był prawdopodobnie najmądrzejszym i najmniej ograniczonym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Swoje myślenie opierał bez zastrzeżeń na podstawach, które zasadniczo, mimo wszystkich przemian społecznych i historycznych, pozostały

rozumne i trwałe. Arystoteles żył jednak w świecie, w którym posiadanie niewolników uważane było za równie naturalne jak posiadanie dzieci. Dlatego też pozwolił sobie na poważne rozróżnienie między niewolnikiem a człowiekiem wolnym. Chrystus, tak samo jak Arystoteles, żył w świecie, który przyjmował niewolnictwo za pewnik. On sam nie sprzeciwiał się też szczególnie niewolnictwu. Zapoczątkował ruch, który mógł istnieć w świecie uznającym niewolnictwo. Zapoczątkował jednak także ruch, który mógł istnieć w świecie pozbawionym niewolnictwa. Chrystus nigdy nie posłużył się sformułowaniem, które uzależniałoby Jego filozofię od istnienia porządku społecznego, w którym nauczał. Mówił jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę, że wszystko jest ulotne - nie wyłączając tych rzeczy, które były wieczne, zdaniem Arystotelesa. W tamtych czasach cesarstwo rzymskie znaczyło tyle co *orbis terrarum*, czyli było synonimem świata. Chrystus jednak nigdy nie uzależnił swojej nauki moralnej od istnienia imperium rzymskiego ani nawet od istnienia świata. „Niebo i ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą”.

W rzeczywistości, ilekroć krytycy mówią o lokalnych ograniczeniach Galilejczyka, ujawnia to lokalne ograniczenia samych krytyków. Niewątpliwie Chrystus wierzył w zjawiska, w które nie wierzy pewna frakcja współczesnych materialistów. Nie były to jednak zjawiska szczególnie charakterystyczne dla Jego czasów. Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że podważanie istnienia tych zjawisk jest szczególnie charakterystyczne

dla naszych czasów. Niewątpliwie jeszcze bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że charakterystyczne dla naszych czasów jest przypisywanie powagi i społecznego znaczenia niewierzącej w te zjawiska mniejszości. Chrystus wierzył na przykład w złe duchy czy też w paranormalne sposoby leczenia dolegliwości ciała, ale nie dlatego, że był Galilejczykiem urodzonym pod rządami Augusta. Byłoby absurdem twierdzić, że człowiek wierzył w coś, ponieważ był Galilejczykiem pod rządami Augusta, jeśli równie dobrze mógł w nie wierzyć, będąc Egipcjaninem pod rządami Tutenchamona albo Hindusem pod rządami Czyngis-chana. Kwestią filozofii demonizmu i w ogóle zjawisk nadprzyrodzonych zajmę się winnym miejscu. W tym miejscu zaznaczmy jedynie, że materialści muszą dowieść niemożliwości cudów wbrew świadectwu całej ludzkości, a nie wbrew przesądom prowincjuszy z północnej Palestyny znajdującej się pod rządami pierwszych rzymskich cesarzy. W odniesieniu do naszego wywodu muszą zatem udowodnić, że Ewangelia rzeczywiście zawiera konkretne przesady konkretnych prowincjuszy. Łagodnie rzecz ujmując, można powiedzieć, że jest naprawdę zdumiewające, jak niewiele działali oni do tej pory w celu choćby rozpoczęcia takiego dowodu.

Tak samo jest z problemem sakramentu małżeństwa. Wolno nam nie wierzyć w sakramenty, tak jak wolno nam nie wierzyć w duchy, jest jednak zupełnie jasne, że Chrystus wierzył w ten sakrament na własny sposób, a nie na sposób obowiązujący albo rozpowszechniony w tamtych czasach. Z pewnością

nie zaczerpnął swojej argumentacji przeciw rozwodowi z prawa Mojżeszowego ani z prawa rzymskiego, ani z obyczajów ludu Palestyny. Brzmiała ona dla Jego ówczesnych krytyków tak samo, jak brzmi dla Jego krytyków dzisiaj: jak arbitralny, transcendentny dogmat, który wziął się znikąd poza tym, że wziął się od Niego. Nie chodzi mi w tym miejscu wcale o obronę tego dogmatu; rzecz w tym, że byłoby tak samo prosto bronić go wówczas, jak i dzisiaj jest to ideał całkowicie ponadczasowy, tak samo trudny w każdych czasach i tak samo w każdych czasach możliwy do osiągnięcia. Innymi słowy, jeśli ktokolwiek mówi, że czegoś podobnego można by się spodziewać po człowieku mieszkającym w tamtym miejscu i czasie, możemy mu całkiem uczciwie odpowiedzieć, że dogmat ten o wiele *bardziej* przypomina tajemniczą wypowiedź istoty przewyższającej człowieka, gdyby ktoś taki kiedykolwiek zamieszkał wśród ludzi.

Twierdzę zatem, że człowiek czytający Nowy Testament uczciwie i na świeżo, *nie odniósłby* wrażenia, że ma do czynienia z czymś, co dziś często nazywa się ludzkim obliczem Chrystusa. Czysto ludzkie oblicze Chrystusa jest fikcją, efektem sztucznego wyboru, tak jak czysto ewolucyjne oblicze człowieka. Co więcej, w tej samej opowieści odkryto o wiele za dużo ludzkich oblicz Chrystusa, podobnie jak w tych samych legendach odkryto za dużo kluczy do mitologii. Trzy lub cztery osobne szkoły racjonalizmu zajęły się tym tematem i wypracowały trzy albo cztery tak samo racjonalne wyjaśnienia żyda Chrystusa. Pierwsze racjonalne wyjaśnienie Jego życia było takie, że Chrystus nie

żył naprawdę. Ono z kolei dało początek trzem lub czterem możliwym wyjaśnieniom: że był postacią z mitu słońca albo z mitu zboża, albo z jakiegokolwiek innego mitu, który dla badaczy jest rodzajem manii. W późniejszym czasie pogląd, że był On nieistniejącą istotą boską, został zastąpiony poglądem, że był On istniejącą istotą ludzką. W mojej młodości modne było twierdzenie, że Chrystus był tylko nauczycielem moralności na modłę esseńczyków, którzy najwyraźniej nie mieli do powiedzenia nic, czego nie mógłby powiedzieć Hilel⁴⁵ albo stu innych żydów; na przykład, że jest dobrą rzeczą być dobrymi że bycie czystym pomaga w oczyszczeniu. Ktoś inny stwierdził trochę później, że Chrystus był szaleńcem cierpiącym na mesjańskie urojenia. Potem jeszcze inni stwierdzili, że był On rzeczywiście bardzo oryginalnym nauczycielem, ponieważ nie obchodziło Go nic poza socjalizmem albo (jak twierdzili inni) nic poza pacyfizmem. Jeszcze później pojawił się bardziej ponury rodzaj naukowca, który stwierdził, że o Jezusie nigdy by nie usłyszano, gdyby nie Jego przepowiednie dotyczące końca świata. Jedyne znaczenie Jezusa polegało na tym, że tak jak dr Cumming⁴⁶ był milenarystą i wywołał lokalną panikę, ogłosiwszy dokładną datę dnia sądu. Wśród innych wariantów tej samej teorii

⁴⁵ Hilel Starszy — żyjący w czasach Chrystusa faryzeusz, który stworzył w Jerozolimie szkołę egzegezy Tory.

⁴⁶ John Cumming (1807-1881) - wpływowy wiktoriański duchowny ewangelicki, znany wróg katolicyzmu i komentator prorocत्व apokaliptycznych, które miały według niego wypełnić się w XIX w.

pojawiło się twierdzenie, że był On tylko i wyłącznie duchowym uzdrowicielem; ten pogląd stanowi podstawę Chrześcijańskiej Nauki, która tak naprawdę musi wykładać chrześcijaństwo bez ukrzyżowania, aby wyjaśnić uzdrowienie teściowej Piotra albo córki setnika. Jeszcze inna teoria koncentruje się wyłącznie na sprawie demonizmu i na tym, co sama nazywa ówczesnym przesądem na temat opętanych; zupełnie jakby Chrystus, niczym młody diakon po przyjęciu pierwszych święceń, doszedł tylko do etapu egzorcyzmów i na tym poprzestał. Otóż każde z tych wyjaśnień z osobna wydaje mi się wyjątkowo niewystarczające, natomiast wszystkie razem sugerują jednak istnienie niedostrzeżonej przez nie tajemnicy. Musiało rzeczywiście być coś nie tylko tajemniczego, ale i wszechstronnego w Chrystusie, skoro można wykroić z Niego tylu mniejszych Chrystusów. Jeśli chrześcijański sejentysta zadowala się Nim jako duchowym uzdrowicielem a chrześcijański socjalista jako społecznym reformatorem, i obaj są zadowoleni do tego stopnia, że wcale nie spodziewają się po Nim niczego więcej, można przypuszczać, że w rzeczywistości poruszał On więcej tematów, niż ci dwaj mogliby przypuszczać. Na tej podstawie można sądzić, że także w innych aspektach Jego działalności, jak wyrzucanie demonów i przepowiadanie sądu, było więcej, niż mogłoby się z pozoru wydawać.

Przede wszystkim jednak zapytajmy, czy nasz nowy czytelnik nie natknąłby się w Nowym Testamencie na coś, co zaskoczyłoby go o wiele bardziej niż nas? Próbowałem na tych stronach już nie raz karkołomnej sztuczki odwrócenia perspektywy

czasu i metody historycznej, udając, że przewiduję fakty, a nie przyglądam się wspomnieniom. Ta sztuczka pomogła mi wyobrazić sobie monstrum, jakim na początku musiał być człowiek dla otaczającej go natury. O wiele większy szok przeżylibyśmy jednak, gdybyśmy naprawdę wyobrazili sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy została nazwana po imieniu natura Chrystusa. Co pomyślelibyśmy sobie, słysząc pierwsze szeptane napomknienia na temat tego Człowieka? Z pewnością nie mamy prawa obwiniać nikogo, komu ten pierwszy szalony podszept wydałby się po prostu bluźnierczy i obłąkany. Wręcz przeciwnie, pierwszym krokiem jest potknięcie się na tej skale zgorszenia. Krzyżące niedowiarstwo stanowi dla owej prawdy o wiele właściwszy hold niż modernistyczna metafizyka, czyniąca z niej jedynie kwestię natężenia. Lepiej byłoby rozedrzeć szaty z wielkim wołaniem przeciwko bluźnierstwu, jak uczynił Kajfasz na sądzie, albo uznać tego Człowieka za szaleńca i opętanego przez demony, jak uczynili Jego krewni i tłumy słuchaczy, niż stać spokojnie, dyskutując głupio o subtelnych odcieniach panteizmu w obliczu tak katastroficznego roszczenia. Więcej mądrości jest w zdumieniu prostaczka, pełnego wrażliwości odpowiadającej prostocie, który oczekuje, że trawa zwiędnie, a ptaki spadną martwe na ziemię, kiedy przechadzający się po okolicy czeladnik stolarza mówi spokojnie i niemal od niechcienia, jakby rzucając przez ramię: „Zanim Abraham stał się, Ja jestem”.

III

NAJDZIWNIEJSZA HISTORIA NA ŚWIECIE

W poprzednim rozdziale z rozmysłem podkreśliłem tę stronę Nowego Testamentu, która wydaje się dziś szczególnie zaniedbywana, ale mam nadzieję, że nikt nie przypuszcza, iż moim celem było zaciemnienie tej jego strony, którą słusznie można by nazwać ludzką. To, że Chrystus był najmiłosierniejszym sędzią i najbardziej współczującym przyjacielem, jest faktem, który znaczy o wiele więcej w naszym prywatnym życiu niż w czyichkolwiek spekulacjach historycznych. Celem tej książki jest jednak wykazanie, że tanie ogólniki przysłoniły coś wyjątkowego, i aby osiągnąć ten cel, trzeba podkreślać z uporem, że to, co najbardziej uniwersalne, było równocześnie najoryginalniejsze. Weźmy na przykład temat naprawdę pasujący do współczesnych nastrojów, w przeciwieństwie do wspominanych niedawno ascetycznych powołań. Czymś, co możemy naprawdę zrozumieć; jest podwaja dzieciństwa. W tamtych czasach nie była ona jednak tak samo rozumiana jak dziś. Gdybyśmy szukali przykładu na oryginalność Ewangelii, trudno byłoby znaleźć mocniejszy albo bardziej zaskakujący niż ten. Tak się

złożyło, że po prawie dwóch tysiącach lat żyjemy w atmosferze prawdziwej wrażliwości na mistyczny urok dzieciństwa. Wyrażamy to w opowieściach i lamentach nad utraconym dzieciństwem, w książeczkach takich jak *Piotruś Pan* i zbiory wierszy dla dzieci. O słowach Chrystusa możemy powiedzieć to samo, co mówił gniewny wróg chrześcijaństwa, Swinburne:

„Żaden znak objawiony
Przed wątpiącym czy ufnym okiem
Nie rozdarł chmurnej zasłony
Raju czystsze widokiem.

Wyznań w świecie siedemdziesiąt po siedem
A każde splamione jest krwią
Ale musi być naprawdę jak w niebie
W niebieskim królestwie jak to".

Raj ten nic był jednak tak czysty, dopóki nie został stopniowo oczyszczony przez chrześcijaństwo. Pogański świat jako taki nie dostrzegłby w tych słowach sugestii, że dziecko jest wznioślejsze albo świętsze niż dorośli. Dla pogan byłoby to równoznaczne z twierdzeniem, że kijanka jest wznioślejsza albo świętsza od żaby. Dla czysto racjonalistycznego umysłu brzmiałoby to jak dowodzenie, że pąk musi być piękniejszy od kwiatu albo że niedojrzałe jabłko musi być smaczniejsze od dojrzałego. Innymi słowy, współczesna atmosfera otaczająca

dzieciństwo jest atmosferą całkowicie mistyczną. Jest ona tak samo mistyczna jak kult dziewictwa; w istocie bowiem jest ona kultem dziewictwa. Pogańska starożytność o wiele wyraźniej wyczuwała jednak świętość dziewicy niż świętość dziecka. Dziś doszliśmy do otaczania czcią dzieci z rozmaitych powodów. Być może po części dlatego, że zazdrościmy im możliwości robienia nadal tego, co kiedyś robili dorośli - bawienia się w proste gry i słuchania baśni. Na znacznie wyższym poziomie nasze uwielbienie dzieciństwa ma wiele prawdziwych i bardzo subtelnych przyczyn psychologicznych. Jeśli jednak chcemy uznać je za wynalazek współczesności, musimy raz jeszcze przyznać, że Jezus z Nazaretu wynalazł go o dwa tysiące lat za wcześniej. Z pewnością w otaczającym Go świecie nie było nic, co mogłoby Mu w tym pomóc. Pod tym względem Chrystus był naprawdę ludzki; bardziej ludzki niż można by się spodziewać po jakiegokolwiek ludzkiej istocie. Piotruś Pan nie należy do świata Pana, ale do świata Piotra.

Nawet w drobnej kwestii stylu literackiego, jeśli uważamy się za dość bezstronnych, by spojrzeć na nią w tym świetle, można zauważyć ciekawą cechę, której, jak się wydaje, żaden krytyk nie oddał jeszcze pełnej sprawiedliwości. W stylu tym widzimy jakby kolejne wieże spiętrzone jedna na drugiej dzięki zastosowaniu *a fortiori*⁴⁷; pagodę kolejnych poziomów zbudowaną na podobieństwo siedmiu niebios. Wspominałem już o niemal

⁴⁷ *A fortiori* (łac.) - tym bardziej, tym słuszniej.

wywrotowej wizji niewyobrażalnej kary czekającej Pentapolis. W całym języku ani literaturze nie ma chyba jednak doskonalszego przykładu trzech poziomów stopniowania niż przypowieść o liliach polnych, w której Chrystus najpierw jakby bierze do ręki jeden mały kwiat, podkreślając jego prostotę, a nawet bezsilność, następnie niespodziewanie rozdyma go jaskrawymi barwami wszystkich pałaców i pawilonów wypełnionych wielkim imieniem narodowej legendy i narodowej chwały, żeby za trzecim gestem znów obrócić go w nicość, jakby odrzucając od siebie: Jeśli więc ziele na polu, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej...". Jest to jak zbudowana za pomocą białej magii, w jednej chwili i jednym skinieniem ręki, dobra wieża Babel; wieża niespodziewanie strzelająca ku niebu, na której szczycie w wielkiej oddali, wyżej, niż nam się wydawało możliwe, widzimy sylwetkę człowieka, wywyższoną ponad wszystko inne o trzy nieskończoności, uniesioną na gwiaździstej drabinie zwiewnej logiki i prędkiej wyobraźni. W czysto literackim sensie mogłoby to być arcydzieło większe od niejednego przechowywanego w bibliotekach; zostało jednak wypowiedziane nieomal przypadkiem, jakby przy okazji zerwania kwiatu. Także w czysto literackim sensie to użycie kilkustopniowych porównań ma jednak w sobie pewną cechę, która, jak mi się wydaje, wskazuje, że nauczanie Chrystusa, wbrew współczesnym sugestiom, było czymś o wiele więcej niż prostym wykładem duszpasterskiej albo społecznej etyki. Nie istnieje lepszy dowód na to, że naprawdę mamy do czynienia z wy-

bitnym umysłem, niż owa zdolność porównywania rzeczy niższej do wyższej, a tej z kolei do jeszcze wyższej; umiejętność myślenia na trzech poziomach naraz. Nie ma nic, do czego ta wyjątkowa odmiana mądrości jest bardziej niezbędna, niż dostrzeganie rzeczy takich jak to, że obywatel stoi wyżej od niewolnika, a jednak dusza przeewyższa nieskończenie nie tylko obywatela, ale i jego miasta. Nie jest to bynajmniej zdolność powszechna wśród krytyków upraszczających Ewangelię, którzy upierają się przy tym, co oni sami nazywają prostą moralnością, a inni - moralnością sentymentalną. Zdolności tej nie mają ci, którzy zadowolają się mówieniem wszystkim, że powinni żyć w zgodzie. Wręcz przeciwnie, bardzo zaskakującym dowodem tej umiejętności jest pozorna niekonsekwencja wypowiedzi Chrystusa o pokoju i o mieczu. To właśnie ów zmysł pomaga dostrzec, że chociaż dobry pokój jest lepszy niż dobra wojna, dobra wojna jest lepsza od złego pokoju. Te dalekosiężne porównaniu nigdzie nie występują tak często jak w Ewangelii; dla mnie są one sugestią czegoś kolosalnego. Tak właśnie samotny i solidny przedmiot, mający dodatkowy wymiar głębokości albo wysokości, górowałaby nad płaskimi stworzeniami zamieszkującymi tylko jedną płaszczyznę.

Ta cecha, którą można nazwać jedynie wnikliwością albo wybitnością, cecha, która uzdalnia do dostrzegania rozległych widoków, a nawet podwójnych znaczeń, nie została tu wspomniana jedynie jako przeciwwaga dla pospolitego wyolbrzymiania życzliwości i łagodnego idealizmu Chrystusa. Jest ona również związana z bardziej porażającą prawdą, poruszoną

na końcu poprzedniego rozdziału. Stanowi bowiem ostatnią cechę, jaka zazwyczaj towarzyszy zwykłej megalomanii, a zwłaszcza megalomanii tak wybujałej i niebotycznej jak ta, która mogłaby towarzyszyć wspomnianym przez nas roszczeniom. Sama ta cecha, którą można nazwać jedynie intelektualną perfekcją, nie jest oczywiście oznaką boskości. Jest ona jednak bardzo prawdopodobnym zabezpieczeniem przed skłonnością do pospolitych i próżnych roszczeń dotyczących boskości. Człowiek tego pokroju, gdyby był tylko człowiekiem, byłby ze wszystkich najmniej podatny na zamroczenie taką wziętą nie wiadomo skąd ideą; zamroczenie takie jest domeną religijnego sensata, który oszukuje samego siebie. Problemu tego nie można uniknąć nawet przez zaprzeczenie, jakoby Chrystus zgłaszał podobne roszczenia. O żadnym innym człowieku tego rodzaju, o żadnym proroku ani filozofie tego samego intelektualnego kalibru nie można by nawet powiedzieć żartem, że zgłaszał podobne roszczenia. Nawet gdyby Kościół nie rozumiał, o co Chrystusowi chodziło, byłoby przecież prawdą, że żadna historyczna tradycja poza Kościołem nigdy nie popełniła takiej pomyłki. Mahometanie nie rozumieli Mahometa opacznie i nie przypuszczali, że jest on Allachem. Żydzi nie poddali błędnej interpretacji słów Mojżesza i nie utożsamiali go z Jahwe. Dlaczego zatem to jedno roszczenie miałoby zostać wyolbrzymione, skoro podobnego do niego nikt inny nigdy nie zgłaszał? Nawet gdyby chrześcijaństwo było jedną wielką uniwersalną pomyłką, to i tak byłaby to pomyłka wyjątkowa jak Wcielenie.

Celem tej książki jest ukazanie fałszywości niektórych mglistych i pospolitych założeń, i oto być może doszliśmy do najbardziej fałszywego z nich. Na całym świecie krąży wśród ludzi coś w rodzaju przekonania, że wszystkie religie są równe, bo wszyscy założyciele religii byli rywalami; że wszyscy walczyli o tę samą gwiazdzistą koronę. Jest to przekonanie całkowicie fałszywe. Roszczenie sobie praw do tej korony jest w rzeczywistości bardzo rzadkie, by nie rzec, wyjątkowe. Mahomet nie zgłaszał go bardziej od Micheasza albo Malachiasza, Konfucjusz nie zgłaszał go bardziej niż Platon czy Marek Aureliusz, Budda nigdy nie twierdził, że jest Brahłą. Zaratustra nie twierdził, że jest bardziej Ormuzdem niż Arymanem. Prawda jest taka, że zwykle rzeczy toczą się tak, jakbyśmy się spodziewali ze zdroworozsądkowego, a na pewno z chrześcijańskiego punktu widzenia. To znaczy dokładnie odwrotnie niż w powszechnym mniemaniu. W zwykłych warunkach im większy człowiek, tym mniej prawdopodobne wydaje się zgłaszanie przez niego tak absolutnego roszczenia. Poza wyjątkiem, który tu rozpatrujemy zgłasza je wyłącznie jeden typ człowieka, i to człowieka bardzo małego; typ skrytego egocentryka opanowanego przez monomanię. Nikt nie może sobie wyobrazić Arystotelesa twierdzącego, że jest zstępującym z nieba ojcem bogów i ludzi, chociaż można sobie wyobrazić jakiegoś szalonego rzymskiego cesarza w rodzaju Kaliguli, który w jego, a jeszcze prawdopodobniej we własnym imieniu, zgłasza tego typu roszczenia. Nikt nie może sobie wyobrazić Shakespeare'a twierdzącego, że jest bogiem

literatury, chociaż można sobie wyobrazić, że jakiś zwariowany amerykański fiksat znalazłby takie stwierdzenie zaszyfrowane w dziełach Shakespeare'a, a jeszcze prawdopodobniej w swoich własnych. Od czasu do czasu można spotkać ludzi zgłaszających to wybitnie nadludzkie roszczenie. Można ich spotkać w szpitalach wariatów, w wyściełanych celach, być może w kafetanach bezpieczeństwa. Ale znacznie ważniejsze niż los, jaki ich spotyka w naszym bardzo materialistycznym społeczeństwie na mocy bardzo prowizorycznych i niedoskonałych praw o niepoczytalności, jest to, że typ człowieka, który jest zazwyczaj dotknięty tego rodzaju szaleństwem, to typ chory i cierpiący na przerost wyobraźni; ograniczony, a jednocześnie nadęty i monstrualnie patologiczny. Posługując się dość nieszczęśliwą metaforą, mówimy o szaleńcu, że brak mu piątej klepki; w pewnym sensie ma on tych klepek za dużo. Można by raczej powiedzieć, że ma on głowę zabitą deskami; nie ma w niej dość szpar, żeby ją przewietrzyć. Ta niemożność wpuszczenia dziennego światła w głąb urojenia ukrywa czasem i przysłania urojenie boskości. Można je znaleźć nie wśród proroków czy mędrców albo założycieli religii, ale wśród najnikczemniejszej odmiany wariatów. I właśnie w tym miejscu nasz dowód staje się wyjątkowo interesujący; okazuje się bowiem, że udowadnia zbyt wiele. Nikt nie podejrzewa, że Jezus z Nazaretu był tego rodzaju osobą. Żaden współczesny krytyk przy zdrowych zmysłach nie uważa, że głosiciel Kazania na Górze był odrażającym, głupkowatym imbecylem, który mógłby zajmować się gryzmoleniem gwiazd na

ścianach swojej celi. Żaden ateista ani bluźnierca nie wierzy, że autor przypowieści o synu marnotrawnym był potworem z jedną chorobliwą myślą, niczym cyklop z jednym okiem w głowie. Według wszelkiej historycznej metody krytyki trzeba uznać, że w hierarchii ludzkich istot należy Mu się wyższe miejsce. Ale zgodnie z wszelkimi dostępnymi analogiami tak naprawdę możemy tylko postawić Go najniżej albo przyznać mu miejsce najwyższe ze wszystkich.

W gruncie rzeczy ci, którzy mogą przyjąć tę prawdę (tak jak ja ją hipotetycznie przyjmuję) w sposób chłodny i bezstronny, muszą zmierzyć się z najdziwniejszym i najciekawszym problemem człowieczeństwa. Jest to problem tak niezwykle interesujący, że bardzo bym chciał, aby niektórzy z nich, niejako w duchu bezstronności, przetworzyli ów skomplikowany problem człowieczeństwa w coś w rodzaju czytelnego portretu człowieka. Jeśli Chrystus był jedynie istotą ludzką, to musiał być istotą o bardzo skomplikowanym i sprzecznym charakterze. Łączył w sobie bowiem dwie cechy leżące na przeciwnych biegunach ludzkiej różnorodności. Był dokładnie tym, kim nigdy nie mógłby być człowiek cierpiący urojenia: był bardzo mądry, był bardzo dobrym sędzią. To, co mówił, było zawsze niespodziewane, ale zawsze niespodziewanie wielkoduszne i często niespodziewanie umiarkowane. Weźmy na przykład wydzwięk przypowieści o chwaście i pszenicy. Jest ona połączeniem zdrowego rozsądku i wnikliwości. Nie ma w niej natomiast nic z prostego myślenia szaleńca. Nie ma w niej nawet nic

z prostego myślenia fanatyka. Mógłby ją opowiedzieć stuletni filozof na zakończenie stulecia utopii. Nie ma nic, co byłoby dalsze od zdolności wybiegania wzrokiem ponad i poza oczywistość niż przypadek skupionego na sobie maniaka z jednym czułym punktem w głowie. Naprawdę nie mam pojęcia, jak te dwie cechy osobowości mogłyby zostać połączone w przekonujący sposób poza tym zdumiewającym sposobem, w jaki łączy je doktryna chrześcijańska. Dopóki nie zaakceptujemy tego faktu w pełni po prostu jako faktu, choćby nie wiem jak niezwykłego, wszystkie przybliżenia będą go tak naprawdę coraz bardziej od nas oddalać. Bóstwo jest dość wielkie, by mogło być boskie; jest też dość wielkie, by mogło nazywać się boskim. Ale człowieczeństwo w miarę wzrastania staje się coraz mniej skłonne do składania takich deklaracji. Bóg jest Bogiem, jak mówią muzułmanie. Wielki człowiek wie jednak, że nie jest Bogiem, a im jest większy, tym lepiej to wie. Oto paradoks: wszystko, co najnormalniej w świecie zbliża się do tego apogeum, najnormalniej w świecie się od niego oddala. Sokrates, najmądrzejszy z ludzi, wie, że nic nie wie. Szaleniec może uważać się za wszechwiedzącego, a głupiec może mówić tak, jakby był wszechwiedzący. Chrystus jednak musi być wszechwiedzący w innym sensie, skoro nie tylko wie, ale także wie, że wie.

A zatem wydaje mi się, że Jezus Nowego Testamentu nawet z czysto ludzkiej, współczującej strony przejawia wiele bardzo wyraźnych cech czegoś nadludzkiego, to znaczy czegoś, co jest ludzkie i więcej niż ludzkie. Przez wszyst-

kie Jego nauki przewija się jednak jeszcze inna właściwość, która, moim zdaniem, jest pomijana w większości współczesnych omówień Jego nauczania. Chodzi mi o powtarzające się stale z Jego strony aluzje, że tak naprawdę wcale nie przyszł nauczyc. Jeśli któreś z zapisanych zdarzeń uderza mnie osobiście jako niebywale i przepyszenie ludzkie, to jest nim z pewnością przypadek obdarowania weselników winem. Jest on naprawdę ludzki, i to w takim sensie, w jakim cały tłum zarozumiałców o wyglądzie istot ludzkich można tylko z największym trudem tak nazwać. Wznosi się on wyżej niż wszelka ludzka wyniosłość. Jest tak ludzki jak Herrick i tak demokratyczny jak Dickens. Ale nawet w tej opowieści jest coś, co zakręca na nie do końca wyjaśnioną tajemnicę, i na swój sposób bardzo pasuje do naszej opowieści. Chodzi mi o pierwsze wahanie Chrystusa, nie dotyczące niczego związanego z naturą samego cudu, ale słuszności dokonywania cudów w ogóle, przynajmniej na tym etapie: "Jeszcze nie nadeszła moja godzina". Co to miało znaczyć? Z pewnością znaczyło to przynajmniej tyle, że w Jego głowie istniał jakiś ogólny plan albo cel, do którego jedne rzeczy pasowały, a inne nie. I jeśli pominiemy ten jedyny strategiczny plan, umknie nam nie tylko sedno tej historii, ale i sama historia.

Często słyszymy o Jezusie z Nazaretu jako o wędrownym nauczycielu; w owym poglądzie jest pewna istotna prawda po-
—ajęca na tym, że podkreśla on stosunek do luksusów i konwenansów, który większość szacownych osób uznalaby za właści-

wy dla włóczęgi. Stosunek ten został wyrażony we wspaniałym powiedzeniu Chrystusa o norach lwów i gniazdach ptaków, które, jak wiele Jego wspaniałych powiedzeń, odbierane jest jako słabsze niż jest w rzeczywistości, z powodu braku uznania dla paradoksu wynikającego stąd, że Chrystus mówił o swoim człowieczeństwie jako o czymś zbiorowo i reprezentatywnie ludzkim, używając określenia Syn Człowieczy - czyli w gruncie rzeczy nazywając siebie po prostu Człowiekiem. Wypadało, aby Nowy Człowiek czy też Nowy Adam potwierdził tak gromkim głosem i tak wstrząsającym gestem fakt, który stał na początku pierwotnej opowieści: że człowiek różni się od zwierząt pod każdym względem, nawet pod względem tego, czego mu brakuje; że jest on w pewnym sensie mniej normalny i mniej tutejszy od nich; że jest obcym na ziemi. Dobrze jest mówić o Jego wędrówkach w tym sensie, a także w sensie dzielenia przez Niego tułaczego życia większości bezdomnych i beznadziejnie ubogich. Dobrze jest pamiętać, że byłby On z całą pewnością przepędzany przez policję i prawie na pewno aresztowany za to, że nie posiadał widocznych środków utrzymania. Nasze prawo ma bowiem w sobie szczyptę humoru czy też odrobinę fantazji, która nigdy nie przyszła do głowy Neronowi ani Herodowi. Otóż naprawdę karze ono bezdomnych ludzi za to, że nie śpią we własnym domu.

Ale w innym sensie nazywanie Jego życia „wędrównym” jest nieco mylące. Prawdę mówiąc, bardzo wielu pogańskich mędrców i sporą grupę pogańskich sofistów można słusznie

nazwać wędrownymi nauczycielami. Rozległe wędrówki niektórych miały dość dużo wspólnego z ich rozwlekłymi uwagami. Apoloniusz z Tiany, który przez pewne modne wyznania został uznany za kogoś w rodzaju idealnego filozofa, zawędrował podobno aż nad Ganges i do Etiopii, przemawiając mniej więcej przez cały czas. Była nawet szkoła filozoficzna nazywana szkołą perypatetyków, a większość filozofów, nawet tych największych, robi na nas takie wrażenie, jakby nie mieli do roboty nic poza chodzeniem i mówieniem. Wielkie dialogi, dzięki którym możemy zajrzeć w wielkie umysły Sokratesa, Buddy czy nawet Konfucjusza, często robią wrażenie jakby niekończącego się pikniku, a przede wszystkim - co szczególnie ważne - wyglądają tak, jakby nie miały początku ani końca. Sokratesowi przerwał rozmowę drobny incydent, jakim była jego egzekucja. Ale całe znaczenie i szczególna cnota postawy Sokratesa polegały na tym, że śmierć była dla niego jedynie zakłóceniem i incydem. Umyka nam moralne znaczenie wielkiego filozofa, jeśli pomijamy następujący szczegół: że wpatruje się on w kata z niewinnym zdziwieniem, a nawet z niewinnym rozdrażnieniem, że trafił na kogoś tak nierozsądnego, kto gotów jest przerwać nieszkodliwą rozmowę zmierzającą do wyjaśnienia prawdy. Arystoteles szuka prawdy, a nie śmierci. Śmierć jest jedynie kamieniem na drodze, o który może się potknąć. Zadaniem jego życia jest wędrowanie drogami świata i nieustanne rozprawianie o prawdzie. Z kolei Budda przyciągnął uwagę świata jednym gestem; był to gest wyrzeczenia, a zatem w pewnym sensie zaprzeczenia. Ale tą

jedną dramatyczną negacją Budda wszedł w świat negacji, który nie miał w sobie nic z dramatyzmu; on sam jako pierwszy obstawaby przy tym braku. I tu również umknie nam szczególne moralne znaczenie wielkiego mistyka, jeśli nie dostrzeżemy tego rozróżnienia: że sednem jego postawy było właśnie zerwanie z dramatem, który oznacza pożądanie i walkę, a najczęściej także klęskę i rozczarowanie. Budda osiąga pokój i żyje po to, by nauczać innych, jak go osiągnąć. Od tej pory żyje życiem idealnego filozofa, z pewnością o wiele bardziej idealnego niż Apoloniusz z Tiany, ale nadal życiem filozofa w tym sensie, że jego zadaniem nie jest robienie czegokolwiek, ale raczej wyjaśnianie wszystkiego; w jego przypadku moglibyśmy nawet powiedzieć: łagodne i delikatne wysadzanie wszystkiego w powietrze. Jego orędzie różni się bowiem zasadniczo od orędzia Ewangelii. Chrystus powiedział: „Szukajcie najpierw królestwa, a wszystko będzie wam dodane”. Budda powiedział: „Szukajcie najpierw królestwa, a nie będziecie potrzebowali niczego”.

Otóż w porównaniu z życiem tych wędrowców, życie Jezusa przetoczyło się prędko i prosto jak błyskawica. Było ono nade wszystko dramatyczne; polegało nade wszystko na robieniu czegoś, co było do zrobienia. I z pewnością nie zostałyby to zrobione, gdyby Jezus chodził po całym świecie, nie robiąc nic poza mówieniem prawdy. Nawet Jego zewnętrznych ruchów nie można opisać jako włóczenia się po kraju, bo pomija się przy tym fakt, że była to konkretna podróż. W tym sensie Jego wędrówka była raczej wypełnieniem mitów, a nie filozofii; była

to podróż w konkretnym celu, tak jak wyprawa Jazona po złote runo albo Herkulesa po złote jabłka Hesperyd. Złotem, którego szukał Chrystus, była śmierć. Najważniejsze, co miał zamiar zrobić, to umrzeć. Miał zamiar zrobić także wiele innych rzeczy równie określonych i obiektywnych; moglibyśmy niemal powiedzieć równie zewnętrznych i materialnych. Ale od pierwszej do ostatniej chwili najkonkretniejszym faktem Jego życia było to, że miał ponieść śmierć. Nie sposób znaleźć dwóch rzeczy bardziej różnych od siebie niż śmierć Chrystusa i śmierć Sokratesa. Narzuca się nam odczucie, że śmierć Sokratesa, przynajmniej z punktu widzenia jego przyjaciół, była głupim zbiegiem okoliczności i sądową pomyłką, która zmała strumień; ludzkiej i przejrzystej, powiedziałbym, nawet lekkiej filozofii. Natomiast dla Chrystusa Śmierć była oblubienicą, tak jak Bieda była oblubienicą dla św. Franciszka. Narzuca się nam odczucie, że Jego życie było w pewnym sensie jakby romansem ze śmiercią, romantyczną opowieścią o pogoni za ostateczną ofiarą. Od chwili, kiedy gwiazda wzbija się w niebo jak urodzinowy fajerwerk, aż do chwili, kiedy słońce gaśnie jak pogrzebowa pochodnia, cała opowieść mknie jak na skrzydłach, z szybkością i celnością dramatu, i kończy się aktem nie do wypowiedzenia.

A zatem historia Chrystusa jest historią podróży, niemal historią wojskowego marszu, a z pewnością historią wyprawy, na której bohater szuka spełnienia albo zguby. Jest to opowieść, która zaczyna się w raju Galilei, w pasterskiej, spokojnej okolicy naprawdę przypominającej Eden, i stopniowo wspina się przez

wyżynny kraj ku górom bliższym burzowych chmur i gwiazd, jakby wstępując na Górę Czyśćca. Jej Bohatera można spotkać jakby płaczącego się to tu, to tam, zatrzymywanego w drodze przez rozmówców i oponentów, Jego twarz jest jednak stale zwrócona w stronę górskiego miasta. Takie jest znaczenie tego wielkiego punktu kulminacyjnego, gdy Chrystus wyszedłszy na grań, zatrzymał się na zakręcie drogi i nagle wykrzyknął na cały głos, lamentując nad Jerozolimą. Dalekie echo tego lamentu pobrzmiewa w każdym patriotycznym wierszu, a jeśli go brak, patriotyzm cuchnie pospolitością. Takie jest znaczenie poruszającego i zdumiewającego zdarzenia u bram świątyni, kiedy to stoły potoczyły się po stopniach jak kłody drewna, a bogaci kupcy zostali przegnani dotkliwymi razami; zdarzenia, które musi być przynajmniej tak samo zagadkowe dla pacyfistów, jak paradoks o niestawianiu oporu dla militarystów. Porównałem podróż Chrystusa do wyprawy Jazona ale nie możemy zapominać, że w głębszym sensie trzeba by ją raczej porównać do podróży Ulissesa. Była to nic tylko romantyczna opowieść o podróży, ale również romantyczna opowieść o powrocie, a także o końcu uzurpacji. Żaden zdrowy chłopiec czytając opowieść o Ulisesie, nie może uznać przepędzenia zalotników z Itaki za nic innego, jak tylko za dobre zakończenie. Z pewnością znajdą się jednak tacy, którzy będą postrzegać przepędzenie żydowskich kupców i bankierów z tą samą wyrafinowaną odrazą, jaka przepełnia ich zawsze na widok przemocy a zwłaszcza przemocy względem zamożnych obywateli. W gruncie rzeczy chodzi jednak o to, że we

wszystkich tych przypadkach można wyczuć atmosferę wzrastającego napięcia. Innymi słowy, przypadki te nie są przypadkowe. Kiedy Apoloniusz, idealny filozof, przyprowadzony przed sąd Domicjana znika dzięki sztuczce magicznej, jest to cud zupełnie przypadkowy. Mógłby się on wydarzyć w którymkolwiek momencie wędrownego życia myśliciela z Tiany; podejrzewam w istocie, że wątpliwa jest nie tylko data, ale i sama istota tego wydarzenia. Idealny filozof po prostu znikł, aby kontynuować swe idealne istnienie w innym miejscu przez czas bliżej nieokreślony. Charakterystycznym rysem tego kontrastu jest być może to, że Apoloniusz podobno dożył tak sędziwego wieku, że zakrawało to niemal na cud. Jezus z Nazaretu nie dokonywał tak roztropnych cudów. Kiedy przyprowadzono go przed sąd Piłata, nie miał zamiaru zniknąć. Oto osiągnął punkt kulminacyjny i cel; oto nadeszła godzina i panowanie ciemności. W całym życiu Chrystusa przepełnionym cudami, aktem wybitnie nadprzyrodzonym było to, że wtedy nie zniknął.

Wszelkie próby wzmocnienia tej historii tylko ją osłabiają. Zadanie to podejmowane było przez wielu ludzi genialnych i elokwentnych, a także przez zbyt wielu pospolitych sentymentalistów i zapatrzonych w siebie retorów. Historia ta była opowiadana na nowo z protekcyjnym zadęciem przez wytwornych sceptyków i z biegłym entuzjazmem przez głośno zachwalane bestsellery. Ja jednak nie zamierzam jej opowiadać. Miażdżąca siła prostych słów ewangelicznej opowieści jest jak siła młyńskich kamieni, a ci, którzy potrafią przeczytać je z prostotą, będą się czuli tak, jakby prze-

toczyły się po nich głązy. Krytyka to jedynie słowa na temat słów, jaki zaś pożytek mogą mieć słowa na temat stów takich jak te? Jaki sens ma malowanie słowami ciemnego ogrodu, który nagle wypełniają światła pochodni i wściekle twarze? "Przyszliście z mieczami i kijami jak na zbójcę? Cały dzień siedziałem w waszej świątyni i nauczałem, a nie pochwyciliście Mnie". Czy można dodać cokolwiek do przytłaczającej i skondensowanej powściągliwości tego ironicznego stwierdzenia, które jest jak wielka fala wznosząca się do nieba, by już nigdy nie opaść? „Córki jerozolimskie, nie płaczcie nade Mną; płaczcie raczej nad sobą i nad waszymi dziećmi". Najwyższy kapłan zapytał, na cóż mu jeszcze potrzeba świadków; i my także moglibyśmy zapytać, na cóż nam jeszcze potrzeba słów? Piotr zapał się Go w panice „i natychmiast kogut zapiał; Jezus spojrział na Piotra, a Piotr wyszedł na zewnątrz i gorzko zapłakał". Może ktoś chciałby tu dorzucić swoje trzy grosze? Tuż przed zamordowaniem Chrystus modlił się za cały krwiożerczy rodzaj ludzki, mówiąc „Nie wiedzą, co czynią". Czy można na te słowa odpowiedzieć coś ponad to, że podobnie nie wiemy, co mówimy? Po cóż mielibyśmy powtarzać jeszcze raz tę opowieść i rozwodzić się na tym, jak tragiczny pochód posuwał się Via Dolorosa, jak przyłączono Chrystusa na chybił trafił do dwóch łotrów, by utworzyć zwykłą grupę skazańców, i jak wobec tego horroru i obezwładniającej pustki opuszczenia jeden głos odezwał się ze czią, zaskakujący głos z najmniej spodziewanego miejsca: z szubienicy zbrodniarza, a Chrystus obiecał bezimiennemu złoczyńcy: „Dziś ze Mną będziesz w raju"? Czy można po tych słowach postawić

coś innego niż kropkę? A może ktoś jest gotowy stosownie odpowiedzieć na ten gest pożegnania wszelkiego ciała, który stworzył Jego Matce nowego Syna?

Rzeczą dla mnie łatwiejszą, a także bliższą moim celom jest wykazanie, że w tej scenie w sposób symboliczny zbiegły się wszystkie siły ludzkości, z którymi tak pobieżnie zapoznaliśmy się w owej opowieści. Tak jak królowie, filozofowie i przedstawiciele ludu byli obecni w sposób symboliczny przy narodzinach Chrystusa, tak w bardziej praktyczny sposób byli oni zaangażowani w Jego śmierć; stawia nas to twarzą w twarz z pewnym zasadniczym faktem, z którego musimy zdać sobie sprawę. Wszystkie wielkie kategorie ludzi zebranych wokół Krzyża ilustrują w taki czy inny sposób wielką historyczną prawdę tego czasu: że świat nie mógł zbawić się sam. Człowiek nie mógł uczynić nic więcej. Rzym, Jerozolima, Ateny i wszystko inne zapadało się w dół jak morze zmienione w powolny wodospad. Zewnętrznie świat starożytny był nadal u szczytu sił; właśnie w tym momencie zaczyna się najczęściej wewnętrzna słabość. Aby jednak ją zrozumieć, musimy jeszcze raz powtórzyć to, co było już mówione wiele razy: że nie była to słabość czegoś, co było słabe z natury. Trzeba podkreślić, że to właśnie siła świata obróciła się w słabość, a mądrość świata obróciła się w głupotę.

W historii Wielkiego Piątku to, co najlepsze na świecie, upada najniżej. Dopiero w ten sposób możemy naprawdę ujrzeć świat w jego najniższym upadku. Byli tam na przykład kapłani prawdziwej monoteistycznej religii i żołnierze prawdziwej

międzynarodowej cywilizacji. Rzym, legenda zbudowana na gruzach Troi i triumfująca nad Kartaginą, był symbolem bohaterstwa najbliższego w całym pogaństwie rycerskim ideałom. To Rzym bronił domowych bóstw i ludzkiej przyzwoitości przed atakiem wilkołaków z Afryki i hermafrodytycznych wynaturzeń Grecji. Ale w nagłym rozbłysku tego wyjątkowego wydarzenia widzimy wielki Rzym, cesarską republikę chylącą się pod wyrokiem Lukrecjusza. Sceptycyzm pożarł ostatecznie nawet pewną siebie trzeźwość umysłu zdobywców świata. Ten, który zasiada na podwyższeniu, aby wyrokować, co jest sprawiedliwe, może jedynie zapytać: „Co to jest prawda?”. W dramacie, który zdecydował o losach całej starożytności, jedna z głównych postaci jest jakby osadzona w roli zupełnie sprzecznej z jej prawdziwym powołaniem. Rzym był niemal synonimem odpowiedzialności. A jednak stał się na zawsze chwiejnym posągiem niezdecydowania. Człowiek nie mógł uczynić nic więcej. Nawet to, co praktyczne, stało się niewykonalne. Stojąc między kolumnami własnego sądu, Rzymianin umył ręce od świata.

Znajdowali się tam również kapłani czystej, pierwotnej prawdy, która kryła się za wszystkimi mitologiami niczym słońce za powłoką chmur. Była to najważniejsza prawda na świecie, a jednak nawet ona nie mogła go zbawić. Być może jest coś obezwładniającego w czystej formie osobowego teizmu; coś jak wizja słońca, księżyca i nieba stopionych razem w jedną nieruchomą twarz. Być może prawda ta, nieprzełamana przez żadnego boskiego ani ludzkiego pośrednika, jest po prostu zbyt

wielka, a może jest tylko zbyt czysta i odległa. Tak czy inaczej nie mogła ona zbawić świata; nie mogła go nawet nawrócić. Istnieli filozofowie wyznający jej najwyższą i najszlachetniejszą formę, którzy jednak nie tylko nie mogli nawrócić świata, ale nawet tego nie próbowali. Dżungli popularnej mitologii nie można zwalczyć prywatną opinią, tak jak nie można wyciąć lasu scyzorykiem. Żydowscy kapłani strzegli swojej prawdy zazdrośnie w dobrym i złym znaczeniu tego słowa. Uczynili z niej gigantyczną tajemnicę. Tak jak prymitywni bohaterowie potrafili zamknąć słońce w pudełku, tak oni zamknęli Wiekui-stego w tabernakulum. Byli dumni z tego, że jako jedyni mogą oglądać oślepiający blask jedynego bóstwa i nie zdawali sobie sprawy, że sami oślepli. Od tego dnia ich przedstawiciele przypominają ślepców, którzy w jasnym świetle dnia uderzają laską na prawo i lewo i przeklinają ciemności. Ich monumentalny monoteizm przetrwał jednak przynajmniej jako monument: ostatni w swoim rodzaju i w pewnym sensie nieruchomy wśród ruchliwego świata, którego nie może zaspokoić. Od tego dnia nie wystarczyło już mówić, że Bóg jest na niebie i świat ma się niezgorzej, rozeszła się bowiem pogłoska, że Bóg opuścił niebo, żeby naprawić świat.

To samo, co stało się z tymi dwiema dobrymi siłami, które przynajmniej kiedyś były dobre, stało się także z ostatnim elementem, być może najlepszym, a przynajmniej takim, który najwyraźniej sam Chrystus uważał za najlepszy. Ubodzy, którym głosił dobrą nowinę, zwykli ludzie, którzy chętnie Go słuchali,

pospółstwo, które w dawnym pogańskim świecie stworzyło tylu pospolitych bohaterów i półbogów, również poddało się słabościom drażącym świat. Ludzie ci padli ofiarą niegodziwości, które często dotyczą pospółstwo miasta, a zwłaszcza stolicy, w okresie społecznego rozkładu. Ta sama skłonność sprawia, że wiejska populacja żyje tradycją, a miejska plotką. Podobnie jak mity prostego społeczeństwa były nawet w najlepszym okresie zupełnie irracjonalne, tak sympatie i antypatie tłumów łatwo ulegały zmianom pod wpływem bezzasadnych twierdzeń, które były arbitralne bez popadania w apodyktyczność. Taki czy inny zbójca został fałszywie przerobiony na barwną, popularną postać i wystawiony niejako do wyborów w charakterze kontrkandydata Chrystusa. We wszystkim tym rozpoznajemy znajome rysy miejskiego pospółstwa, które dziś równie łatwo pada ofiarą prasowej plotki albo sensacji; W tej starożytnej społeczności było jednak też obecne zło bardziej starożytne. Nazwaliśmy je już wcześniej lekceważeniem jednostki - nawet jednostki głosującej za wyrokiem skazującym, a tym bardziej jednostki skazanej. Był to duch rządzący ulem; rzecz całkowicie pogańska. W tej godzinie również dało się słyszeć wołanie owego ducha: „Lepiej, żeby jeden człowiek zginął za naród”. A jednak ów starożytny duch poświęcenia dla miasta i państwa sam w sobie i w swoim czasie także był szlachetny. Miał swoich poetów i swoich męczenników, ludzi godnych wiecznego szacunku. Zawiodł z powodu słabości, która polegała na niedostrzeganiu osobnej duszy człowieka, świątyni wszelkiego mistycyzmu, ale zawiodł jedynie tak, jak zawiodło

wszystko inne. Tłum poszedł za saduceuszami i faryzeuszami, za filozofami i moralistami. Poszedł za urzędnikami cesarstwa i świątobliwymi kapłanami, za uczonymi w Piśmie i żołnierzami, tak aby jeden powszechny duch ludzki przyjął powszechne potępienie; aby głęboki i jednogłówny chór zgody i harmonii zabrzmiał w chwili, kiedy Człowiek został odrzucony przez ludzi.

Poza tą chwilą rozciągały się obszary samotności, na które nikt nigdy nie wkroczył. W najtajniejszym i najściślej ukrytym akcie tego dramatu dokonywały się tajemnice, na które nie ma metafory w naszej ludzkiej mowie ani w żadnym oddzieleniu człowieka od ludzi. Nie jest także łatwo w słowach mniej surowych i jednoznacznych niż słowa nagiej narracji próbować choćby napomknąć o horrorze wywyższenia podniesionym ponad szczyt wzgórza. Niekończące się wyjaśnienia nie wyczerpały go do końca, a nawet nie doszły do początku. I gdyby istniał jakiś dźwięk oddający milczenie, najlepiej zrobilibyśmy, milcząc na temat tego końca i tej krańcowości, jaką był wyrwany z ciemności krzyk brzmiący przeraźliwie wyraźnymi i przeraźliwie niezrozumiałymi słowami, których człowiek nie będzie w stanie pojąć nawet w wieczności, nabytej dla niego przez te słowa. Na jedną unicestwiającą chwilę otchłań niepojęta dla naszych myśli otwarła się nawet w jedności absolutu, i Bóg został opuszczony przez Boga.

Zdjęli ciało z krzyża, a jeden z nielicznych zamożnych ludzi wśród pierwszych chrześcijan otrzymał pozwolenie pochowania go w skalnym grobowcu w swoim ogrodzie. Rzymianie zaciągnęli

zbrojną straż w obawie przed zamieszkami i próbą odzyskania ciała. Raz jeszcze te naturalne czynności miały swoją naturalną symbolikę; słusznie grób był zapieczętowany z całą dyskrecją starożytnego wschodniego pochówku i strzeżony przez władzę cesarzy. Albowiem w tej drugiej jaskini została zgromadzona i ukryta cała wielkość i chwała ludzkości, którą nazywamy starożytnością, i w tym miejscu została ona pogrzebana. Nadszedł koniec czegoś bardzo wielkiego — koniec ludzkiej historii, to znaczy historii, która była czysto ludzka. W tym miejscu pogrzebano teologię i filozofię, bogów, herosów i mędrców. Używając wielkiego rzymskiego zwrotu, możemy powiedzieć o nich, że niegdyś żyli. Ale tak jak mogli jedynie żyć, tak mogli jedynie umrzeć, i oto leżeli martwi.

Trzeciego dnia przyjaciele Chrystusa, którzy przyszli na miejsce o świcie, znaleźli grób pusty i kamień odsunięty na bok. Na różne sposoby uświadomili sobie nowy cud, ale nawet oni ledwie pojmowali, że świat skończył się tej nocy. To, na co patrzyli, należało już do pierwszego dnia nowego stworzenia, z nowym niebem i nową ziemią, a Bóg na podobieństwo ogrodnika znów przechodził się po ogrodzie, nie w chłodzie wieczoru, lecz poranka.

IV

ŚWIADECTWO HERETYKÓW

Chrystus założył Kościół za pomocą dwóch wielkich figur retorycznych, zawartych w ostatnich słowach skierowanych do Apostołów, których w ten sposób upoważnił do jego założenia. Pierwszą było zdanie o założeniu Kościoła na Piotrze jako na skale; drugą metafora o kluczach. Co do znaczenia tej pierwszej, w moim przypadku nie ma, rzecz jasna, wątpliwości; na prowadzony tu wywód nie ma jednak bezpośredniego wpływu nic, co jej dotyczy, z wyjątkiem dwóch drugoplanowych elementów. Otóż jest to jeszcze jeden przykład zdania, którego znaczenie mogło w pełni rozwinąć się i wyjaśnić dopiero później, a nawet znacznie później. Jest to także kolejny przykład czegoś, co nawet pod względem językowym stanowi zupełne zaprzeczenie prostoty i oczywistości, jako że nazywa skałą człowieka, który o wiele bardziej przypomina trzcinę.

Jednakże drugi obraz, dotyczący kluczy, odznacza się precyzją, która chyba jeszcze nie doczekała się precyzyjnego opisu. Klucze, co prawda, pojawiały się dość często w sztuce

i heraldyce chrześcijaństwa, ale nie wszyscy zauważyli wyjątkową trafność tej alegorii. W naszej opowieści osiągnęliśmy moment, w którym trzeba powiedzieć co nieco o pojawieniu się Kościoła i początku jego działalności w cesarstwie rzymskim, a najdoskonalszą pomocą w tym krótkim opisie może być właśnie ta starożytna metafora. Pierwsi chrześcijanie byli bowiem ludźmi noszącymi przy sobie klucz czy też coś, co oni sami nazywali kluczem. Cały ruch chrześcijański polegał na przypisywaniu sobie posiadania tego klucza. Nie był to jedynie niesprecyzowany ruch postępowy, którego lepszym symbolem byłby taran. Nie było to coś, co zagarniało bez różnicy rzeczy podobne i niepodobne, jak to czynią współczesne ruchy społeczne. Jak zobaczymy za chwilę, chrześcijaństwo dość zdecydowanie odmawiało takiego postępowania. Natomiast bardzo zdecydowanie twierdziło, że istnieje pewien klucz, że ono samo ten klucz posiada i że żaden inny klucz nie jest do tamtego podobny, w tym sensie chrześcijaństwo było tak ograniczone, jak tylko można sobie wyobrazić. Tak się jednak składa, że tym kluczem można było otworzyć więzienie świata i wpuścić do środka jasne światło wolności.

Wiara chrześcijańska przypominała klucz ze względu na trzy cechy, które można świetnie przedstawić za pomocą tego symbolu. Po pierwsze klucz jest zdecydowanie przedmiotem o określonym kształcie. Jego tożsamość jest całkowicie uzależniona od zachowania tego kształtu. Wiara chrześcijańska jest przede wszystkim filozofią kształtów i wrogiem bez-

kształtności. To właśnie różni ją od całej tej manichejskiej czy buddyjskiej bezpostaciowej nieskończoności, tworzącej ciemne jezioro nocy w sercu Azji; od ideału unicestwienia wszystkich stworzeń. To właśnie różni ją także od analogicznej mglistości zwykłego ewolucjonizmu; od wyobrażenia stworzeń stale tracących swój kształt. Człowiek, któremu by powiedziano, że jego jedyny klucz do drzwi stopił się z milionem innych w buddyjską jedność, byłby raczej niezadowolony. Ale gdyby mu powiedziano, że jego klucz stopniowo rośnie i zmienia się w jego kieszeni, że wypuszcza nowe nacięcia albo zawiłości, wcale nie byłby bardziej zadowolony.

Po drugie kształt klucza jest sam w sobie kształtem raczej fantastycznym. Przedstawiciel dzikiego plemienia, który nie wiedziałby, że to klucz, miałby olbrzymią trudność z odgadnięciem, co to takiego. Klucz ma kształt fantastyczny, ponieważ w pewnym sensie jest to kształt arbitralny. Klucz nie jest kwestią abstrakcyjną i w tym sensie nie jest kwestią do dyskusji. Może on tylko pasować do zamka albo nie. Nie ma pożytku z rozprawiania o nim w oderwaniu albo rekonstruowanie go na zasadach czystej geometrii lub sztuki dekoracyjnej. Nie miałyby żadnego sensu, gdyby ktoś powiedział, że chciałby mieć prostszy klucz; o wiele rozsądniejsze byłoby, gdyby spróbował swoich sił, używając łomu. Po trzecie zaś, jako że klucz musi mieć z konieczności konkretny wzór, ten konkretny klucz pod pewnymi względami miał wzór raczej skomplikowany. Ludzie narzekający na to, że religia chrześcijańska już na samym

początku została tak bardzo skomplikowana przez teologię i tym podobne rzeczy, zapominają, że świat zabrnął nie tylko w ślepy zaułek, ale wręcz w labirynt zaułków i dziur. Problem sam w sobie był skomplikowany; w zwykłym rozumieniu nie dotyczył po prostu czegoś tak prostego jak grzech. Był także pełen zagadek, niespodziewanych i niezgłębianych błędów, nieświadomych chorób umysłowych i niebezpieczeństw grożących z każdej strony. Gdyby wiara skonfrontowała się ze światem, głosząc jedynie komunały o pokoju i prostocie, do których pragnęliby ją ograniczyć niektórzy moraliści, nie wywarłaby najmniejszego wrażenia na tym luksusowym i skomplikowanym domu wariatów. Musimy teraz pobieżnie opisać wrażenie, jakie rzeczywiście zdołała wywrzeć. Powiedzmy sobie zatem, że bez wątpienia klucz pod wieloma względami robił wrażenie bardzo skomplikowanego; w gruncie rzeczy tylko jedno było w nim całkiem proste. To, że otwierał drzwi.

W tej sprawie istnieje wiele obiegowych opinii, które z braku miejsca i dla większej wygody warto może określić jako kłamstwa. Wszyscy słyszeliśmy ludzi, którzy twierdzili, że chrześcijaństwo narodziło się w wieku barbarzyństwa. Równie dobrze mogliby stwierdzić, że Chrześcijańska Nauka narodziła się w wieku barbarzyństwa. Mogą uznawać chrześcijaństwo za oznakę rozkładu społeczeństwa, tak jak ja uważam Chrześcijańską Naukę za przejaw rozkładu rozumu. Mogą uważać chrześcijaństwo za przesąd, który ostatecznie zniszczył cywilizację, tak jak ja uważam Chrześcijańską Naukę za prze-

sąd mogący (jeśli weźmie się go poważnie) zniszczyć każdą cywilizację. Ale utrzymywanie, że chrześcijanin z czwartego czy piątego wieku był barbarzyńcą żyjącym w barbarzyńskich czasach, przypomina twierdzenie, że pani Eddy była przedstawicielką czerwonoskórych. I gdybym pozwolił na to, żeby moja wrodzona wrażliwość na punkcie pani Eddy skłoniła mnie do nazwania jej dziką Indianką, przypadkiem stałbym się kłamcą. Bez względu na to, czy lubimy imperialną cywilizację Rzymu czwartego wieku, czy też nie, a także bez względu na to, czy lubimy przemysłową cywilizację Ameryki dziewiętnastego wieku, czy też nie, nie możemy, nawet gdybyśmy bardzo chcieli, zaprzeczyć temu, że obie w potocznym znaczeniu tego słowa były cywilizacjami. Jest to fakt oczywisty, ale równocześnie fundamentalny; musimy uczynić z niego fundament wszystkich dalszych opisów przeszłości konstruktywnego chrześcijaństwa. Na dobre czy na złe, chrześcijaństwo było przede wszystkim wytworem epoki cywilizowanej, może nawet epoki zbyt cywilizowanej. Taki jest pierwszy fakt, niebędący pochwałą ani potępieniem; ja sam, niestety, nie uważam, żebym pochlebiał chrześcijaństwu, porównując je do Chrześcijańskiej Nauki. Jeśli jednak zamierzamy pochwalać albo potępiać cokolwiek, dobrze by było, abyśmy mieli przynajmniej blade pojęcie o atmosferze społeczeństwa, w którym to zjawisko występuje. Dlatego na nasz użytek możemy dać sobie spokój z nauką, która doszukuje się związków między panią Eddy a tomahawkiem albo między Matką Boską Bolesną a totemami. Najważniejszy fakt,

dotyczący nie tylko religii chrześcijańskiej, ale także całej ówczesnej pogańskiej cywilizacji, był już niejedną raz wspomniany na kartach naszej opowieści. Morze Śródziemne było jakby śródlądowym jeziorem, zasilanym przez wiek dopływów w postaci rozmaitych kultów czy też kultur. Miasta spoglądające na siebie z przeciwnych brzegów tego jeziora zlewały się coraz bardziej i bardziej w jedną kosmopolityczną kulturę. W wymiarze prawnym i wojskowym było to cesarstwo rzymskie, świat ten jednak był znacznie bardziej wielowymiarowy. Można go nazwać przesadnym w tym sensie, że skupiał w sobie wielką liczbę przeróżnych przesądów; ale w żadnym razie nie można go nawet w części nazwać barbarzyńskim.

Religia chrześcijańska i Kościół katolicki narodziły się zatem na poziomie kosmopolitycznej kultury i wszystko w ich historii sugeruje, że odbierano je jako coś nowego i dziwnego. Ci, którzy starali się dowieść, że Kościół wyewoluował z czegoś o wiele łagodniejszego albo zwyczajniejszego, przekonali się, że w tym wypadku ich ewolucyjna metoda jest bardzo trudna do zastosowania. Można sugerować, że nasieniem, z którego wyrosło chrześcijaństwo, byli esseńczycy albo ebionici, albo ktoś jeszcze w tym rodzaju; nasienie jednak pozostaje niewidoczne, a na naszych oczach pojawia się zupełnie nagle w pełni wyrosnięte drzewo, i drzewo to jest zupełnie czymś innym. Niewątpliwie w pewnym sensie była to choinka, przechowująca dobroć i moralne piękno betlejemskiej opowieści, zarazem jednak było to drzewo bardziej rytualne niż siedmioramienny świecznik,

a liczba świec, które dźwigało, z pewnością przekraczała normy dopuszczone przez pierwszy modlitewnik króla Edwarda VI⁴⁸. Można by słusznie zapytać, dlaczego ktoś przyjmujący tradycję betlejemską miałby sprzeciwiać się złotym albo złoconym ozdobom, skoro Trzej Królowie sami ofiarowali złoto, i dlaczego miałby potępiać kadzidło w kościele, skoro zostało ono przyniesione nawet do stajni. Nie są to jednak kontrowersje, którymi mam zamiar się tu zajmować. Obchodzi mnie tylko historyczny fakt, coraz wyraźniej uznawany przez historyków, że już na samym początku historii chrześcijaństwa stało się ono czymś zauważalnym dla starożytnej cywilizacji; i że już wtedy Kościół jawił się jako Kościół, ze wszystkim, co Kościół oznacza i z wieloma rzeczami, za które Kościół darzony jest niechęcią. Za chwilę zajmiemy się tym, na ile przypominał on różne rytualne, magiczne lub ascetyczne misteria swoich czasów. Możemy być jednak pewni, że nie przypominał żadnego czysto etycznego lub idealistycznego ruchu naszych czasów. Miał swoją doktrynę; miał swoją dyscyplinę; miał sakramenty; miał stopnie wtajemniczenia; przyjmował ludzi albo ich wykluczał; jedną doktrynę potwierdzał siłą autorytetu, a inną obkładał anatemą. Jeśli wszystko to ma być znakiem rządów Antychrysta, to rządy Antychrysta nastąpiły bardzo szybko po czasach Chrystusa.

⁴⁸ Modlitewnik Edwarda VI - wprowadzony w latach 1549 i 1552 dokument określający ostatecznie protestancki charakter Kościoła anglikańskiego; zawierał wiele przepisów dotyczących uproszczenia liturgii, m.in. usunięcia szat liturgicznych i zbędnych ozdób.

Ci, którzy twierdzą, że chrześcijaństwo na początku nie było Kościołem, ale moralistycznym ruchem idealistów, zmuszeni są cofać datę degeneracji czy też dezintegracji tego prawdziwego chrześcijaństwa w coraz to dalszą przeszłość. Biskup Rzymu jeszcze za życia św. Jana Ewangelisty powołuje się w liście na swój autorytet, i fakt ten określa się mianem pierwszej papieskiej agresji. Przyjaciół Apostołów pisze o nich jako o ludziach, których znał, i twierdzi, że to oni przekazali mu doktrynę Sakramentu, a pan Wells mruczy, na to pod nosem, że powrót do barbarzyńskich rytuałów krwi mógł nastąpić wcześniej, niż do tej pory przypuszczano. Data powstania czwartej Ewangelii, przez pewien czas stale przesuwana do przodu, teraz regularnie cofa się w coraz dalszą przeszłość, aż pewnego dnia krytykom zaświta przerażająca myśl, że być może jest ona tym, czym śmie się nazywać. Ostateczna granica w poszukiwaniach jak najwcześniejszej daty rozpadu chrześcijaństwa została osiągnięta ostatnio przez niemieckiego profesora, na którego autorytet powołuje się dziekan Inge⁴⁹. Uczony ten twierdzi, że Pięćdziesiątnica była okazją do położenia pierwszych podwalin pod eklezjastyczny dogmatyczny i despotyczny Kościół - Kościół całkowicie sprzeczny z prostymi ideami Jezusa z Nazaretu. Zarówno z punktu widzenia popularnej, jak i specjalistycznej nauki można to uznać za ostateczną granicę. Co tego rodzaju

⁴⁹ Dr William Ralph Inge (1860-1954) - znany jako „ponury dziekan”; płodny pisarz, eseista i kaznodzieja anglikański okresu międzywojennego; przez 23 lata sprawował urząd dziekana katedry św. Pawła w Londynie

naukowcy myślą sobie o ludziach? Przypuśćmy, że chodziłoby o jakikolwiek wyłącznie ludzki ruchana przykład ruch sprzeciwiający się z pobudek moralnych służbie wojskowej. Niektórzy twierdzą, że pierwsi chrześcijanie byli pacyfistami; nie wierzę w to ani przez chwilę, ale jestem gotów przyjąć to porównanie dla dobra dyskusji. Przypuśćmy, że Tołstoj albo jakiś inny wielki apostoł pokoju wśród chłopów ginie zastrzelony jako buntownik za sprzeciwianie się poborowi do wojska. Jakiś czas potem jego nieliczni wyznawcy zbierają się w sali na górze, by uczcić jego pamięć. Nie mają żadnego powodu, żeby się spotykać, poza tym wspólnym wspomnieniem; są to ludzie różnego pokroju, których nie wiąże nic poza tym, że najważniejszym wydarzeniem w ich życiu była tragiczna śmierć owego głosiciela powszechnego pokoju. Cały czas powtarzają jego słowa, zastanawiają się nad roztrząsanymi przez niego problemami i starają się naśladować jego charakter. A zatem pacyfiści spotykają się na swojej pięćdziesiątnicy i nagle ogarnia ich ekstatyczny entuzjizm i dziki podmuch wiatru inspiracji, w wyniku którego postanawiają wprowadzić powszechny pobór do wojska, zwiększyć nakłady na marynarkę wojenną, zmusić wszystkich, by chodzili uzbrojeni po zęby, i zadbać o to, by wszystkie granice były najeżone artylerią. Na zakończenie posiedzenia odśpiewują znane piosenki *Boys of the Bulldog Breed*⁵⁰ i *Don't let them scrap*

⁵⁰ *Boys of the Bulldog Breed* - dosł. „Chłopcy z rasy buldogów”; to miano nadała angielskim marynarzom popularna piosenka musicalowa z 1887 r.

*the British Navy*⁵¹. Oto coś, co można uczciwie porównać z teorią wspomnianych przed chwilą krytyków, a mianowicie, że Apostołowie przeszli od idei Jezusa do idei katolicyzmu w małej sali na górze w dniu Pięćdziesiątnicy. Niewątpliwe zdrowy rozsądek podpowiedziałby każdemu, że entuzjaści, którzy spotkali się tylko z powodu wspólnego entuzjazmu dla przywódcy, którego kochali, nie zabraliby się natychmiast do budowania tego, czego on nienawidził. Nie. Jeśli „system eklezjalny i dogmatyczny” jest tak stary jak Pięćdziesiątnica, to musi on być tak stary jak chrześcijaństwo. Jeśli potrafimy dowieść, że wywodzi się on od tak wczesnych chrześcijan, to musi się on wywodzić od samego Chrystusa.

Możemy zatem zacząć od dwóch następujących zaprzeczeń. Nonsensem jest twierdzić, że wiara chrześcijańska pojawiła się w nieskomplikowanych czasach, to znaczy w czasach niepiśmiennych i naiwnych. Takim samym nonsensem jest mówić, że wiara chrześcijańska była nieskomplikowaną rzeczą, to znaczy rzeczą ogólnikową, dziecinną albo czysto instynktowną. Być może jedyny aspekt, w którym można by powiedzieć, że Kościół pasował do świata pogańskiego, to fakt, że obydwa były nie tylko wysoce cywilizowane, ale także raczej złożone. Obydwa były wręcz zdecydowanie wielostronne, tyle że starożytność była wielostronną dziurą, czymś w rodzaju sześciokąt-

⁵¹ *Don't let them scrap the British Navy* - dosł. „Nie pozwólcie im oddać marynarki brytyjskiej na złom”; popularna piosenka wydana na płycie w 1922 r.

nego otworu czekającego na równie sześciokątny kołek. W tym sensie tylko Kościół był wystarczająco wielowymiarowy, by pasować do świata. Sześć stron śródziemnomorskiego świata zwracało się ku sobie ponad powierzchnią morza w oczekiwaniu na coś, co spoglądałoby w sześciu kierunkach równocześnie. Kościół musiał być jednocześnie i rzymski, i grecki, i żydowski, i afrykański, i azjatycki. Dosłownie tak, jak to ujął Apostoł Pogan, był on wszystkim dla wszystkich. Chrześcijaństwo nie było zatem prymitywne ani prostackie; było absolutnym przeciwieństwem wytworu czasów barbarzyństwa. Zaraz jednak natykamy się na drugi, i to o wiele bardziej uzasadniony zarzut. Otóż znacznie bardziej uzasadnione jest twierdzenie, że wiara była jedynie ostatnią fazą rokładu cywilizacji pojmowanej jako nadmiar cywilizacji i że pojawienie się takiego przesądu świadczy o zbliżającej się śmierci Rzymu — śmierci z przecywilizowania. Jest to argument bardziej niż poprzedni godny uwagi, którą teraz właśnie mu poświęcimy.

Na początku tej książki pokusiłem się o jej ogólne podsumowanie, porównując wyłonienie się ludzkości ze świata natury do wyłonienia się chrześcijaństwa z ogromu historii. Zauważyłem wówczas, że w obu wypadkach coś, co nastąpiło wcześniej, mogło sugerować możliwy rozwój wydarzeń, ale rozwój w niczym nieprzypominający tego, co rzeczywiście nastąpiło. Bezstronny umysł obserwujący małe człokształtne mógłby przewidzieć pojawienie się kolejnych antropoidów; nie mógłby natomiast przewidzieć pojawienia się człowieka ani niczego nawet

minimalnie zbliżonego do tego, czego człowiek dokonał. Krótko mówiąc, umysł taki mógłby sobie wyobrazić obraz pitekantropa albo brakującego ogniwa mającego w przyszłości, o ile to możliwe, równie mgliście i wątpliwie, jak dla nas mający on w przeszłości. Ale gdyby umysł ten przewidział jego pojawienie się, przewidywałby także jego zniknięcie i to, że pozostawi on po sobie kilka niewyraźnych śladów jak te, które rzeczywiście zostawił, o ile w ogóle były to jego ślady. Przewidzieć istnienie brakującego ogniwa nie znaczy jeszcze przewidzieć istnienie człowieka albo czegośkolwiek zbliżonego do człowieka. Musimy pamiętać o tym wcześniejszym wyjaśnieniu, gdyż stanowi ono dokładny odpowiednik prawdziwego spojrzenia na Kościół, spojrzenia, które przeczy sugestii, jakoby wyewoluował on w sposób naturalny z rozkładu imperium.

Prawda jest bowiem taka, że w pewnym sensie człowiek mógłby całkiem łatwo przewidzieć, iż dekadencja cesarstwa doprowadzi do powstania, czegoś w rodzaju chrześcijaństwa. To znaczy czegoś odrobinę podobnego, a równocześnie nieskończenie różnego. Człowiek mógłby na przykład z łatwością powiedzieć: „Pogoń za przyjemnością przybrała tak ekstrawaganckie formy, że teraz nastąpi zwrot w stronę pesymizmu. Być może przyjmie on postać ascetyzmu; ludzie zaczną się okaleczać, zamiast po prostu się powiesić”. Albo mógłby stwierdzić całkiem rozsądnie: "Kiedy znudzą się nam nasze greckie i rzymskie bóstwa, zaczniemy tęsknić za taką czy inną wschodnią tajemnicą przyjdzie moda na Persów i Hindusów". A jakiś

światowy człowiek mający dość przenikliwości mógłby dodać: „Możni ulegają tego rodzaju modom; któregoś dnia dwór ulegnie jednej z nich i uczyni ją religią państwową”. Jeszcze innemu, bardziej ponuremu prorokowi można by także wybaczyć stwierdzenie: „Świat stacza się coraz bardziej i wkrótce powróci do mrocznych, barbarzyńskich przesądów, obojętnie których; wszystkie one będą bezkształtne i ulotne jak sny”.

Otóż niezwykle interesującą stroną tych przepowiedni jest to, że wszystkie one się wypełniły, ale nie za sprawą Kościoła. Kościół bowiem jako jedyny zdołał się przed tymi zjawiskami uchronić, zdołał je zdyskredytować i odnieść nad nimi zwycięstwo. O ile było prawdopodobne, że hedonizm ze swej natury wywoła zwykłą reakcję w postaci ascezy, o tyle wywołał on zwykłą reakcję w postaci ascezy. Reakcja ta przyjęła formę ruchu zwanego manichejskim, a Kościół był jego śmiertelnym przeciwnikiem. O ile ruch taki mógł w sposób naturalny pojawić się w tym momencie historii, o tyle rzeczywiście się pojawił, a potem w równie naturalny sposób zniknął. Zwrot ku pesymizmowi pojawił się wraz z manicheizmem i razem z nim odszedł w zapomnienie. Kościół jednak nie pojawił się ani nie zniknął na tej fali; miał o wiele więcej wspólnego z jej zniknięciem niż z jej pojawieniem się. Podobnie, o ile wzrost sceptycyzmu mógł wywołać modę na wschodnią religię, o tyle faktycznie ją wywołał; z serca Persji, daleko spoza Palestyny nadciągnął Mitra i przyniósł ze sobą dziwne misteria byczej krwi. Niewątpliwie wszystko wskazywało na to, że tego rodzaju mody tak czy inaczej musiały się

pojawić. Z pewnością jednak nic nie wyjaśniało, dlaczego jedna z takich mód miałyby nie przeminąć. Niewątpliwie moda na orientalizm była czymś wyjątkowo pasującym do realiów czwartego i piątego wieku, to jednak nie tłumaczy jeszcze, dlaczego jeden z jej przejawów miałby przetrwać do wieku dwudziestego i wcale nie stracić na sile. Krótko mówiąc, o ile można się było w tym czasie spodziewać podobnych zjawisk, o tyle zjawiska takie jak kult Mitry rzeczywiście miały wówczas miejsce. To jednak nie tłumaczy naszych bardziej aktualnych doświadczeń. I gdybyśmy mieli nadal być wyznawcami Mitry jedynie dlatego, że noszone w tym kulcie nakrycia głowy i inne perskie akcesoria były prawdopodobnie ostatnim krzykiem mody za Domicjana, dziś wyglądalibyśmy w nich raczej niemodnie.

Tak samo, jak przekonamy się za chwilę, wygląda sprawa faworyzowania religii przez państwo. O ile takiej faworyzacji wobec jakiejś przemijającej mody można by się spodziewać w okresie rozkładu i upadku imperium rzymskiego, o tyle coś takiego naprawdę istniało w tymże imperium i upadło wraz z nim. Nie rzuca to natomiast światła na coś, co całkiem świadomie nie zechciało rozłożyć się i upaść; na coś, co wzrastało stale, podczas gdy imperium przeżywało rozkład i upadek, i co do dziś sunie naprzód z nieustraszoną energią, choć zakończył się cykl kolejnego eonu i wygląda na to, że kolejna cywilizacja rozkłada się i wkrótce upadnie.

Co ciekawe, właśnie te herezje, o których stłumienie obwinił się Kościół, świadczą o niesprawiedliwości krytyki kierowa-

nej pod jego adresem. O ile w ogóle coś zasługiwało na krytykę, o tyle zasługiwała na nią rzecz, za której krytykowanie krytykuje się Kościół. O ile rzeczywiście istniał jakiś przesąd, o tyle Kościół sam go potępiał. O ile rzeczywiście nastąpił powrót do barbarzyństwa, o tyle Kościół opierał się mu właśnie dlatego, że był to powrót do barbarzyństwa. O ile coś było w upadającym imperium modą, która zasługiwała na śmierć, o tyle Kościół sam ją uśmiercił. Kościół oskarża się dokładnie o to, za co on prześladował herezje. Wywody historyków-ewolucjonistów i innych wysublimowanych krytyków faktycznie wyjaśniają, dlaczego narodził się arianizm, gnostycyzm i nestorianizm - i dlaczego herezje te musiały umrzeć. Nie wyjaśniają natomiast zupełnie, dlaczego narodził się Kościół - i dlaczego dotąd nie umarł. Nade wszystko zaś nie wyjaśniają, dlaczego Kościół zwalczał dokładnie te wady, które podobno sam miał.

Przyjrzyjmy się zatem kilku praktycznym przykładom działania zasady, zgodnie z którą coś, co było przesądem umierającego imperium, naprawdę umarło wraz z nim, a przy tym z pewnością nie było tożsame z czymś, co je zniszczyło. W tym celu weźmy po kolei dwie albo trzy najpopularniejsze wśród współczesnych krytyków teorie pochodzenia chrześcijaństwa. Nie ma nic prostszego, niż w pracy któregoś z nich znaleźć następujące stwierdzenie: „Chrześcijaństwo było przede wszystkim ruchem ascetów, ucieczką na pustynię, schronieniem się do klasztoru, odrzuceniem wszystkich przejawów życia i radości; była to część ponurej i nieludzkiej reakcji przeciwko samej

naturze, wyrażającej się w nienawiści ciała, lęku przed światem materialnym i czymś w rodzaju powszechnego samobójstwa zmysłów, a nawet samego „ja”. Chrześcijaństwo zrodziło się ze wschodniego fanatyzmu w rodzaju fanatyzmu fakirów, a jego ostatecznym źródłem był wschodni pesymizm, który samo istnienie najwyraźniej uważał za zło”.

Otóż najbardziej niezwykle jest to, że wszystkie te zarzuty są całkiem prawdziwe; są one prawdziwe pod każdym względem oprócz tego, że przypadkiem pomyłono ich adresata. Nie zawierają one prawdy o Kościele; zawierają prawdę o potępianych przez Kościół heretykach. To tak, jakby ktoś napisał niezwykle szczegółową analizę błędów rządu króla Jerzego III, czyniąc jedynie tę drobną nieścisłość, że przypisałby je rządowi Jerzego Waszyngtona, albo jakby skrupulatnie wyliczył zbrodnie bolszewików, tyle że przypisałby je caratowi. Pierwotny Kościół faktycznie praktykował ścisłą ascezę, ale w związku z zupełnie inną filozofią, co nie zmienia faktu, że filozofia walki z życiem i naturą samą w sobie istniała naprawdę, gdyby tylko krytycy wiedzieli, gdzie jej szukać.

A oto jak było naprawdę. Wiara chrześcijańska, gdy tylko pojawiła się na świecie, została od razu wpłątana w gąszcz pochodzących głównie ze Wschodu mistycznych i metafizycznych sekt, jak jedna jedyna złota pszczoła otoczona przez rój os. Zwykły widz nie dostrzegał między nimi większej różnicy, a właściwie nie słyszał nic poza ogólnym brzęczeniem; w pewnym sensie rzeczywiście niewiele je różniło, przynajmniej jeśli

chodzi o możliwość żądlenia i bycia użądlonym. Jediną różnicą było to, że samotny złoty punkcik w wirze złotego pyłu jako jedyny mógł zbudować dla całej ludzkości ule, dać jej miód i воск, czyli (jak zostało powiedziane w innym, zbyt łatwo zapominanym kontekście) „dwie naj szlachetniej sze rzeczy - słodycz i światło”. Osy wyginęły jeszcze tej samej zimy i cała trudność polega na tym, że prawie nic o nich nie wiadomo i mało kto zdaje sobie nawet sprawę z ich istnienia; w ten sposób utraciliśmy historię całej tej pierwszej fazy istnienia naszej wiary. Można też powiedzieć, zmieniawszy metaforę, że kiedy ruch chrześcijański czy jakiś inny przerwał tamę między Wschodem i Zachodem, wnosząc do Europy własne mistyczne idee, wiele innych mistycznych idei przelało się wraz z nim jak fala powodzi; większość z nich dotyczyła ascetyzmu, a prawie wszystkie były pesymistyczne. Mało brakowało, by całkowicie zatopiły i zniosły element czysto chrześcijański. Ich ojczyzną było przede wszystkim mgliste pogranicze wschodnich filozofii i wschodnich mitologii, dzielących z bardziej szalonymi filozofiami upodobanie do tworzenia fantastycznych teorii kosmosu w postaci map i drzew genealogicznych. Były wśród tych idei takie, które podobno wywodziły się od tajemniczego Maniego. Nazywa się je zatem manichejskimi; pokrewne im kulty określa się zazwyczaj jako kulty gnostyckie. Są one zwykle ogromnie skomplikowane, ale elementem szczególnie wartym podkreślenia jest ich pesymizm - fakt, że niemal wszystkie tak czy inaczej uważały stworzenie świata za dzieło złego ducha.

Niektóre z nich miały tę azjatycką atmosferę, jaka otacza buddyzm; sugerowały mianowicie, że życie jest degradacją czystego istnienia. Niektóre z nich zakładały istnienie czysto duchowego porządku, który został zakłócony przez pospolitą i nieudolną sztuczkę, jaką było stworzenie błyskotek w rodzaju słońca, księżyca i gwiazd. A zatem tak czy inaczej mroczny potop z głębi metafizycznego morza leżącego pośrodku Azji przelał się przez tamę równocześnie z wiarą w Chrystusa. Najważniejsze jednak jest to, że zjawiska te nie były tożsame; płynęły obok siebie jak olej i woda. Prawdziwa wiara jakimś cudem zachowała swój kształt niczym rzeka płynąca dalej przez ocean. I znowu dowód prawdziwości tego cudu był całkiem praktyczny: cały ocean niósł w sobie słony i gorzki smak śmierci, natomiast z tego jednego strumienia pośrodku, człowiek mógł pić bez obaw.

Czystość strumienia ocaliły dogmatyczne definicje i wykluczenia. Nic innego nie mogłoby jej ocalić. Gdyby Kościół nie potępił manichejczyków, sam mógłby stać się manichejski. Gdyby nie potępił gnostyków, sam mógłby stać się gnostycki. Ale przez sam fakt takiego potępienia dowiódł, że nic jest ani gnostycki, ani manichejski. W każdym razie dowiódł, że istnieje coś, co nie jest ani gnostyckie, ani manichejskie. Cóż bowiem mogło potępić te ruchy, jeśli nie autentyczna dobra nowina posłańców z Betlejem i nie trąba Zmartwychwstania? Pierwotny Kościół, co prawda, praktykował ascezę, odcinał się jednak od pesymizmu, właśnie potępiając pesymistów.

Doktryna chrześcijańska głosiła, że człowiek jest grzeszny, ale nie głosiła, że życie jest złe, i dowiodł tego potępiając tych, którzy tak twierdzili. Potępienie pierwszych heretyków przez Kościół samo spotyka się z potępieniem jako przejaw umysłowej ciasnoty i ograniczenia, w rzeczywistości jednak Kościół udowodnił przez nie, że dążył do braterstwa i otwartości. Był to dowód, że pierwotnym chrześcijanom szczególnie zależało na wyjaśnieniu, iż *nie* uważają człowieka za złego do szpiku kości, *nie* uważają życia za nieuleczalną udrękę, *nie* uważają małżeństwa za grzech ani prokreacji za tragedię. Chrześcijanie byli ascetami, ponieważ ascetyzm był jedynym sposobem na oczyszczenie świata z grzechów. Równocześnie jednak ich grzmiące anatemy potwierdzały raz na zawsze, że ich ascetyzm nie ma być przeciwny człowiekowi ani naturze i że zależy im na oczyszczeniu świata, a nie na jego zniszczeniu. Nic poza anatemi nie mogło tego dowieść równie jasno, zwłaszcza wobec powszechnego pomylenia pojęć, które do dziś myli chrześcijan z ich śmiertelnymi wrogami. Nic poza dogmatem nie mogło oprzeć się orgii fantastycznych pomysłów, które wytaczali do walki z naturą pesymiści z ich eonami i demiurgami, z ich dziwnym logosem i złowieszczą sofia. Gdyby Kościół nie upierał się przy teologii, stopniałby do wymiaru szalonej mitologii mistyków, o wiele bardziej oddalonej od rozumu, a nawet od racjonalizmu, a przede wszystkim o wiele bardziej oddalonej od życia i od umiłowania go. Nie zapominajmy, że byłaby to mitologia całkowicie odwrócona, zaprzeczająca wszystkiemu,

co naturalne w pogaństwie; mitologia, w której Pluton stałby wyżej od Jupitera, a Hades mieściłby się wyżej od Olimpu, w której Brahma i wszystko, co ma tchnienie życia, byłoby podporządkowane Sziwie, błyskającemu okiem śmierci.

Fakt, że Kościół pierwotny sam był pełen ekstatycznego entuzjazmu dla wyrzeczenia i dziewictwa, czyni to rozróżnienie bardziej, a nie mniej uderzającym. Sprawia, że wyznaczone przez dogmat granice owego entuzjazmu nabierają jeszcze większego znaczenia. Człowiek mógł czołgać się na czworakach dlatego, że był ascetą. Mógł stać dzień i noc na szczycie słupa i być podziwiany za to, że był ascetą. Nie mógł jednak powiedzieć, że świat jest pomyłką albo małżeństwo życiem w grzechu, i nie stać się heretykiem. Czy cokolwiek równie świadomie odżegnywałoby się od wschodniego ascetyzmu za pomocą ostrych definicji i zdecydowanej odmowy, gdyby nie miało własnego, i to zupełnie odmiennego charakteru? Jeśli chrześcijanie myleni są z gnostykami, możemy jedynie powiedzieć, że nie dzieje się tak z ich winy. Trochę to jednak niesprawiedliwe, że katolicy przez tych samych krytyków obwiniani są o prześladowanie heretyków i o sympatyzowanie z herezją.

Kościół nie był ruchem manichejskim choćby dlatego, że w ogóle nie był ruchem. Nie był nawet ruchem ascetycznym, gdyż wcale nie był ruchem. Słuszniej byłoby nazwać go pogromcą niż propagatorem albo odkrywcą ascetyzmu. Kościół miał własną teorię ascetyzmu i własny rodzaj ascetyzmu, ale w tamtym momencie rzucał się w oczy przede wszystkim jako

poskramiacz innych teorii i typów ascetyzmu. Tylko ten fakt może nadać sens historii na przykład św. Augustyna. Dopóki Augustyn był zwykłym światowcem, człowiekiem płynącym z prądem swoich czasów, dopóty faktycznie był manichejczykiem. Bycie manichejczykiem było czymś całkiem modnym i postępowym. Gdy jednak został katolikiem, pierwszymi ludźmi, przeciwko którym się zwrócił i których rozniósł na strzepy, byli manichejczycy. Przedstawiając tę przemianę z katolickiego punktu widzenia, można by powiedzieć, że św. Augustyn przestał być pesymistą, żeby stać się ascetą. Ale z punktu widzenia pesymistycznej teorii ascetyzmu można by powiedzieć, że przestał być ascetą, żeby stać się świętym. Wojna przeciwko życiu i odrzucenie natury były dokładnie tym, co Augustyn znalazł już wcześniej w pogańskim świecie otaczającym Kościół i co musiał odrzucić, wstępując do Kościoła. Sam fakt, że pozostaje on postacią nieco surowszą i smutniejszą niż św. Franciszek albo św. Teresa, jeszcze bardziej podkreśla ten dylemat. Stojąc twarzą w twarz z najpoważniejszym, a nawet najposepniejszym z katolików, nadal możemy pytać: „Dlaczego katolicyzm zwalczał manichejczyków, jeżeli sam był manichejski?”.

Weźmy kolejną racjonalistyczną teorię powstania chrześcijaństwa. Nierzadko z ust innego krytyka możemy usłyszeć, co następuje: „Chrześcijaństwo tak naprawdę nie narodziło się samo, to znaczy nie było oddolną inicjatywą, ale czymś narzucenym z góry. Jest to przykład władzy urzędników; jaką widzimy zwłaszcza w państwach despotycznych. Cesarstwo było

naprawdę cesarstwem, to znaczy było naprawdę rządzone przez cesarza. Jeden z cesarzy przypadkiem został chrześcijaninem. Równie dobrze mógł zostać wyznawcą Mitry albo żydem, albo czcicielem ognia; w okresie upadku cesarstwa przyjmowanie takich ekscentrycznych wschodnich wyznań było powszechne wśród znaczących i wykształconych osób. Ale kiedy cesarz przyjął chrześcijaństwo, stało się ono religią państwową cesarstwa rzymskiego, a kiedy stało się religią państwową cesarstwa rzymskiego, stało się równie silne, równie uniwersalne i równie niezwyciężone jak samo cesarstwo. Przetrwało na świecie jedynie jako relikw tegoż cesarstwa czy też, jak ujmowało to wielu krytyków, jest dziś jedynie: duchem Cezara unoszącym się nad Rzymem". Bardzo popularnym stanowiskiem krytyków ortodoksji jest twierdzenie, że stała się ona ortodoksją jedynie dzięki upaństwowieniu. Twierdzenie to na naszą prośbę również mogą obalić sami heretycy.

Cała wielka historia herezji ariańskiej robi wrażenie wymyślonej specjalnie po to, by storpedować tę ideę. Jest to historia bardzo interesująca i często powtarzana w tym kontekście, a wynika z niej mniej więcej tyle, że o ile kiedykolwiek istniała rzeczywiście religia państwowa, o tyle umarła ona właśnie dlatego, że była religią państwową, a tym, co ją zniszczyło, była prawdziwa religia. Ariusz zaproponował wersję chrześcijaństwa zmierzającą mniej więcej w kierunku, który my nazwalibyśmy unitariańskim, chociaż niedokładnie, ponieważ przyznawał Chrystusowi dziwaczną pośrednią pozycję między istotą boską

a ludzką. Chodzi przede wszystkim o to, że wersja ta wydawała się wielu rozsądniej sza i mniej fanatyczna, a wśród jej zwolenników było wielu ludzi wykształconych, którzy chcieli niejako odreagować pierwsze romantyczne porywy nawrócenia: Arianie byli raczej odłamek umiarkowanym i kimś i w rodzaju modernistów. Czuło się, że po pierwszych sprzeczkach przyszła kolej na ostateczną zracjonalizowaną formę religii, która byłaby do przyjęcia dla cywilizacji. Przyjął ją ostatecznie sam Boski Cezar i uczynił państwową ortodoksją; zapatrzeni w przyszłość generałowie i zbrojni książęta pochodzący z nowych barbarzyńskich potęg północy popierali ją ze wszystkich sił. Ale jeszcze ważniejsze okazało się to, co stało się potem. Zupełnie tak samo, jak współczesny człowiek może przejść od unitarianizmu do całkowitego agnostycyzmu, tak największy z ariańskich cesarzy ostatecznie zrzucił ostatni najlichszy pozór chrześcijaństwa; porzucił nawet Ariusza i wrócił do Apolla. Był to cesarz z cesarzy; żołnierz, uczony, człowiek wielkich ambicji i ideałów; jeszcze jeden filozof na tronie. Wydawało mu się, że na jego skinienie znowu wstało słońce. Wyrocznie przemówiły jak ptaki odzywające się o świecie; pogaństwo znów było sobą; bogowie powrócili. Wyglądało na to, że nadszedł kres dziwnego interludium obcych przesądów. I rzeczywiście nadszedł jego kres o tyle, o ile faktycznie interludium to stworzyły zwyczajne przesady. Nastąpił koniec tego, co naprawdę stanowiło osobistą fascynację cesarza albo modę jednego pokolenia. Jeśli rzeczywiście coś zaczęło się od Konstantyna, to skończyło się na Julianie.

Istniało jednak coś, co się nic skończyło. Pojawił się w tej godzinie historii ktoś, kto zignorował demokratyczny tumult kościelnych soborów: Atanazy przeciw światu. Możemy zatrzymać się chwilę nad przedmiotem tego sporu, jako że jest on istotny dla naszej religijnej opowieści, a współczesny świat najwyraźniej w ogóle nie widzi, o co w nim chodzi. Można by to ująć następująco. Jeśli jest jakaś kwestia, którą oświeceni liberałowie mają zwyczaj wyśmiewać i stawiać za przykład bezpłodnego dogmatu i jałowego sekciarskiego sporu, to kwestią tą jest podnoszony przez Atanazego problem współwieczności Syna Bożego. Z drugiej zaś strony, jeśli jest coś, co ci sami liberałowie przedstawiają nam jako przykład czystego, nieskomplikowanego chrześcijaństwa, to tym czymś jest zdanie "Bóg jest Miłością". A przecież są to stwierdzenia niemal identyczne; w każdym razie jedno jest prawie całkiem absurdalne bez drugiego. Jałowy dogmat jest jedynie logicznym ujęciem pięknego sentymentu. Jeżeli bowiem Bóg jest istotą niemającą początku, istniejącą przed wszystkimi rzeczami, to czy kochał On wtedy, gdy nie było co kochać? Jeśli przez niewyobrażalną wieczność był samotny, to jaki sens ma mówienie, że jest On miłością? Jedynym usprawiedliwieniem tej tajemnicy jest uznanie, że w Jego naturze od początku istniało coś odpowiadającego autoekspresji; coś, co ma zdolność rodzenia i postrzegania tego, co zostało zrodzone. Bez takiej mniej więcej koncepcji komplikowanie ostatecznej istoty bóstwa pojęciem miłości jest naprawdę nielogiczne. Jeśli współcześni naprawdę tęsknią za prostą religią miłości, muszą jej szukać w Atana-

zjańskim Credo. W rzeczywistości hejnał prawdziwego chrześcijaństwa, wyzwanie prostoty i miłosierdzia Betlejem czy też świąt Bożego Narodzenia nigdy nie brzmiał bardziej uderzająco i nieomylnie niż w sprzeciwie Atanazego wobec zimnego kompromisu arian. To właśnie Atanazy walczył po stronie Boga Miłości przeciwko bogu bezbarwnej i odległej kosmicznej władzy; przeciwko bogu stoików i agnostyków. To właśnie on walczył po stronie Najświętszego Dzieciątka przeciwko siwemu bóstwu faryzeuszy i saduceuszy. Walczył w obronie równowagi piękna współzależności i intymności w Boskiej Trójcy, która pociąga nasze serca w trójcy Świętej Rodziny. Jego dogmat, jeśli dobrze zrozumieć to określenie, zmienia nawet samego Boga w Świętą Rodzinę.

To, że czysto chrześcijański dogmat po raz drugi został przeciwstawiony cesarstwu i w efekcie Kościół po raz drugi narodził się wbrew woli cesarstwa, jest samo w sobie dowodem, że w świecie działała jakaś pozytywna, osobowa siła, różna od państwowej wiary, jaką akurat zechciało przyjąć cesarstwo. Siła ta szła swoją drogą, tak jak idzie nią do dzisiaj. Istnieje bardzo wiele przykładów powtarzających dokładnie ten sam proces, z którym mieliśmy do czynienia w przypadku manichejczyków i arian. Na przykład kilka wieków później Kościół znów musiał bronić tej samej Trójcy, będącej po prostu logiczną stroną miłości, przeciwko samotności uproszczonego bóstwa, które pojawiło się raz jeszcze w religii islamu. A jednak są ludzie, którzy nie mogą zrozumieć, o co takiego walczyli krzyżowcy.

Są nawet tacy, którzy wypowiadają się tak, jakby chrześcijaństwo nigdy nie było niczym innym, jak tylko formą czegoś, co oni nazywają hebraizmem, połączonym z upadkiem hellenizmu. Ludzie ci faktycznie muszą bardzo się głowić nad sensem wojny między Półksiężycem i Krzyżem. Gdyby chrześcijaństwo nigdy nie było niczym innym, jak tylko prostą moralnością, która zmiotła politeizm nie byłoby powodu, dla którego nie miałoby zostać zagarnięte przez islam. W rzeczywistości sam islam był barbarzyńską reakcją przeciwko tej niezwykle ludzkiej złożoności, która stanowi o charakterze chrześcijaństwa; przeciwko idei równowagi wewnątrz bóstwa podobnej do równowagi wewnątrz rodziny. To właśnie ta idea uczyniła wiarę tożsamą z trzeźwością umysłu, która jest duszą cywilizacji. Oto dlatego Kościół od samego początku broni własnej pozycji i punktu widzenia, zupełnie niezależnie od przypadkowi anarchii, jakie napotyka w swoich czasach. Oto dlatego rozdaje razy bezstronnie na prawo i na lewo, mierząc w pesymizm manichejczyków albo w optymizm pelagian. Chrześcijaństwo nie było ruchem manichejskim, ponieważ wcale nie było ruchem. Nie było modą państwową, bo wcale nie było modą. Było czymś, co mogło pokrywać się w czasie z różnymi ruchami i modami, potrafiło nad nimi panować i zdołało je przeżyć.

Tak oto mogliby powstać z grobów wielcy herezjarchowie, by popsuć szyki swoim dzisiejszym towarzyszom. W twierdzeniach współczesnych krytyków nie ma nic, czemu nie mogliby na naszą prośbę zaprzeczyć ci wielcy świadkowie. Jeden z kry-

tyków twierdzi na przykład od niechcenia, że chrześcijaństwo było jedynie zwrotem ku ascetyzmowi i duchowości przeciwnej naturze; tańcem fakirów pałających nienawiścią do życia i miłości. Na to jednak Mani, wielki mistyk, odpowiada mu ze swego tajemnego tronu, wołając: „Ci chrześcijanie nie mają prawa nazywać się ludźmi ducha; ci chrześcijanie nie mają prawa nazywać się ascetami; oni, którzy zawarli kompromis z przekleństwem życia i całym plugastwem rodziny. To przez nich ziemia nadal zbrukana jest owocowaniem i żniwami, zanieczyszczona ludzkim pospółstwem. Chrześcijanie nie stworzyli ruchu przeciwko naturze - gdyby tak było, moje dzieci powiodłyby ich do zwycięstwa. Ci głupcy jednak próbowali odnawiać świat, który ja najchętniej zniszczyłbym jednym skinieniem". Inny krytyk pisze, że Kościół był tylko cieniem cesarstwa, konikiem przypadkowego cesarza i że trwa w Europie jedynie jako zjawia dawnej siły Rzymu. A na to diakon Ariusz odzywa się z mroków zapomnienia: „Nie, zaprawdę tak nie jest, w przeciwnym razie świat poszedłby za moją rozsądniejszą religią. To moja religia padła ofiarą demagogów i ludzi lekceważących Cezara; to mojego orędownika okrywał purpurowy płaszcz i moja była chwała orłów Rzymu. To nie z braku tych rzeczy poniosłem porażkę". Niezrażony niczym trzeci krytyk nowej generacji twierdzi, że wiara rozprzestrzeniła się jedynie jako coś w rodzaju paniki przed ogniem piekielnym, że ludzie podejmowali się niemożliwych rzeczy, byle uciec przed niewyobrażalną zemstą, przed koszmarem wyrzutów sumienia; takie wyjaśnienie

zadowoli wielu z tych, którzy widzą coś przerażającego w doktrynie ortodoksji. Na to jednak podnosi się przeciw nim straszliwy głos Tertuliana: „Dlaczego zatem ja zostałem odrzucony; dlaczego miękkie serca i puste głowy potępiły mnie, gdy ogłosiłem potępienie wszystkich grzeszników, i jaka to siła popsuła mi szyki, gdy groziłem wszystkim opieszalcom piekłem? Nikt bowiem nie poszedł tą trudną drogą tak daleko jak ja, i to do mnie należało stwierdzenie: *credo, quia impossibile*⁵²”. Istnieje jeszcze czwarta sugestia, głosząca, że cała sprawa przypominała tajny spisek Semitów; że była to nowa inwazja koczowniczego ducha, wstrząsająca znacznie przyjemniejszym i wygodniejszym światem pogańskim, jego miastami i domowymi bóstwami, i że spisek ten umożliwił zazdrosnym monoteistycznym plemionom ostateczne ustanowienie władzy ich zazdrosnego Boga. Słyszając to jednak, Mahomet odzywa się ze środka burzy, z tumanu czerwonego pustynnego piasku: „Kto kiedykolwiek jak ja służył Bożej zazdrości albo kto sprawił, że stał się On bardziej samotny na niebie? Kto bardziej niż ja otaczał wciąż Mojżesza i Abrahama albo odniósł więcej zwycięstw nad pogańskimi idolami i wizerunkami? Czym wobec tego była ta rzecz, która zaatakowała mnie z siłą żywego stworzenia, której fanatyzm wygnał mnie z Sycylii i wyrwał korzenie, które zapuściłem głęboko w skałach Hiszpanii? Jaką wiarę wyznawali owi

⁵² *Credo, quia impossibile* - „wierzę w to, bo to niemożliwe” - parafraza słów Tertuliana z dzieła *De carne Christi*.

przedstawiciele wszystkich stanów i krajów, którzy zbierali się tysiącami i krzyczeli, że mój upadek jest wolą Boga? Co takiego wystrzeliło Gotfryda jak z katapulty ponad murami Jerozolimy i co sprawiło, że wielki Sobieski przedarł się jak piorun aż do bram Wiednia? Sądzę, że w religii, która tak starła się z moją, musiało być o wiele więcej, niż wam się wydaje".

Ci, którzy chętnie przedstawiają wiarę chrześcijańską jako fanatyzm, są skazani na wieczne zagubienie. W ich opowieściach wiara przedstawia się jako fanatycznie broniąca niczego i fanatycznie atakująca wszystko. Jest równocześnie ascetyczna i walcząca z ascetami, rzymska i zbuntowana przeciwko Rzymowi, monoteistyczna i zaciekle zwalczająca monoteizm, surowo potępiająca surowość - jest, jednym słowem, zagadką, której nie sposób wyjaśnić nawet brakiem rozsądku. Bo jakież to brak rozsądku, który wydaje się rozsądny milionom wykształconych Europejczyków mimo wszystkich rewolucji, jakie dokonywały się przez około tysiąc sześćset lat? Zwykła łamigłówka albo paradoks czy też po prostu zwykły zamęt w głowie nie mogą zajmować ludzi tak długo. Nie znam innego wyjaśnienia owego zjawiska niż to, że chrześcijaństwo nie było pozbawione rozsądku, ale właśnie rozsądne; że jeśli broniło czegoś w sposób fanatyczny, to broniło rozsądku, a jeśli fanatycznie coś atakowało, to atakowało wszystko, co było rozsądku pozbawione. Tylko w ten sposób potrafię wyjaśnić fenomen religii zachowującej od samego początku taki dystans i taką pewność siebie, potępiającej rzeczy tak bardzo do niej podobne, odrzucającej pomoc sił, które

WIEKUISTY CZŁOWIEK

wydawały się niezbędne dla jej istnienia, dzielącej ze swej ludzkiej strony wszystkie namiętności epoki, a jednak zawsze w najważniejszym momencie wznoszącej się ponad nie, nigdy niemówiącej dokładnie tego, czego się po niej spodziewano i nigdy nieodwołującej tego, co powiedziała. Nie mogę znaleźć innego wyjaśnienia tego fenomenu niż to, że tak jak Pallas z głowy Jowisza, religia ta rzeczywiście wyłoniła się z umysłu Boga - dojrzała i mocna, uzbrojona na wojnę i sąd.

V

UCIECZKA OD POGAŃSTWA

Współczesny misjonarz, z jego słomkowym kapeluszem i parasolem, jest dziś postrzegany raczej jako postać humorystyczna. Światowcy pokpiwają sobie z niego z powodu łatwości, z jaką może on zostać zjedzony przez kanibali, oraz z powodu ciasnej bigoterii, która sprawia, że uważa on kulturę kanibali za niższą od jego własnej. Ale najlepsze w tych żartach jest to, że owi światowcy sami niedostrzegalnie dla siebie padają ofiarą własnego żartu. To przecież śmieszne pytać człowieka, który może być lada chwila ugotowany w kotle i zjedzony podczas czysto religijnej uroczystości, dlaczego nie uważa wszystkich religii za równie przyjazne i braterskie. Istnieje jednak także subtelniejsza krytyka wygłaszana pod adresem starszego typu misjonarza, sprowadzającą się do tego, że stosuje on zbyt daleko idące uogólnienia na temat pogan i poświęca za mało uwagi różnicom między Mahometem i afrykańskim bóstwem. Zarzut ten miał być może w sobie ziarnko prawdy, zwłaszcza w przeszłości; ja ze swej strony twierdzę jednak, że obecnie grozi nam przesada wyłącznie w przeciwnym kierunku. Profesorowie za bardzo

ulegają pokusie traktowania mitologii jako teologii; jako całkowicie przemyślanych i poważnie wyznawanych systemów. Intelktualiści za bardzo ulegają pokusie brania na poważnie delikatnych odcieni rozmaitych szkół w dość nieodpowiedzialnej metafizyce Azji. Nade wszystko jednak ulegają pokusie pomijania rzeczywistej prawdy zawartej w idei Akwinaty *contra gentiles* albo Atanazego *contra mundum*.

Jeśli misjonarz twierdzi, że jako chrześcijanin jest kimś wyjątkowym, i że cała reszta ras i religii może być zbiorowo zaklasyfikowana jako pogańska, ma absolutną rację. Może wypowiedzieć to twierdzenie w zupełnie nieodpowiednim duchu, przez co może być w duchowym błędzie. Ale w zimnym świetle filozofii i historii, z intelektualnego punktu widzenia, ma rację. Ma rację, nawet jeśli nie myśli racjonalnie. Ma ją, nawet jeśli nie wiadomo, z jakiej racji ją ma. Zewnętrzny świat, do którego ów misjonarz przychodzi ze swoją religią, rzeczywiście podlega pewnym uogólnieniom obejmującym całą jego różnorodność i nie jest jedynie różnorodnym zbiorem podobnych religii. Możliwe, że nazywanie go światem pogańskim za bardzo grozi popadnięciem w pychę lub hipokryzję. Może lepiej byłoby nazwać go po prostu światem ludzkim. Istnieją jednak pewne ogólne cechy tego, co nazywamy ludzkością, dopóki trwa ona w tym, co nazywamy pogaństwem. Nie są to koniecznie cechy złe; niektóre z nich zasługują na szacunek chrześcijańskiego świata, a niektóre zostały wchłonięte i przeistoczone przez chrześcijaństwo. Istniały one jednak przed chrześcijaństwem

i nadal istnieją obok chrześcijaństwa, z taką samą pewnością, z jaką morze istniało przed łodzią i nadal istnieje dookoła łodzi; i podobnie jak morze roztaczają one wokół silną powszechną i nieomylną woń.

Na przykład wszyscy prawdziwi uczeni, którzy studiowali kulturę Greków i Rzymian, mówią o niej jedną rzecz. Są zgodni co do tego, że w starożytnym świecie religia była czymś zupełnie innym niż filozofia. Robiono bardzo niewiele w tym celu, by zracjonalizować, a równocześnie uświadomić, sobie prawdziwą wiarę w bogów. Filozofowie stwarzali jedynie nikłe pozory takiej prawdziwej wiary. Ale ani przedstawiciele filozofii, ani religii nie mieli ochoty czy może siły do wzajemnych prześladowań, z wyjątkiem bardzo szczególnych i nadzwyczajnych przypadków. Ani filozof w swojej szkole, ani kapłan w swojej świątyni najwyraźniej nigdy nie traktowali swojej koncepcji świata jako rzeczywiście obejmującej cały świat. Kapłan składający ofiary Artemidzie w Kalidonie najwyraźniej nie myślał, że pewnego dnia ludzie zza morza będą składali ofiary właśnie tej bogini, zamiast składać je Izis; mędrzec stosujący wegetariańskie zasady neopitagorejczyków nie uważał najwyraźniej, że odniosą one powszechne zwycięstwo i wyprą metody Epikteta czy Epikura. Jeśli chcemy, możemy nazwać to liberalizmem; nie mam zamiaru spierać się o słowa opisujące tę atmosferę. Wszystko to, jak już powiedziałem, jest potwierdzone przez naukowców, ale być może ani uczeni, ani nieuczeni nic pojęli jak dotąd w pełni, że opis ten jest tak naprawdę wiernym opisem całej

niechrześcijańskiej cywilizacji dzisiejszego świata, a zwłaszcza wielkich cywilizacji Wschodu, Wschodnie pogaństwo, podobnie jak starożytne pogaństwo, jest naprawdę o wiele bardziej jednorodne, niż przypuszczają współcześni krytycy. To pierwsze jest wielobarwnym perskim dywanem, tak jak to drugie było różnorodną, złożoną z wielu kamieni rzymską posadzką; jedyne prawdziwe pęknięcie biegnące przez całą tę posadzkę powstało w wyniku trzęsienia ziemi towarzyszącego Ukrzyżowaniu.

Współczesny Europejczyk szukający dla siebie religii w Azji, tak naprawdę wnosi tam własne rozumienie religii. Jest ona tam czymś zupełnie innym; jest czymś zarówno mniejszym i większym niż w Europie. Człowiek taki przypomina kogoś, kto rysuje mapę morza, tak jakby to był ląd, zaznaczając szczyty fal jako szczyty górskie i nierozumiejąc istoty jego szczególnej wieczności. To święta prawda, że Azja ma własną godność, poezję i wysoko rozwiniętą cywilizację. Ale wcale nieprawda, że Azja ma własne, ściśle określone strefy moralnych wpływów, gdzie wszelką lojalność mierzy się w kategoriach moralności, jak wówczas, gdy mówi się, że Irlandia jest katolicka, a Nowa Anglia była purytańska. Mapa Azji nie ma wyznaczonych religii w naszym rozumieniu Kościołów. Panujący tam stan umysłu jest o wiele subtelniejszy, bardziej względny, bardziej tajemniczy, bardziej różnorodny i zmienny; jak kolor skóry węża. Muzułmanin stosunkowo najbardziej przypomina walczącego chrześcijanina, a to dlatego, że najbardziej przypomina on wysłannika zachodniej cywilizacji. Muzułmanin

w sercu Azji może niemal uchodzić za duszę Europy. I jak stoi on między Azją a Europą w wymiarze przestrzennym, tak stoi między Azją a chrześcijaństwem w wymiarze czasowym. W tym sensie muzułmanie w Azji są jedynie tym samym co nestorianie w Azji. Islam, z historycznego punktu widzenia, jest największą ze wschodnich herezji. Zawdzięcza on sporo zupełnie odizolowanej i wyjątkowej odrębności Izraela, ale znacznie więcej zawdzięcza Bizancjum i teologicznemu entuzjizmowi chrześcijaństwa. Zawdzięcza co nieco nawet wyprawom krzyżowym. Nie zawdzięcza natomiast absolutnie niczego Azji. Nie zawdzięcza niczego starożytnej tradycyjnej atmosferze azjatyckiego świata, z jego odwieczną etykietą i niezgłęzionymi albo zdumiewającymi filozofiami. Cała starożytna, właściwa Azja odebrała nadejście islamu jako nadejście czegoś obcego, zachodniego i wojowniczego, przeszywającego jak włócznia.

Nawet w tych miejscach, gdzie moglibyśmy linią przerywaną zaznaczyć strefy wpływów azjatyckich religii, prawdopodobnie przypisywalibyśmy im jakiś dogmatyczny i etyczny charakter, właściwy naszej religii. To tak, jakby jakiś Europejczyk, nieświadomy panującej w Ameryce atmosfery, przypuszczał, że każdy stan jest osobnym, niepodległym państwem, równie patriotycznym, jak Francja czy Polska, albo że kiedy Janek z czułością wspomina swoje „rodzinne miasto”, chce przez to powiedzieć, że nie ma innej narodowości, jak obywatel starożytnych Aten albo Rzymu. Tak samo jak on przypisywałby pewien typ lojalności Ameryce, tak my przypisujemy pewien

typ lojalności Azji. Istnieją tam inne typy lojalności, ale nie te, które człowiek Zachodu ma na myśli, mówiąc, że jest wierzący albo że stara się być chrześcijaninem lub dobrym protestantem albo praktykującym katolikiem. W świecie intelektualnym Azji lojalność oznacza coś o wiele bardziej mglistego i zróżnicowanego, nie wolnego od wątpliwości i spekulacji. W świecie moralnym oznacza ona o wiele większą swobodę i zmienność. Profesor języka perskiego na jednym z naszych wielkich uniwersytetów, tak zagorzały zwolennik Wschodu, że niemal głoszący pogardę dla kultury zachodniej, powiedział kiedyś do jednego z moich przyjaciół: „Nigdy nie zrozumiesz orientalnych religii, bo zawsze wyobrażasz sobie religię jako coś związanego z etyką. Ten rodzaj religii nie ma z nią naprawdę nic wspólnego”. Większość z nas spotkała kiedyś jakiegoś Mistrza Wyższej Mądrości, jakiegoś Pielgrzyma na Ścieżce Mocy, jakiegoś ezoterycznego wschodniego świętego czy jasnowidza, który naprawdę nie miał nic wspólnego z etyką. Coś odmiennego, coś oderwanego i nieodpowiedzialnego przenika moralną atmosferę Azji i dotyka nawet atmosfery islamu. Bardzo realistycznie widzimy to w atmosferze sztuki *Hassan*⁵³; atmosferze skądinąd bardzo przerażającej. Jeszcze wyraźniej uświadamiają nam to przeblyski prawdziwych starożytnych

⁵³ *Hassan* - taktujące o losach szyickich męczenników przedstawienie misteryjne perskich szyitów; jego odgrywaniu towarzyszą tak wielkie emocje, że władze muszą zapewniać bezpieczeństwo znienawidzonym przez szyitów sunnitom.

kultów Azji, jakie jest nam dane zaobserwować. Głębiej niż największe głębie metafizyki, daleko w otchłani mistycznych medytacji, pod całym poważnym wszechświatem rzeczy duchowych kryje się nieuchwytna i przerażająca beztroska. Tak naprawdę nie ma większego znaczenia, co się robi. Czy to dlatego, że Azjaci nie wierzą w diabła, czy dlatego, że wierzą w przeznaczenie, czy też dlatego, że doświadczenie jest dla nich wszystkim, a życie wieczne czymś zupełnie innym niż dla nas, w każdym razie z jakiegoś powodu są oni zupełnie inni od nas. Czytałem gdzieś, że w średniowiecznej Persji żyło trzech przyjaciół słynnych ze swej jednomyślności. Jeden został szacownym wezyrem wielkiego króla, drugim był poeta Omar, pesymista i epikurejczyk, a trzecim Starzec z Gór, który oszałamiał swoich ludzi haszyszem, żeby mordowali innych za pomocą sztyletów. Naprawdę nie ma większego znaczenia, co się robi.

Sułtan z Hassana zrozumiałby każdego z tych trzech ludzi; w gruncie rzeczy był bowiem wszystkimi trzema naraz. Ale tego rodzaju uniwersalista nie może mieć czegoś, co nazywamy charakterem; jest on raczej pogrążony w czymś, co nazywamy chaosem. Nie może wybierać, nie może walczyć, nie może żałować za grzechy, nie może mieć nadziei. W tym samym sensie nie może niczego stworzyć, tworzenie bowiem oznacza odrzucanie. Nie można o nim powiedzieć, że pracuje nad swoją duszą. Albowiem nasza doktryna zbawienia rzeczywiście oznacza pracę podobną do tej, jaką podejmuje człowiek, starając się upiększyć rzeźbę, upodabniając ją do uskrzydłonego posągu

zwycięstwa. W tym celu musi istnieć coś takiego jak ostateczny wybór, człowiek nie może przecież tworzyć rzeźb, nie odrzucając kamienia. I to właśnie jest owa ostateczna amoralność będąca podłożem azjatyckiej metafizyki. Powód tego stanu rzeczy jest taki, że przez wszystkie niewyobrażalnie długie wieki nie wydarzyło się nic, co zmusiłoby nagle ludzki umysł do podjęcia decyzji; co powiedziałoby jej, że przyszedł czas wyboru. Umysł Azji zbyt długo przebywał w wieczności. Jej dusza była zbyt nieśmiertelna w tym szczególnym sensie, że ignorowała pojęcie śmiertelnego grzechu. Za dużo mówiono jej o wieczności w tym sensie, że nie mówiono jej dość o godzinie śmierci i dniu sądu. Nic nigdy nie pokrzyżowało jej planów, i gdyby wziąć to wyrażenie dosłownie, można by powiedzieć, że brakowało jej krzyża. To właśnie mamy na myśli, gdy mówimy, że Azja jest bardzo stara. Ale ściśle rzecz biorąc, Europa jest tak samo stara jak Azja; w gruncie rzeczy każde miejsce jest tak samo stare jak wszystkie inne. Chodzi jednak o to, że Europa nie poprzestała jedynie na starzeniu się. Europa narodziła się na nowo.

Azja jest czysto ludzka i sama zapracowała sobie na swój ludzki los. Azja, z jej olbrzymim terytorium, jej różnorodną populacją, jej szczytami przeszłych osiągnięć i głębią mrocznych spekulacji, jest światem samym w sobie; stanowi zatem ilustrację czegoś, co mamy na myśli, mówiąc o świecie. Jest ona raczej kosmosem niż kontynentem. Reprezentuje ona świat takim, jakim uczynił go człowiek; zawiera w sobie zatem wiele najwspanialszych osiągnięć człowieka. Dlatego Azja reprezentuje

całe pogaństwo i może być uznana za jedynego rywala chrześcijaństwa. Bowiem wszędzie tam, gdzie dostrzegamy przebląsy tego samego śmiertelnego przeznaczenia, sugerują one różne etapy tej samej historii. Tam, gdzie Azja zanika wśród południowych archipelagów zamieszkałych przez dzikich, albo tam, gdzie ciemność pełna bezimiennych kształtów wypełnia serce Afryki, albo tam, gdzie ostatni przedstawiciele zaginionych ras egzystują w wystygłym wulkanie prehistorycznej Ameryki, zawsze jest to jedna i ta sama historia czasem tylko być może dalszy jej rozdział. Widzimy w niej ludzi, którzy zgubili się w gąszczu własnych mitologii, utonęli w morzu własnej metafizyki. Politeistów znużyły najdziksze fantazje. Monoteistów znudziła najwspanialsza z prawd. Wyznawców diabła ogarnęła gdzieś tam wielka nienawiść do nieba i ziemi, że próbowali znaleźć schronienie w piekle. Oto upadek człowieka; dokładnie ten sam upadek, którego nasi ojcowie byli świadomi od pierwszej chwili, kiedy zaczął się schyłek Rzymu. My także podążaliśmy w dół tą szeroką drogą, w dół łagodnego stoku, idąc za wspaniałą procesją największych cywilizacji świata.

Gdyby w tym czasie w świecie nie pojawił się Kościół, wydaje się prawdopodobne, że Europa byłaby dziś bardzo podobna do współczesnej Azji. Można wziąć poprawkę na faktyczne różnice ras i środowiska, tak samo widoczne w starożytnym, jak i w dzisiejszym świecie. Ale tak czy inaczej mówimy o niezmiennym Wschodzie właśnie dlatego, że nie przeżył on tej wielkiej przemiany. W starożytnym pogaństwie wiele wskazywało na to,

że i ono mogłoby dojść do podobnej niezmienności. Nie oznacza to, że przestałyby powstawać nowe szkoły albo sekty filozoficzne, gdyż szkoły takie pojawiły się w starożytności i nadal pojawiają w Azji. Nie oznacza to, że nie byłoby prawdziwych mistyków albo wizjonerów, gdyż mistycy byli w starożytności i nadal są w Azji. Nie oznacza to, że nie byłoby kodów społecznych, gdyż kody takie istniały w starożytności i nadal istnieją w Azji. Nie oznacza to, że nie mogłoby być dobrych albo szczęśliwych ludzi; Bóg bowiem obdarzył wszystkich ludzi sumieniem i sumienie może obdarzyć każdego człowieka pewnym rodzajem pokoju. Oznacza to jednak z pewnością, że ton i proporcje wszystkich tych rzeczy, a zwłaszcza proporcje rzeczy dobrych i złych, byłyby na niezmiennym Zachodzie takie same jak na niezmiennym Wschodzie. A nikt, kto patrzy uczciwie i z prawdziwą sympatią na niezmienny Wschód, nie może uwierzyć, że jest tam coś choćby odrobinę przypominającego wyzwanie i rewolucję Wiary

Krótko mówiąc, gdyby klasyczne pogaństwo przetrwało do dziś dnia, wraz z nim zachowałoby się sporo rzeczy które wyglądałyby bardzo podobnie do tego, co nazywamy religiami Wschodu. Nadal istnieliby pitagorejczycy nauczający o reinkarnacji, tak jak istnieją do dziś Hindusi nauczający o reinkarnacji. Nadal istnieliby stoicy wyznający religię rozumu i cnoty, tak jak istnieją do dziś konfucjaniści wyznający religię rozumu i cnoty. Nadal istnieliby neoplatoniści badający transcendentalne prawdy, niezrozumiałe dla innych i dyskutowane nawet przez nich samych, tak jak do dziś buddyści badają transcendentalizm nie-

zrozumiały dla innych i dyskutowany nawet przez nich samych. Nadal istnieliby apolonianie czczący słoneczne bóstwo, ale wyjaśniający, że w ten sposób czczą boską zasadę bytu, tak jak istnieją do dziś inteligentni parsowie pozornie czczący słońce, ale wyjaśniający, że czczą samą boskość. Nadal istnieliby dzicy dionizjanie tańczący po górach, tak jak istnieją do dziś dzicy derwisze tańczący na pustyni Tłumy ludzi uczestniczyłyby w popularnych świątach bogów w pogańskiej Europie tak samo, jak uczestniczą w nich w pogańskiej Azji. Ludzie nadal mogliby czcić dумы miejscowych i obcych bogów. I nadal a wiele więcej byłoby ludzi czczących bóstwa, niż takich, którzy by w nie wierzyli. Ostatecznie zaś bardzo wielu ludzi nadal czciłoby bogów i wierzyło w nich tylko dlatego, że pod postacią bogów kryją się demony. Nadal istnieliby Lewantyńczycy składający skrycie ofiary Molochowi, tak jak nadal istnieją tugowie składający skrycie ofiary bogini Kali. Nadal często uprawiano by magię i najczęściej byłaby to czarna magia. Nadal otaczano by powszechnym szacunkiem Senekę i powszechnie naśladowano Nerona, tak jak uznanie dla wzniosłych epigramów Konfucjusza może współistnieć z chińskimi praktykami tortur. A ponad całym tym gąszczem rozrastających się dziko albo więdnących tradycji unosiłoby się wszechogarniające milczenie, pewna wyjątkowa i trudna do nazwania atmosfera, którą najtrafniej można by jednak określić jako nicość. Wszystkie te zjawiska, dobre i złe, robiłyby nieuchwytne wrażenie czegoś, co jest zbyt stare, by umrzeć.

Żadne ze zjawisk, które pod nieobecność chrześcijaństwa zajęłyby Europę, nie byłyby ani trochę podobne do wiary chrześcijańskiej. Skoro ze świadomości ludzi nie znikłaby pitagorejska metempsychoza, moglibyśmy mówić o religii pitagorejskiej, tak jak mówimy o religii buddyjskiej. Skoro nie znikłyby maksymy Sokratesa, moglibyśmy mówić o religii sokratejskiej, tak jak mówimy o religii konfucjańskiej. Skoro na obchodach popularnego święta nadal śpiewano by mitologiczny hymn do Adonisa, moglibyśmy to nazwać religią Adonisa, tak jak mówimy o religii Dżagannatha⁵⁴. Skoro literatura nadal opierałaby się na greckiej mitologii, moglibyśmy tę mitologię nazwać religią, tak jak nazywamy religią mitologię Hindusów. Moglibyśmy mówić, że do religii tej należy tyle a tyle tysięcy albo milionów ludzi, mając na myśli ludzi uczęszczających do jej świątyni albo tylko mieszkających w kraju, gdzie stoją takie świątynie. Ale jeśli ostatnie pitagorejskie tradycje albo zamierające legendy o Adonisie nazwalibyśmy religiami, wówczas Kościół Chrystusa musielibyśmy nazwać zupełnie innym imieniem.

Jeśli ktokolwiek twierdzi, że filozoficzne maksymy przechowywane przez wiele wieków albo mitologiczne świątynie odwiedzane przez wiele osób są zjawiskami należącymi do tej samej klasy albo kategorii co Kościół, wystarczy mu po prostu odpowiedzieć, że tak nie jest. Nikt nie utożsamia ich z Kościo-

⁵⁴ Dżagannath - w hinduizmie jedna z form boga Kriszny; podczas dorocznych obchodów jego podobiznę ciągnie się przez ulice na ciężkim wozie, pod jaki podobno dawniej rzucali się wierni.

łem w starożytnej cywilizacji Grecji i Rzymu; nikt nie utożsamiałby ich z Kościołem, gdyby cywilizacja ta przetrwała o dwa tysiące lat dłużej i istniała do dziś. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby utożsamiać ich z Kościołem w równoległej do świata chrześcijańskiego i istniejącej po dziś dzień cywilizacji Wschodu. Żadna z tych filozofii ani mitologii w niczym nie przypomina Kościoła, a już z pewnością Kościoła wojującego. I jak wykazałem gdzie indziej, nawet gdyby reguła ta nie została jeszcze udowodniona, zostałaby udowodniona przez wyjątek. Reguła zatem jest taka, że cała przedchrześcijańska czy też pogańska historia nie stworzyła Kościoła wojującego. Natomiast wyjątek, albo coś, co niektórzy uznaliby za wyjątek, to islam - może niebędący Kościołem, ale za to na pewno wojujący. W rzeczywistości jednak islam jest wyjątkowy wyłącznie dlatego, że jako jedyny religijny rywal chrześcijaństwa nie jest przedchrześcijański, a zatem w tym sensie nie może być uznany za zjawisko pogańskie. Islam powstał bowiem jako produkt chrześcijaństwa, nawet jeśli był to produkt uboczny i nawet jeśli był to produkt szkodliwy. Była to herezja albo parodia, która miała dorównać Kościołowi i z tego powodu stała się jego naśladownictwem. To, że mahometanizm przejął od Kościoła nieco jego wojowniczego ducha, nie jest ani trochę bardziej zaskakujące niż to, że kwakierstwo przejęło nieco z jego pokojowego ducha. Po zaistnieniu chrześcijaństwa pojawiało się wiele jego podróbek czy też kontynuacji. Przedtem jednak nie było żadnej.

Kościół wojujący jest zatem czymś unikatowym: armią marszerującą po to, by przynieść powszechne wyzwolenie. Niewolę, z której świat ma być w ten sposób wyzwolony, bardzo dobrze symbolizuje obecny stan Azji albo stan starożytnej Europy. Nie chodzi mi tylko o jej moralność czy też brak moralności. W rzeczywistości wspomniany już przez nas misjonarz ma na swoją obronę o wiele więcej, niż przypuszczają jego oświeceni krytycy, nawet wtedy, gdy mówi, że poganie są czcicielami idoli albo że są niemoralni. Odrobina realistycznego doświadczenia w obcowaniu z religiami Wschodu, czy choćby z religią muzułmańską, odsłania przed naszymi oczami zdumiewający brak etycznej wrażliwości, wyrażający się na przykład w braku praktycznej różnicy między namiętnością a perwersją. To nie uprzedzenie, ale praktyczne doświadczenie mówi nam, że Azja jest pełna nie tylko bogów; ale i demonów. Jednakże zło, o które mi chodzi, znajduje się w umyśle. I można je znaleźć wszędzie tam, gdzie umysł przez długi czas pracował zostawiony sam sobie. Pojawia się ono, gdy wszystkie sny i myśli znajdują swój kres w pustce, która jest zarazem negacją i koniecznością. To zło wygląda na anarchię, ale zarazem jest niewolnictwem. Widzieliśmy je już wcześniej w obrazie azjatyckiego koła; w tych wszystkich powtarzanych w nieskończoność argumentach o przyczynach i skutkach albo o rzeczach mających swój początek i koniec w umyśle, które tak naprawdę uniemożliwiają duszy wyrwanie się, pójście dokądś albo zrobienie czegokolwiek. Co najważniejsze, ten sposób myślenia nie musi być charakterystyczny

jedynie dla Azjatów, stałby się on w końcu także sposobem myślenia Europejczyków - gdyby nie pewne wydarzenie. Gdyby Kościół wojujący nie maszerował naprzód, wszyscy ludzie maszerowaliby w miejscu. Gdyby Kościół wojujący nie był poddany dyscyplinie, wszyscy byliby poddani niewoli.

Tym, co ta uniwersalna, a przy tym walcząca wiara przyniosła światu, była nadzieja. Być może jedyną wspólną cechą mitologii i filozofii był ich prawdziwy smutek wynikający stąd, że brakowało im nadziei, nawet jeśli zawierały szczyptę wiary albo miłości. Możemy nazwać buddyzm wiarą, choć na nas robi on raczej wrażenie zwątpienia. Możemy nazwać Pana Współczucia Panem Miłosierdzia, chociaż na nas jego współczucie robi raczej wrażenie bardzo pesymistycznej litości. Ci jednak, którzy najgłośniej podkreślają starożytność i zasięg tego rodzaju kultów, muszą przyznać, że przez wszystkie wieki swojego istnienia nie napełniły one wszystkich podległych im ziem równie praktyczną i wojowniczą nadzieją. Chrześcijaństwu nigdy nie brakowało nadziei; zdarzało się raczej, że była to nadzieja błędna, nieuzasadniona, przesadnie chwytająca się ulotnej szansy. Nieustanne rewolucje i rekonstrukcje nadziei świadczyły przynajmniej o tym, że ludzie nabrali ducha. Europa całkiem dosłownie odzyskała młodość orła - jak wówczas, gdy orły Rzymu poszybowały znowu nad legionami Napoleona, albo zaledwie wczoraj, gdy ujrzeliśmy wzbijającego się w niebo srebrnego orła Polski. Ale w przypadku Polski nawet rewolucja zawsze wiązała się z religią. Z religią chciał się

także pojednać sam Napoleon. Religii nie sposób było oddzielić nawet od najbardziej buntowniczej nadziei, po prostu dlatego, że religia była prawdziwym źródłem nadziei. Przyczynę tego faktu można znaleźć w samej religii. Ci, którzy się o to spierają, rzadko kiedy zastanawiają się nad religią samą w sobie. Nie czasu i miejsca na tak dogłębne rozważania, spróbujmy jednak pokrótce wyjaśnić, dlaczego religia stanowi jak gdyby pojednanie, który stale dokonuje się na nowo i najwyraźniej stale wymaga wyjaśnienia.

Debatom nad liberalizacją teologii nie będzie końca, dopóki ludzie nie zmierzą się z faktem, że jedyną naprawdę liberalną częścią teologii jest jej część dogmatyczna. Jeśli dogmaty są niewiarygodne, to dzieje się tak dlatego, że są niewiarygodnie liberalne. Jeśli są irracjonalne, to tylko pod tym względem, że dają nam większą świadomość wolności, niż wynikałoby to z racjonalnego rozumowania. Oczywistym przykładem jest ta zasadnicza forma wolności, którą nazywamy wolną wolą. Absurdem byłoby twierdzić, że człowiek dowodzi swojego wyzwolenia przez wyrzeczenie się wolności. Da się jednak obronić twierdzenie, że aby potwierdzić swoją wolność, człowiek musi uznać transcendentálną doktrynę. W pewnym sensie możemy całkiem słusznie powiedzieć, że jeśli człowiek ma pierwotną władzę wyboru, to faktycznie ma nadprzyrodzoną władzę stwarzania, tak jakby potrafił wskrzeszać umarłych albo rodzić to, co nie zostało poczęte. Możliwe, że wobec tego człowiek musi być cudem; na pewno musi być cudem, aby mógł być człowiekiem;

niewątpliwie zaś musi być cudem, aby móc być człowiekiem wolnym. Absurdem byłoby jednak zabranianie mu bycia wolnym w imię bardziej wyzwolonej religii.

To samo odnosi się do dwudziestu innych spraw. Każdy, kto w ogóle wierzy w Boga, musi wierzyć w Jego absolutną zwierzchność. Ale o ile taka zwierzchność dopuszcza jakiegokolwiek stopniowanie pod względem większego lub mniejszego liberalizmu, rozumie się samo przez się, że władzą nieliberalną jest bóstwo racjonalistów, natomiast władzą liberalną jest bóstwo dogmatyków. Wprost proporcjonalnie do tego, jak mono-teizm przechodzi w monizm, przechodzi on również w despotyzm. Nieznany bóg naukowców, z jego nieprzeniknionym zamysłem i nieuchronnym, niezmiennym prawem, przypomina nam pruskiego autokratę snującego sztywne plany w odległym namiocie i poruszającego ludzkością na podobieństwo maszyny. Natomiast Bóg cudów i wysłuchanych modlitw przypomina nam liberalnego popularnego księcia, który przyjmuje petycje, przysłuchuje się obradom parlamentu i rozstrzyga sprawy całego ludu. Nie bronię w tej chwili racjonalności tej koncepcji pod innymi względami; w rzeczywistości nie jest ona wcale, jak przypuszczają niektórzy, irracjonalna — nie ma bowiem nic irracjonalnego w tym, że mądry i doskonale poinformowany król działa rozmaicie w zależności od działania tych, których pragnie wybawić. Chodzi mi tu jedynie o ogólną istotę liberalizmu, czyli swobodnej czy też mniej ograniczonej atmosfery działania. W tym kontekście oczywiste jest, że król musi się

odznaczać tym, co nazywamy wielkoduszością, jeśli odznacza się tym, co niektórzy nazywają kapryśnością. Tylko katolik, który czuje, że jego modlitwy zanoszone za żywych i umarłych naprawdę mają znaczenie, może równocześnie czuć się jak wolny obywatel czegoś przypominającego niemal konstytucyjną wspólnotę narodów. Tylko monista, poddany jednemu żelaznemu prawu, musi czuć się jak niewolnik poddany władzy sułtana. Wydaje mi się nawet, że słowo *suffragium*⁵⁵, które dziś w polityce wiąże się z wyborami, pierwotnie w teologii dotyczyło modlitwy. Mówiło się, że zmarli przebywający w Czyśćcu mają prawo do *suffragium*, czyli modlitwy wstawienniczej żyjących. W tym sensie, odnoszącym się do czegoś w rodzaju zgłaszania petycji do najwyższej władzy, możemy słusznie powiedzieć, że całe obcowanie świętych, a także cały Kościół wojujący, opiera się na powszechnym prawie głosu.

Nade wszystko jednak odnosi się to do sprawy najpoważniejszej, do tej tragedii, która stworzyła boską komedię naszej wiary. Nic mniej zdecydowanego niż skrajna potężna i zdumiewająca doktryna o boskości Chrystusa nie może w ten szczególny sposób, niczym dźwięk trąbki, poruszyć zbiorowej świadomości: idea króla, który sam zaciągnął się do wojska jako prosty żołnierz. Jeśli przedstawiamy tę postać jako czysto ludzką, odbieramy ludzki wymiar całej opowieści. Usuwamy jej

⁵⁵ *Suffragium* (łac) - głos wyborczy, ale także pomoc, modlitwa; w jęz. polskim od pierwszego znaczenia tego słowa pochodzi wyraz „sufrażystka”, a od drugiego „sufragan”.

ostrze, które rzeczywiście przeszywa całą ludzkość; ostrze dramatu, które całkiem dosłownie było ostrzem włóczni. Wszelki świat nie stanie się o wiele bardziej ludzki jeśli powiemy, że dobrzy i mądrzy ludzie mogą przypłacić życiem głoszenie swoich opinii, podobnie jak z powszechnym entuzjazmem armii nie spotkałaby się wiadomość o tym, że dobrzy żołnierze są bardziej narażeni na śmierć. Wiadomość o śmierci króla Leonidasa nie jest większą nowiną niż wiadomość o śmierci królowej Anny; ludzie nie czekają na chrześcijaństwo, żeby być w pełnym znaczeniu tego słowa ludźmi, to znaczy bohaterami. Ale jeśli staramy się stwierdzić, które wydarzenie otacza atmosfera większej szlachetności, popularności czy choćby malowniczości, to znajomość ludzkiej natury podpowie nam, że żadne cierpienia synów ludzkich ani nawet sług Bożych nie uderzają w tę samą strunę co cierpienia znoszone przez władcę w zastępstwie swoich sług. Do poniesienia takich cierpień zdolny jest Bóg teologii, zdecydowanie zaś niezdolny jest bóg nauki. Żaden tajemniczy monarcha ukryty w swym gwiaździstym pawilonie na tyłach kosmicznej kampanii nie ma w sobie nic z niebiańskiej rycerskości Kapitana, który odniósł pięć ran, walcząc w pierwszym szeregu.

Demaskatorowi dogmatów nie chodzi wcale o to, że dogmaty są złe, ale raczej o to, że są za dobre, żeby mogły być prawdziwe. Innymi słowy, chodzi mu o to, że dogmat jest zbyt liberalny, żeby mógł być prawdopodobny. Dogmat daje człowiekowi zbyt wielką wolność, dopuszczającą jego upadek. Dogmat daje

nawet Bogu zbyt wielką wolność, dopuszczając Jego śmierć. Oto, co powinni twierdzić inteligentni sceptycy, i nie mam wcale zamiaru zaprzeczać, że da się powiedzieć dużo na obronę tego twierdzenia. Chodzi im o to, że sam kosmos jest kosmicznym więzieniem, że tamto istnienie ogranicza i kontroluje człowieka i że nie bez powodu przyczynowość określa się mianem łańcucha. Jednym słowem, chodzi im po prostu o to, że nie są w stanie w to wszystko uwierzyć, a wcale nie o to, że są to rzeczy niewarte wiary. Mówimy, nie lekkomyślnie, ale całkiem dosłownie, że prawda nas wyzwoliła. Oni zaś powiadają, że wyzwoliła nas za bardzo, żeby mogło to być prawdziwe. Dla nich wiara w taką wolność, jaką dysponujemy przypomina wiarę w krainę bajek. Wiara w ludzi obdarzonych wolną wola jest dla nich jak wiara w ludzi obdarzonych zdolnością latania. Wiara w człowieka, który może w wolności zadawać pytania, i w Boga, który może w wolności udzielać odpowiedzi, przypomina wiarę w baśń o wiewiórce rozmawiającej z górą. Postawa takich krytyków to męska i racjonalna niezgoda, dla której ja przynajmniej zawsze zachowam szacunek. Odmawiam jednak szacunku tym, którzy najpierw podcinają skrzydła ptakom i łapią wiewiórki do klatek, zakuwają nas w łańcuchy i odbierają nam wolność, zamykają za nami wszystkie drzwi kosmicznego więzienia ze szczękiem odwiecznego żelaza i mówią nam, że nasze wyzwolenie jest snem, a nasz loch koniecznością, potem zaś ze spokojem odwracają się na pięcie i twierdzą, że ich myśl jest o wiele bardziej wolna, a ich teologia - bardziej liberalna od naszej.

Morał, jaki stąd wynika, jest bardzo stary, głosi on, że religia jest objawieniem. Mówiąc inaczej, jest wizją, i to wizją otrzymaną dzięki wierze, ale tym nie mniej wizją rzeczywistości. Wiara polega na przekonaniu o jej rzeczywistości. Taka jest różnica na przykład między wizją a snem na jawie. I taka jest różnica między religią a mitologią. Taka jest różnica między wiarą a całkiem ludzkim i mniej więcej zdrowym fantazyjnym tworem, któremu przyjrzelśmy się w rozdziale poświęconym mitologii. Słowo wizja, którego użycie jest tu całkiem uzasadnione, sugeruje dwie rzeczy dotyczące wiary: po pierwsze, że tak jak wizja, pojawia się ona bardzo rzadko, być może tylko raz w życiu, i po drugie, że przychodzi raz na zawsze. Sen na jawie może się śnić co dnia. Sen na jawie może być inny co dnia. W tym wypadku różnica jest znacznie większa niż między opowiadaniem historii o duchach a spotkaniem prawdziwego ducha.

Religia nie tylko nie jest mitologią; nie jest też filozofią. Nie jest filozofią dlatego, że jako wizja nie przypomina wykresu, tylko malowidło. Religia nie jest jednym z tych uproszczeń, które sprowadzają wszystko do abstrakcji, wyjaśniając na przykład, że wszystko się powtarza albo że wszystko jest względne, albo że wszystko jest nieuniknione, albo że wszystko jest złudzeniem. Nie jest to proces, tylko opowieść. Wiara ma swoje proporcje, tak jak opowieść albo malowidło, nie ma natomiast regularnych powtórzeń, jakie mają wzór albo proces. Z powodzeniem zastępuje jednak wszelkie procesy i wzory dzięki temu, że jest przekonująca tak jak malowidło albo opowieść. Innymi słowy, jest

ona z życia wzięta. Bo w istocie jest ona życiem. Dobry przykład tego, co chcę tu powiedzieć, można znaleźć w stosunku filozofii i wiary do problemu zła. Łatwo jest stworzyć schemat życia na czarnym tle, jak malują je pesymiści, a potem dopuścić istnienie jednego czy dwóch okruchów gwiazdnego pyłu, mniej albo bardziej przypadkowych, a w każdym razie w dosłownym znaczeniu tego słowa znikomych. Równie łatwo jest stworzyć inny schemat na białym papierze, jak to robią chrześcijańscy scjentyści, i starać się w jakiś sposób wyjaśnić albo zlekceważyć te kropki i plamy, których istnieniu trudno byłoby przeczyć. Ostatecznie zaś najłatwiej jest uznać, wzorem dualistów, że życie przypomina szachownicę, na której czerń i biel przeplatają się w równych proporcjach, i o której można równie słusznie powiedzieć, że przedstawia czarne pola na białym tle, jak i białe pola na czarnym tle. Każdy człowiek czuje jednak w głębi serca, że żaden z tych papierowych planów nie jest z życia wzięty, że żaden z tych światów nie nadaje się do zamieszkania. Coś mu podpowiada, że ostateczna idea świata nie jest zła ani nawet obojętna; patrząc na niebo, na trawę, na prawdy matematyki albo na nowo złożone jajko, ma on niejasne wrażenie przypominające cień tego, co powiedział wielki chrześcijański filozof, św. Tomasz z Akwinu, że każde istnienie jako takie jest dobre. Z drugiej strony coś innego mu podpowiada, że jest rzeczą niemęską i podłą, a nawet chorą, minimalizować zło do rozmiarów kropki czy też plamy. Człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że optymizm jest niezdrowy. Jest, o ile to możliwe, jesz-

cze bardziej niezdrowy niż pesymizm. Te niejasne, ale zdrowe uczucia, gdyby spróbował je zanalizować, doprowadziłyby go do przekonania, że zło stanowi w jakiś sposób wyjątek, ale wyjątek gigantyczny, i że ostatecznie można je nazwać inwazją albo jeszcze lepiej: rebelią. Człowiek nie uważa, że wszystko jest dobre albo że wszystko jest złe, albo że wszystko jest równie dobre i złe. Uważa jednak, że dobro ma prawo być dobre, a zatem ma prawo istnieć, natomiast zło nie ma prawa być złe, a zatem nie ma prawa istnieć. Zło jest księciem tego świata, ale równocześnie jest na tym świecie uzurpatorem. W ten sposób człowiek mgliście tłumaczy sobie to, co wyraźnie przedstawia mu wizja, i jego tłumaczenie nie różni się wcale od dziwnej historii zdrady w niebie i wielkiej dezercji, przez którą zło uszkodziło i próbowało zniszczyć niestworzony przez siebie kosmos. Jest to bardzo dziwna historia, a jej proporcje, linie i kolory są tak arbitralne i niepodlegające dyskusji jak kompozycja malowidła. Jest to wizja, którą rzeczywiście przedstawiamy na obrazach pod postacią tytanicznych kończyn i gorących barw skrzydeł, w otchłannej wizji spadających gwiazd i mieniących się pawimi kolorami pancerzy nocy. Ale ta dziwna historia ma jedną małą przewagę nad schematami. Jest z życia więta.

Inny przykład można znaleźć nie tyle w problemie zła, ile w czymś, co nazywamy problemem postępu. Jeden z najzdolniejszych agnostyków naszego wieku zapytał mnie kiedyś, czy uważam, że ludzkość zmienia się na lepsze, czy na gorsze, czy też pozostaje niezmienną. Był pewien, że takie przedstawienie

sprawy wyczerpuje wszystkie możliwości. Nie dostrzegał, że obejmowało ono jedynie schematy, a nie obrazy; procesy, a nie opowieści. Zapytałem go, czy sądzi, że pan Smith z Golder's Green stawał się lepszy, czy gorszy, czy też pozostawał dokładnie taki sam między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. Wtedy zaświtało mu, że sprawa ta zależy raczej od samego pana Smitha i od tego, co sam zdecyduje. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że postęp ludzkości mógłby zależeć od tego, co ona sama zdecyduje, i że tor tego postępu nie byłby poziomą albo wznoszącą się czy opadającą linią, ale że mógłby raczej przypominać ślad przecinającego dolinę człowiek, który idzie, gdzie mu się podoba i zatrzymuje, kiedy ma chęć - wstępuje po drodze do kościoła albo wpada pijany do rowu. Życie człowieka jest opowieścią; jest opowieścią przygodową, a w naszej wizji to samo dotyczy nawet opowieści o Bogu.

Wiara katolicka jest pojednaniem mitologii i filozofii, ponieważ stanowi urzeczywistnienie ich obu. Jest ona opowieścią i w tym sensie stanowi jedną z setek opowieści; tyle że jest opowieścią prawdziwą. Jest filozofią i w tym sensie stanowi jedną z setek filozofii; tyle że jest to filozofia z życia wzięta. Nade wszystko jednak jest ona pojednaniem obu tych zjawisk, gdyż stanowi coś w rodzaju filozofii opowieści. Zdrowy instynkt narracyjny, który wydał na świat wszystkie bajki, jest czymś zaniechwanym przez wszystkie filozofie - wszystkie, oprócz tej jednej. Wiara jest usprawiedliwieniem tego pospolitego instynktu, jest odkryciem pasującej do niego filozofii czy też

analizą filozofii, którą ten instynkt zawiera. Dokładnie w ten sam sposób, w jaki człowiek będący bohaterem opowieści przygodowej musi przejść rozmaite próby, by ocalić swoje życie, tak człowiek będący bohaterem tej filozofii musi przejść rozmaite próby i zbawić swoją duszę. W obydwu wypadkach występuje idea wolnej woli działającej w ramach pewnego planu. Innymi słowy, istnieje pewien cel i zadaniem człowieka jest zmierzanie do tego celu; przyglądamy się zatem człowiekowi, by stwierdzić, czy trafi do niego, czy nie. Otóż ten głęboki demokratyczny i dramatyczny instynkt jest wyśmiewany i lekceważony przez wszystkie filozofie, z wyjątkiem jednej. Albowiem wszystkie filozofie zgodnie z własną deklaracją kończą się tam, gdzie się zaczęły, natomiast opowieść z definicji jest czymś, co kończy się inaczej, co zaczyna się w jednym miejscu, a kończy w zupełnie innym. Od Buddy i jego koła po Echnatona i jego tarczę słoneczną, od Pitagorasa z jego abstrakcją liczb po Konfucjusza z jego religią rutyny nie ma ani jednego filozofa, który w jakiś sposób nie grzeszyłby przeciwko duchowi opowieści. Żaden z nich nie pojmuje naprawdę tego jakże ludzkiego pojęcia baśni, próby, przygody; nie pojmuje zmagania wolnego człowieka. Każdy skazuje niejako instynkt narracyjny na śmierć głodową i w ten czy inny sposób niszczy w życiu ludzkim element romantycznej opowieści - albo przez fatalizm (pesymistyczny czy też optymistyczny) i przeznaczenie, które uśmiercają przygodę, albo przez obojętność i dystans, które uśmiercają dramatyzm, albo przez fundamentalny sceptycyzm, który zmienia aktorów

w atomy, albo przez materialistyczne ograniczenie przysłaniające perspektywę moralnych konsekwencji, albo przez mechaniczną powtarzalność, która nawet próby moralne zaraża monotonią, albo przez bezdenną względność, która nawet praktyczne próby skazuje na niepewność. Jest coś takiego jak ludzka opowieść i jest coś takiego jak Boska opowieść, która jest równocześnie opowieścią ludzką; nie ma jednak niczego takiego jak opowieść heglowska albo monistyczna, albo relatywistyczna, albo deterministyczna. Albowiem każda opowieść, tak, nawet tani romans albo krwawy szmatławiec, ma w sobie coś, co należy do naszego wszechświata, a nie do wszechświata filozofów. Każda opowieść naprawdę zaczyna się od stworzenia i kończy sądem ostatecznym.

I to właśnie jest przyczyna, dla której mity i filozofie toczyły wojnę do czasu przyjścia Chrystusa. Oto dlaczego ateńska demokracja zabiła Sokratesa z szacunku dla bogów i dlaczego każdy wędrowny sofista stroił się w piórka Sokratesa, ilekroć mógł przemawiać z wyższością o bogach; oto dlaczego heretycki faraon zburzył wielkie idole i świątynie dla jednej abstrakcji i dlaczego kapłani mogli triumfalnie powrócić i zdeptać jego dynastię; oto dlaczego buddyzm musiał oddzielić się od braminizmu i dlaczego w każdym wieku i w każdym kraju poza światem chrześcijańskim istniał niekończący się spór między filozofami i kapłanami. Łatwo jest powiedzieć, że filozofowie najczęściej mieli więcej rozsądku, a jeszcze łatwiej zapomnieć, że kapłani zawsze cieszyli się większą popularnoś-

cią. Kapłani bowiem opowiadali ludziom historie, a filozofowie nie rozumieli filozofii opowieści. Pojawiła się ona dopiero wraz z opowieścią o Chrystusie,

Dlatego też musiało to być objawienie czy też wizja zesłana z góry. Każdy, kto zastanowi się nad teorią opowieści albo mało-wideł, łatwo zrozumie dlaczego. Prawdziwa opowieść o świecie musi zostać opowiedziana przez kogoś komuś innemu, Z samej natury opowieści wynika, że nie może ona po prostu każdemu przyjść do głowy. Opowieść ma swoje proporcje, warianty, niespodzianki, szczególne skłonności, których nie można rozpracować przez zastosowanie abstrakcyjną zasady, tak jak rozwiązuje się równanie. Z pitagorejskiej teorii liczb albo idei powtarzalności nie możemy wydedukować, czy Achilles zwróci ciało Hektora. Podobnie na podstawie wyjaśnienia, że wszystko kręci się w kółko zgodnie z kołem Buddy, nie możemy odgadnąć, w jaki sposób świat odzyska ciało Chrystusa. Człowiek, być może, byłby w stanie dojść do twierdzenia Euklidesa, nawet gdyby nigdy nie słyszał o Euklidesie; nie mógłby jednak dojść do szczegółowej legendy o Eurydyce, gdyby nigdy nie słyszał o Eurydyce. W każdym razie nie byłby pewien, jak ta historia się skończy i czy Orfeusz ostatecznie poniesie klęskę. Jeszcze trudniej byłoby mu odgadnąć zakończenie naszej opowieści, naszej legendy o Orfeuszu, który powrócił z martwych nie pokonany, ale zwycięski.

Podsumowując, możemy stwierdzić, że świat odzyskał trzeźwość umysłu, a człowiek zyskał możliwość zbawienia dzięki czemuś, co naprawdę zaspokoilo dwie wojujące ze sobą

tendencje przeszłości; tendencje, które nigdy nie zostały w pełni zaspokojone, a już na pewno nic zostały zaspokojone równocześnie. To nowe zjawisko zaspokoiło mitologiczne pragnienie przygody przez to, że było opowieścią, i zaspokoiło filozoficzne pragnienie prawdy przez to, że było opowieścią prawdziwą. Oto dlaczego idealny bohater tej opowieści musiał być postacią historyczną, za jaką nikt nigdy nie brał Adonisa albo Pana. Ale z tego samego powodu bohater ów musiał być ideałem, a nawet wypełniać wiele innych funkcji przypisywanych takim ideałom - dlatego właśnie był on jednocześnie ofiarą i uczcą, dlatego jego symbolem mogła być rosnąca winorośl albo wschodzące słońce. Im głębiej będziemy rozważać tę kwestię, tym mocniej będziemy przekonani, że jeśli rzeczywiście istnieje Bóg, to Jego stworzeniu trudno byłoby osiągnąć inny punkt kulminacyjny niż takie właśnie obdarowanie świata prawdziwą opowieścią. W przeciwnym razie dwa bieguny ludzkiego umysłu nie mogłyby się nigdy spotkać i mózg człowieka pozostałby na zawsze parzysty i rozdzielony - jedna półkula śniłaby niemożliwe sny, a druga powtarzała niezmiennie kalkulacje. Twórcy obrazów malowaliby w nieskończoność portret nieprzedstawiający nikogo. Mędrcy w nieskończoność dodawaliby liczby, które w sumie nie dawałyby niczego. Tej przepaści nie mogło pokonać nic poza wcieleniem, które było boskim ucieleśnieniem naszych snów, i odtąd nad przepaścią stoi ten, którego imię oznacza więcej niż kapłan i jest starsze nawet niż chrześcijaństwo: Pontifex Maximus, najpotężniejszy budowniczy mostów.

Ale tu znowu wracamy do bardziej specyficznie chrześcijańskiego symbolu tej samej tradycji; do doskonałego wzoru kluczy. Nasz szkic ma charakter historyczny, a nie teologiczny, i nie jest moim obowiązkiem bronić w tym miejscu szczegółów teologii; mogę jedynie zaznaczyć, że jej założeń nie sposób uzasadnić bez równoczesnego uzasadnienia wszystkich jej szczegółów - podobnie jak w przypadku klucza. Poza ogólną wymowę tego rozdziału nie zamierzam podejmować żadnej apologetyki uzasadniającej, dlaczego powinno się przyjąć tę wiarę. Jednakże na historyczne pytanie, dlaczego została przyjęta i dlaczego nadal jest przyjmowana, odpowiadam w imieniu milionów: ponieważ pasuje do zamka, ponieważ jest z życia wzięta. Jest to jedna z wielu opowieści, tylko że przypadkiem jest to opowieść prawdziwa. Jest to jedna z wielu filozofii, tylko że przypadkiem jednocześnie jest prawdą. Przyjmujemy ją, i mocno stajemy na ziemi, a przed nami otwiera się droga. Nasza wiara nie zamyka nas w więzieniu urojonego przeznaczenia albo w świadomości powszechnej iluzji. Otwiera ona przed nami nie tylko niewiarygodne niebiosy, ale także, jak się wydaje, równie niewiarygodną ziemię, i czyni je wiarygodnymi. Jest to ten rodzaj prawdy, który trudno wytłumaczyć, ponieważ jest faktem; jest to jednak fakt, na potwierdzenie którego możemy powołać świadków. Jesteśmy chrześcijanami i katolikami nie dlatego, że czcimy klucz, ale dlatego, że przeszliśmy przez drzwi i poculiśmy wiatr, który dmie w trąby zwycięstwa nad krainą żyjących.

VI

PIĘĆ POGRZEBÓW WIARY

Zadaniem tej książki nie jest śledzenie dalszych dziejów chrześcijaństwa, zwłaszcza ostatnich, niosących ze sobą kontrowersje, o których mam nadzieję bardziej wyczerpująco napisać gdzie indziej. Jej cel ogranicza się do stwierdzenia, że chrześcijaństwo, które pojawiło się wśród pogańskiej ludzkości, miało wszystkie oznaki zjawiska wyjątkowego, a nawet nadprzyrodzonego. Nie przypominało żadnego z pozostałych zjawisk, a im dłużej je badamy, tym mniej je przypomina. Jest jednak pewna charakterystyczna cecha, która wyróżniała je od początku i wyróżnia po dzień dzisiejszy, a wzmianka o niej może całkiem dobrze posłużyć za zakończenie tej książki.

Mówiłem już, że Azja i świat starożytny robiły wrażenie zbyt starych, by umrzeć. Chrześcijaństwo spotkał los zupełnie przeciwny. Świat chrześcijański przeżywał serię rewolucji i w każdej z nich chrześcijaństwo ponosiło śmierć. Umierało wielokrotnie i po wielokroć zmartwychwstawało, miało bowiem Boga, który znał drogę wyjścia z grobu. Ale pierwszym niezwykłym faktem w tej historii jest to, że Europa była raz po raz

przewracana do góry nogami i po każdej z tych rewolucji znajdowano na wierzchu znów tę samą wiarę. Wiara chrześcijańska zawsze nawracała epokę - nie jako stara religia, ale jako religia nowa. Tę prawdę skrywa przed oczyma wielu pewna konwencja, należąca do konwencji na co dzień zbyt mało dostrzeganych. Co ciekawe, ma ona także tę właściwość, że ci, którzy ją ignorują, najgłośniej przypisują sobie zasługę jej wykrycia i zdemaskowania. Ludzie ci niezmiennie nam mówią, że kapłani i ceremonie nie stanowią istoty religii i że organizacja religijna może być pustym udawaniem; nie zdają sobie jednak sprawy z tego, jak wiele prawdy jest w ich słowach. Jest w nich tak wiele prawdy że co najmniej trzy lub cztery razy w historii chrześcijańskiego świata wydawało się, że cała dusza uszła z chrześcijaństwa i niemal każdy człowiek w głębi serca spodziewał się, że to już koniec. Ten fakt w czasach średniowiecza i w innych epokach przysłała jedynie owa najbardziej oficjalna strona religii, której przejrzeniem na wylot szczycą się krytycy. Chrześcijaństwo pozostawało oficjalną religią renesansowego księcia albo oficjalną religią osiemnastowiecznego biskupa tak samo, jak starożytna mitologia pozostawała oficjalną religią Juliusza Cezara, a wyznanie ariańskie przez długi czas pozostawało oficjalną religią Juliana Apostaty. Między przypadkiem Juliusza i Juliana zachodziła jednak pewna różnica, bo pomiędzy panowaniem jednego i drugiego rozpoczęła się dziwna kariera Kościoła. Nie było powodu, dla którego ludzie pokroju Juliusza nie mieliby w nieskończoność publicznie czcić, a prywatnie wyśmiewać

bogów pokroju Jupitera. Ale kiedy Julian uznał chrześcijaństwo za martwe, nagle przekonał się, że powróciło ono do życia. Przy okazji przekonał się także, że żaden nawet najmniejszy znak nie wskazywał na to, by do życia miał kiedykolwiek powrócić Jupiter. Przypadek Juliana i epizod związany z arianizmem jest zaledwie pierwszym z całej serii przykładów, które w tym miejscu możemy przedstawić jedynie bardzo ogólnikowo. Arianizm, jak już zostało powiedziane, miał po ludzku wszelkie pozory naturalnej drogi, na której mógł wygasnąć przesąd Konstantyna. Zostały przecież zaliczone wszystkie zwykłe etapy: wiara stała się zjawiskiem szanowanym, potem zjawiskiem rytualnym, a wreszcie przetworzono ją w zjawisko racjonalne, i racjoniści, zupełnie tak samo jak dziś, szykowali się właśnie, żeby rozgromić jej nędzne resztki. Kiedy chrześcijaństwo niespodziewanie podniosło się znowu i strąciło racjonalistów, było to coś niemal równie niespodziewanego jak zmartwychwstanie Chrystusa. To samo można prześledzić na przykładzie wielu innych wydarzeń, mających miejsce niemal w tym samym czasie. Masowy napływ misjonarzy z Irlandii miał wszelkie cechy niespodziewanego najazdu młodych na postarzały świat, a nawet na Kościół, który przejawiał pierwsze oznaki starości. Niektórych z nich spotkało męczeństwo na wybrzeżach Kornwalii, a główny autorytet w dziedzinie kornwalijskich zabytków starożytności powiedział mi, że nie wierzył ani przez chwilę, by ponieśli oni śmierć z rąk pogan, ale (jak zauważył z pewną dozą humoru) „raczej z rąk niezbyt gorliwych chrześcijan”.

Otóż gdybyśmy mogli wkopać się głęboko pod powierzchnię historii, co uniemożliwia nam zakres niniejszego wywodu, podejrzewam, że odkrylibyśmy przynajmniej kilka okazji, przy których wszystko wskazywało na to, że chrześcijaństwo zostało tak wydrążone od środka przez wątpliwości i obojętność, że została z niego tylko stara skorupa, tak jak stara skorupa została kiedyś z pogaństwa. Różnica jednak polega na tym, że we wszystkich takich momentach synowie z fanatyzmem bronili wiary, którą ojcowie zaniedbywali. Widać to wyraźnie w przejściu z okresu renesansu do okresu kontrreformacji. Widać to równie wyraźnie w przejściu z wieku osiemnastego do katolickiej odnowy naszych czasów. Podejrzewam jednak, że istnieje wiele innych przykładów, które zasługiwałyby na osobne omówienie.

Wiara nie jest zabytkiem. Rzecz nie wygląda tak, jakby druidom udało się przetrwać w jakimś zakątku ziemi przez dwa tysiące lat. Coś takiego mogłoby się wydarzyć w Azji albo w starożytnej Europie, w tej atmosferze obojętności czy też tolerancji, w której mitologie i filozofie mogły trwać obok siebie w nieskończoność. Wiara nie jest czymś, co ocalało; jest ona czymś, co powracało raz po raz w naszym zachodnim świecie raptownych przemian i stale rozpadających się instytucji. Europa, Wiana tradycji Rzymu, stale podejmowała próby rewolucji i rekonstrukcji, odbudowy uniwersalnej republiki. I zawsze na początku odrzucała ten stary kamień, a na końcu czyniła z niego głowicę węgla; wyciągała go z powrotem ze sterty gruzu,

żeby uczynić zeń zwieńczenie Kapitolu. Niektóre kamienie Stonehenge stoją nadal, niektóre zaś upadły; a gdzie kamień upadnie, tam leży⁵⁶. Co sto albo dwieście lat nie dokonywało się kolejne odrodzenie druidyzmu, podczas którego młodzi druidzi w wieńcach ze świeżej jemioły tańczyliby na równinie Salisbury. Stonehenge nie doczekało się kolejnych wydań we wszystkich stylach architektury, od prymitywnych normanńskich rotund po ostatnie uduchowienia rokoka. Świętemu miejscu druidów nie zagraża wandalizm restauracji.

Kościół Zachodu nie istniał jednak w świecie, w którym rzeczy były zbyt stare, by umrzeć, ale w takim, w którym rzeczy były nadal dość młode, by dać się zabić. Dlatego Kościół często był zewnątrz i pozornie zabijany, a czasem sam wyczerpywał się tak, że nie trzeba go było zabijać. Z tego faktu wynika coś, co, jak się okazuje, nie tak łatwo opisać, ale co, moim zdaniem, jest całkiem prawdziwe, a przy tym dość istotne. Tak jak zjawia jest cieniem człowieka i w pewnym sensie cieniem życia, tak co jakiś czas nad owym niekończącym się życiem przesuwał się jakby cień śmierci. Pojawiał się on w chwilach, kiedy życie, gdyby było śmiertelne, na pewno by umarło. Gdyby takie zwierzęce porównania lepiej pasowały do tematu dyskusji, moglibyśmy powiedzieć, że wąż wzdrygał się, zrzucał skórę i szedł dalej, albo nawet, że kotem wstrząsały konwulsje, gdy tracił

⁵⁶ Nawiązanie do słów z Księgi Koheleta 11,3: „(...) gdzie [drzewo] upadnie, tam leży”, często cytowanych jako uzasadnienie kalwińskiej doktryny o predestynacji.

jeden te swoich dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu żywotów. Może słuszniej i bardziej na miejscu byłoby powiedzieć, że zegar wybijał godzinę i nic się nie działo albo, że dzwon zaczynał bić na egzekucję, którą odraczano bez końca,

Co oznaczał ów niejasny, ale bardzo powszechny niepokój dwunastego wieku, kiedy to, jak ktoś słusznie zauważył, Julian Apostata przewrócił się w grobie? Dlaczego tak dziwnie szybko, u zmierzchu świtu, który zajaśniał po nocy wczesnego średniowiecza, pojawił się tak głęboki sceptycyzm, napędzający walkę nominalizmu z realizmem? Albowiem spór realizmu z nominalizmem był tak naprawdę sporem realizmu z racjonalizmem albo z czymś jeszcze bardziej niszczycielskim niż to, co określamy mianem racjonalizmu. Odpowiedź jest taka, że tak samo, jak niektórzy uważali Kościół za część cesarstwa rzymskiego, inni uważali Kościół jedynie za część wczesnego średniowiecza. Noc wczesnego średniowiecza skończyła się tak samo jak cesarstwo, i Kościół powinien odejść wraz z nią, jeśli i on był tylko jednym z nocnych cieni. Nastąpiła wówczas jeszcze jedna z tych widmowych czy też symulowanych śmierci Kościoła. Chodzi mi o to, że zwycięstwo nominalizmu byłoby tym samym co zwycięstwo arianizmu: początkiem przyznania się do tego, że chrześcijaństwo zawiodło. Nominalizm jest o wiele bardziej fundamentalnym sceptycyzmem niż zwykły ateizm. Takie zatem kwestie roztrząsano otwarcie w czasach, kiedy mroki wczesnego średniowiecza roztopiały się powoli w jasnym świetle dnia, który nazywamy współczesnością. Skąd

jednak ostatecznie padła odpowiedź? Udzielił jej Akwinata zasiadający na krześle Arystotelesa ibiorący w posiadanie cały obszar wiedzy, a także dziesiątki tysięcy młodzieńców, którzy wywodzili się nawet z klasy włościan i pańszczyźnianych chłopów i mieszkali o głodzie i chłódzie przy wielkich kolegiach, by słuchać nauczania filozofii scholastycznej.

Co oznaczał ów dreszcz strachu, który przeniknął cały Zachód w obliczu islamu i napełnił wszystkie stare romanse absurdalnymi obrazami saraceńskich wojowników pyszniących się w Norwegii lub na Hebrydach? Dlaczego ludzie na samych krańcach Zachodu, jak na przykład, o ile dobrze pamiętam, król Jan, byli oskarżani o skrywany mahometanizm, tak jak bywają oskarżani o skrywany ateizm? Dlaczego wśród niektórych autorytetów podniosła się wrzawa z powodu racjonalistycznej arabskiej wersji Arystotelesa? Autorytety rzadko kiedy zdradzają taki niepokój, chyba że jest już za późno. Odpowiedź na te pytania brzmi następująco: setki ludzi prawdopodobnie wierzyły w głębi serca, że islam zawojuje świat chrześcijański, że Awerroes jest rozsądniejszy od Anzelma i że kultura saraceńska jest naprawdę, a nie tylko powierzchownie, kulturą wyższą niż europejska. I tu znów prawdopodobnie znaleźlibyśmy całe pokolenie - starsze pokolenie - pogrążone w wątpliwościach, depresji i znużeniu. Nadejście islamu byłoby jedynie o sto lat wcześniejszym nadejściem unitarianizmu. Wielu mogłoby się to wydawać całkiem rozsądne, całkiem prawdopodobne i całkiem uzasadnione. Jeśli rzeczywiście tak im się wydawało, to

musiało ich zaskoczyć to, co wówczas nastąpiło. Rozległ się bowiem podobny do grzmotu ryk, wyrywający się z gardeł tysięcy i tysięcy młodych ludzi, którzy rzucili całą swoją młodość do jednego triumfalnego kontrataku: wypraw krzyżowych. Pojawili się także synowie św. Franciszka, Kuglarze Boży, wędrujący ze śpiewem po wszystkich drogach świata; pojawił się gotyk strzelający w niebo chmurą strzał; dokonano się przebudzenie świata. Gdy dochodzimy do wojen z albigensami, widzimy rozdarcie serca Europy i lawinę nowej filozofii, która niemal pogrzebała na zawsze chrześcijański świat. W tym wypadku nowa filozofia była równocześnie bardzo starą filozofią: filozofią pesymizmu. Przypominała ona tym niemniej współczesne idee, bo tak samo jak większość współczesnych idei była stara jak cała Azja. Nastąpił powrót gnostyków. Dlaczego jednak gnostycy wrócili? Ponieważ zbliżał się koniec epoki taki sam jak koniec cesarstwa; i on także miał być końcem Kościoła. Duch Schopenhauera wychylił się z przyszłości, a jednocześnie duch Maniego wyjrzał zza grobu, by ludzie mieli śmierć i mieli ją w obfitości.

Jeszcze wyraźniej widać to w dziejach renesansu - po prostu dlatego, że jest to epoka o wiele nam bliższa i ludzie mają o niej nieporównanie większą wiedzę. Ale przykład ten kryje w sobie nawet więcej niż to, z czego większość ludzi zdaje sobie sprawę. Abstrahując od szczegółowych kontrowersji, których omówieniu chciałbym poświęcić osobne opracowanie, był to okres o wiele większego chaosu, niż mogłoby to wynikać

z owych kontrowersji. Gdy protestanci nazywają Latimera⁵⁷ męczennikiem protestantyzmu, a katolicy odwdzięczają im się, nazywając Campiona⁵⁸ męczennikiem katolicyzmu, często zapomina się o tym, że wielu z tych, którzy zginęli w ówczesnych prześladowaniach, można by nazwać jedynie męczennikami ateizmu, anarchizmu albo kultu diabła. Ówczesny świat był niemal tak samo szalony jak nasz; wśród chodzących po nim ludzi byli tacy, którzy twierdzili, że nie ma Boga, tacy, którzy twierdzili, że sami są Bogiem, i tacy, którzy mówili rzeczy, w których nikt nie potrafił się połapać. Gdybyśmy mogli usłyszeć rozmowę wieku, który nastąpił po renesansie, prawdopodobnie bylibyśmy zaszokowani padającymi w niej bezwstydnymi negacjami. Uwagi przypisywane Marlowe'owi⁵⁹ są prawdopodobnie dość typowym przykładem rozmów prowadzonych w oberżach przez intelektualistów. Przejście od Europy przed reformacją do Europy po reformacji wiodło przez wiele ziejących pustką

⁵⁷ Hugh Latimer (1485-1555) - czołowy zwolennik protestantyzmu w Anglii, obrońca prawa Henryka VIII do rozwodu z Katarzyną Aragońską, mianowany biskupem Worcester, za panowania katolickiej Marii I sądzone i spalony na stosie.

⁵⁸ Św. Edmund Campion (1540-1581) - nawrócony na katolicyzm duchowny anglikański, po wstąpieniu do zakonu jezuitów wyświęcony we Francji i wysłany do Anglii na misję, która doprowadziła do licznych nawróceń na katolicyzm; ujęty, torturowany i powieszony przez władze angielskie.

⁵⁹ Christopher Marlowe (1564-1593) - dramaturg angielski epoki elżbietańskiej, znany z awanturniczego życia; przypisywano mu m.in. twierdzenia przeczące historyczności Biblii i boskości Jezusa, a także uznające Jezusa i Jana za homoseksualnych kochanków.

pytań, ale i tu na dłuższą metę odpowiedź okazała się ta sama. Był to jeden z tych momentów, kiedy chrześcijaństwo zjawilo się niespodziewanie jak Chrystus krocący po wodzie.

Wszystkie te przykłady są dla nas odległe i nie sposób ich dowieść bez wdawania się w szczegóły. Ich znaczenie dostrzegamy trochę wyraźniej w uśmierceniu chrześcijaństwa przez pogaństwo renesansu i w ponownym tajemniczym odrodzeniu się wiary. Najwyraźniej jednak dostrzegamy je w czymś o wiele nam bliższym i udokumentowanym wieloma czytelnymi i drobiazgowymi dowodami - chodzi mi o wielki schyłek religii, który rozpoczął się mniej więcej w czasach Woltera. W gruncie rzeczy przypadek ten dotyczy bowiem nas samych, skoro na własne oczy widzimy schyłek tego schyłku. Dwieście lat, które upłynęły od śmierci Woltera, nie przesunęły się przed naszymi oczami tak błyskawicznie jak wiek czwarty i piąty albo dwunasty i trzynasty. W naszych czasach możemy zaobserwować z bliska ów często powtarzający się proces; wiemy, jak całkowicie społeczeństwo może utracić swoją podstawową religijność, nie tracąc przy tym religijności oficjalnej; wiemy, jak wszyscy mogą stać się agnostykami na długo przed odwołaniem biskupów. I wiemy też, że w tym zakończeniu, które naprawdę wydawało się nam ostatecznym zakończeniem, znowu zdarzyła się ta sama niewiarygodna rzecz, i wiara znów ma więcej wyznawców wśród młodych niż wśród starych. Gdy Ibsen mówił o nowym pokoleniu stukającym do drzwi, z pewnością nie spodziewał się, że będą to drzwi Kościoła.

A zatem przynajmniej pięć razy, za czasów arian i albigen-sów, humanistycznych sceptyków, a potem Woltera i Darwina, wszystko wskazywało na to, że wiara zeszła na psy. Ale za każdym razem okazywało się, że to psy nic żyją. Jak całkowite były to upadki i jak niewiarygodne były dokonujące się potem zwroty, możemy szczegółowo stwierdzić na przykładzie najbliższym naszym czasom.

O ruchu oksfordzkim⁶⁰ i o dokonującym się równolegle katolickim odrodzeniu we Francji powiedziano już tysiące rzeczy, ale niewiele z nich przybliżyło nam najprostszy fakt dotyczący tych zjawisk; to mianowicie, że były one niespodzianką. Były one nie tylko niespodzianką, ale i zagadką, ponieważ dla większości ludzi przypominały rzekę, która zawróciła od ujścia i wspina się na góry. Każdy, kto czytał literaturę osiemnastego i dziewiętnastego wieku, wic, że prawie wszyscy uważali wówczas za oczywiste, iż religia będzie się stale rozszerzać jak rzeka, aż wreszcie rozplynie się w bezbrzeżnym oceanie. Niektórzy spodziewali się, że runie ona w dół wodospadem zniszczenia, większość spodziewała się, że rozleje się w deltę równości i umiarkowania, wszyscy jednak uważali, że zawrócenie jej biegu byłoby cudem równie niewiarygodnym co czary. Innymi słowy, większość ludzi o umiarkowanych poglądach sądziła, że wiara,

⁶⁰ Ruch oksfordzki - ruch w ramach anglikanizmu, zapoczątkowany w XIX w. m.in. przez późniejszego kard. Newmana, zmierzający do reformy anglikanizmu przez powrót do tradycji Ojców Kościoła, przywracający wiele elementów tradycji katolickiej.

tak samo jak wolność, będzie się rozszerzać powoli, niektórzy zaś ludzie o postępowych poglądach sądzili, że będzie się ona rozszerzać, by nie rzec, spłaszczą bardzo gwałtownie. Cały ten świat Guizota i Macaulaya⁶¹, świat handlowego i naukowego liberalizmu, był przekonany, być może bardziej niż kiedykolwiek przedtem albo potem, o kierunku, w jakim zmierza świat. Ludzie byli co do tego tak zgodni, że różnili się zdaniem jedynie co do tempa przemian. Wielu z niepokojem, a kilku z sympatią oczekiwało jakobińskiej rewolty, która doprowadziłaby do ścięcia arcybiskupa Canterbury, albo czartystowskiego buntu, który skończyłby się wieszaniem pastorów na latarniach. Wyglądało zatem na jakąś dziwną konwulsję natury to, że arcybiskup zamiast stracić głowę, zaczął się rozglądać za mitrą, i że pastory, zamiast stracić szacunek należny pastorom, zyskali szacunek należny kapłanom. Taki rozwój wypadków zrewolucjonizował powszechną wizję rewolucji i sprawił, że wywrócony do góry nogami świat jeszcze raz wywinął kozła.

Krótko mówiąc, cały świat, pochłonięty spieraniem się o to, czy strumień płynie szybciej czy wolniej, niespodziewanie zdał sobie sprawę z czegoś niewyraźnego, ale olbrzymiego, co płynęło pod prąd. Było w tym fakcie coś ze wszech miar niepokojącego, i nie bez przyczyny. Coś martwego może płynąć z prądem, ale tylko coś żywego potrafi płynąć pod prąd. Martwy pies może

⁶¹ Francois Guizot (1787-1874) i Thomas Babington Macaulay (1800-1859) - historycy liberalni. autorzy odpowiednio historii Francji i Anglii.

być unoszony na skaczących falach z taką samą szybkością jak skaczący chart, ale tylko żywy pies może zawrócić. Papierowa łódka może unosić się z elegancką nonszalancją zaczarowanego statku na przybierających wodach potopu, ale jeśli zaczarowany statek płynie pod prąd strumienia, muszą w nim faktycznie pracować wiosłami zaczarowane istoty. Wśród tych, którzy łatwo płynęli z prądem domniemanego postępu i rozwoju, było wielu demagogów i sofistów, których dzika gestykulacja w rzeczywistości była równie pozbawiona życia jak ruchy martwych psich kończyn poruszanych przez falującą wodę. Z prądem płynęło też wiele filozofii niesłychanie podobnych do papierowych łódek- takich, które łatwo przerobić na zawadiackie czapeczki. Ale nawet naprawdę żywe i życiodajne zjawiska, które płynęły z prądem, przez sam ten fakt nie dowodziły wcale, że są żywe albo życiodajne. Niewątpliwie i niewytłumaczalnie żywa była natomiast inna siła: tajemnicza i nieogarniona energia prująca w górę rzeki. Było to odbierane jak pojawienie się jakiegoś wielkiego potwora, który jednak nie był ani trochę mniej żywy przez to, że większość ludzi uważała go za potwora przedpotopowego. Tak czy inaczej było to wydarzenie nienaturalne, niezrozumiałe i dla niektórych komiczne; zupełnie jakby wielki waż morski nagle wynurzył się z parkowej sadzawki - chyba że za lepsze mieszkanie dla niego uznalibyśmy waż strażacki. Ten niepoważny, fantastyczny element całej historii nie powinien być lekceważony, ponieważ stanowił on najczytelniejsze potwierdzenie nieoczekiwanego charakteru dokonującej się

wówczas przemiany. Ówczesna epoka naprawdę dostrzegała tę samą niedorzeczność w wyglądzie prehistorycznych zwierząt i historycznych rytuałów; mitry i tiary przypominały jej rogi i grzebienie przedpotopowych stworzeń, a odwoływanie się do pierwotnego Kościoła traktowała jak przebieranie się za pierwotnych ludzi.

Ruch ten nadal zadziwia świat, szczególnie dlatego, że nadal się rusza. Gdzie indziej powiedziałem co nieco na temat dość przypadkowych zarzutów wysuwanych jeszcze pod jego adresem i pod adresem jego o wiele potężniejszych konsekwencji. Tu powiedzmy jedynie, że im więcej zarzutów wysuwają krytycy, tym mniej przyczyniają się do wyjaśnienia tego zjawiska. Wpewnym sensie chodzi mi zwłaszcza, jeśli nie o samo wyjaśnienie, to przynajmniej o zasugerowanie kierunku takiego wyjaśnienia, ale nade wszystko o wskazanie jednej k o n k r e t n e j okoliczności. Tej mianowicie, że wszystko to wydarzyło się już przedtem, a nawet, że wydarzyło się już wielokrotnie.

Podsumowując, można by powiedzieć, że jeśli ostatnie stulecia były świadkami rozmycia się doktryny chrześcijańskiej, to były one jedynie świadkami tego, co już wcześniej widziały najdawniejsze stulecia. I nawet współczesny przykład kończy się tak samo, jak przykłady zaczerpnięte ze średniowiecza i przedśredniowiecza. Widać jasno, a nawet coraz jaśniej z dnia na dzień, że cała rzecz nie skończy się ostatecznym zniknięciem okrojonej wiary, ale raczej powrotem tych jej części, które rzeczywiście zdążyły już zniknąć. Zakończy się ona tak, jak

skończył się kompromis z arianizmem, jak skończyły się próby kompromisu z nominalizmem, a nawet z herezją albigensów. Przede wszystkim jednak przykład współczesny, podobnie jak wszystkie inne, zwraca naszą uwagę na fakt, że to, co powraca, nic jest uproszczoną teologią ani zgodnie z postępowymi poglądami teologią oczyszczoną; jest po prostu teologią. Jest to ten sam entuzjazm dla studiów teologicznych, który charakteryzował najbardziej ortodoksyjne epoki; jest to powrót boskiej nauki. Stary wykładowca z tytułem doktora teologii, być może, stał się przysłowiowym typem nudziarza, ale stało się tak tylko dlatego, że on sam znudził się swoją teologią, a nie dlatego, że traktował ją z entuzjazmem. Stało się tak właśnie dlatego, że całkiem otwarcie interesował się on bardziej łaciną Plauta niż łaciną Augustyna, greką Ksenofonta niż greką Chryzostoma. Stał się nudziarzem właśnie dlatego, że bardziej interesowała go martwa tradycja niż tradycja zdecydowanie żywa. Krótko mówiąc, stał się nim dlatego, że on sam był postacią charakterystyczną dla czasów, kiedy wiara chrześcijańska osłabła. Z pewnością nie stał się nim dlatego, że ludzie, widząc cudowne i niemal szalone zjawisko - doktora boskiej nauki — przyjęliby je bez entuzjazmu.

Są ludzie, którzy mówią, że, ich zdaniem, powinien przetrwać jedynie duch chrześcijaństwa. Całkiem dosłownie chodzi im o to, że chrześcijaństwo powinno przetrwać jedynie jako zjawisko. Ono jednak nie ma zamiaru przetrwać w tej postaci. Tym, co pozostaje po zakończeniu procesu pozornej śmierci,

nie jest snujący się cień, lecz zmartwychwstałe ciało. Ludzie, o jakich tu mowa, są przygotowani na to, by uronić pobożną łzę nad Grobem Syna Człowieczego; nie są jednak przygotowani na spotkanie z Synem Bożym znów wędrującym po wzgórzach w świetle poranka. Ludzie ci, jak właściwie większość ludzi, zdążyli się wcześniej naprawdę oswoić z myślą, że stara świeczka chrześcijaństwa zblednie i rozpułynie się w świetle zwykłego dnia. Dla wielu z nich chrześcijaństwo zupełnie uczciwie przypominało właśnie taki bladożółty płomień świecy, świecy, którą ktoś zostawił zapaloną za dnia. Tym bardziej zaskakujący i rzucający się w oczy musiał być dla nich fakt, że siedmioramienny świecznik nagle wystrzelił pod niebo jak zaczarowane drzewo i zapłonął blaskiem zaćmiewającym słońce. Inne stulecia widziały już zwycięstwo światła dnia nad światłem świecy, a potem zwycięstwo światła świecy nad światłem dnia. Raz po raz, przed nadejściem naszych czasów, ludzie zaczęli zadowalać się rozwodnioną doktryną. I raz po raz po takim rozwodnieniu powracała, jak wyłaniający się z ciemności wodospad czerwieni, prawdziwa moc czerwonego wina. I oto mówimy raz jeszcze dzisiaj to samo, co wiele razy mówili nasi ojcowie: „Wiele lat i stuleci temu nasi ojcowie czy też ojcowie naszego ludu pili, jak im się wydawało, krew Boga. Długie lata i stulecia minęły, odkąd moc tego niezrównanego trunku stała się jedynie legendą z epoki olbrzymów. Wiele wieków upłynęło od mrocznych czasów, kiedy wino katolicyzmu zmieniło się w ocet kalwinizmu. Dawno temu ten kwaśny napój sam uległ rozwodnie-

niu; wypłukały go i zmyły wody zapomnienia i fala tego świata. Nigdy nie myśleliśmy, że kiedyś jeszcze zakosztujemy choćby tego gorzkiego smaku szczerości i porywu ducha, nie mówiąc o bogatszej i słodszej mocy purpurowych winnic z naszych marzeń o złotym wieku. Dzień po dniu i rok po roku korygowaliśmy swoje oczekiwania i traciliśmy swoje przekonania; przyzwyczajaliśmy się coraz bardziej do widoku winnic i kadzi zatopionych przez wodę i do tego, że ostatni aromat i ślad tego szczególnego żywiołu rozpływał się jak purpurowa plama w morzu szarości. Przyzwyczailiśmy się do rozcieńczenia, rozpadu, rozwodnienia, które ciągnęły się w nieskończoność. «Ty jednak zachowałeś dobre wino aż do tej pory»".

A oto fakt ostatni i najbardziej niezwykły ze wszystkich. Wiara nie tylko często traciła życie, ale często traciła je ze starości. Nie tylko często była zabijana, ale często umierała naturalną śmiercią w tym sensie, że spotykał ją całkiem naturalny i nieuchronny koniec. Oczywiście jest, że przetrwała ona najokrutniejsze i najbardziej powszechne prześladowania od wstrząsu wściekłości Dioklecjana po wstrząs rewolucji francuskiej. Miała w sobie jednak jeszcze dziwniejszą, a nawet jeszcze bardziej wariacką nieustępliwość; przetrwała bowiem nie tylko wojnę, ale także czasy pokoju. Nie tylko często umierała, ale równie często degenerowała się i psuła, a mimo to przetrwała własną słabość, a nawet własną kapitulację. Nie musimy powtarzać oczywistości o końcu, jaki spotkał Chrystusa; o pięknie zaślubin młodości ze śmiercią. Historia Kościoła robi jednak

niemal takie wrażenie, jakby Chrystus dożył najstarszego możliwego wieku i jako stuletni siwowłosy starzec zmarł z wyczerpania, a potem odmłodzony zmartwychwstał przy dźwięku trąb i pod rozstępującym się niebem. Całkiem słusznie powiedziano, że ludzki element chrześcijaństwa w swej powracającej słabości zbyt łatwo żenił się z mocami tego świata; jeśli jednak żenił się z nimi, to często zostawał wdowcem. Wróg chrześcijaństwa mógł w pewnym momencie jego historii powiedzieć, że było ono jedynie elementem władzy cesarów, dziś jednak brzmi to równie dziwnie jak twierdzenie, że było ono elementem władzy faraonów. Inny wróg mógł powiedzieć, że było ono jedynie oficjalną wiarą feudalizmu, dziś jednak brzmi to równie przekonująco jak twierdzenie, że chrześcijaństwo musiało zniknąć razem z rzymskimi willami. Wszystkie te zjawiska faktycznie dopełniły swego biegu i dotarły do naturalnego końca; wydawało się, że także religia chrześcijańska nie ma innego wyjścia, niż skończyć się wraz z nimi. I rzeczywiście skończyła się. A potem zaczęła na nowo.

„Niebo i ziemia przeminą, ale Moje słowa nie przeminą”. Cywilizacja starożytności obejmowała cały ówczesny świat i ludzie nie bardziej spodziewali się jej końca niż tego, że słońce przestanie świecić. Nie potrafili sobie wyobrazić innego porządku, chyba że należałby do innego świata. Ale światowa cywilizacja przeminęła, a słowa nie przeminęły. Podczas długiej nocy wczesnego średniowiecza feudalizm był rzeczą tak bliską człowiekowi, że nikt nie potrafił sobie wyobrazić, by można

żyć bez pana, a religia była tak mocno wpleciona w strukturę ustroju, że nikt nie mógł sobie wyobrazić, by można ją było rozerwać. A jednak feudalizm został rozerwany na strzępy i starty w braterskim duchu prawdziwego średniowiecza, a pierwszą i najświeższą siłą tej nowej wolności była ta sama stara religia. Feudalizm przeminął, a słowa nie przeminęły. Cały średniowieczny porządek, będący dla człowieka pod tyloma względami kompletnym i niemal kosmicznym domem, sam stopniowo uległ zużyciu, i wtedy wreszcie wydawało się, że słowa również wyzioną ducha. A jednak przebyły one całą świetlistą otchłań renesansu i już po pięćdziesięciu latach wykorzystywały jego światło i naukę do tworzenia nowych podstaw wiary, nowej apologetyki i nowych świętych. Wydawało się, że religia zwiędnie ostatecznie pod palącym słońcem wieku rozumu, że rozpadnie się od trzęsienia ziemi wywołanego przez wiek rewolucji. Nauka podważyła ją swoimi wyjaśnieniami, a ona trwała. Historia wykopała ją z ziemi w zamierzchłej przeszłości, a ona nagle pojawiła się na odległym horyzoncie. Dziś znowu stanęła na naszej drodze i na własne oczy obserwujemy jej wzrost.

Jeśli relacje i dokumenty opisujące nasze życie społeczne zachowają swoją ciągłość, jeśli ludzie naprawdę nauczą się używać rozumu do rozważania nagromadzonych faktów tak przytłaczającej historii, zdaje się, że prędzej czy później nawet wrogowie chrześcijaństwa wywnioskują ze swoich nieustannych rozczarowań, że w dziejach tej religii nie ma co spodziewać się czegoś tak prostego jak śmierć. Będą mogli nadal z nią walczyć,

WIEKUISTY CZŁOWIEK

ale tylko tak, jak walczą z naturą; jak walczą z krajobrazem albo z niebem nad swoimi głowami. „Niebo i ziemia przeminą, ale Moje słowa nie przeminą”. Będą wyglądać jej potknięcia, będą wyglądać jej pomyłki, ale nie będą więcej! wyglądać jej końca. Bez ich woli, a nawet świadomości, ich własne ciche oczekiwania sprawią, że dokona się wypełnienie względnych warunków tej zdumiewającej przepowiedni; nie będą już spodziewać się wytępienia tego, co tak często na próżno próbowano wytępić, i nauczą się instynktownie oczekiwać, że wcześniej nastąpi pojawienie się komety albo zlodowacenie naszej gwiazdy.

ZAKOŃCZENIE
P O D S U M O W A N I E K S I A Ź K I

Pozwoliłem sobie raz i drugi na zapożyczenie tego doskonałego określenia, jakim jest „zarys historii”, chociaż niniejsze studium, dotyczące szczególnej prawdy i szczególnego błędu, nie może oczywiście ani trochę równać się z bogatą i wielowymiarową encyklopedią historii, która została opatrzona tym tytułem⁶². Nawiązanie to ma jednak swoje przyczyny i w pewnym sensie dotyka nasz zarys historii, a nawet przecina na wskroś owo pełniejsze dzieło. Albowiem historia świata opowiedziana przez pana Wellsa może być tu poddana krytyce wyłącznie jako zarys. I wydaje mi się, choć zabrzmi to dziwnie, że jest ona błędna wyłącznie jako zarys. Jest ona godna podziwu jako nagromadzenie faktów historycznych, wspaniała jako magazyn czy też skarbiec historii, fascynująca jako rozprawa na temat historii, niezwykle atrakcyjna jako rozwinięcie historii - a przy tym całkiem fałszywa jako zarys historii. Jedyną rzeczą, która wydaje mi się w niej zupełnie błędna, jest

⁶¹ Nawiązanie do tytułu książki H.G. Wellsa *Outline of History*.

właśnie zarys; ten rodzaj zarysu, który można naszkicować jedną linią i który stanowi o zasadniczej odmienności profili pana Winstona Churchilla i sir Alfreda Monda⁶³. Mówiąc w prosty i niewyszukany sposób, chodzi mi o wystające elementy - te elementy, które tworzą prostotę sylwetki. Wydaje mi się zatem, że zaproponowane przez pana Wellsa proporcje zarysu są złe; że błędnie przedstawia on stosunek tego, co pewne, do tego, co niepewne; tego, co odgrywało wielką rolę, do tego, co odgrywało rolę mniej znaczącą; tego, co zwykłe, do tego, co niezwykle; tego, co naprawdę kształtuje się na poziomie średniej, do tego, co wyróżnia się jako wyjątek.

Nie twierdzę, że jest to niewielki zarzut pod adresem wielkiego pisarza i nie mam powodu tak twierdzić, bowiem w moim o wiele mniejszym zadaniu poniosłem bardzo podobną porażkę. Szczerze wątpię, czy udało mi się przekazać czytelnikowi mój zasadniczy punkt widzenia na temat proporcji dziejów i wyjaśnić, dlaczego niektórym sprawom poświęciłem o wiele więcej miejsca niż innym. Wątpię, czy udało mi się w zrozumiały sposób zrealizować plan, który przedstawiłem w rozdziale wstępnym, dlatego też dodaję tych kilka linijek jako podsumowanie w rozdziale kończącym. Naprawdę wierzę, że zjawiska, które uparcie podkreślałem, mają większe znaczenie dla zarysu historii niż te, które uznałem za podrzędne lub pominąłem

⁶³ Sir Alfred Mond (1868-1930) - angielski przedsiębiorca i polityk liberalny; w 1922 r. był ministrem zdrowia.

całkowicie. Nie wierzę, że przeszłość można najśluszniej przedstawić jako wsteczną perspektywę, w której ludzkość po prostu rozpływa się w naturze, cywilizacja po prostu rozpływa się w barbarzyństwie, religia rozpływa się w mitologii, a nasza własna religia rozpływa się w religiach całego świata. Innymi słowy, nie uważam, żeby najlepszym sposobem przedstawiania zarysu historii było zacieranie wszystkich konturów. Sądzę, że z tych dwóch możliwości o wiele bliższe prawdy byłoby przedstawienie całej opowieści bardzo prosto, tak jak opowiada się prymitywny mit o człowieku, który stworzył słońce i gwiazdy, albo o bogu, który przyjął postać świętej małpy. Podsumuję zatem wszystko, co zostało powiedziane do tej pory, pisząc coś, co, moim zdaniem, jest realistycznym i właściwie wyważonym oświadczeniem: krótkie opowiadanie o ludzkości.

W krainie oświecanej przez sąsiednią gwiazdę, której blask wydobywa wszystko na światło dzienne, istnieje wiele bardzo różnorodnych zjawisk, ruchomych albo nie. Jednym z tych, które się ruszają, jest plemię, będące w odniesieniu do innych plemieniem bogów. To, że potrafi ono zachowywać się jak plemię demonów, nie jest umniejszeniem, ale raczej podkreśleniem owego faktu. Wyjątkowość tego plemienia nie jest indywidualnym złudzeniem sroki, która chwali swój ogon; jest to fakt niepodważalny i wielowymiarowy. Dowodem tej wyjątkowości są nawet same spekulacje, które prowadzą do jej zakwestionowania. Prawdą jest, że ludzie, bogowie niższego świata, są z nim związani na wiele sposobów; jest to jednak tylko inny aspekt tej

samej prawdy. To, że rosną oni jak trawa i chodzą jak zwierzęta, jest jedynie drugorzędną koniecznością, która jeszcze mocniej podkreśla istniejącą między nimi podstawową różnicę. Przesadne akcentowanie podobieństw przypomina twierdzenie, że koniec końców magik musi wyglądać jak człowiek albo że nawet elfy nie mogłyby tańczyć, gdyby nie miały stóp. Skupianie się wyłącznie na tych nieznaczących i wtórnych podobieństwach i całkowite pomijanie podstawowego faktu odmienności weszło ostatnio w modę. Weszło nam w krew podkreślanie, że człowiek przypomina inne stworzenia. I rzeczywiście, ale tylko on jeden potrafi dostrzec to podobieństwo. Ryba nie doszukuje się wzoru rybich ości u ptaków powietrznych; słoń i struś nie porównują swoich szkieletów. Nawet w tym sensie, w jakim człowiek stanowi jedność z uniwersum, jest to bardzo wyjątkowa uniwersalność. Samo poczucie jego zjednoczenia ze wszystkimi zwierzętami wystarczy, by go od nich oddzielić.

Oglądając wszystko w szczególnym świetle swojego umysłu, tak odosobnionym jak skrzęsany tylko przez niego ogień, ów półbóg czy też demon widzialnego świata sprawia, że świat staje się widzialny. Dostrzega wokół siebie pewien niezwykle styl i rodzaj świata. Światem tym, jak się wydaje, rządzą pewne prawa, a przynajmniej pewne powtórzenia. Człowiek dostrzega wokół siebie zieloną architekturę, która powstaje bez udziału widzialnych rąk, ale w swojej budowie trzyma się ściśle wyznaczonego planu czy też wzoru, jakby narysowanego w powietrzu niewidzialnym palcem. Nie jest to, jak się dziś nieprecyzyjnie

sugeruje, rzecz nieprecyzyjna. Nie jest to jedynie rozrost i rozprzestrzenianie się ślepej natury. Każda rzecz dąży do celu, a jest to cel chwalebny i olśniewający, nawet w przypadku zwykłej stokrotki albo mlecza, które widzimy, ogarniając wzrokiem płaski kawałek łąki. Sam kształt jest czymś więcej niż przypadkowym rozrostem zieleni; istnieje coś takiego jak skończona doskonałość kwiatu. Nasz świat jest światem koron. To wrażenie, złudne czy też nie, wywarło tak głęboki wpływ na owo plemię myślicieli i władców materialnego świata, że ogromna większość jego przedstawicieli przyjęła pewien konkretny pogląd na świat. Doszli oni do wniosku, słusznie albo nie, że świat jest zbudowany planowo, tak jak najwyraźniej planowo zbudowane jest drzewo; że ma on swój cel i koronę, tak samo jak kwiat. Ale dopóki plemię myślicieli zachowało zdolność myślenia, było oczywiste, że założenie istnienia planu pociągało za sobą inną myśl, bardziej podniecającą, a nawet wzbudzającą lęk. Otóż musiał istnieć ktoś inny, ktoś nieznany i niewidzialny, kto zaplanował wszystkie te rzeczy, jeśli były one zaplanowane. Istniał zatem ktoś obcy, kto był równocześnie przyjacielem ludzi; tajemniczy dobroczyńca, który istniał przed nimi, zbudował lasy i wzgórza na ich przybycie i przed ich nadejściem rozpałił wschód słońca, tak jak sługa rozpala w kominku. Ta idea umysłu, który nadaje znaczenie wszechświatowi, zyskiwała coraz mocniejsze potwierdzenie w umysłach ludzi dzięki medytacjom i doświadczeniom o wiele subtelniejszym i bardziej przenikliwym niż jakikolwiek argument przemawiający za

WIEKUISTY CZŁOWIEK

takim pochodzącym z zewnątrz planem świata. Zależy mi jednak na tym, żeby utrzymać to opowiadanie w jak najprostszej i najbardziej konkretnej formie. Wystarczy zatem powiedzieć, że większość ludzi, nie wyłączając niektórych spośród najmądrzejszych, doszła do wniosku, że świat ma taki właśnie ostateczny cel, a zatem również taką właśnie pierwotną przyczynę. Ale większość w pewnym sensie odłączyła się od najmądrzejszych, gdy doszło do rozstrzygnięcia, jak tę ideę traktować. Pojawiły się więc dwa podejścia, które do spółki złożyły się na przeważającą część religijnej historii świata.

Większość, podobnie jak mniejszość, miała silne poczucie ukrytego znaczenia rzeczy i wyobrażenie obcego władcy, który zna tajemnicę świata. Jednakże większość, tłum czy też masa ludzi, w naturalny sposób skłaniała się raczej do tego, by traktować tę wiadomość jako plotkę. Plotka zaś, jak każda plotka, zawierała w sobie dużo prawdy i fałszu. Świat zaczął sobie opowiadać baśnie o owym nieznanym władcy, o jego synach, sługach czy też wysłannikach. Niektóre z nich można by słusznie nazwać bajkami starych babek, jako że pretendowały one do miana bardzo starych wspomnień o wydarzeniach odbywających się u zarania świata, jak na przykład mity o nowo narodzonym księżycu albo niedopieczonych górach. Inne można by słuszniej nazwać opowieściami z podróży, jako że były to dziwne, ale współczesne relacje z pogranicza ludzkiego doświadczenia, jak na przykład opowieści o cudownych uzdrowieniach albo szeptane wiadomości o tym, co spotyka umar-

łych. Niektóre z tych historii prawdopodobnie są prawdziwe. W każdym razie prawdziwych jest wśród nich wystarczająco dużo, by zdrowo myśląca osoba, bardziej lub mniej wyraźnie zdała sobie dzięki nim sprawę z tego, że coś naprawdę cudownego kryje się za kosmiczną zasłoną. W pewnym sensie jednak taki sposób myślenia opiera się na pozorach, nawet jeśli pozory te dotyczą zjawisk nadprzyrodzonych. Chodzi tu naprawdę o coś, co się zjawia - a potem znika. W najlepszym wypadku mityczni bogowie są jedynie zjawami, czyli przeblysłkami innej rzeczywistości. Dla większości z nas są oni raczej plotkami na temat takich przeblysków. A dla reszty ludzi cały świat jest pełen pogłosek, z których większość niemal jawnie pretenduje do miana romantycznych opowieści. Znaczna większość historii o bogach, duchach i niewidzialnym królu opowiadana jest, jeśli nie dla samej opowieści, to przynajmniej dla samego tematu. Są one dowodem na ciągłe zainteresowanie, jakie ten temat budzi, nie dowodzą jednak i nie mają dowodzić niczego innego. Stanowią one istotę mitologii, czyli poezji zamkniętej w księgach albo ograniczonej w jakiś inny sposób.

Tymczasem mniejszość, składająca się z mędrców albo myślicieli, odsunęła się na bok i oddała równie przyjemnemu zadaniu, Ludzie ci zajęli się sporządzeniem planów świata; tego świata, który, jak wszyscy wierzyli, miał jakiś plan. Usiłowali wyrysować taki plan uczciwie i we właściwej skali. Wysiłali umysły, starając się bezpośrednio zgłębić umysł, który stworzył ów tajemniczy świat; zastanawiali się, jaki mógłby to być

rodzaj umysłu i jaki mógł być jego ostateczny cel. Niektórzy uważali, że jest to umysł o wiele bardziej bezosobowy, niż to sobie wyobraża większość ludzkości. Niektórzy upraszczali go tak, że prawie nic z niego nie zostawało. Kilku, ale całkiem niewielu, poddawało w wątpliwość jego istnienie. Paru bardziej ponurych sugerowało, że może jest to umysł zły i wrogi ludziom, podobnie jak zaledwie paru z poprzedniej kategorii nie czciło bogów, tylko demony. Ale teoretycy ci w większości byli teistami i nie tylko dostrzegali moralny plan w naturze, ale zazwyczaj przedstawiali także moralny plan dla ludzkości. Większość z nich stanowili dobrzy ludzie, którzy robili dobrą robotę; pamiętano o nich i w różny sposób oddawano im cześć. Byli to uczeni pisarze, a ich pisma zostały mniej lub bardziej uznane za pisma święte. Byli prawodawcami, a pozostawione przez nich tradycje stawały się nie tylko częścią prawa, ale także ceremonii. Moglibyśmy powiedzieć, że odbierali oni cześć boską w tym sensie, w jakim w niektórych krajach odbierali cześć boską królowie i wielcy wodzowie. Jednym słowem, wszędzie tam, gdzie dochodził do głosu ów drugi, pospolitszy duch, duch legendy i plotki, mędrców zaczynała otaczać mistyczna atmosfera mitu. Popularna poezja zmieniała myślicieli w świętych. Nie czyniła jednak nic więcej. Nadal pozostawali oni sobą; nigdy nie zapomniano, że byli ludźmi, ubóstwionymi tylko w tym sensie, w jakim ubóstwia się bohaterów. Określenie Boski Platon, tak jak Boski Cezar, nie było dogmatem, tylko tytułem honorowym. W Azji, gdzie mitologia roztaczała wokół siebie

znacznie mocniejszą aurę, mędracy jeszcze bardziej upodabniali się do mitu, ale nadal pozostawali ludźmi. Pozostawali ludźmi należącymi do szczególnej klasy czy też szkoły ludzi, zasługującej na wielką cześć i faktycznie otaczanej czcią. Była to kasta czy też klasa filozofów; ludzi, którzy uczciwie dopatrywali się porządku w każdym pozornym chaosie, jaki zakłócał ich obraz życia. Zamiast zadowalać się niestworzonymi pogłoskami, zamierzchłymi tradycjami i okrucami wyjątkowych doświadczeń, dotyczącymi umysłu i sensu stojącego za światem, próbowali jak gdyby projektować zasadniczy cel tego umysłu a priori. Próbowali stworzyć na papierze możliwy plan świata prawie tak, jakby świat nie został jeszcze stworzony.

W samym środku tej rzeczywistości można jednak dostrzec olbrzymi wyjątek. Nie przypomina on żadnego z pozostałych opisanych tu zjawisk. Jest ostateczny jak trąba sądu ostatecznego, chociaż równocześnie jest dobrą nowiną, a raczej nowiną, która wydaje się zbyt dobra, by mogła być prawdziwa. Nowina ta to nic innego jak głośnie stwierdzenie faktu, że tajemniczy stwórca świata we własnej osobie odwiedził ten świat. Głosi ona, że naprawdę i właściwie całkiem niedawno, w samym środku dziejów, owa pierwotna, niewidzialna istota faktycznie chodziła po świecie; istota, o której myśliciele tworzyli teorie, a mitologowie powtarzali mity: Człowiek, Który Stworzył Świat. Istnienie tego rodzaju wyższej osobowości stojącej za całą rzeczywistością zakładały od zawsze wszystkie najważniejsze teorie myślicieli i wszystkie najpiękniejsze

legendy. Żadna z nich nie zakładała jednak czegoś podobnego. Fałszem jest twierdzenie, jakoby jakiś inny mędrzec czy bohater ogłosił się kiedykolwiek owym tajemniczym władcą i stwórcą wszechrzeczy, o którym śnił i dyskutował cały świat. Żaden z nich nigdy nie twierdził, że jest kimś w tym rodzaju. Żadna z założonych przez nich sekt albo szkół nie twierdziła, że którykolwiek z nich tak uważał. Religijni prorocy posuwali się co najwyżej do głoszenia, że są prawdziwymi sługami tej tajemniczej istoty. Wizjonerzy posuwali się co najwyżej do głoszenia, że ludzie mogą oglądać przebląski jej chwały, ale częściej ograniczali swoje twierdzenia do niższych istot duchowych. W prymitywnych mitach posuwano się co najwyżej do sugerowania, że Stwórca był obecny przy stwarzaniu świata. Ale to, że Stwórca był obecny przy wydarzeniach nieco późniejszych niż wieczorne przyjęcia u Horacego, że rozmawiał z celnikami i urzędnikami w codziennych realiach cesarstwa rzymskiego i że fakt ten był stanowczo potwierdzany przez całą wielką cywilizację przez ponad tysiąc lat - czegoś takiego nie sposób nazwać zjawiskiem naturalnym. Twierdzenie to jest pierwszą zdumiewającą rzeczą wypowiedzianą przez człowieka od czasu, kiedy wydał on z siebie pierwszy artykułowany dźwięk, zamiast szczekać jak pies. Wyjątkowy charakter tego zjawiska może być argumentem zarówno za, jak i przeciw niemu. Można łatwo potraktować je jako odizolowany przypadek szaleństwa, jednak religioznawstwo porównawcze w zderzeniu z nim zmienia się w bełkot i proch.

Rzecz ta zjawiała się na świecie z podmuchem w a t r u i lawiną biegnących posłańców obwieszczających apokaliptyczną zapowiedź i nie będzie zbytnią przesadą, jeśli powiemy, że posłańcy ci biegną nadal. Tym, co zadziwia świat, jego mądrych filozofów i błyskotliwych pogańskich poetów jest fakt, że duchowni i lud Kościoła katolickiego nadal zachowują się jak posłańcy. Posłaniec nie snuje marzeń o tym, jaką być może powierzą mu wiadomość, nie spiera się też o jej prawdopodobne brzmienie; ogłasza ją po prostu taką, jaka jest. Nie uważa jej za teorię ani za fantazję, tylko za fakt. W naszym z założenia bardzo okrojonym szkicu nie ma miejsca na szczegółowe uzasadnianie tego faktu; chcemy jedynie zaznaczyć, że jest on przez posłańców traktowany tak, jak zwykle przez ludzi traktowany jest takt. Wszystko, co w katolickiej tradycji spotyka się z potępieniem — autorytet, dogmatyzm i niezgoda na to, żeby wycofywać i łagodzić swoje stwierdzenia - jest całkowicie naturalne i ludzkie u człowieka, który ma do przekazania wiadomość o jakimś fakcie. Chciałbym uniknąć w tym ostatnim podsumowaniu wszystkich kontrowersyjnych komplikacji, które mogłyby znowu zaciemnić jasne kontury tej dziwnej historii, nazwanej już przeze mnie - choć jest to określenie o wiele za słabe - najdziwniejszą historią na świecie. Chciałbym jedynie zaznaczyć jej zasadnicze kontury, a zwłaszcza zaznaczyć jedną najważniejszą linię podziału. Religia świata w jej właściwych proporcjach nie dzieli się na subtelne odcienie mistycyzmu ani bardziej lub mniej racjonalne formy mitologii. Dzieli się ona

wzdłuż wyraźnej linii na tych, którzy przynoszą ową wiadomość, i tych, którzy jeszcze jej nie słyszeli albo jeszcze nie mogą w nią uwierzyć.

Gdy jednak próbujemy przetłumaczyć tę dziwną opowieść z powrotem na bardziej konkretny i skomplikowany język naszych czasów, odkrywamy, że jest ona pełna imion i wspomnień, których sama swojskość powoduje zafałszowanie znaczenia. Na przykład kiedy mówimy, że w jakimś kraju mieszka tyłu i tyłu muzułmanów, w rzeczywistości mówimy, że mieszka w nim tyłu i tyłu monoteistów, a przez to w rzeczywistości mówimy jedynie, że mieszka w nim tyłu i tyłu ludzi - ludzi wyznających stare, powszechne przekonanie, że niewidzialny władca nadal pozostaje niewidzialny. Ludzie ci łączą to przekonanie z obyczajami konkretnej kultury, wypełniając mniej skomplikowane prawa konkretnego prawodawcy, ale ich przekonanie nie zmieniłoby się, gdyby tym prawodawcą był Likurg albo Solon. Świadczą oni o czymś, co jest konieczną i szlachetną prawdą, ale co nigdy nie było prawdziwą nowiną. Ich wiara nie odznacza się nową barwą; ma ona neutralny, zwyczajny kolor, stanowiący codzienne tło wielobarwnego życia człowieka. Mahomet, w przeciwieństwie do Trzech Króli, nie odkrył nowej gwiazdy; dostrzegł jedynie przez własne okno skrawek rozległej szarej przestrzeni zalanej światłem gwiazd. Podobnie kiedy mówimy, że w jakimś kraju mieszka tyłu i tyłu konfucjanistów albo buddystów, mówimy jedynie, że mieszka w nim tyłu i tyłu pogan, którym prorocy przedstawili inną i raczej mniej konkretną wer-

się niewidzialnej mocy - czyniąc ją nie tylko niewidzialną, ale niemal bezosobową. Kiedy mówimy, że oni także mają swoje świątynie, swoje idole i swoich kapłanów, mówimy jedynie, że ten rodzaj pogan jest dość ludzki, by dopuścić istnienie popularnego elementu ceremonii, obrazów, uczt i baśni. Mówimy jedynie, że poganie mają więcej rozumu niż purytanie. To jednak, kim mają być ich bogowie i co kapłani mają za zadanie mówić nie przypomina wcale tej sensacyjnej tajemnicy, którą mieli do obwieszczenia biegnący posłańcy Ewangelii. Nikt oprócz tych posłańców nie ma żadnej Ewangelii; nikt nie ma żadnej dobrej nowiny, a to dlatego, że nie ma w ogóle żadnej nowiny.

Biegacze ci nabierają coraz większej prędkości. Po upływie wieków nadal przemawiają tak, jakby coś niedawno się wydarzyło. Nie stracili szybkości i rozpędu posłańców; można by nawet powiedzieć, że niemal nie stracili szalonych oczu świadków. W Kościele katolickim, który jest kohortą tej nowiny, nadal zdarzają się szaleńcze akty świętości, które mówią o czymś nagłym i nowym; zdarza się samopoświęcenie, które zaskakuje świat tak samo jak samobójstwo. Ale nie jest to samobójstwo; nie jest to przejaw pesymizmu; jest w nim tyle optymizmu co u Franciszka, świętego od ptaków i kwiatów. Niesie ono ze sobą świeższego ducha niż najświeższa szkoła myśli i niemal niewątpliwie stoi u progu nowych zwycięstw. Ludzie ci bowiem służą matce, która staje się coraz piękniejsza, w miarę jak nowe pokolenia powstają i nazywają ją błogosławioną. Może się czasem wydawać, że Kościół młodnieje, w miarę jak starzeje się świat"

Ostatnim dowodem na cudowność tego zjawiska jest to, że coś tak nadnaturalnego może się stać czymś tak naturalnym. Chodzi mi o to, że coś tak wyjątkowego z zewnątrz, oglądane od środka, może mieć charakter tak uniwersalny. Nie minimalizuję skali tego cudu, jak to uznali za słuszne uczynić niektórzy bardziej umiarkowani teologowie. Skupiam się raczej z premedytacją na tym niewiarygodnym zakłóceniu porządku, które jak nagły cios złamało kręgosłup historii. Mam wielką sympatię dla monoteistów, muzułmanów i żydów, dla których jest ono bluźnierstwem, bluźnierstwem, które powinno zachwiać światem. Świat jednak nie zachwiał się, raczej odzyskał równowagę. Ten fakt, im dłużej go rozważamy, wydaje się nam coraz bardziej niepodważalny i zadziwiający. Uważam, że jest przejawem zwykłej sprawiedliwości wobec wszystkich niewierzących podkreślanie zuchwałości aktu wiary, którego się od nich oczekuje. Dobrowolnie i z całą szczerością zgadzam się, że w zetknięciu z tak szaloną sugestią nawet umysł wierzącego mógłby stracić równowagę, gdyby wierzący sobie uświadomił, w co wierzy. Ale to nie umysły wierzących tracą równowagę, tracą ją umysły niewierzących. Widzimy wszędzie, jak umysły niewierzących zataczają się i popadają we wszelkie możliwe ekstrawagancje etyki i psychologii, w pesymizm i negację życia, w pragmatyzm i negację logiki, w szukanie znaków w sennych koszmarach i kanonów w sprzecznościach, w okrzyki przerażenia na widok rzeczy będących poza dobrem i złem, albo w szeptu o dziwnych gwiazdach, gdzie dwa i dwa równa się pięć. Natomiast jedyna

rzecz, której zarys wydaje się tak oburzający, cały czas pozostaje niewzruszona i zachowuje trzeźwość umysłu. Uspokaja ona wszystkie wymienione przez nas manie; ratuje rozum przed zakusami pragmatystów tak samo, jak uratowała śmiech przed zakusami purytanów. Powtarzam, że jej wrodzoną zuchwałość i dogmatyzm akcentuję z rozmysłem. Pozostaje tajemnicą, w jaki sposób coś tak zaskakującego może równocześnie być zuchwałe i dogmatyczne, a przy tym robić wrażenie czegoś normalnego i naturalnego. Zgodziłem się bez oporów, że człowieka, który uważa się za Boga - jeśli zjawisko to potraktujemy jako abstrakcję - można zaliczyć do tej samej kategorii co człowieka, który uważa się za szybę. Ale człowiek uważający się za szybę nie jest szklarzem, który zaopatruje w okna cały świat. Nie pozostaje przez stulecia jaśniejącą, kryształową postacią, w której świetle wszystko staje się przejrzyste jak kryształ.

A zatem to jedno szaleństwo zachowało trzeźwość umysłu. Zachowało trzeźwość umysłu nawet wtedy, gdy wszystko inne straciło rozum. Przez kolejne stulecia ludzie wracali do tego domu wariatów jak do własnego domu. Oto ostatnia zagadka: jak coś tak nagłego i nienormalnego może stać się dla ludzi schronieniem i przystanią. Nie dbam o to, czy krytycy uważają je za naciaganą opowieść; nie rozumiem, w jaki sposób ta niebosiężna wieża mogłaby ustać tak długo, gdyby nie miała fundamentu. Tym bardziej nie rozumiem, w jaki sposób mogła się stać - tak jak stała się w rzeczywistości - domem dla człowieka. Gdyby jedynie pojawiła się i znikła, można by ją wspominać

albo wyjaśniać jako ostatni napad szaleńczego złudzenia, ostateczny mit albo ostateczny stan ducha, w którym ludzka myśl zaatakowała niebo i pękła. Ale wcale nie pękła. Jest to jedyna myśl, która nic rozpadła się podczas rozpadu świata. Gdyby to była tylko pomyłka, wydaje się, że nie mogłaby trwać dłużej niż dzień. Gdyby to było jedynie uniesienie, wydaje się, że nie mogłoby trwać dłużej niż godzinę. Myśl ta przetrwała jednak prawie dwa tysiące lat, a świat wewnątrz niej jest do dziś bardziej przejrzysty i zrównoważony, żywi bardziej uzasadnione nadzieje i przejawia zdrowsze instynkty, przyjmuje większym humorem i pogodą ducha przeznaczenie i śmierć niż cały świat pozostający na zewnątrz. Dusza chrześcijaństwa wzięła bowiem swój początek od niewiarygodnego Chrystusa, a duszą tą był zdrowy rozsądek. Chociaż nie mieliśmy odwagi spojrzeć w Jego twarz, mogliśmy patrzeć na Jego owoce, i po owocach Go poznajemy. Owoce te są trwałe, a owocność w tym przypadku jest czymś o wiele więcej niż metaforą; nigdzie na tym smutnym świecie nie ma szczęśliwszych chłopców w gałęziach jabłoni ani ludzi śpiewających zgodniejszym chórem przy wgniataniu winogron niż w nieruchomym blasku tego nagłego i nieznośnego oświecenia - błyskawicy wiecznej jak światło.

DODATEK I
O CZŁOWIEKU PREHISTORYCZNYM

Po ponownym przeczytaniu tej książki mam wrażenie, że wielokrotnie, używając wielu słów, próbowałem powiedzieć coś, co można wyrazić jednym słowem. W pewnym sensie moje studium z założenia miało być powierzchowne. To znaczy, nie miało być dogłębnym studiowaniem rzeczy, które wymagają przestudiowania. Miało być raczej przypomnieniem rzeczy, które tak szybko migają nam przed oczami, że niemal równie szybko o nich zapominamy. Jego morał jest poniekąd taki, że pierwsze wrażenia są słuszne; tak jak nagły błysk odsłania krajobraz, nad którym wieża Eiffla albo Matterhorn górują tak, jak nigdy nie mogłyby górować w świetle zwykłego dnia. Zakończyłem tę książkę obrazem wiekuistej błyskawicy; w zupełnie innym znaczeniu można by powiedzieć, że ten niewielki rozbłysk trwał niestety za długo. Moja metoda ma jednak także pewne praktyczne niedogodności, i dlatego uważam za słuszne umieszczenie na końcu dwóch uwag na jej temat. Otóż może się wydawać, że stosuję w niej zbyt daleko idące uproszczenia i ignoruję pewne rzeczy po prostu z ignorancji. Nie pretendując

wcale do miana naukowca, miałbym jednak żal, gdyby uznano, że nic wiem tyle co trzeba o etapach, na jakie podzielono pierwotną historię człowieka. Mam oczywiście świadomość, że historia ta jest szczegółowo rozbita na epoki, że było wiele takich epok przed pojawieniem się człowieka z Cro-Magnon czy jakichkolwiek plemion, z którymi kojarzymy pojawienie się rysunków naskalnych. W gruncie rzeczy najnowsze studia o neandertalczykach i innych ludach powtarzają, jak się zdaje, morał, który w naszej opowieści ma największe znaczenie. Odnotowany na tych stronach pogląd dotyczący powolnego czy też późnego rozwoju religii zyskałaby niewiele z późniejszych odkryć na temat prekursorów twórcy wizerunków reniferów. Uczni utrzymują poniekąd, że bez względu na to, czy wizerunek renifera miał znaczenie religijne, czy też nie, ludzie żyjący przed jego powstaniem już byli ludźmi religijnymi i chowali swoich zmarłych z wiele mówiącymi symbolami nadziei i tajemnicy. To, rzecz jasna, stawia nas znów przed tym samym problemem; problemem, którego nie sposób rozwiązać dzięki pomiarom czaszki żyjącego wcześniej człowieka. Nie będziemy mieć wielkiego pożytku z porównywania głowy człowieka z głową małpy, skoro bez wątpienia żadnej małpie nie przyszło do głowy, żeby pochować inną małpę z orzechami na drogę do wiecznego małpiego domu. A jeśli mowa o czaszkach, to znam także historię czaszki z Cro-Magnon, która miała być o wiele większa i lepiej rozwinięta niż czaszka współczesnego człowieka. Jest to dość śmieszna historia, bo pewien czołowy

O CZŁOWIEKU PREHISTORYCZNYM

ewolucjonista, obudziwszy się nieco za późno, protestował potem przeciwko wyciąganiu jakichkolwiek wniosków z jedyne­go dostępnego okazu. Obowiązkiem samotnej czaszki jest udowodnienie niższości naszych ojców. Gdyby jakakolwiek czaszka próbowała dowodzić ich wyższości, z pewnością powszechnie uznano by ją za chorą na wodogłowie.

DODATEK II
o AUTORYTECIE I DOKŁADNOŚCI

Mam wrażenie, że w tej książce, będącej z założenia jedynie popularną krytyką popularnych błędów, a nie-rzadko krytyką bardzo pospolitych pomyłek, zdarzało mi się przemawiać tak, jakbym sobie pokpiwał z poważnej pracy naukowej. Było to jednak zupełnie sprzeczne z moimi intencjami. Nie wiodę sporu z naukowcem, który wyjaśnia zagadkę słonia, tylko z sofistą, który ją upraszcza i lekceważy. W gruncie rzeczy sofista gra pod publiczność, tak jak to robił w starożytnej Grecji. Podlizuje się ignorantom, zwłaszcza wtedy, gdy zwraca się do uczonych. Nigdy jednak nie planowałem swojej krytyki jako impertynencji pod adresem prawdziwych uczonych. Wszyscy bardzo wiele zawdzięczamy badaniom naukowym, szczególnie najnowszym, jakie w tej dziedzinie prowadzili zdeterminowani badacze, i ja sam przyznawałem się otwarcie do czerpania z ich prac. Nie chciałem przeładować mojego abstrakcyjnego toku rozumowania cytataми i odniesieniami, przez które człowiek wydaje się bardziej uczony, niż jest w istocie; w niektórych przypadkach sam przekonuję się jednak, że moje dość swobod-

nie czynione aluzje często tylko zaciemniają to, co chciałem powiedzieć. Ustęp mówiący o Chaucerze i „Małym Męczenniku” został źle sformułowany, chciałem w nim jedynie powiedzieć, że angielski poeta prawdopodobnie miał na myśli angielskiego świętego, którego historię przedstawił niejako w egzotycznej wersji. Podobnie w rozdziale o mitologii dwa stwierdzenia następujące po sobie mogą sugerować, że druga opowieść o monoteizmie także odnosi się do Mórz Południowych. Wyjaśniam zatem, że Atahocan jest bóstwem nie australijskich, ale amerykańskich tubylców. Tak samo w rozdziale „Starożytność cywilizacji”, który uważam za najmniej zadowalający, przedstawiłem moją własną teorię znaczenia rozwoju egipskiej monarchii tak, jakby była ona tożsama z faktami, na których została oparta, a które można znaleźć na przykład w pracy profesora J.L. Myresa. Zamieszanie to nie było jednak zamierzone; jeszcze mniej zamierzone było wrażenie, jakie może robić pozostała część tego rozdziału - że uważam antropologiczne spekulacje na temat ras za mniej wartościowe, niż są w rzeczywistości. Moja krytyka jest całkowicie względna. Mogę przecież powiedzieć, że piramidy są bardziej widoczne od dróg na pustyni, nie przecząc przy tym, że ludzie mądrzejsi ode mnie dostrzegają czasem drogi tam, gdzie ja widzę jedynie piaszczyste bezdroże.

SpiS TREŚCI

KOTA WPROWADZAJĄCA	5
WSTĘP PLAN KSIĄŻKI	7
CZĘŚĆ I	
O STWORZENIU ZWANYM CZŁOWIEKIEM	
I CZŁOWIEK W JASKINI	27
II PROFESOROWIE I PREHISTORIA	55
III STAROŻYTNOŚĆ CYWILIZACJI	81
IV BÓG I RELIGIOZNAWSTWO PORÓWNAWCZE	123
V CZŁOWIEK I MITOLOGIE	153
VI DEMONY I FILOZOFOWIE	179
VII WOJNA BOGÓW I DEMONÓW	213
VIII KONIEC ŚWIATA	237

CZĘŚĆ II
O CZŁOWIEKU ZWANYM CHRYSTUSEM

BÓG W JASKINI	263
II	
ZAGADKI	EWANGELII
	291
III	
NAJDZIWNIEJSZA	HISTORIA
NA	ŚWIECIE
	313
IV	
ŚWIADECTWO HERETYKÓW	337
V	
UCIECZKA OD POGAŃSTWA	367
VI	
PIĘĆ POGRZEBÓW WIARY	397
ZAKOŃCZENIE	
PODSUMOWANIE KSIĄŻKI	417
DODATEK I	
O CZŁOWIEKU PREHISTORYCZNYM	433
DODATEK II	
O AUTORYTECIE I DOKŁADNOŚCI	437

Wiekuisty człowiek, książka napisana przez Chestertona trzy lata po nawróceniu na katolicyzm, to pełna rozmachu, erudycji i słownej wirtuozerii próba ukazania chrześcijańskiej wizji dziejów od czasów prehistorycznych aż po współczesność. Dzięki sile prozy Chestertona, jakby z lotu ptaka podziwiamy tragiczne i chwalebne losy ludzkości, by ostatecznie zmierzyć się z wyrastającą ponad całe dzieje postacią człowieka, którego pojawienie się na ziemi nadało ostateczny sens historii i który żyje nadal w założonym przez siebie Kościele.

Książka ta, okrzyknięta jednym z największych dzieł Chestertona, od pokoleń umacnia wątplących i niepokoi ateistów. Wśród tych ostatnich był późniejszy wybitny pisarz C.S. Lewis, który stwierdził, że to ona właśnie, najbardziej ze wszystkich współczesnych książek przyczyniła się do jego nawrócenia.

